

Kasey
Michaels

**Uwielbiam
cię
maleńka**

Jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, bardzo uważaj, bo możesz tam nie trafić.
Lawrence Peter Berra (Yogi)

1

*W Ameryce jest jedno powiedzenie,
które wszystko wyjaśnia.*

*To powiedzenie brzmi — Nigdy nic
nie wiadomo.*

Joaquin Andujar, miotacz

— Drrrrrrrrrrrr-Drrrrrrrrrrrrrr...

— Cholera.

— Drrrrrrrrrrrr-Drrrrrrrrrrrrrr.

Jack Trehan zaklął znowu, sięgnął po omacku w ciemność. Dopiero przy drugiej próbie udało mu się dosięgnąć słuchawki telefonu. Pierwsza próba skończyła się bowiem tylko zrzućeniem rozchybotanej lampy, którą ciotka Sadie wypożyczyła mu z dobroci serca. Ale ciotka Sadie nie miała serca.

Ciągle z zamkniętymi oczami, Jack przyłożył słuchawkę do ucha i wymamrotał:

— Nikogo nie ma w domu. Nikt nie słyszy tego dzwonka, więc dlaczego się nie odczepisz...

— Jack? Jack, skarbie, czy to ty?

Jack natychmiast otworzył oczy, jakby ktoś w ciemności jego własnej sypialni wylał mu na głowę kubeł lodowatej Gatorade. Poprawił się na poduszkach i uspokoił ręką sznur roztańczonej, neonowo różowej lampy. Ciotka Sadie nie miała niestety również gustu.

— Cecily?

— Och, pamiętasz mój głos, Jack. Jakie to do ciebie podobne. Ale zawsze twierdziłam, że jesteś moją bratnią duszą. Masz

tak niespotykane zdolności i jesteś taki mądry. Och, zaczekaj chwilkę. Myślałam, że to idzie tata. Zawsze uważałam ciebie za kolejne wcielenie Wyatta Earpa. Solidny uczciwy, ale może za bardzo pewny siebie. Nawet trochę próżny. W końcu tak go wykreowało tych dwóch aktorów w kinie. Wiesz, jednym z nich był Kevin Costner, ten aktor, który zrobił film o listonoszu. Ojej, czekaj, był jeszcze jeden film o Wyattcie Earpie. Więc grało go dwóch aktorów, prawda?

— Tak jest, Cecyly. Zdecydowanie dwóch — powiedział Jack, uśmiechając się szeroko.

— Cholera. Och, cóż.... wracając do Wyatta. Nie pamiętam nazwiska tego drugiego aktora, mimo że znam go przecież lepiej. Jack, nigdy nie rozumiałam, dlaczego oni zrobili aż dwa filmy. A ty Jack? To znaczy, może on był rzeczywiście kimś ważnym, ten cały Wyatt-Straszny Ryk-Earp. Ale po co aż dwa filmy? Naprawdę uważam, że jeden wystarczy, a ty?

— W zupełności. Cecyly? — odpowiedział Jack niemal błagalnie... Dziecinny piskliwy głosik jego kuzynki wiercił mu dziurę w uchu. Spojrzał, mrużąc oczy na tarczę budzika. Nie widział, czy też nie słyszał Cecyly od ponad roku, ale są ludzie... hm, którzy pozostawiają niezatarte na długo wrażenia. — Moglibyśmy się trochę streszczać? Jest druga nad ranem, a drugim aktorem był Kurt Russell. Też bardziej go lubię.

— Ach, bardzo ci dziękuję, Jack. Gdybyś mi nie przypomniał tego nazwiska, łamałabym sobie głowę przez pół nocy. Ale dlaczego uczepliłeś się tego czasu? Jack, przecież wiesz, że czas nie ma tu nic do rzeczy. To świetne, że coś komuś się wyjaśniło. Niektórzy są potwornie układni i chcieliby wszystko kontrolować. Pewnie są to też pamiętliwe dupki, nie sądzisz? A w Bayonne, jeśli chcesz wiedzieć, jest kwadrans po drugiej. Zegarek źle ci chodzi. Jack, to do ciebie niepodobne. Oczywiście ty nie jesteś żadnym pamiętliwym dupkiem. O tobie nigdy bym tego nie powiedziała. Byłoby lepiej, gdyby wynaleziono jakieś inne określenie. To jest takie nędzne. Czy aby cokolwiek opisać, zawsze trzeba użyć wyrazów

odnoszących się do seksu lub nazw części ciała? To coś w stylu: męska i żeńska wtyczka — wiesz, w elektryczności. Rozumiesz, o co mi chodzi? Uważam, że to obrzydliwe. A weźmy na przykład limuzynę. Zadowolisz ją, gdy wypełnisz ją paliwem wtykając ten przyrząd w jej coś, a...

— Boże Wszechmocny, Cecily, wykończysz mnie — przerwał Jack, przykładając rękę do czoła. — Jesteś w domu, w Bayonne, tak? Wszystko jak zwykle. Ta sama strefa czasowa i cała reszta. Czy nie możemy więc poczekać z tym do rana? Zadzwoń do ciebie.

— Ach, wybacz mi, Jack. Wiesz, jak mi trudno panować nad emocjami. Jestem tak bardzo wrażliwa. Niebieska Tęcza ciągle mi to powtarza. Wpadam w coś po uszy, próbuję wszystkiego głęboko doświadczyć, no i czasami się zatracam. To naprawdę jest moje wielkie utrapienie, ale Niebieska Tęcza obiecał, że nauczy mnie, jak ukierunkować przepływ energii, jak ją spożytkować, jak znaleźć środek karmiczny. Czyż on nie jest rozkoszny?

— Tak. Jest po prostu kochany. — Jack opuścił już łóżko i stał na gołej drewnianej podłodze.

• Niebieska Tęcza był facetem, który miał wszystko, jak się patrzy. Przy Cecily zawsze kręcił się jakiś facet. Ale, do licha, niech mnie trafi szlag, jeśli spytam o jakieś szczegóły na jego temat. Musiałbym wtedy rzucić się z okna i zabić na miejscu, pomyślał.

— Cecily — powiedział, gdy na chwilę urwała. A może zatrzymała się tylko, by zaczerpnąć oddechu. — Czy jest jakiś powód, dla którego dzwonisz w środku nocy, czy tylko tak sobie poplotkujemy?

Krótką deprymująca cisza po drugiej stronie linii przekonała Jacka, że popełnił błąd i obraził kuzynkę. Stąd była już niedaleka droga do jej śmiertelnego zranienia i znacznie bliżej, niż by sobie tego życzył, do momentu, aby się rozpłakała. Nienawidził, gdy płakała. Płacząc mówiła, czekała i chlipała. Do diabła, nie sposób jej było wtedy zrozumieć.

— Cecily? Wybacz mi, słoneczko — powiedział i naprawdę bardzo tego żałował.

Ostatnim razem, gdy Cecily wybuchła płaczem, skończyło się to dla niego niezbyt wesoło. Musiał kupić pięćset akcji udziałów w Creative Pyrotechnics, spółki należącej do jej kochanka. Sześć miesięcy później firma zbankrutowała i wszystkie pieniądze przepadły. Wraz z jej chłopakiem. Urządziła nawet jakąś symboliczną ceremonię pogrzebową w jakiejś małej mieścinie, w dniu 4 lipca. Potem słyszał, że Cecily pochowała go w słoju.

— Przepraszasz? Cóż, łatwo ci powiedzieć. Wybacz, Jack — powiedziała Cecily i mógł już usłyszeć w jej głosie łzy. — Naprawdę potrafisz być okro-yyy-pny, Jack, wiesz o tym? I... i zawsze myślałam, że mnie lu-yyy-bisz, że jesteś miły. To dlatego zadzwoniłam do ciebie. Dlatego, że ty jeden zawsze rozumiesz i zawsze mi pomożesz. Tak jak... po prostu, jak Wyatt-yyy-Earp.

Klapnął zrezygowany na brzeg łóżka — prawie się przewrócił, bo zapomniał, że jego łóżko to po prostu materac dużego rozmiaru, ustawiony wprost na podłodze — wziął głęboki wdech i spróbował nad sobą zapanować.

— Okay, Cecily, słoneczko, w porządku. Opanujmy się. Powiedz mi, co nie gra. Pozwól mi sobie pomóc. Moja najśłodsza, jedyne przecież, czego pragnę, to pomóc ci.

Ponieważ wtedy dasz mi spokój i będę mógł się wreszcie wyspać. Lecz tego już głośno nie powiedział.

Czekał, podczas gdy Cecily próbowała się uspokoić. Załkała jeszcze raz i wytarła nos blisko słuchawki. Potem wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Jack mógł sobie wyobrazić, jak wtedy wyglądała. Wyglądała na pewno uroczco. Zawsze miała wiele wdzięku. Olbrzymie błękitne oczy, delikatne blond włosy i zgrabna figura. Tak dużo wrażeń zewnętrznych. Tak mało odczuć wewnętrznych. Jednakże, kochał ją. Nie pokochasz Cecily Morretti tylko w przypadku, jeśli jesteś facetem, który byłby w stanie kopnąć psa.

— W porządku — powiedziała w końcu. — To takie krępujące. Pamiętasz, jak w zeszłym roku mieszkałam w komunie, w Oregonie? Pamiętasz to czytanie tych wszystkich poradników? Próby samokształcenia? Podciągać się samemu, doskonalić... co to, czy to są sznurówki? Czy jeszcze ktoś je nosi? Oj, oczywiście, że nosimy buty. To naturalne, ale sznurówki? Nie wydaje mi się, że my...

— Cecily. Skoncentruj się trochę, kochanie. Uda ci się.

— Otóż nie, Jack — odpowiedziała, znowu zaczynając płakać. — To jest... właśnie to, o co chodzi. Nie mogę tego zrobić. Myślałam, że wszystko jest w porządku. Ale potem zdałam sobie sprawę, że nie jest w porządku. W książkach jest powiedziane, znajdź więź z dzieckiem, które jest w tobie. Ale ja pomyślałam, że chodzi o więź z dzieckiem w środku mnie. Tak się myliłam. I wiesz, okazało się, że byłam zupełną gapą. To znaczy, co niby zrobić z dzieckiem w sobie, gdy już znajdzie się ono na zewnątrz? Widzisz róż-yyy-nicę, nieprawdaż, i to, jak skomplikowane to mo-yyy-że być.

— Jasne. — Jack szybko się z nią zgodził. Do diabła, zgodziłby się ze wszystkim, co mówiła kuzynka, żeby tylko nie zaczęła znowu płakać. — Dziecko wewnętrzne, dziecko wewnątrz. Dziecko wewnątrz, dziecko na zewnątrz. Jest różnica. Łapię. Czy to ratuje sytuację? Chcę tylko pomóc, Cecily. Zrobię, co tylko mogę, aby ci pomóc.

Znowu płakała. Prawdopodobnie były to teraz łzy radości. Ale u niej nawet łzy radości szły w parze ze łkaniem.

— Och, dziękuję, Jack! Wiedziałam, że będziesz w stanie zrozumieć i że będziesz mógł mi pomóc. Zawsze jesteś taki miły. Niebieska Tęcza myśli, że jutro z nim wyjadę, a Joey nic nie pomógł... dlatego zresztą wróciłam do Bay-yyy-one, aby prosić go o pomoc. Nigdy nie będę w stanie ci tego wszystkiego opowiedzieć. Mój brat to sobek, Jack. Zupełny nieużytek!

— Ciągłe próbuje dostać się do miejscowych mądrali, co? — spytał Jack, lecz Cecily była tak nakręcona, że nie odpowiedziała. Nie mogła już przerwać potoku słów.

Słowa Cecily toczyły się teraz, jakby jej umysł zaczął pracować na trzecim biegu (co w jej przypadku zawsze jest ryzykowne).

— I niby w jaki sposób znaleźć w Bayonne środek karmiczny? To znaczy, Jack, oczywiście że w New Jersey? Byłam w kropce. Lecz ty postarasz się pomóc. Gdyby jeszcze Niebieska Tęcza mógł odnaleźć te klucze do naszej czynszówki. Oj, poczekaj. One są tutaj, w mojej kie-yyyy-szeni. Czyż to nie jest ostatnie miejsce, w którym by się ich szukało? Cudownie! Możemy się szykować. Będziemy na czas w Jersey, by zdążyć na poranny lot z Newark. Czy ciągle wstajesz tak wcześnie? Pewnie tak. Och... Nie wiem, jak ci dziękować, Jack. Ja-yyyy-ck?

— Więc nawet nie próbuj — odpowiedział Jack, czując się całkiem z siebie zadowolony.

Nie wiedział, co takiego powiedział, ale prawdopodobnie udzielił właściwych odpowiedzi. Nie zamierzał ryzykować swego szczęścia i palnąć jakieś głupstwo, na przykład, zapytać, gdzie u licha wybierają się ona i Niebieska Tęcza. Wybrać się tam, czy wrócić? Dokąd jechać, skąd wracać? Do Bayonne? Nie, nie do Bayonne. Newark. Lotnisko jest w Newark. Kobiety nie potrafią myśleć racjonalnie. W końcu, jeśli by się dopytywał, prawdopodobnie opowiedziałyby, że wybierają się balonem na Jowisza. Jednak on wcale nie chciał nic na ten temat wiedzieć.

— Dlaczego nie zadzwonisz do mnie, gdy wrócisz?

— To może potrwać miesiące, a może nawet lata — odpowiedziała Cecily, lecz dało się słyszeć w jej głosie radość (to jak wypowiadała słowa, brzmiało zupełnie jak Betty Boop po nawdychaniu się helu.) — I zgadzasz się na to? Czy rzeczywiście jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

Co zrobić? Na co on się właśnie zgodził? Czy w ogóle zgadzał się na cokolwiek? Nie miał błędnego pojęcia, o czym ona mówi. W dalszym ciągu rozkoszował się swoją niewiedzą, a z Cecily bardzo często niewiedza była całkowicie niezbędna do zachowania własnego zdrowia psychicznego.

— Skarbie, jeśli to cię uszczęśliwi, jestem zadowolony z... cokolwiek by to było — odpowiedział Jack. Opadał już na poduszki, najbardziej zadowolony z tego, że może ponownie zasnąć. Odłożył słuchawkę na tekturowe pudełko służące mu jako podstawka. Ziewając, dodał jeszcze:

— Cieszę się, że mogłem pomóc.

Keely McBride przewracała się z boku na bok w łóżku. Poprawiła poduszkę, przyłożyła jeszcze raz do niej głowę, jednocześnie jęcząc jakby w śmiertelnych katuszach. Nie mogła spać. Może już nigdy nie będzie mogła usnąć. Na miłość boską! Jak sobie radzą ludzie cierpiący na bezsenność? Dlaczego wszyscy nie powiedzą sobie po prostu do diabła z tym głupim wyścigiem szczurów. Ale jak nad tym zapanować? Co ludzie robią całymi nocami, gdy nie mogą spać? Liczą owce? Komiczne. I w ogóle nie pomaga. Keely wiedziała, bo już to wypróbowała,

Nie pomógł jej również stojący w sypialni przenośny telewizor, pomimo iż był włączony do drugiej nad ranem. Oglądała najpierw wiadomości, potem powtórkę „Gilligan's Island”, filmu, który nigdy zresztą jej się nie podobał. I nic. Żadna z powiek nie próbowała nawet opaść.

W zasadzie, skoro i tak nie spała, mogłaby przestać tracić czas i zabrać się za naprawę dachu, czy coś w tym rodzaju.

Była zbyt podekscytowana i zdenerwowana, aby spać. Miała tylko jedno wyjście. A ono pojawi się wraz z Sadie Trehan i wschodem słońca. Jakim cudem mogłaby teraz spokojnie zasnąć? Wyciągnęła się na łóżku jakieś sześć godzin wcześniej, ale to zdecydowanie nie był dobry pomysł. Odrzuciła więc kołdrę i ruszyła do łazienki wziąć prysznic.

Gdyby tak szumiąca woda mogła obudzić kogokolwiek w tym domu, lecz przecież nikogo w domu nie było. Była sama. Zupełnie sama. Ciotka Mary, kobieta w średnim wieku, spędzała właśnie swój miesiąc miodowy w Grecji. Ciocia nigdy nie uprawiała żadnych domowych kwiatków dla przyjem-

no<ti. Nie miała nawet burej kotki czy nerwowego pieska pokojowego. Trzeba jednak uznać, że ciotka była bardziej rozważna, albowiem to tylko Keely mogłaby opiekować się mrużącym kotem czy piskliwym pieskiem. Mogłaby zająć się chomikiem i jego skrzypiącym kółkiem — czymkolwiek, co mogłoby przerwać panującą ciszę, z czym mogłaby porozmawiać, na co mogłaby ponarzekać. Co można by opieprzyć.

Keely miała dużo tematów do narzekań.

Jak każdy z debiutantów. A ona była w Allentown początkująca. Znowu to Allentown. Jej świeżo założona na Manhattanie firma projektowania wnętrz wytrwała od momentu powstania tylko przez piętnaście miesięcy. Keely nienawidziła przegrywać. A na pewno nie w momencie, gdy jej partner w interesach, a jednocześnie były kochanek, z zadowoloną miną oświadcza: „Beze mnie nigdy ci się nie uda”.

Po cym, jak opuściła jego łóżko i firmę, ustaliła, że fakty wskazują jednoznacznie na to, iż siedemdziesiąt procent wszystkich nowo powstałych firm plajtuje w ciągu pierwszych dwóch lat działalności.

Boże, jakże nienawidziła statystyk, a zwłaszcza tego, że sama stała się statystyczną średnią. Tak samo mocno nienawidziła Gregory'ego Fontaine'a... Och, dajmy temu spokój. Nie można kogoś nienawidzić, bo to oznacza, że przedtem trzeba go było darzyć jakimś cieplejszym uczuciem... A przekonała się już przecież, że nie widzi nic takiego, za co można by polubić Gregory'ego Fontaine'a.

Pewnie, że był przystojny. Na pewno dobrze mu się powodziło. Zatrudnił ją od razu po studiach, gdy na jej dyplomie nie zdążył nawet wyschnąć atrament (z jedynymi referencjami, jakie miała, wystawionymi przez ciotkę Mary, która gorliwie rozdaje rekomendacje — widzi to każdy, kto posiada choć kapek rozumu). Nie zważał chociażby na to, że Keely mogłaby się okazać najgorszą projektantką od czasów, gdy w pierwszym odruchu sam powiesił kiedyś głowę łosia na ścianie swej nory).

Och tak, Gregory Fontaine. Był uprzejmy i dobroduszny.

I jadał we właściwych restauracjach. Znał właściwych ludzi. Potrafił również recytować wersy ze wszystkich sztuk Neila Simona. A poza tym obgryzał paznokcie u nóg. Keely lubiła wspominać, że Gregory Fontaine obgryzał paznokcie u nóg. To czegoś przecież dowodziło.

Stała pod gorącym prysznicem. Zwiesiła głowę tak, że jej jasnoblonde włosy, robiąc się mokre, pociemniały na kolor ciemnozłoty. Nalała na rękę trochę szamponu i zaczęła wcierać z lubością gęstą kremową pianę we włosy, jakby chciała zmyć wszystkie niedobre myśli.

Nie zadziało. Nigdy nie pomagało. Nie stała się wcale bardziej pobudzona czy ożywiona tylko dlatego, że myła włosy. A już bezwzględnie nigdy nie miała orgazmu tylko z powodu jakiegoś szamponu o nowej nucie zapachowej.

Nie doświadczyła tylu niezwykłych rzeczy, które niesie życie. Odświeżacz powietrza nigdy nie zamienił jej pokoju w kwiatowy ogród. Pasta do zębów nigdy nie spowodowała, że jej zęby błyszcząły jak diamenty. Nie było żadnych cudów z butelką środka czyszczącego i jej tańcem wokół iskrzącej się czystością kuchni. A co się tyczy jej życia seksualnego? Do diabła, nie była z nikim od momentu, gdy osiemnaście miesięcy temu powiedziała Gregory'emu Fontaine'owi „żegnaj”.

Czym więc było jej życie? Jej życie było ogromną spiralą, po której ona spadała w dół. Interes przepadł. Mieszkanie na Manhattanie przepadło. Przyszłość została zaprzepaszczone. Życie uczuciowe? Psiakrew, nawet przedtem nie było zbyt udane, a teraz już wcale nie istniało.

Znowu znalazła się tutaj, w Allentown. Powróciła do koźreni, do początku. Do tej samej sypialni u ciotki Mary, w której spała, dorastając i w której marzyła o wyrwaniu się stąd. Niestety nie udało się jej początek kariery i oczywiście nie zaoszczędziła żadnych pieniędzy. Gdyby nie ciocia Mary, wyładowałyby prawdopodobnie na ulicy. No, może pracowałyby w jakimś meblowym magazynie. Zarabiałaby po dziewięć dolarów za godzinę, mając każdą третią sobotę wolną.

- VC [torirądkii — powiedziała Keely do siebie — Niech bę-
</i>In wlp<if>k na ręczniki, albo sedes, albo cokolwiek, co tyl-
ku rlnUloby mnie słuchać... może jednak mam odrobinę
i/c/cNi In. Ciocia Mary hula w Grecji aż do końca sierpnia, a ja
prowadzę sklep. Dostaję przecież pięćdziesiąt procent od każ-
dego zlecenia. Nie jest tak źle. To jeszcze nie nirwana czy za-
siłek. Wcale nie jest przecież tak tragicznie. Rozchmurz się,
McBride. Wyszoruj swoje niezupełnie olśniewająco białe zę-
by, zdecyduj, co na siebie włożyć i bądź gotowa, by oczarować
nowego zamożnego klienta za... — zawinięta w ręcznik wróci-
ła *do sypialni - dokładnie siedem godzin. O Boże, co będę ro-
bić przez te siedem godzin?

O szóstej trzydzieści Jack był już na nogach. Ogolony, wy-
kapany i ubrany, zmierzał do kuchni na swą pierwszą filiżan-
kę kawy. Był czwerc, świeciło słońce i było zupełnie ciepło.
Jednak on miał przeświadczenie, że powinien być teraz w jesz-
cze pogodniejszej Kalifornii, szykując się na wieczorny mecz
pomiędzy Athletics i Yankees.

Zamiast tego był jednak tutaj, w Whitehall o rzut kamie-
niem od większego miasta, jakim było Allentown, i nie miał
nic do roboty, Nie miał dokąd pójść... hmm... nawet nie bar-
dzo było na czym usiąść, wziąwszy pod uwagę, że całe ume-
blowanie składało się z materaca, pudła, dwóch lamp, płasko-
ekranowego telewizora i tego jednego zwalistego krzesła.

Jackowi udało się uruchomić pożyczony od ciotki Sadie
ekspres do kawy i już czekał na niego gorący aromatyczny na-
pój — hej, to jest coś, co mógłby również zrobić Joe DiMaggio.
Mogłem to, cholera, zrobić i ja, Jack Trehan. Stał, pochylając
się nad kuchennym blatem. Rozejrzył się po pokoju. Wielki.
Nowoczesny. Pusty.

Cały dom był pusty i pachnący nowością. Dzięki podłogom
z twardego drewna i sufitom o katedralnym sklepieniu w całym
budynku słychać było nieprzyjemny pogłos. Światło słoneczne
wlewało się przez ogromne sięgające od podłogi do sufitu okna.

Nie było tu zbyt przytulnie. Komfort był niewielki i Jack ciągle jeszcze wyrzucał sobie, że dał się przekonać swemu agentowi, Mortimerowi „More and More” Moore'owi do kupna tej niesamowitej rezydencji. „Wielki odpis od podatku”, przekonywał go wtedy Mort.

Tak, cóż, może. Możliwe, że mógłby wykorzystać ten odpis od podatku.

Prawdę powiedziawszy, dom był wciąż pusty, mimo że miał go już od roku. Jack sądził, że dom będzie stał pusty tylko do czasu, aż on przestanie grać w baseball. Zamiast tego dom pozostawał pusty przez ten cały rok, aż do czasu, gdy zmuszono go do wycofania się z kariery sportowej.

Cholernie wielka różnica. A teraz Jack patrzył na ten dom, jak na pewien rodzaj wymuszenia, które musiał ścierpieć. Być znowu w domu, w Pensylwanii, znowu w Lehigh Valley. Co za upokorzenie.

Powinien zostać na Manhattanie, gdzie na czterdziestym siódmym piętrze miał apartament, w jednym z szykowniejszych miejsc w mieście. Mógłby tam zostać. Oprócz tego, że życie na Manhattanie przypominało mu, że wolałby żyć w Bronksie i ćwiczyć na polu podkręcane piłki.

Zamknął więc mieszkanie i pojechał do domu, którego kupno wymusił na nim Mort. A także do ciotki Sadie, mieszkającej nad garażem, mieszczącym aż cztery samochody... Pięć komfortowych pokoi nazywanych przez nią żartobliwie „posagowym wianem”.

Ciocia Sadie miała meble. Miała dzbanki i patelnie. Miała z pewnością więcej niż jeden ręcznik.

Miała także pokój gościnny. Jednakże Jack wolałby spać na ławce w parku niż być gościem Sadie Trehan. Pokój gościnny ciotki był bowiem urządzony w stylu radosnego kiczu. Cóż, jedną z normalniejszych rzeczy w pokoju była lampa z hawajską spódniczką zamiast abażuru.

— No tak — powiedział Jack, opierając się na blacie kuchennym, — Dzisiaj, stary, jest pierwszy dzień całej reszty twojego

życia, cokolwiek to znaczy, więc lepiej ciągnijmy to jakoś dalej.

„Ciągnąć dalej” oznaczało spotkanie z dekoratorem wnętrz, wynajętym przez Sadie. Miał tylko nadzieję, że facet nie okaże się miłośnikiem ozdóbek w stylu Sadie. Oznaczało to również próbę zmierzenia się z problemem, jak wypełnić nadchodzące dni, noce, tygodnie i lata, właśnie teraz, gdy utracił swą pierwszą i jedyną miłość, baseball.

„Ciągnąć dalej” — wobec tego, że czuł się całkiem beznadziejnie — oznaczało w tym momencie jedynie małe kroczki, które mógł wykonać, by dotrzeć do drzwi wejściowych, modląc się w duchu o to, aby Sadie dotrzymała danego słowa i zamówiła dla niego poranną gazetę.

Yankees byli w drodze na Zachodnie Wybrzeże, i Jack zorientował się, że gazeta prawdopodobnie nie zamieści jeszcze wyników wczorajszej gry. Chwycił więc za pilota i wycelował w telewizor. Nie ma nic lepszego niż poranne ESPN, które sprawi, że poczuje się, jakby był tam, na polu, zawodząc jak potępiona dusza.

Wyścigi samochodowe. Żadnych wyników, żadnych rozgrywek. ESPN nadawało cholerne powtórki jakichś durnych wyścigów samochodowych. Złapał znowu pilota i zgasił telewizor.

— Życie staje się coraz lepsze i lepsze — wymamrotał, kierując się ponownie do drzwi.

Zatrzymał go dzwoniący telefon. Przypomniało mu się, że słyszał ten dźwięk w środku dzisiejszej nocy. Głupio zrobił, podnosząc wtedy słuchawkę, by usłyszeć z drugiej strony Cecily.

Tym razem był sprytniejszy. Zanim odebrał, sprawdził na wyświetlaczu numerów, kto dzwoni.

— Mort — wymamrotał Jack, następnie spojrzał na sufit zastanawiając się: odebrać czy nie. Ostatnim razem, gdy dzwonił Mort, chodziło o zrobienie reklamówki płynu do płukania ust dla japońskiej telewizji. Według Morta Jack powinien teraz przeczekać, aż z ciągle jeszcze zbyt gorącego tematu stanie się wczorajszą nowinką.

Na Morcie można było naprawdę polegać. Wspierał. Był przyjacielem w potrzebie, prawdziwym przyjacielem.

Dobra. W porządku.

Jack przycisnął guzik i podniósł bezprzewodową słuchawkę do ucha.

— Cześć, Mort — powiedział, ponownie kierując się do drzwi. — Jaką masz dzisiaj dla mnie propozycję? Maść na hemoroidy dla Holendrów? Lekarstwo na dysfunkcję wzrodu dla — och, do diabła, nie będę robić nic w tym rodzaju dla nikogo!

Grzmiący głos Mona spowodował, że Jack odjął słuchawkę od ucha.

— Brawo, Jack. Brawo! Hej, zastanawiałeś się kiedy, dlaczego Bob Dole zamiast brania wielkiej forsy od spółki medycznej, nie pomógł zwyczajnie swoim cierpiącym kumplom z pomocą jakiegoś efektownego publicznego wezwania? Ja się zastanawiałem. Sprytny człowiek, ten Dole. Bratnia dusza. Forsę można zrobić z niczego, jeśli się na nią w odpowiedni sposób zapoluje. Powiadam ci, ktoś niezależny od niczego jest także nieprzydatny. W każdym razie, cieszę się, słysząc, że ciągle masz tę swoją chęć wałki.

— To komplement, Mort? — bojowo spytał Jack. Mort Moore posiadał wrażliwość rekina żarłacza. — Czego chcesz?

— Chcę? Ja? Czegoś chcę? Jack, Jack, Jack. Wiesz przecież, że jeśli czegoś chciałem, to zawsze tego, co będzie najlepsze dla ciebie. Chciałbym, żebyś wiedział, że nie zdecydowałem się na tę reklamę płynu do płukania ust. Miałeś co do tego rację. To stanowczo nie dla ciebie.

— Uh-hum — odpowiedział Jack z ręką na klamce drzwi wejściowych. — A co jest dla mnie, tylko jasno i szybko.

— Corvetta — powiedział Mort, a Jack mógł sobie łatwo wyobrazić złośliwy uśmiezek na twarzy agenta. — Dwudniowa sesja w Arizonie. Dużo rozległych przestrzeni, czy coś w tym stylu. Ty, samochód, piękna dziewczyna na siedzeniu obok kierowcy. Trochę bzdur o kierującym mistrzu... trochę chao-

tyczne, ale oni pracują już nad scenariuszem. I będziesz mógł zatrzymać ten samochód, Jack. Więc co o tym myślisz?

Jack zdjął rękę z klamki i potarł podbródek.

— Corretta? Przebija płyn do płukania ust, Mort. W porządku, ale daj pomyśleć. Ciągłe nie jestem przekonany co do wyruszenia tą oklepaną drogą. Moje nazwisko na rękawicy baseballowej jest na miejscu, ale zastanawiam się, czy rzeczywiście uczciwe jest umieszczanie mojej fizjonomii i nazwiska gdzieś poza sportem.

— Kuj żelazo, póki gorące, Jack — przypomniał mu Mort. — Nie każdy eks-Jankee będzie kiedyś „Panem Kawą”. Posłuchaj teraz — dzisiaj rano jadę na Południe. Zamierzam sprawdzić tego dzieciaka z Florydy, który myśli o wejściu do poboru NFL. Olbrzymi chłopak. Wali w szereg z siłą tony cegieł, sieje popłoch w ofensywie, ale nie zrobi kroku w żadnym kierunku bez opiekuńczej mamusi u boku. Jadę więc, aby oczarować mamusię i ocenić dzieciaka. Nie chciałbym dowiedzieć się, że ktoś go oszukuje, rozumiesz mnie?

— Prawdziwy z siebie księżę sportu, Mort — powiedział Jack, kiwając głową. — Procent, jaki dostajesz od kontraktu dzieciaka, nic dla ciebie nie znaczy, prawda?

— I nie zapominaj o ekstra bonusie — roześmiał się agent. — Dobra, to tyle, Jack. Skontaktuję się z tobą za parę dni. Szybciej, niż dowiem się czegoś z tej agencji asów. Nie wpakuj się w tarapaty, gdy mnie nie będzie.

— Tarapaty? Kiedy ja się wpakowałem... och, zapomnij o tym — wymamrotał Jack słysząc ciągły sygnał w słuchawce. — Tarapaty — powtórzył, sięgając znowu do klamki. Mort myśli o niewłaściwym Trehanie. Nie jestem Timem. Jestem Jack, ten dobry bliźniak. — Przekręcił gałkę, popchnął drzwi, schylił się, aby podnieść gazetę. — Nigdy nie pakuje się w kłopoty. Po prostu zostałem zdradzony i wysłany w wieku dwudziestu ośmiu lat na emeryturę. Do tego wszystkiego pusty dom i agent, który pomaga mi oswoić się z tym, że wkrótce będę wczorajszą gwiazdą baseballu.

— O, cholera!

Jack spojrzął w dół na sporej wielkości, wiklinowy kosz stojący u podstawy podestu i wiodącego do jego frontowych drzwi. Popatrzył na różowe plastikowe zawiniątka i pakunki wetknięte do środka. Spojrzął na plastikowe siedzisko, czy też cokolwiek to było, wetknięte pośrodku koszyka. Spojrzął na to coś na plastikowym siedzeniu.

Uff. To nie możliwe. Miał halucynacje.

Zamknął oczy i znów je otworzył. Spojrzął ponownie. To coś na siedzeniu spojrzało na niego. Uśmiechnęło się szeroko, pokazując różowe dziąsła z jednym zębkiem. Skopało sobie z nóg kocyk.

O Boże. O Boże, o Boże.

W pierwszym odruchu chciał wbiec z powrotem do domu i zatrzaskać drzwi. Zaryglować je. Nie, to przecież na nic.

Pomyślał o sąsiadach. Jednak, jeśli jego dom był usytuowany na trzech akрах powierzchni i jego najbliższy sąsiad był dwie działki dalej, nie było obaw, że ktokolwiek dojrzy go, stojącego na zewnątrz i gapiącego się na dziecko w koszyku.

Dziecko w koszyku?!

Czyje to dziecko?!

Jego dziecko?!

Jack objął się ramionami i rozejrzał się, próbując wyglądać nonszalancko.

Jego dziecko? Jak to możliwe? Nigdy nie był playboyem. Tak naprawdę to nie sypiał ze wszystkimi tymi kobietami narzucającymi się graczom pierwszej ligi baseballu.

Jednakże, nie żył przecież w całkowitym celibacie.

Czyżby to było jego dziecko?

Prawdopodobne. Wszystko w życiu jest prawdopodobne, czyż nie? O, Boże.

Podrzucił w górę gazetę. Wspomniał telefon stojący w halu za nim. Poklepał się rękoma po bokach i z trudem przełknął ślinę. Wykonał mały, nerwowy taniec na najwyższym stopniu podestu.

O Boże. O Boże, o Boże.

— Skończ z tym, skończ z tym — nakazał sobie. — Złap ten uchwyt tutaj, Trehan. To może być przecież podrzutek. To nie musi być twoje dziecko. Ale na wszelki wypadek, zabierz koszyk z dzieckiem na górę i wejdź do środka, zanim ktokolwiek cię zauważy.

Wszystko świetnie brzmiało, wyjąwszy fakt, że nogi Jacka nie chciały ruszyć z miejsca, a więc ciągle jeszcze stał na najwyższym stopniu schodów. A dziecko nadal siedziało sobie tam, na widoku, uśmiechając się do niego promiennie.

— Sadie — Jack w końcu złapał oddech. To było to. Należało zadzwonić do Sadie. Jego ciotka będzie wiedziała, co robić.

— Nie, nie, nie Sadie — szybko się poprawił. Wyobraził sobie ciotkę i to, co by powiedziała. — Nie, dopóki nie dowiem się, o co tu, do diabła, chodzi.

Gdy już tyle postanowił, zszedł w końcu na dół i pochylił się nad koszem. Dziecko wyciągnęło rączki i podczas gdy podnosił ciężki koszyk, próbowało złapać go za nos. Jack zaniósł je do środka.

Kopnięciem zamknął drzwi. Stał w przestronnym hallu, patrząc na pustą przestrzeń. Gdzie postawić koszyk? Tak, jakby ono przejmowało się, gdzie je postawi. Trzeba by się bardziej przejmować tym, że ono w ogóle tu jest.

Jack przeniósł kosz przez cały dom, do kuchni. Ostatecznie umiejscowił go na wykładanej płytkami podłodze. Głowę miał pochyloną nisko nad koszykiem. Dziecko zaś jakimś sposobem wetknęło mu do ust jedną rączkę i gmerało drobnymi paznokietkami po jego dziąsłach, sprawdzając stan przedniego uzębienia. Jack musiał poodginać malutkie paluszki, jeden po drugim. Jak na taką małą rączkę dziecko miało jednak nadzwyczajnie silny chwyt.

Oblizując językiem wargi, zastanawiał się, czy nie powinien zrobić sobie zastrzyku przeciwtężcowego. A może ono było szczepione... I nagle dostrzegł białą, słubźbowo wyglądającą kopertę, wetkniętą do koszyka.

Ach, oficjalna notatka pozostawiona wraz z dzieckiem. Notatka, która wszystko wyjaśnia — po prostu, jak w kinie.

— Ludzie, nienawidzę, gdy coś takiego się dzieje na jawie — zrzędził histerycznie Jack, ostrożnie wyciągając kopertę z koszyka.

Słowa, które przeczytał na kopercie, były jak trzy gwoździe do jego trumny: *Dla Kochanego Jacka*. Natychmiast rozpoznał charakter pisma. Nikt, oprócz jego kuzynki Cecily, nie stawiał nad „i” serduszek zamiast kropki. Nikt nie przekreślał „t” małutkimi kokardkami.

Notatka w środku była krótka i nie zawierała zbyt dużo informacji. Cecily pisała po prostu tak, jak mówiła, pokrętnie i co jej ślina przyniosła na język:

Kochany Jacku,

Bardzo ci dziękuję ci, że zgodziłeś się wziąć małą Magentę Moon pod swoją opiekę. Zawsze byłeś taki kochany, inaczej niż Joey, ten głupek. Dziecko ma blisko sześć miesięcy, ale jeszcze nie było szczepione, gdyż nie wiedziałam, od czego i kiedy należy zacząć — Niebieska Tęcza mówi mi, że ty na pewno znasz się na tym. Podpowiada mi także, że ten list musi zawierać zdanie, że przekazuję ci wszystkie prawa potrzebne do sprawowania opieki nad małą. Tak więc masz te wszystkie prawa, dobrze? W haftowanym woreczku są upchnięte wszystkie formalnie wyglądające papiery, na wypadek, gdybyś ich potrzebował. Niebieska Tęcza kiedyś myślał o zostaniu prawnikiem, ale jakoś mu nie wyszło — komuś się naraził, pomylił jakieś formularze, czy coś takiego. Oj, ona prawdopodobnie wkrótce będzie głodna. W jednej z siatek jest kilka jej butelek. Cóż, musimy lecieć. Pomyśl tylko, Jack — Katmandu!

Kocham Cię

Cecily (Księżycowy Kwiat) Morretti

— Jezu Chryste — Jack aż usiadł na podłodze, ciągle trzymając list i patrząc na Magentę Moon. Wewnętrzne dziecko,

dziecko wewnątrz. Teraz wszystko nabrało sensu. Za późno, ale teraz wszystko ma sens. Tylko, że to sens w stylu Cecily.

— Nigdy nie uporządkujesz bałaganu, jakiego narobiłaś w swoim życiu, nieprawdaż, Cecily? — spytał sam siebie. A gdy Magenta Moon zaczęła płakać, spuścił głowę i ukrył ją w dłoniach. Jeżeli miałby teraz swobodny wybór, chciałby być w Tokio...

2

*Jeśli na drodze natkniesz się na widły,
zabierz je ze sobą.*

Lawrence Peter Berra (Yogi)

Nie ma jeszcze ósmej trzydzieści. Cholera.

Jadąc pod górę żwirową, wąską drogą w Whitehall, dawniej nazywanym Egipt, próbowała ocenić pozostały jej jeszcze czas. Praktycznie mieszkańcy tego rejonu wciąż używali nazwy Egipt. Podobnie nazywano inne części tego okręgu, jako Stile, Cementon, West Catasauqua, Mickleys czy Fullerton. W jednym okręgu mieściło się ogromnie dużo nazw. Zmiany, które w większości zostały dokonane przez U. S. Post Office, zakończyły się istnieniem sześciu „Main Street”, z których każda znajdowała się w innej części Whitehall.

Keely jechała wzdłuż Main Street Egiptu, albo tak jej się tylko wydawało, bo nagle nazwa na tabliczkach zmieniła się na Main Boulevard, potem przeszła w Old Main Street, a potem nie było już w ogóle tabliczek. Próbując odnaleźć rezydencję Sadie Trehan, można się było zupełnie zagubić.

Z tego też powodu i żeby uniknąć spóźnienia, Keely dzień wcześniej wykonała jazdę próbną. Teraz zaś pamiętając już trasę, przyjechała zbyt wcześnie. Częściowo była z siebie dumna, częściowo zastanawiała się co wydaje się gorsze: być trzydzieści minut za wcześnie, czy trzydzieści minut za późno.

Miała dwa wyjścia: zatrzymać się w cukierni na rogu i pojawić się na umówionym spotkaniu z cukrem pudrem lub galaretką truskawkową na bluzce. Albo skręcić na tym samym rogu w pra-

wo, dotrzeć na wzgórze do domu Sadie Trehan przed dziewiątą rano, to znaczy przed ustaloną godziną spotkania.

Keely minęła cukiernię i skręciła w prawo. Kierowała ostrożnie stylowym czarnym mercedesem cioci Mary, który miał łezkowane reflektory. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pilotuje wielką, obszerną łódkę. Od czasu gdy jeździła swoim truposzowatym mustangiem, korzystała jedynie z nowojorskiego metra.

— Jednak ta przekłeta łódź robi wrażenie na klientach — głośno przypomniała sobie Keely. Skręciła w lewo na podjazd wiodący do stojącego na wzgórzu domu. Przejechała przez kępę drzew i zakręciła pod domem Sadie Trehan. — Co prawda, mercedes nie robi aż takiego wrażenia jak prywatna, gadająca sama do siebie dekoratorka wnętrz. Więc zamknij się, Keely i patrz, dokąd jedziesz.

Samochód rzeczywiście wyglądał wspaniale, gdy siedząc przed olbrzymim ciemnobrązowym budynkiem wyciągała kluczyki ze stacyjki. Wsiadła z auta i stanęła, przypatrując się domowi. Usiłowała zdecydować czy był on nowoczesny, ale miał wyglądać na stary, czy też był stary, ale miał robić wrażenie nowoczesnego.

Okna były naprawdę olbrzymie. Łącznie z kolosalnym oknem wykuszowym, zwieńczającym hall. Okno to z pewnością miało wysokość dwóch pięter. Można było przez nie zobaczyć kryształowy żyrandol wielkości mercedesa. Oprócz tego, pięć odrębnych linii dachu. Występ tu, występ tam. Wskazywało to na obecność sklepionych katedralnie sufitów i prawdopodobnie całą masę świetlików. Drzwi wejściowe były w odcieniu ciemnego brązu, a rynnny wykonano z prawdziwej miedzi.

Zgodnie z tym, co mówiła Sadie Trehan, ten dwupoziomowy dom miał w przybliżeniu dwanaście tysięcy stóp kwadratowych, piętnaście pokoi zaś stało kompletnie pustych, gotowych do zaaranżowania wystroju.

Megaforsa. Tutaj jest megaforsa. A pięćdziesiąt procent z dziesięciu procent od megaforsy daje... wciąż jeszcze megaforsę!

Nie chodzi przecież o to, że ten dom przemawiał do Keely pod względem artystycznym. Nie o to nawet, że miała wielką ochotę wejść do środka, porozmawiać z Sadie Trehan, wysłuchać jej sugestii odnośnie tego, jaka ma być kolorystyka, jakie meble, dywany, draperie. Dekoratorka wewnątrz siedząca pod skórą Keely była całkowicie podekscytowana i przekonana, że jest to dla niej kreatywne wyzwanie.

Tak. Na pewno. Wszystkie te dobre gatunkowo materiały.

Megaforsa, megaforsa, megaforsa. Nie przejmuj się więcej rachunkiem z Master Card, hasta la vista Visa, zapomnij o starszej Discover Card. Megaforsa, megaforsa, megaforsa.

— Przestań już — skarciła się Keely, wspinając się po trzech stopniach w kierunku szerokiego frontowego wejścia. — Skoncentruj się na pracy, chwalipięto. Można by na przykład krzewy wystrzyc na kształt dzbanów. Dobry efekt dałoby też zastosowanie dwuskrzydłowych drzwi. I trzeba by posadzić kilka pelargonii dla uzyskania kolorowych akcentów. Ach, i niezbędna jest stosowna wycieraczka. Boże, ta kobieta nie ma wycieraczki? Ile to na dzień dzisiejszy jest pięćdziesiąt procent od dziesięciu procent kosztów zakupu wycieraczki?

Nacisnęła dzwonek i cofnęła się o krok. Wyprostowała się jak struna. Opuściła ręce wzdłuż bardzo szykownego, błękitnego kostiumu. Wyglądała dobrze. Wyglądała profesjonalnie i nawet jeżeli będzie musiała zgodzić się na powieszenie na kryształowym świeczniku miniaturowych, świecących w ciemności, plastikowych drobiażdzków, aby uczynić Sadie Trehan szczęśliwą, zrobi to, ponieważ, do diaska, nie ma możliwości, by nie dostała tej pracy.

Drzwi wejściowe uchyliły się i wyrzała zza nich zaniepokojona męska głowa. Głowa ta miała ciemnoblonde włosy z jaśniejszym pasmem nad lewą skronią. Włosy były gęste i trochę zmierzwiłone. Oczy zaś miały kolor cudnego niebieskiego kobaltu. Nos klasyczny. Opalone policzki. I otwarte usta.

— Czego?!

To było pytanie. Ale równocześnie oskarżenie. A ten człowiek mimo że taki wspaniały pod względem powierzchowności, nie wyglądał na kogoś przy zdrowych zmysłach.

Keely nie mogła się zdecydować, co zrobić. Cofnęła się jeszcze o krok i w geście zdumienia przycisnęła dłoń do piersi.

— Ja? Czego chcę? Hm... myślę, że niczego. Sądziłam, że mieszka tutaj Sadie Trehan. Pomyliłam się. — Zamachała rękoma. — Proszę wrócić do... do tego, co pan robił. Muszę już iść. Przepraszam.

Zawróciła do mercedesa, zastanawiając się czy oto właśnie nie umknęła seryjnemu mordercy. A może ten facet zwyczajnie bardzo, ale to bardzo nie lubi poniedziałków.

— Czekaj!

Keely zatrzymała się i spróbowała jakoś zapanować nad wyrazem twarzy. Od zawsze była posłuszna. Może był to efekt trzech lat spędzonych kiedyś w żeńskiej drużynie harcerskiej. Ciocia Mary zawsze mówiła, że to był błąd, który kosztował ją fortunę. Straconą na ciasteczka z wyprzedaży.

Keely odwróciła się powoli i zauważyła, że mężczyzna wyszedł do przedsionka. Nie był już tylko rozwścieczoną głową. Był teraz wściekłą głową doczepioną do szczupłego korpusu. I był mokry. Czy też raczej jego lewe ramię i przód koszuli były mokre. A mokre miejsca pokryte były małymi białymi grudkami. Pachniał paskudnie. Bardzo paskudnie.

— Ja... ja naprawdę muszę już iść — powiedziała Keely, znowu kierując się w stronę samochodu. — Jestem umówiona na spotkanie i chyba się spóźnię.

Mężczyzna tymczasem zszedł już ze schodów. Zbliżał się do niej i wskazywał na nią palcem.

— Wiem kim jesteś. Jesteś dekoratorką wewnątrz, prawda? Sadie cię wynajęła.

— Ty... — Keely odchrząknęła. Ciągle jeszcze miała nadzieję, że pomyliła adres. — Znasz panią Trehan?

— Tak — potakując głową, odpowiedział mężczyzna. — Sa-

die jest moją ciotką, a ciebie wynajęła, byś załatwiła mi trochę mebli. Jednak myślałem, że będziesz mężczyzną.

— Faktycznie — odpowiedziała Keely przypominając sobie, że jest kobietą. Kobieta, która była w stanie przejść całą 42nd Street i wsiąść do autobusu, jadącego z samych bebechów nowojorskiego Port Authority do Allentown. Niełatwo było ją przestraszyć. Jeśli ten facet chce pogadać, proszę bardzo, ona może porozmawiać. — Dlaczego sądziłeś, że będę mężczyzną? Myślisz, że tylko mężczyzna potrafi urządzić dom innemu mężczyźnie? Często snujesz takie przypuszczenia?

Opalona i przystojna twarz mężczyzny jakby zapadła się w sobie. Ponownie pojawiły się na niej znamiona stresu.

— Ja? Ja snuję przypuszczenia? Młoda damo, jeszcze minutę temu założyłbym się, że to nieprawda. Czyżbyś myślała, że byłem bliski wepchnięcia cię do domu i przeciwiczenia z tobą kursu anatomii?!

Ta rozmowa — czy to w ogóle można nazwać rozmową? — stawała się z minuty na minutę coraz bardziej dziwaczna.

— Jesteś lekarzem?

— Ach, następne fałszywe przypuszczenie. Nie, nie jestem lekarzem. I pomimo że uwielbiam zgadywanki jak każdy facet, nie mam czasu, żeby tu wystawać, obserwując, jak starasz się przypomnieć sobie, skąd znasz moją twarz. Moje ego zostało wystarczająco zachwiane.

Keely przechyliła głowę na bok, starając się przyswoić sobie to, co powiedział.

— Twoje ego? Dlaczego? Powinnam cię była rozpoznać, czy jak?

— Czy jak. — Przeciagnał ręką po włosach i wydobył grudkę czegoś białego. — Nieważne. Uporządkujmy sobie wszystko: — Sadie Trehan, moja ciocia, mieszka nad garażami, z tyłu domu. Ja, Jack Trehan, jestem właścicielem tego domu. Jack Trehan? Dalej nic nie dzwoni w twojej głowie, co? Mort miał rację, że ludzie szybko zapominają. Rany, mam nadzieję, że to tylko jakiś piekielny poranek. Słuchaj, może przełożymy to

na kiedy indziej, dobrze? Jestem... jestem teraz raczej zajęty.

— Tynkujesz sufit? — zapytała Keely. — Co to jest „to coś” na tobie?

Jack Trehan wytarł rękę w spodnie koloru khaki.

— Uwierz mi, wcale nie chcesz się dowiedzieć. Ale tak jak powiedziałem, umówimy się kiedy indziej. Może za miesiąc czy rok, czy coś koło tego.

— Miesiąc czy... nie! — Keely wzięła głęboki oddech i próbowała się opanować. Jeśli to ten facet jest właścicielem tego domu, to on musi być jej klientem. Jej jedynym przecież klientem. Umieblowanie tak wielkiej przestrzeni przyniesie jej wystarczająco dużo pieniędzy, by zabrać się z Dodge. A ona była zdeterminowana opuścić Dodge i wrócić na Manhattan. — Niewątpliwie, panie Trehan. Jednakże nie zamierza pan chyba mieszkać jeszcze jeden miesiąc bez mebli? Pańska ciocia poinformowała mnie, że dom jest pusty. Czy to znaczy, że faktycznie mieszka pan w zupełnie *pustym* domu?

Jack Trehan zachnął się.

— Nie jest tak pusty, jak był jeszcze godzinę temu — odpowiedział. Potrząsnął głową. Następnie spojrzął na Keely i przyjrzał się jej dokładniej. — Naprawdę potrzebujesz tej pracy?

Na chwilę Keely spojrzała dziękczynnie w niebo, potem przełknęła ślinę i odpowiedziała:

— Tak, Panie Trehan. Naprawdę potrzebuję tej pracy.

Przyglądał się jej przez dłuższy czas.

— Co wiesz o dzieciach?

Dzieci? Keely o mało nie połknęła języka. Rzesza klientów stawiała jej różne pytania. O jej pochodzenie, o to, gdzie kończyła studia, o innych klientów, którzy mogliby wystawić referencje... Pytali ją nawet, co myśli o dekoracji sekretnego miejsca z kamerą wideo w sypialni jednego z brokerów giełdowych. Odrzuciła wtedy tę propozycję, a potem wyrzucała sobie, że etyka zawodowa nie pozwoliła jej skorzystać z okazji, która ustawiłaby ją na resztę życia.

Ale nigdy, przenigdy, nikt nie pytał o jej wiadomości odnośnie dzieci.

— Dzieci? — powtórzyła po chwili. — Co o nich wiem?

— Właśnie, pani McBride — powiedział, patrząc przez ramię w kierunku otwartych drzwi. — Dzieci. Co o nich pani wie?

Keely oblizała wargi.

— Cóż... rodzą się w dwóch rodzajach płci, poza tym są różowe i niebieskie...

— Okay, zapomnijmy o wszystkim — odpowiedział jej Jack i machnął ręką. — To nie był dobry pomysł. Pani McBride, niech pani wróci za jakiś miesiąc, może dwa. Może nigdy.

— Proszę zaczekać!

Oczywiście Jacka Trehana ani chłopięca drużyna harcerska, ani jakikolwiek inny autorytet nie nauczył posłuszeństwa i dlatego nie czekał. Szedł do domu.

Keely ledwo złapała drzwi, zanim się zamknęły i wepchnęła się do środka.

— Z jakiego powodu chcesz się dowiedzieć, co wiem o dzieciach? Czy to coś zmieni, jeżeli powiem, że coś o nich wiem?

Zamilkła, ponieważ Jack odwrócił się i złapał ją za ramiona, zatrzymując w miejscu. Miała ochotę rozejrzeć się, rzucić okiem na rozległe, puste przestrzenie. Nagle zdała sobie sprawę, że nie jest to najlepsza pora na oglądanie poetyckich widoków. Zamiast tego powiedziała:

— To boli.

Jack opuścił ręce.

— Przepraszam. Wcale nie chciałem zrobić ci... och, nieważne. No dobra, chodźmy porozmawiać.

— Jesteśmy w hallu — powiedziała Keely spoglądając w górę, na żyrandol. — Piękna gra światła. Szkoda, że nie ma tu gdzie usiąść. Panie Trehan, gdzie pan zwykle siada?

— Odpowiedź na to pytanie nasuwa się sama, pani McBride — odpowiedział Jack, a krzywy uśmiech nadał mu chłopięcy wygląd i złagodził napiętą atmosferę. — Odpowiedz teraz na moje pytanie. Co wiesz o dzieciach?

Keely nagle odniosła wrażenie, że jej odpowiedź przesądzi o tym, czy umebluje ten dom — i zarobi megaforsę — czy też zostanie jej siedzenie na zadku, kręcenie palcami młynka w oczekiwaniu na jakąś paniusią z przedmieścia. Paniusia będzie miała więcej pieniędzy niż gustu i zażąda, by wynalazła fiołko-woróżową satynę na podnózek dla Fluffy, jej pudła.

— Wiem wystarczająco dużo — powiedziała w końcu. — Mam odznakę harcerską za sprawność „opieka nad dzieckiem”. — Prawdę mówiąc, zdobyła tylko dwie odznaki. Jedną za pływanie, drugą za wyplatanie jakiegoś głupiego koszyka na lody na patyku typu Popsicle. Nigdy nie była dobrą harcerką. Ale nie było przecież potrzeby informowania o tym Jacka.

— A dlaczego pytasz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, głośne kwilenie dobiegające z wnętrza domu spowodowało, że oboje odwrócili głowy.

— Cholera! — wybuchnął Jack i ruszył w stronę, z której dochodziło kwilenie.

Keely podążyła za nim. Strzelała oczyma w prawo i lewo mijając rozległy hall. Spojrzała na puste pokoje o białych ścianach. Zatrzymała się, widząc... niewątpliwie jadalnię. Miejsce było specjalnie zaprojektowane, upiększone śnieżnobiałymi kolumnami, z parkietem i całą ścianą okien, przez które widać było okolicę. Ile mogłaby zrobić, mając do dyspozycji taką powierzchnię!

Kolejne kwilenie zmusiło ją do powrotu do rzeczywistości. Podjęła więc wędrowkę i weszła do olbrzymiej kuchni w chwili, gdy Jack Trehan klęczał przed wielkim koszem i mówił:

— Och, daj spokój. Nie płacz MiM. Nie płacz, proszę.

Keely zamknęła usta i wepchnęła język w lewy policzek. Podeszła bliżej, stąpając na palcach. Spojrzała ponad ramieniem Jacka i zobaczyła czerwoną od płaczu twarz bardzo nieszczęśliwego niemowlęcia, rozpartego na pupie pośrodku wielkiego kosza. Zrozumiała teraz, dlaczego jego koszula była mokra i lepka, oraz czemu pachniał tak paskudnie. Dziecko było w podobny sposób przesiąknięte wilgocią, a pachniało dwa razy gorzej.

— I wtedy, gdy wydaje ci się, że widziałaś już wszystko... — zaczęła, kręcąc głową. — Twoje?

Jack potoczył spojrzeniem wokół, zanim spojrział na nią, jego oczy zaś niebezpiecznie zabłyszczały.

— Nie, nie moje. I przestań się głupkowato uśmiechać, to wcale nie jest śmieszne.

— Jest — przerwała Keely. — Sądzę... uwierz mi... to jest zabawne. Ona musi mieć zdrowe płuca, nieprawdaż? Przypuszczam, że to dziewczynka. Różowy kocyk. Gdzie jest jej mamusia?

— Niestety, poza zasięgiem — wymamrotał Jack, próbując wetknąć smoczek w zaczerwienioną buzię, która była szeroko otwarta, jakby szykując się do odegrania roli garażu dla wjeżdżającej ciężarówki. — Cholera! Nosiłem ją, karmiłem. Co jej jest?

Doświadczenie Keely w opiece nad dziećmi nie było zbyt rozległe. Było raczej mizerne. Sama wcześniej została sierotą. Była jedynaczką. Wychowywała ją ciocia Mary, która nie była zamężna aż do momentu, gdy w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, dwa tygodnie temu, wyszła za męża. Jakiś rok temu Keely raz czy dwa opiekowała się dorywczo dzieckiem. Jednak nigdy nie był to niemowlak.

— Może... — powiedziała, poszukując w głowie odpowiedzi. — Może ona ma ...mokro?

— No tak, próbowałem znaleźć śliniak, czy coś w tym rodzaju, ale nie udało mi się. A ona uparcie chciała zjeść wszystkie papierowe ręczniki.

— Nie, nie o taką wilgoć chodzi. Widzę, że jej sukieneczka jest przemoczona, bo inaczej dlaczego ktoś chciałby ubrać niemowlaka w ciemną purpurę? Miałam na myśli drugą stronę dziecka.

— Jej druga...? Och. — Jack ciągle trzymając smoczek klapnął nagle na zadek. Wyglądał jakby miał serdecznie dość i chciał chociaż przez chwilę odpocząć. — Och, czyż to nie wspaniałe? — Spojrzał z podłogi na Keely. — Czy bardzo chce pani dostać tę pracę, pani McBride?

Keely była już przygotowana, że to pytanie padnie.

— Zobaczmy, czy mam rację, dobrze? Mówi pan, panie Trehan, że zamierza ocenić moją wiedzę na temat opieki nad dziećmi. Natomiast nie zamierza pan zapoznać się z moim fachowym resume?

Jego uśmiech, szeroki od ucha do ucha i wysoko uniesione brwi dały odpowiedź, zanim przytaknął.

— Uhu. To właśnie powiedziałem. — Wstał i odsunął się od koszyka. — To jest dziecko mojej kuzynki. Ma na imię Magenta Moon... Będę ją nazywał MiM, co też nie brzmi lepiej, ale nie jest tak tragicznie niezmiernie jak Magenta Moon. Pojawiła się u mnie jakąś godzinę temu. Zamierzam... mam zamiar przez jakiś czas się nią opiekować.

Keely drgnęła, gdy MiM zaczęła ponownie wyć.

— Opiekować się. Ach tak? Wcale nie musisz robić ze mnie głupiej.

Dało się zauważyć czerwony kolor przebijający przez jego opaleniznę, kolor wściekłości, jakby postanowił przyłączyć się do MiM w wybuchu złości.

— Wiesz co, McBride? Jesteś taka przemądrzała, że nie wydaje mi się, żebym cię polubił. Więc zapomnij o wszystkim. Rozwiązuję z tobą umowę. Zamierzałem właśnie wezwać jakąś... jakąś pomoc czy coś takiego.

— Nie! Nie rób tego — powiedziała Keely, szybko schylając się, by wyjąć MiM z siedziska. Potem podniosła ją zanim sama zdołała odzyskać całkowicie równowagę. Spróbowała nie okazać, że śmiertelnie boi się niemowlaków. — Widzisz, popatrz... Zajmę się nią — powiedziała kołysząc dzieckiem i trzymając je pod pachy. — Prawda, maleństwo? — spytała dokładnie na sekundę przed tym, jak MiM uśmiechnęła się do niej, beknęła i zwymiotowała na jej kostium. I na nogi. I na buty też.

Keely przerażona wytrzeszczyła oczy na Jacka.

— Patrz, co zrobiła!

— Mhm, widzę. Świetny strzał, hę? — Wyszczерzył się. —

Można by polubić tego dzieciaka. "Witaj w moim domu, McBride. Umyj ją... i siebie. Jesteś przyjęta na okres próbny.

Keely posadziła MiM z powrotem w siedzisku i zaczęła rozglądać się za papierowymi ręcznikami. Zobaczyła, że stoją koło zlewu.

— Proszę określić czas trwania okresu próbnego, panie Trehan — zażądała, urywając bardzo długi kawałek ręcznika.

— Do czasu, aż dom zostanie umeblowany, a ja znajdę kogoś innego do opieki nad MiM. Jestem przekonany, że uda mi się kogoś znaleźć, ale na razie, pani McBride, zatrudniam panią.

— Och, co za szczęśliwy dla mnie dzień — wymamrotała Keely. Wstrzymując oddech, próbowała wytrzeć mokrym ręcznikiem przód kostiumu. — O rany! Coś dostało mi się za paznokcie. Ale śmieszne, ha, ha, ha!

— Tak, to wszystko tłumaczy. Niech się pani dobrze bawi, pani McBride. Idę wziąć prysznic. Założę się, że też byś chciała, ale to ja tu rządzę, więc pójdę pierwszy. Życie jest, jakie jest, nie rozpieszcza — dodał. Odwrócił się i opuścił pokój.

— Jack Trehan? Lepsze byłoby Jack Dupek — wymamrotała Keely jednym tchem, patrząc jak wychodzi. Jednak wiedziała, że gdyby został, i tak by w niczym nie pomógł. Następnie spojrzała w dół na MiM, która znowu zaczynała płakać. — Jeżeli wydaje ci się, że złamiesz mi tym serce to się bardzo mylisz, kochanie — ostrzegła dziecko. Nachyliła się nad koszykiem. — To jest... To był mój najlepszy kostium.

MiM przestała płakać, spojrzała na Keely. Uśmiechnęła się.

— I nie bądź taka sprytna — ostrzegła ją Keely grożąc palcem. — Bycie sprytną wiele ci nie pomoże, dziewczynko. Nie wtedy, gdy pachniesz tak paskudnie. Wierz mi, nie jestem zbyt wyrozumiała dla sprytniuch.

MiM sięgnęła do nogi, do gołego palca. Chwyliła stopę i pociągnęła w kierunku buzi, cały czas patrząc na Keely wielkimi błękitnymi oczami.

— No tak, a więc pomyliłam się. To *jest* sprytniutkie. Prawie mi się podoba. Ale nie jest aż tak godne podziwu, żeby zaraz za-

dzierać nosa. Rozumiesz, że jeszcze daieka droga przed tobą, zanim zapomnę o tym kostiumie. To jest zwyczajna praca, a ty nie jesteś niczym więcej niż sposobem, by ją wykonać od początku do końca — powiedziała Keely. Westchnęła kłękając na podłodze, spojrzała na MiM i spróbowała ocenić, który koniec dziecka wymyć jako pierwszy.

Jack stał pod pulsującym strumieniem — lecącym z wszystkich sześciu dysz, rzadko rozmieszczonych na kafelkowych ścianach łazienki — i kłął, aż zabrakło mu świńskich słów. Trwało to jakieś trzy minuty. Jak to się stało, przecież cały rok kursował z drugorzędną ligą. Następne siedem sezonów wędrował przez kraj z profesjonalnymi graczami baseballu i teraz zbrakło mu słów. A potrafił przecież przeklinać po angielsku, hiszpańsku i trochę po japońsku, dzięki nowemu pomocnikowi, Samo Akita.

Niestety świntuszenie nie pomagało. Jak Cecily mogła zrobić mu coś takiego?

Nie, skasuj to. Oczywiście, że Cecily mogła mu zrobić coś takiego. To przecież była Cecily. Kopia Piotrusia Pana z Bayonne. Dziecko, które nigdy nie dorosło, bo dostało nielimitowany fundusz powierniczy od tatusia, króla wszystkich pralni Bayonne.

W wieku lat siedemnastu wyszła za mąż za brazylijskiego gracza polo. Mając lat osiemnaście rozwiodła się, w dziewiętnastej wiośnie życia — wylądowała na odwyku. Gdy miała dwadzieścia — została pobożną nowicjuską w zakonie karmelitanek. Skończyła dwadzieścia dwa lata i sfinansowała internetową firmę swego kochanka, sprzedającą za pomocą poczty e-mailowej pomidory z Jersey — plan, który od początku nie miał szans powodzenia. „Odnajdywanie siebie” w jakiejś komunie było ostatnią rzeczą, o której Jack wiedział (oczywiście po bankructwie Creative Pyrotechnics).

Teraz nazywała się Księżycowy Kwiat, wraz z Niebieską Tęczą była w drodze do Tybetu. Zostawiła za sobą Magentę

Moon, dziecko wewnętrzne, które zaczęło istnieć jako zewnętrzne... Dziecko, będące jeszcze jednym jej życiowym eksperymentem, który jednak nie okazał się przydatny w odnalezieniu celu. I prawdopodobnie to wszystko miało sens. Dla niej.

Gdyby strychnina nie miała tak okropnego smaku... albo może powinienem wejść zwyczajnie na dach i skoczyć — zastanawiał się Jack.

Walnął w gałkę zakręcającą prysznic i z trzaskiem otworzył szklane drzwi. Sięgnął na wieszak, gdzie wisały dwa ręczniki. Oba były ciągle wilgotne.

— Kurde! Ręczniki — wpisać je na cholerną listę po numerem jeden.

Wspomnienie „tej damy” sprawiło, że przemyślał to, co już do tej pory zrobił. Wynajął dekoratorkę wewnątrz. Wygadana dekoratorkę wewnątrz, do roli opiekunki dziecka Cecily. Nie był to ruch zbyt przebiegły, a raczej desperacki. Bardzo desperacki.

To pewnie tylko na jakiś dzień albo dwa. Znajdzie kogoś innego, znajdzie jakieś miejsce dla dzieciaka. Sadie nie będzie mogła mu w tym pomóc. Nigdy nie miała własnych dzieci. Codziennie spała do południa, a MiM polubiłaby jedynie w przypadku, gdyby ta miała z tyłu kluczyk, po przekręceniu którego zaśpiewałaby „Edelweis”. W innym przypadku Sadie zaakceptowałaby dzieciaka tylko wtedy, jeśli siedziałby bezgłośnie w kącie. Aż do następnej piosenki.

Cecily wspomniała swojego brata, Joeya. Gdyby Jack dowiedział się, że Cecily zwróciła się o pomoc do Joeya, zdyskwalifikowałby ją za wszystko, co tylko wymaga trochę więcej myślenia niż oddychanie.

Joey był ekscentrykiem. Joey był idiotą. Uważał, że powinien być w mafii. Myślał, że był w mafii. Lub działał jakby co najmniej w niej był. Ubierał się i wypowiadał, jakby rzeczywiście był. Ponadto chciał, aby wszyscy nazywali go Dwuoki Joey Morretti. Pewnie dlatego, żeby mógł zapamiętać, ile tych oczu ich ma.

Widzisz, co się może wydarzyć, gdy umrzesz i zostawisz

dzieciakom fundusz powierniczy wart pięć milionów dolarów. Nie lepiej byłoby, gdyby twoja ciotka z wujkiem wydali to wszystko na lekcje tańca albo na dającą niezależność platynową kartę w QVC?

Jack uśmiechnął się do swych myśli. Wyobraził sobie bezsilność cioci Flo i wujka Guido przyglądających się potomkom z góry. Jeśli nie dostali się do nieba, lecz poszli do piekła, za karę muszą pewnie codziennie oglądać na wideo Cecyli i Joeya tracących ich ciężko zarobione pieniądze.

A więc Joey nie wchodził w rachubę. Jack nie mógłby odeśłać MiM do Dwuokiego Wujka. Gdyby to zrobił, nie mógłby więcej z szacunkiem patrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Sadie była nieobecna. Całkowicie nieobecna, unosząc się w ozonie.

Tim? — Jack zawahał się, naciągając spodnie. Co z Timem?

— Tak, co z Timem — powiedział, podchodząc do lustra. Spojrzał na swój goły tors, blizny nad lewą brwią i bary. — Tim jest ciągle w grze, Jack. — Ta myśl napawała go smutkiem, który był równie wielki jak nienawiść do samego siebie za to, że był zazdrosny o brata bliźniaka.

Baseball. Odkąd pamiętał to był ich żywioł. Och, na studiach była i piłka nożna, i koszykówka, ale ich obu pasjonował baseball. Od czasu, gdy mieli po pięć czy sześć lat Jack rzucał piłkę, a Tim łapał, Jack rzucał piłkę, Tim uderzał. Godzina za godziną, dzień po dniu, rok za rokiem.. Tato zbudował im na podwórku stanowisko rzucającego. Skonstruował kosz na kije z metalowych rurek i ogrodził boisko gęstą siatką. Wywiercił nawet dziurę w kiju baseballowym, by poza sezonem wieszac go pod sufitem garażu.

Baseball, baseball, baseball. To było ich całe życie.

I ciągle jest to życie Tima, jego brata, który zaliczał właśnie ósmy sezon rozgrywek jako łapacz w drużynie Phillies. Reprezentował klub w dublach i triplach, a pewnie też sięgnie po Złotą Rękawicę.

Wszakże nie było to życie Jacka. Już nie. Nie było — od czasu, kiedy zeszej zimy przeszedł operację mięśnia skręcającego. I również od czasu tego pamiętnego, piekielnego, wszawego obozu. Na obozie przeszedł do rezerwy, zanim Yankees sami zdążyli go zredukować. Podczas konferencji prasowej w ESPN rozpaczał. Był już cholernie blisko popłakania się na głos jak dzieciak. Potem zawlókł się do chaty i ukrył. Teraz, ciągle jeszcze liżąc rany, ukrywał się w Whitehall. W tym samym czasie jego brat bliźniak zajmował drugie, jak na razie, miejsce w ogólnej punktacji „Wszystkich Gwiazd”.

Miałby powiadomić Tima, że w głupi sposób odziedziczył dziecko Cecily, na Bóg raczy wiedzieć jak długo? Och, nie. Absolutnie nie.

— Pozostaje ta dowcipnisia z dołu — Jack wypowiedział tę refleksję, wychodząc z ubikacji. Wziął czystą koszulę. — Jak ona ma na imię? Kathy? Karen? Nie... Keely. Tak jest. Co to u diabła za imię — Keely?

Naciągnął brązową koszulę na głowę. A gdy ją włożył, zorientował się, że nic nie wie o tej kobiecie. Zostawił na dole MiM z nieznaną osobą. Jednak przecież ciocia Sadie starannie ją wybrała. Sadie, królowa głupiutkich wrózek.

I to on powiedział, że Cecily jest wariatką? A co można powiedzieć o nim? Beznadziejny. Całkowicie beznadziejny.

Siedząc na skrzyni obok materaca spojrzął na zegarek. Dziewiąta trzydzieści. Czy nie powinno już być południe? Albo wrzesień? To na pewno były dwie najdłuższe godziny jego życia.

Ale na razie była dziewiąta trzydzieści, a on nie może ukrywać się na górze cały dzień. Będzie musiał zejść na dół. Zobaczyć się z tą kobietą. Zobaczyć dzieciaka. Zdecydować, co zrobić z tą kobietą, co zrobić z tym dzieckiem.

Wolałby zmierzyć się z Markiem McGwire'em w rozgrywkach wewnętrznych. Wolałby stanąć na pozycji dziewiątego, wyrównywać punkty i zaliczać bazy.

Pokonał susami wiodące prosto do kuchni tylne schody.

Na progu kuchni zamarł, widząc dziecko w zlewie. Kobieta trzymała główkę dziecka nad strumieniem wody.

— Co do diabła robisz? Próbujesz utopić tego dzieciaka?

Keely, wyraźnie przestraszona tym, że Jack odezwał się znienacka za jej plecami, szybko się odwróciła i rozluźniła jednocześnie uchwyt. Mokre dziecko wyslizgnęło się jej z rąk i zjechało wolniutko w głąb zlewu.

— O Boże! O Boże, spójrz, co zrobiłeś! — wrzasnęła. Chwycała MiM obiema rękoma i pociągnęła do góry. — Ona jest tak cholernie śliska!

MiM znowu się rozpłakała. Blond włoski przylgnęły jej do główki. Długie rzęsy nastroszyły się i zlepiły. Zamykała i otwierała oczy, podczas gdy woda ściekała jej z noska.

— Czy z nią wszystko w porządku? — spytał Jack niechętnie zbliżając się do zlewu.

— W porządku... jak sędzę. Skoro wyje, nieprawdą? — odpowiedziała Keely, podtrzymując jedną ręką ramię MiM. Drugą wycierała papierowym ręcznikiem buzię dziecka. — Zanim się pojawiłeś nawet się jej podobało. — Keely rzuciła mokre ręczniki na blat i wyjęła MiM ze zlewu, trzymając ją pod pachy. Rączki i nóżki MiM huśtały się w powietrzu, a gładkie pośladki szybowwały nad tłuszcziutkimi nóżkami, które miały cztery tłuste fałdki. — Przytrzymaj — powiedziała Keely, popychając te pośladki w stronę Jacka — trzymaj, aż znajdę więcej ręczników.

— Trzymać ją? — Jack szarpnął się do tyłu. — Czyż ty, kurde, zwariowała? Dopiero co mówiłaś, że jest śliska.

Keely zatrzymała się, bo MiM zaśmiała się, wierzgnęła i złapała ją za włosy.

— Dobrze, jeśli nie chcesz jej potrzymać, to w takim razie poszukaj więcej papierowych ręczników. Jeśli mogę coś dodać — kuchnia, w której nie ma stosownych ręczników to kiepska kuchnia. W porównaniu z tobą stara matka Hubbard miała zapełnioną spiżarnię. Jeden garnuszek, jedna puszka kawy, pół bochenka chleba i trochę chińskiego żarcia na wynos ususzonego w roku Psa. Żałosne. Takie to właśnie jest.

Zignorował jej narzekania i skoncentrował się na swojej nowej *pracy* w charakterze dostawcy papierowych ręczników. To był w stanie wykonać. Skoro zdobył dwie nagrody Cy Young, to jest też w stanie dostarczyć ręczniki. Prześlizgnął się obok Keely, dosłownie, przecież podłoga była mokra. Przesunął rolkę po blacie.

— Co teraz?

— Wytrzymaj ją — powiedziała Keely przewracając oczami. — I pośpiesz się, dzieciak powinien być już nakarmiony.

„Wytrzymaj” — Jack zawahał się, trzymając kawałek odwinie tego już z rolki ręcznika. Wytrzymaj ją. W jaki sposób ją wytrzeć? Podszedł od tyłu. Trzymając w ręku koniec ręcznika zaczął owijać nim gołe pośladki MiM i jej wierzgające nogi.

Jeden raz, drugi, trzeci. Dookoła, aż MiM znalazła się w papierowym kokonie.

— To powinno wystarczyć, dzięki. — stwierdziła Keely. Teraz można ją trzymać i nie wyślizgnie się.

— Ciągłe kapie z niej woda — zauważył Jack. Urwał jeszcze spory kawałek ręcznika i owinał wokół mokrej głowy MiM. Niemowle zachichotało, potrząsnęło główką i ręcznik spadł na podłogę. — Cholera jasna, ona nie chce współpracować.

— Nie klnij przy dziecku — odgryzła się Keely. Popchnęła MiM w jego stronę tak, że musiał ją złapać. Następnie wzięła głęboki oddech, wyprostowała się, wygładziła przód niegdyś nieskazitelnie białej bluzki. — Muszę znaleźć dziecku coś do ubrania. Coś musi być w którejś z tych toreb w koszu.

— Czy coś się stało z tym, co miała na sobie? — spytał Jack, ostrożnie siadając na podłodze. Stwierdził, że jeśli straciłby kontrolę nad MiM, miałyby krótszy dystans do pokonania.

— Żartujesz? Ta sukienka jest cała mokra... i cuchnąca. To, co nie wyszło górną stroną, gdy zwymiotowała na mnie, znalazło ujście dolną, gdy ty zdezerterowałeś. Nie mogłam zrobić nic innego, tylko wsadzić ją pod kran.

Jack spojrział w prawo, potem w lewo. Gdy wchodził do kuchni, poczuł nowy zapach. Nie za bardzo przyjemny. Zlu-

strował porzucony na podłodze stosik. Przyjrzał się czemuś, co wyglądało jak zabrudzona pieluszka — *całkowicie* zabrudzona pieluszka — umieszczona na wierzchu górki. Potem spojrzął na kuchenny zlew.

— Powiedzmy sobie szczerze — rzekł po chwili. — MiM się zes..., zrobiła coś w majtki, a twoją reakcją było wetknięcie jej do mojego zlewu? Do mojego zlewu?! Kobieto, może wolałbym w tym zlewie myć naczynia!

Keely wyjęła z kosza dwie wielkie, ciasno spakowane, zamknięte na różowy, plastikowy zamek torby. Zaczęła je przetrząsać, wybierając maleńkie ubranka.

— Och, zamknij się — powiedziała. Poza tym zignorowała go, gdyż była zajęta wyciąganiem pieluchy z paczki. Położyła ją na przygotowanych ubrankach. — Pielucha, koszulka, sukienka, skarpetki. To powinno wystarczyć. O Boże, spójrz, jakie to wszystko maciupęńkie. Jak dla lalki. Jakie śliczne!

— Dobrze się pani bawi, pani McBride? — spytał Jack, stając się przytrzymać MiM, podczas gdy papierowe ręczniki rwały się na kawałki. Dziecko próbując się wydostać pozostawiało kawałki papieru na jego wargach, a nawet języku. — To świetnie. Szkoda, że ja nie. Uwierz mi. Mnie to nie bawi. Nie lubię dzieci. Nawet tych uroczych.

— Ona jest urocza, nieprawdaż? — powiedziała Keely, rozciągając na podłodze różowy kocyk. Delikatnie zabrała z rąk Jacka MiM i położyła ją na podłodze. — Jest całkiem podobna do jednej z lalek, którą się kiedyś bawiłam. Oprócz tego, że oczywiście jest bardziej ruchliwa. Sądzę, że potrafię ją ubrać. Pamiętam, jak się to robi. — Następnie podniosła pieluchę. Przekręciła ją w jedną stronę, potem w przeciwną. Zmarszczyła brwi. — Dobrze. Może nie wszystko tak od razu. Ale poradzę sobie z tym.

— Świetnie. Zrób to — powiedział Jack, stając na nogi. — Jeśli teraz wyjdę to zdążę załapać się w ESPN na wyniki wczorajszego meczu.

— Ludzie — powiedziała Keely, ale nie do Jacka, tylko do

MiM. — Robią dziecko, zapinają portki i idą oglądać ESPN. Mężczyźni. Zapamiętaj, kochanie. Oni wszyscy są tacy sami.

— Ona... nie... jest... moim... dzieckiem, — Jack wypowiedział każde słowo powoli i dobitnie. — To dziecko mojej kuzynki. A co, do jasnej cholery, powinienem robić?

Keely wygładziła tasiemki pieluchy, potem usiadła i spojrzała z podziwem na swoje dzieło.

— Gotowe, tak powinno się trzymać. — Odgarnęła z oczu miodowoblond kosmyk włosów i spojrzała do góry na Jacka. — Co powinienesz robić? Cóż, jeśli mogę coś zasugerować, panie Trehan, to mógłby pan zastanowić się, w jaki sposób przymocować ten fotelik na tylnym siedzeniu pańskiego samochodu. Moglibyśmy wtedy pojechać na zakupy.

Przypatrzył się jej uważnie.

— Dla kogo te zakupy?

Keely przewróciła oczami.

— Oczywiście, że dla MiM. Ty możesz poczekać na nowe meble, ale MiM nie. A może planujemy, żeby spała w tym foteliku? A czy zdecydowałeś, gdzie będzie jej sypialnia? Powinnam chyba wiedzieć. Zrobię kilka pomiarów i będziemy mogli wyruszyć. Możemy zatrzymać się w sklepie mojej cioci. Chciałabym się przebrać, a mieszkamy nad sklepem. Następnie weźmiemy ciężarówkę, żebyśmy mieli możliwość zabrania ze sklepu wszystkiego, co niezbędne. Rozumiesz chyba, że przede wszystkim muszę zaprojektować pokój dziecienny. Myślałam o dzieciennym łóżeczku, wykonanym z wiśniowego drewna. Z baldachimem — białym, koronkowym baldachimem — i oczywiście pasującym do łóżeczka stolikiem, gdzie można ubierać dziecko, i o bujanym krzesełku, i koniecznie...

Jack zgarbił się, zabrał fotelik i ćwicząc swój japoński, skierował się do drzwi.

3

*Nie zamierzam kupować swoim
dzieciakom encyklopedii.
Niech chodzą do szkoły tak jak ja.*

Lawrence Peter Berra (Yogi)

W końcu pojechali mercedesem cioci Mary. Sportowy, zaledwie dwudrzwiowy samochód Jacka był zbyt wąski i Jack, próbując umieścić dziecinny fotelik, uderzył się w głowę. Gdyby to wydarzyło się jeszcze raz, MiM poznałaby słowa, których dzieci nie powinny znać.

— Przyjemny wóz — powiedział Jack, gdy ysdwAi Mam Stieeci-Jack prowadził. Skierował samochód na MacArthur Road, główną arterię okręgu. Drogę wiodącą prosto do Allentown.

— Projektowanie wnętrza musi być dochodowym interesem. To mi coś przypomniało... ile będzie mnie pani kosztować, pani McBride?

— Nawet z grubsza licząc, nie tyle, co pomyślałeś - odpowiedziała Keely. Ścisnęła białą plastikową torbę ukrywającą jej zrujnowany zakiet. Uniosła się na fotelu i odwróciła, by spojrzeć na MiM — Sprawdźmy, co ona robi... W porządku, mała śpi. — Obejrzała się jeszcze raz. Czuła się, jeżeli nawet nie kompetentna to na pewno szczęśliwa. — Ona faktycznie jest śliczna.

— Ależ wszystkie dzieci są śliczne — odpowiedział Jack-Zerknął w lusterko wsteczne.

— Sądzę, że śliczne są głównie dla rodziców — powiedziała Keely z namysłem. - Weźmy moją przyjaciółkę, Sheilę. Jej

dziecko, gdy się urodziło, wyglądało jak Woody Allen. Naprawdę. Przysięgam. Dzięki Bogu wyrosło już z tego. Sheila mieszka w Wisconsin i zaraz po jego urodzeniu przysłała mi taśmę wideo. Żałosne. Po prostu żałosne. A MiM jest śliczna jak pączek róży. Te jedwabiste blond włoski. Czy wiesz, że skręcają się, gdy są mokre? Założę się, że niedługo będzie miała wspaniałe kręcone loczki. I pewnie, tak jak ja, znieńawidzi później te swoje rozwichrzone pukle. A te wielkie błękitne oczy? A te czarne rzęsy... Gdy dorośnie, będziesz musiał kijem odganiać chłopaków.

— Nie będzie mnie w pobliżu, gdy MiM dorośnie — przypomniał jej Jack. Ponieważ jechali do Allentown, zmienił pas ruchu.

— No tak. Oczywiście. To nie jest twoje dziecko. Ciągle o tym zapominam. Pewnie przez to, że oboje macie blond włosy.

— Pani McBride, pani też ma blond włosy — zauważył Jack. — I powtarzam, że MiM jest dzieckiem mojej kuzynki. Ona... kurde, kto mi uwierzy? Powiedzmy, że Cecily na chwilę wyjechała z miasta, a ja opiekuję się małą. Poprawka: ty opiekujesz się małą.

Przez kilka chwil Keely milczała, a potem kiwnęła głową.

— W porządku. Przepraszam, że cię tak testuję. Wiem, że ona nie jest twoja. Gdy sprzątałam kuchnię, znalazłam list od twojej kuzynki. Czy nie uważasz, że powinieneś zgłosić to na policję? Wydaje mi się, że ona porzuciła MiM. W tym przypadku nie może być mowy o podrzuceniu dziecka na trochę. Chyba że Katmandu znajduje się w Pensylwanii. A przecież oboje wiemy, że nie. A kim jest Joey? Ojcem?

— Joey jest bratem Cecily — powiedział Jack.

Keely zauważyła, że zacisnął szczęki.

— Nie jest twoim faworytem, co? Ojej, skręć w prawo na Tilghman. Sklep znajduje się pomiędzy 21 st a 22nd Street, po lewej stronie ulicy. Przed sklepem jest parking. Naprawdę powinieneś ustawić się już z prawej strony, a nie czekać do ostatniej chwili.

Jack wcisnął pedał gazu, wyminął kolejkę czterech samochodów, a potem szybko skręcił w prawo, ustawiając się do skrętu.

— No tak, to było zabawne — powiedziała Keely, otwierając oczy. — Myślę, że powinnam się już zamknąć. No, ale przynajmniej dowiedziałam się, że jeśli będę chciała, żebyś coś zrobił, należy powiedzieć, abyś tego nie robił.

Rzucił jej uśmiech, który nadał mu bardzo seksownego wyglądu.

— W końcu znalazłem kobietę, która mnie rozumie. Zdecydowanie wolę takie, które potrafią utrzymać język za zębami.

— Tak, założę się, że powinny też trzymać myśli na wodzy — wymruczała Keely. — Myślę, że znam ten typ kobiet. Może opowiedziałbyś mi o tym Joeyu. Czy może mam czekać, aż sam to zaproponujesz? Przecież właśnie poznałam podstawowe reguły gry, tak?

Na pewno nie z powodu klimatyzacji we wnętrzu samochodu powiało chłodem. Wreszcie Jack powiedział:

— Tak jak ci już mówiłem, Joey jest bratem Cecily. Joey i Cecily pochodzą z Bayonne, w New Jersey.

— Wiem, gdzie jest Bayonne — przerwała Keely. — Tylko nie znam nikogo, kto by tam mieszkał. Oj, przepraszam. Nie miałam zamiaru przerwać potoku twoich słów. Kontynuuj.

Jack westchnął i zatrzymał samochód na czerwonym świetle, przy 19th Street.

— Joey sądzi, że powinien być członkiem jakiegoś gangu.

— Gangu? — Keely opadła szczęką. — Masz na myśli mafię? I Cecily chciała z nim zostawić MiM?!

— Spokojnie, pani McBride. Joey nie przynależy do żadnego gangu. Obejrzał wszystkie części „Ojca chrzestnego” i na tym się na razie skończyło. Nie przepadam za nim, bo jest idiota. I nie o to chodzi, abym obawiał się, że wetknie mi w gardło patyk od lodów.

— Och — powiedziała Keely. Odprężyła się trochę. Skręcili w lewo, potem w prawo i podjechali aleją pod ceglasty dom, w którym mieścił się sklep cioci. — W takim razie, wszystko jest w porządku. Cieszę się, że Cecily zostawiła MiM tobie. — Otworzyła drzwi samochodu i spojrzała do tyłu, na dziecko. —

Ciągle śpi. Może poczekaś tutaj, dobrze? Nie zabawię zbyt długo — powiedziała. — Przebiorę się i wezmę kluczyki do ciężarówki.

— I spakujesz walizkę — dodał Jack. Keely stanęła jak wryta w momencie, gdy powoli zamykała drzwi. Chciała zrobić to delikatnie, aby nie zbudzić MiM.

— Co takiego? — spytała, wsuwając głowę z powrotem do auta. — Co rozumiesz przez pakowanie walizki?

— I jeżeli masz śpiwór, to też go możesz zabrać. Tylko do czasu, aż kupisz mi trochę łóżek. Chyba nie myślałaś, że zostałam w domu sam z tym dzieciakiem, podczas, gdy ty pracowałabyś od dziewiętej do piątej?

— Ja... Ja... — Keely spojrzała na tylne siedzenie, na śpiące dziecko. Potem na Jacka. — Ja...

— Właśnie. Mam dokładnie taką samą opinię, pani McBride. Pośpiesz się. Załatw to na jednej nodze, dobra? Kto zgadnie, jak długo mała będzie jeszcze spała?

— Nienawidzę cię — powiedziała Keely, odzyskawszy w końcu głos. Na szczęście była już na schodach i wchodziła do mieszkania, które zajmowała wraz z ciotką.

— Jacku Trehanie, nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę — powtarzała, szybko przebierając się w płócienną sukienkę i wkładając biały cienki sweter. Następnie podeszła do szafy i ściągnęła wielką walizę. Rzuciła ją na łóżko i odsunęła suwak.

— Nienawidzę cię, ty obrzydliwcu. Nie cierpię cię, Jacku Trehanie — ciągnęła, otwierając szuflady. Ciskała ubrania w kierunku walizki. Zgarnęła do torebki drobiazgi z toaletki. Złapała dezodorant, pastę do zębów i suszarkę. I kosmetyki. — Są rzeczy, których nie można dostać za pieniądze — wycodziła wściekle, patrząc na swoje odbicie w lustrze. — Wstydź się.

Upchnęła wszystko w walizce i zasunęła suwak. Ściągnęła kołdrę i poduszkę z łóżka. Skierowała się w stronę schodów. I nagle zatrzymała się. Zobaczyła migającą lampkę, sygnalizującą nową wiadomość na automatycznej sekretarce.

Trzeba by odczytać też wiadomości w sklepie, na automa-

tycznej sekretarce na dole. Keely nie miała jednak tyle czasu, by je obie sprawdzić. Ciocia Mary większość projektów sfinalizowała przed weselem. A więc Keely nie musiała bez przerwy pilnować jakichś niezakończonych interesów. Jeśli były jakieś informacje, to mogły poczekać. Być może tu nagrała się ciocia Mary. Niech Jack Trehan spędzi jeszcze jedną chwilę na kręceniu młynka palcami. To potrwa zaledwie chwilę. Trudno.

Upuściła kołdrę i poduszkę. Nacisnęła guzik i już się uśmiechnęła na myśl, że zaraz usłyszy głos cioci. Ciocia Mary donosiła prawie codziennie o wspaniałościach Grecji. I o wspaniałościach małżeństwa.

— Cześć, Keely, jak szkoda, że cię nie zastałem. Słuchaj, kochanie, wiem, że upłynęło dużo czasu, ale...

Keely trzasnęła w guzik STOP. Wściekła się w jednej chwili i musiała w jakiś sposób powstrzymać głos Gregory'ego Fontaine'a. Czegóż on chciał? Nie chodzi o to, żeby się tym zbyt przejmowała. Zupełnie jej to nie obchodziło. Zaciśnięła usta i potarła policzek. Pragnęła ją odzyskać. Kochał ją. Nie mógł żyć bez niej. A może ciągle nie mógł znaleźć tej zabawnej taśmy mierniczej, którą zabrała jako „zaległą wypłatę”. Pewnie kombinował, czy ona wie co się z nią stało.

— Oj, do diabła — powiedziała i trzasnęła ponownie guzik PLAY. — Lepiej byłoby z tym skończyć.

— ... ale pomyślałem, że powinnaś o tym usłyszeć ode mnie. Właśnie wynająłem twoją kwaterę. Widzisz, postanowiłem powiększyć interes. Musisz w końcu przyznać, że nie miałaś szczęścia, wybierając miejsce na Manhattanie w takiej cenie. Dowiedziałem się, że Leibowitz podobno powiedział, że będzie je trzymał dla ciebie jeszcze tylko sześć miesięcy. Niestety pod jednym warunkiem: że będziesz płacić czynsz. A ty nie płacisz, Keely. Zalegasz od czerwca. Od całych trzech tygodni. A więc... cóż, przejąłem je. Fontaine panuje teraz zarówno we wschodniej, jak i zachodniej części Manhattanu. Witaj z powrotem na pokładzie. Zawsze. Mogłabyś przecież poprowadzić tę filię dla mnie, prawda? Ze starego twojego sklepu... do

nowego mojego. Przypuszczam, że moglibyśmy dopracować szczegóły. Jestem tego pewien. Słuchaj, muszę lecieć. Shavonna chce pokazać mi swój projekt, który zrobimy na Island. Tak więc uważaj na siebie. Bądź grzeczna. Chyba mnie nie znienawidzisz, co? Keely, dynio moja, naprawdę cię kocham. Ale interes to interes, prawda?

Keely stała wściekła, aż automat powiedział elektronicznym głosem: KONIEC WIADOMOŚCI. Walczyła ze sobą, by nie roztrzaskać telefonu o ścianę.

— Ty nędzniku... Trzy tygodnie? Gregory Fontaine, ty cuchnący skunksie! Trzy zawszone tygodnie!

— Masz jakiś problem... dynio?

Odwróciła się błyskawicznie. Jednak nogi zaplątały się jej w porzuconą na podłodze pościel i upadła. Boleśnie wylądowała na czworakach.

— Ty! — krzyknęła z wyrzutem, patrząc na Jacka Trehana. — Co robisz... jak śmiesz... gdzie jest MiM?

— Śpi spokojnie w swoim koszyku. Nie martw się, zamknąłem samochód, ale silnik zostawiłem włączony, żeby klimatyzacja działała.

— Dobrze... Świetnie — powiedziała Keely, podnosząc się z podłogi. — Przypuszczam, że... Poczekaj. Zamknąłeś samochód? Gdzie masz kluczyki?

— Och, proszę cię. Naprawdę myślisz, że mógłbym...?

— Pokaż... mi... te... klucze — wycodziła przez zęby.

Jack włożył rękę do kieszeni spodni. Włożył drugą rękę do drugiej kieszeni. Zmarszczył brwi. Wyglądał jak zbaraniały.

— Hm... — Wyciągnął z kieszeni puste ręce i pomachał nimi. — Wiesz co, to twoja wina. Jeśli ruszałabyś szybciej swój tyłek, zamiast wysłuchiwać tych informacji i Bóg raczy wiedzieć, co tam jeszcze, wtedy nie musiałbym...

— Ty ośle! — Keely znowu potknęła się o kołdrę. Gwałtownie rzuciła się do biurka ciotki. Otworzyła szufladę. Były w niej kluczyki do ciężarówki. Był tam również zapasów) komplet kluczy do mercedesa. Wyjęła oba i ruszyła w kie-

runku schodów. — Bierz bagaże, geniuszu, i ruszaj za mną.

W jaki sposób kuzynka mogła mu zaufać i oddać mu własne dziecko? Temu człowiekowi nie można było zaufać, nawet jeśli chodzi o pluszowego misia, a co dopiero mówić o bezbronnym niemowlaku. To nie to, że czuła się lepsza czy lepiej wyedukowana. Jednak na to, by stać się lepszym niż Jack Trehan, nie trzeba było poświęcić zbyt dużo czasu.

Zbiegła ze schodów. Jack ledwo mógł nadążyć.

— Kurde, żartowałem! — zawołał za nią. — Popatrz, patrz. Tu mam kluczyki. Nie zamknąłbym ich w samochodzie. Myślisz, że jestem idiotą?

Keely zatrzymała się u dołu schodów, ciągle zagniewana.

— Nigdy nie pytaj o rzeczy oczywiste. — Zgrzytnęła zębami. Wypadła z domu, zostawiając Jacka z bagażami i pościelą.

Podbiegła do samochodu i zajrzała do środka przez tylne okno. Zobaczyła, że MiM ciągle śpi. Świadczyły o tym miarowe ruchy smoczka tkwiącego w jej buzi.

— Nic jej nie jest — powiedziała Keely, opierając się z ulgą o samochód. Jack również zdążył już podejść. Odblokował drzwi, naciskając guzik pilota.

— Oczywiście, że ma się dobrze — powiedział, potrząsając głową. — A myślałaś, że co będzie robić? Wsiadzie i pójdzie na piwo do pubu na rogu?

Keely nie usiłowała nawet odpowiedzieć. Rzuciła mu lodowate twarde spojrzenie. Ten facet... Podeszła do ciężarówki. Nienawidziła mężczyzn. Definitywnie nienawidziła mężczyzn. Gregory'ego Fontaine'a, Jacka Trehana, wszystkich mężczyzn. I zawsze miała rację! Każdy z nich lubował się w biciu piany.

— Jedź za mną, okay? — zaproponowała mu. — Wrócimy na Tilghman, potem do 8th Street. Skręt w lewo, skręt w prawo do Washington Street. Potem w lewo do 7th Street, co wyprowadzi nas z powrotem na MacArthur Road, wiodącą do morza. Nadażasz za mną?

— Pani McBride, dorastałem tutaj — powiedział Jack, otwierając drzwi mercedesa. — Wiem, że 7th Street jest jedyną drogą do

Tilghman. Potem będziemy musieli przeciąć 8th Street i jechać do Washington Street. Wiem, że 7th Street zakręca do MacArthur Road, gdy już spotka się z Whitehall. Wiem nawet, jak dostać się do promenady. I byłbym ci wdzięczny, gdybyś przestała traktować mnie, jakbym... jakbym nie miał własnego rozumu.

— Jeżeli przestaniesz zachowywać się, jakbyś nie miał własnego rozumu, to będę ci wdzięczna — odpowiedziała mu. Otwierając drzwi ciężarówki złamała sobie paznokieć. — Cholera! Zobacz co zrobiłeś!

— Co ja zrobiłem? Stąd? Czy ktoś powiedział ci kiedyś, McBride, że nie jesteś dobrą kobietą?

— Już to wiem. Pewnie zupełnie zwariowałam! — krzyknęła do niego. — Przecież pracuję dla ciebie, pamiętasz? — I nagle, zdając sobie sprawę, że jego najbardziej logiczną reakcją mogłoby być: „tak, ale już niedługo!”, szybko wsiadła do ciężarówki i wycofała ją w stronę alei. Planowała przecież zrobić pierwszy najazd na konto bankowe Jacka Trehana jednocześnie napełniając swoje.

Jack wolałby być znowu w Double-A. Wolałby ugrzęznąć na poboczu jakiejś drogi stanowej. Mogłoby się zdarzyć, że jadąc do jakiejś dziury zabitej dechami na wschodzie, pięć godzin jazdy bez przerwy, złapałoby nagle gumę. Zagrałoby znowu mecz przed swoimi fanami. Ale oni pewnie woleliby oglądać jakieś świńskie wyścigi, wyznaczone właśnie na najważniejszy czas zdobywania punktacji.

Wolałby być gdziekolwiek indziej, byleby tylko nie tkwić w środku tego dziecięcego świata.

— Co robisz? — spytał widząc, jak Keely zdąża w kierunku wózków sklepowych.

— Mam zamiar wziąć wózek na zakupy, a myślałeś, że co robię?

— Na dziecinne łóżeczko? Myślisz, że się tu zmieści? — Obejrzał się. Obserwował, jak Keely umieszcza śpiącą MiM w wózku i przypina ją specjalnym paskiem. Przez chwilę oglą-

dał jej nogi, wystające z płóciennej sukienki. Potrząsnął głową. Czyżby stracił swój instynkt samozachowawczy? Kobiety to trucizna!

Keely skręciła wózkem. Skierowała się do automatycznych drzwi hipermarketu, który był wielkości dwóch stadionów do piłki nożnej.

— Czy tu się sprzedaje tylko rzeczy dla dzieci? — spytał, rozglądając się z rozbawieniem. — Dzieciak waży jakieś piętnaście funtów. Nie chodzi, nie mówi, ma tylko jeden ząb. Jak dużo rzeczy może potrzebować'?

Keely zupełnie go nie słuchała.

— Uważam, że w takich miejscach powinno się działać planowo — powiedziała do niego. Skręciła wózkem w prawo. — Zaczniemy od początku i zaliczymy rząd po rządku. Co my tu mamy?

Jack ujrzał jednego ze sprzedawców, który uśmiechał się do niego, jakby chciał powiedzieć: „Och, dobry tatuś. Przyszedł zrobić z dzieckiem zakupy”. Szybko się odwrócił i włożył do wózka pudełko, które wybrała Keely.

— No, nie wiem. Coś tu jest napisane. Nie, oni chyba żartują. Kto robi coś takiego?

Keely wzięła pudełko z półki i odwróciła je, przyglądając się obrazkom na odwrocie.

— Och, czyż to nie jest słodkie? Możesz sam zrobić w gipsie modelarskim odcisk nóżki i rączki MiM. Patrz, dołączają nawet specjalną deseczkę, aby można było wystawić modele na półce. Weźmy to.

— Nie, nie weźmiemy tego — odpowiedział Jack. Odebrał Keely pudełko i odstawił je na miejsce. — Będę miał dziecko odlane w brązie. To jest łatwiejsze.

Keely spiorunowała go wzrokiem. Potem zabrała pudełko z półki i wrzuciła do wózka.

— Nigdy nie pozwolisz sobie na czerpanie kapki radości z tego, co ci się przytrafiło?

— Jaki był ten twój pomysł? — zareagował na to pytanie. Był

spięty. Obserwował ją, gdy podnosiła kolejne pudełko. — Musisz wszystko oglądać? Wobec tego spędzimy tu kilka godzin.

— Prawdopodobnie kilka dni — zgodziła się Keely, wrzucając do wózka albumy „Baby Memories” i „A Time Capsule”. — Dobrze, następny rząd.

— Następny rząd, następny rząd — przedrzeźniał ją Jack, ale ponieważ sprzedawca ciągle mu się przyglądał, poszedł posłusznie za Keely.

Pomiędzy rządami, u góry, spostrzegł wywieszkę informacyjną. — „Bezpieczeństwo dziecka”. O co tu chodzi?

Keely podała mu woreczek, wypełniony plastikowymi zatyczkami do kontaktów.

— Tutaj są większe paczki. Chcę je wszystkie — powiedziała, uważnie przeglądając półki swymi, dużymi, brązowymi oczyma. — Zamknięcia do szafek, blokady na drzwi, żeby małe rączki nie mogły ich otworzyć. Och, spójrz! Uwielbiam gadżety. A ty? To pozwoli utrzymać smoczek MiM w czystości. Widzisz, uchwyt smoczka ma rzepy. Można go przyczepić do ubranka, nosidełka albo paczki pieluch. Patrz tu jest wszystko opisane. Och, trzeba to kupić — powiedziała. Wrzuciła pudełko do wózka i znowu złapała jakąś paczkę.

Jack zauważył kawałek wystrzępionego materiału pomiędzy plastikowymi paczuszkami. Ponad ramieniem Keely przeczytał nazwę.

— Nakolanniki? Dlaczego nikt mnie nie poinformował, że MiM zamierza wybrać się jutro na rolki?

— One przydadzą się dopiero, gdy mała zacznie rączkować. Do zabezpieczenia jej kolanek.

Jack podrapał się po nosie, rozważając to, co usłyszał.

— Rączkowanie? Czy ona zacznie rączkować? Kiedy?

— Nie mam bladego pojęcia. Jestem dekoratorką wnętrz, a nie panem Spockiem.

— Hm... Jeżeli mogę polegać na mojej pamięci, był to doktor Spock. Pan Spock był facetem ze „Star Trek”. To ten z dziwnymi uszami.

— Wszystko jedno — bez zainteresowania odpowiedziała Keely, wkładając paczkę do wózka. Wybrała także jeszcze kilka innych, co do zawartości których Jack wcale nie chciał być informowany. Przeszli kolejne dwa rzędy i wózek był prawie pełen. — Nie sądzisz, że powinniśmy być dobrze przygotowani? Kto wie, kiedy wróci twoja kuzynka, przecież Katmandu jest kawał drogi stąd.

— Próbuję w ogóle o tym nie myśleć, McBride — odpowiedział jej szczerze Jack. Keely nie znała Cecily tak dobrze jak on. Ten cholerny list podsunął jej pewnie różne wizje pełnego kaprysów życia Cecily. Wciąż próbował zapomnieć czasy, kiedy byli dziećmi. Przypomniał sobie, jak pewnego razu bawili się w chowanego. Cecily powiedziała im wszystkim, żeby się schowali, po czym... straciła ochotę na zabawę. Poszła do domu spać, nikogo nie odnajdując. Joey czekał w ukryciu, aż zapaliły się latarnie uliczne. Potem szlochając pobiegł do domu.

Zakręcili w następną alejkę i Jack zatrzymał się, żeby sięgnąć ręką na półkę. Spróbował dobrze odegrać swoją rolę.

— Czy przyda się nam taka jedna? — spytał z nadzieją w głosie. Patrzył na artystycznie odzwierciedlony kształt butelki, która na czubku miała jakby komin. — Co to jest? Róg?

Keely odebrała mu pudełko i odstawiła na półkę.

— Nie potrzebujemy tego, prawda? Chodźmy dalej, do następnego rzędu.

— Ale dlaczego niczego nie wybrałaś w tym rzędzie? Nie będę tu potem wracał! — zawołał za nią. Wziął do ręki jeszcze raz to samo pudełko i przeczytał etykietkę. Odłożył je i rozejrzał się wokół. Na pozostałych półkach było to samo, tylko w różnych rozmiarach. Ściągaczki do pokarmu. Zamknął oczy. Spróbował wyobrazić sobie, do czego służy ten komin i cała reszta.

— Boże, to musi boleć — powiedział i szybko podążył za Keely.

Wózek był już wypełniony po brzegi. W środku znalazło się prawie wszystko. Nocna lampka. Zasłona dająca dziecku cień

w samochodzie. Dodatkowe lusterko wsteczne, by dokładniej widzieć, co robi dziecko siedzące z tyłu. Kasety wideo z kursami pierwszej pomocy i bezpieczeństwa. Termometr, który wkłada się do ucha. Inny, który wkłada się... gdzie indziej. Wrzucił je zrezygnowany do wózka. Jeszcze raz spróbował w myślach odgrodzić się od rzeczywistości. Grające pudełeczko do ustawienia w pokoiku dzieciennym. Potrafi naśladować różne dźwięki: bicie serca, odgłos bulgoczącego strumyka, trel ptaszka i jakiś bezbarwny hałas. Plastikowy „strażnik” pozwalający zabezpieczyć telewizor. O, to mu się nawet spodobało.

Keely odwołała go od wystawy wypełnionej piętnastoma rodzajami smoczków, aby pokazać mu ostatnie znalezisko.

— Popatrz. Monitor telewizyjny, przekazujący obraz z pokoju dzieciennego MiM. Będzie można słyszeć ją i widzieć. Po jakimś czasie można przerobić go dla małej na normalny telewizor. Zupełnie nietuzinkowe.

Jack rzucił okiem na cenę.

— Nietuzinkowa. — Wykrzywił się, potakując.

Pudełko powędrowało do wózka, a oni zaczęli przeglądać następny rząd wypełniony różnorodnymi butelkami.

— Tutaj mamy butelki tej samej firmy, które aktualnie używa MiM — powiedziała Keely. Włożyła do wózka pół tuzina butelek, łącznie z pudełkiem plastikowych wkładek; cokolwiek, do cholery, to oznaczało. Następnie zapakowała jeszcze trochę akcesoriów. W pewnym momencie pokazała mu naprawdę ohydne pomarańczowe okrągłe brodawki.

— Tutaj napisano, że jest to „matka zastępcza” — wyjaśniła. — Co o tym sądzisz?

— Robisz to w jakimś celu, prawda? Wyrównujesz długi za coś, co wydaje ci się, że zrobiłem — zarzucił jej Jack. Poczul, że policzki mu płoną, a ręce robią się lodowato zimne. — Kup te cholerstwa i zabierajmy się stąd.

No to kupowała. Szczotki do butelek, szczotki do smoczków, jeszcze więcej smoczków, pastę do zębów i szczoteczkę do zębów. Do jednego ząbka. Szampon, zasypkę, tonik. Ze-

staw medykamentów. Łyżki i talerze. Dwie kasetki, o takiej samej plakietce i wzorku, jak MiM już miała.

Sliniaki. Jack natomiast kupił śliniaki. Tuzin.

W wózku zmieściła się jeszcze mała kuchenka mikrofalowa, aby w pokoju dzieciennym można było w środku nocy podgrzać jedzenie bez potrzeby schodzenia na dół. Co jeszcze można by wymyślić?

Chwilę później Jack już wiedział co. Była to magiczna blaszanka, usuwająca z zasięgu wzroku zużyte opakowania i zabrudzone pieluchy. Przezroczyste wieko tej maszyny umożliwiało obserwowanie ciągu pieluch, każdej zapakowanej w osobny foliowany kokon. Wyglądały jak rodzaj gruzełkowatego splotu pereł czy też jak biały boa dusiciel, który w jakiś sposób pochłonał cały miot podłużnych zwierzątek. Chciał kupić dwa takie urządzenia. Jednym chciał się tylko bawić, ale Keely wzniosła tylko oczy do nieba, więc zrezygnował z tego pomysłu. Wyszedł przed market, aby przyprowadzić drugi wózek.

Pierwszą rzeczą, która wleciała do nowego wózka, był nawilżacz o wyglądzie kaczki. Nawet nie zaprotestował. Następnie wanienska. Siedzonko do wanienski. Wanienskowe zabawki. Siatkowy woreczek do trzymania wanienskowych zabawek. Dziwnie wyglądający podnóżek do postawienia przy waniensce. Sprzęt dla kąpiącego, by łatwo mógł pochylić się nad kąpanym. Ręczniki, myjki.

Jack skupił się na wybraniu dużej liczby ręczników.

— To interesujące — powiedziała Keely. Minęła dwa rzędy półek, nic z nich nie biorąc. — Tutaj jest napisane, żeby nacisnąć guzik, gdy chce się to wypróbować.

Jack obserwował, jak Keely odwróciła pudełko zawierające pluszowego brązowego misia. Nacisnęła oznaczony guzik. Oczekiwał, że usłyszy kołysankę. Keely podsunęła mu pudełko bliżej ucha i usłyszał ze środka miarowy odgłos bicia serca.

— Odgłosy macicy — powiedziała Keely. Zastanawiałam się, dlaczego nie dali odgłosów dochodzących z bulgoczącego żołądka. Tak, miś jest uroczy — stwierdziła. I mis wylądował w woz-

ku. — Mogłabym zrobić wystrój całego pokoju w misiaczki. Wiesz, biała koronka będzie urocza, ale bardzo delikatna. Tak, sądzę, że spróbuję z motywem misia.

— Zrób to. Zaprowadź je prosto do pieczary. Mogą to polubić, jeżeli dostarczysz musztardę i ketchup.

— Bardzo zabawne — odpowiedziała Keely. Popchnęła wózek, skręcając w następną alejkę.

Dziecinne chusteczki do nosa. Grubsze chusteczki. Oba rodzaje wpadły do wózka, oni zaś przeszli do działu z większym sprzętem.

— Ona ma jeden z tych — Jack wskazał na fotelik samochodowy stojący wśród tuzinów innych. Potem zauważył fotelik, o którym śmiało można powiedzieć, że wyglądał jak szalupa. — Czy oni sobie nie żartują? Foteliki samochodowe z banderolą „Wzornictwo specjalne”?

Podjechała Keely i spojrzała na fotelik, który wskazywał Jack.

— Wyjmij z tego plastikowego pojemnika kartonik — powiedziała mu. — Oddamy go przy kasie, to dostarczą go z magazynu. Przecież potrzebujemy dwóch. Jeden do twojego samochodu, drugi do mojego.

— Cholera, na co jej dwa foteliki? — zapytał Jack splatając ręce na piersiach. Był całkowicie przygotowany do walki na śmierć i życie. Nie był biedakiem, jednak Keely McBride bardzo szybko powiększała rachunek do zapłacenia, który niedługo będzie mógł konkurować z długiem narodowym.

Keely oparła rękę na biodrze.

— W porządku. Oto scenariusz: muszę gdzieś pojechać, podczas gdy MiM śpi. Nie rób wielkich oczu, bo może się wydarzyć, że i ty będziesz musiał nagle gdzieś z nią pojechać. Może się nagle krztusić, nie mieć pieluch lub ty będziesz miał dziką ochotę na kurczaka McNugget. W moim samochodzie jest fotelik, jedyny fotelik. I co teraz, geniuszu?

Jack dopisał foteliki do rachunku. Potem wszystko widział już jak przez mgłę. Dwa nosidełka. Jedno to rodzaj siedzenia dla

MiM, które można przypasać wraz z nią do biodra. Drugie — wyprodukowane, aby Jack mógł ją nosić na plecach. Przydałoby się prawdopodobnie podczas zdobywania Everestu.

Łóżeczko, materacyk, przybornik z szufladami i stół do przebierania. Prześcieradła, wełniany kocyk, tetrowe podkładki, miotełka z piór do kurzu, lampa, lamówki do tapet, zasłonki i poduszki. Spacerówka, zrobiona z jednego solidnego pałąka oraz dwóch po bokach, by MiM mogła się już z rana poruszać. Jeśli to w ogóle będzie miało miejsce. Tybetańska narzuta na spacerówkę, hamulec do spacerówki. Osłona przeciwdeszczowa i moskitiera.

Wysokie krzesółko. Niskie krzesółko. Bujane krzesółko. Huśtawka do zawieszenia na framugę drzwi. Kojec. Przenośne łóżeczko.

Wszystkie kolory starannie dobrane. Wszystkie akcesoria dokładnie pasujące.

Kosz z pokrywą. Kółka-gryzaczki dla ząbkujących dzieci. Podkładki. Większa liczba większych podkładek. Białe satynowe zawieszki. Kosz na zabawki. Mówiący motyl. Jednorazowa kamera, aby nagrać, jak MiM rośnie. Księga pamiątkowa. Albumy na zdjęcia. Wielka butla płynu do usuwania wszelkich przykrych zapachów. Jak zauważył Jack przez to, że taka wielka była bardzo tania.

Trzy egzemplarze książki „Jak śledzić rozwój dziecka”. W tym jedna doktora Spocka. Płyty kompaktowe z muzyką klasyczną i kołysankami. Szczotka i grzebień. Galonowy pojemnik z wodą „tylko dla dziecka”, który również okazał się rewelacyjnie tani.

Nowe paczki pieluch, gdyż te akurat były z misiaczkowym motywem i do wszystkiego przecież pasowały. Puchate wieszaczki na ścianę. Misiek odziany w strój baseballisty, przy którego kupnie upierał się Jack.

— Czy ty jesteś za dyskryminacją płci, czy o co chodzi? Z jakiego powodu MiM miałyby nie lubić baseballu? — spytał, gdy zaprotestowała.

Misio baseballista więc został. Została też mięciutka piłeczka baseballowa, którą Jack wynalazł na półce. Różowa. Było na niej miejsce, by wpisać dla MiM wagę początkową, pole macierzyste i dzień inauguracji gry. Keely stwierdziła, że piłeczka jest warta zachodu.

Jack chciałby w tej chwili dać jej buziaka.

MiM śpiąca podczas tej całej orgii zakupów, zaczęła spoglądać na nich dopiero, gdy toczyli przeładowane wózki do kas. Otworzyła swoje wielkie błękitne oczy, rozejrzała się i nagle dolna warga zaczęła jej drgać. Moment później wyła już na całe gardło.

— Co się z nią stało? — zapytał Jack, patrząc na Keely. Keely zaś spojrzała na niego z takim samym pytaniem w oczach. Potem wzruszyła ramionami.

— Myślisz, że ona znowu może być głodna?

— Skąd u licha mam to wiedzieć? — odgryzł się Jack. — To ty masz dyżur, czyżbyś zapomniała? Powiedziałaś, że znasz się na dzieciach.

— Ach tak? No, cóż... Wiesz co, skłamałam! — Keely prawie krzyczała, aby mógł ją usłyszeć przez wrzask MiM. — Zabrałeś ze sobą butelkę?

Jack pacnął się ręką w czoło.

— Niiieee, nie zabrałem butelki ze sobą. To jest twoja praca, nianiu.

— Oj, dobrze. — Keely sięgnęła do wielkiej torby. — Zapomniałam. To było wśród jej rzeczy. — Odkręciła nakrętkę i odwróciła butelkę. — Chodź dziecko — powiedziała, wtykając smoczek do buzi MiM.

— Najpierw musisz nacisnąć, aby wypchnąć całe nagromadzone powietrze — odezwał się ktoś za nimi. Keely i Jack odwrócili się jednocześnie, zaś MiM zaczęła znowu wyć, bo butelka wysunęła się jej z buzi.

— Co najpierw muszę? — spytała Keely, Jack zaś przyglądał się uważnie małej dziewczynce, która miała jakieś siedem czy osiem lat. Ekstra. Siedem — osiem lat i wie o wiele więcej niż

duża McBride. Zaczął się zastanawiać, ile ten dzieciak wzięłby za godzinę opieki.

— Daj, pokażę ci — powiedziała mała dziewczynka, odbierając Keely butelkę. Nacisnęła ją fachowo i umieściła smoczek w szeroko otwartej buzi MiM. — W zeszłym miesiącu urodziły się nam bliźniaki, więc mama pozwala mi trochę przy nich pomagać — wyjaśniło dziecko. — O tak. Czy myślisz, że już sobie poradzisz?

— Mądra dziewczynka — pochwaliła Keely. Podziękowała dziecku i patrzyła w ślad za nią. — Wszyscy w obecnych czasach są ekspertami.

— Tylko nie ty — kwaśno zauważył Jack. — Myślisz, że moglibyśmy już stąd wyjść? MiM nie jest jedyną głodną osobą.

— I to ma być mój problem? Nie będę dla ciebie gotować.

— Nie prosiłem o to.

— I lepiej tego nie rób.

— Wolałbym raczej paść z głodu!

— Masz na myśli, że to się nie stanie? Myślałam, że...

— Jack Trehan! Och, mój Boże, Sally, patrz — to jest Jack Trehan!

Keely spojrzała krzywo. Nie dokończyła zdania, które prawdopodobnie na miejscu wywołałoby pożar. Oboje odwrócili się do mężczyzny, który się im przypatrywał. Stał, wyciągając rękę w kierunku Jacka.

— Nie myślę się prawda? Czy to ty jesteś Jack Trehan? Rozgrywający, Yankees, dwa Cy Young? Człowieku, co za niepomysłne wydarzenie. Żeby tak załatwić sobie ramię! No, ale ta strata Yankees może być naszym zyskiem. Och, nazywam się Bill Hunsberger. Sam kiedyś grałem, ale nie ma porównania z tobą. Witaj z powrotem, Jack. I duże dzięki za te wszystkie wielkie mecze.

— Bardzo proszę — powiedział Jack, ściskając dłoń mężczyzny. — Dobrze jest znowu być w domu. — Umierał z ciekawości, jak w tej chwili wygląda stojąca obok Keely. Stoi z rozdzielonymi ustami i wytrzeszczonymi oczami? Może ona go nie poznała, ale reszta świata jeszcze go, cholera jasna, pamięta.

— Sally! — zawołał przez ramię mężczyzna, ciągle nie pusz-

czając ręki Jacka. — Sally, zawsze tak się ślimaczysz. Chodź tutaj, na miły Bóg. Miałem rację. To jest Jack Trehan. Daj mi ten spis zakupów. Dlaczego stoisz i się nie ruszasz? I przestań się gapić, jakbym robił coś złego. — Odwrócił się znowu do Jacka. — Nie będziesz miał nic przeciwko temu, aby złożyć swój podpis na liście zakupów Sally, co? To dla mojego synka, Seana. Ma tylko dwa miesiące, ale któregoś dnia dostanie twój cenny autograf.

Zbliżyła się Sally. Niosła niemowlę, wiszące w nosidełku u jej pasa. Ręce miała pełne zużytych pieluch, a na jej lewym ramieniu wisiała wypchana torba. Muły noszą toboły zdecydowanie mniejszych rozmiarów. Jednakże ręce Bilh/ego były wolne i niecierpliwie machał nimi, wołając żonę.

— Może zechciałbyś jej pomóc? — spytała Keely, podczas gdy Sally, trzymając jedną z paczek pomiędzy kolanami, próbowała odnaleźć w torbie kartkę i pióro.

— Poradzi sobie — powiedział Bill, ciągle patrząc na Jacka.

— Mężczyźni! — warknęła Keely, oddając Jackowi do potrzymania butelkę, i poszła pomóc Sally. — Wszyscy są idiotami.

— Coś nie tak z twoją żoną, Jack? — spytał Bill Hunsberger, wskazując kciukiem na Keely, pomagającą Sally przytrzymać pakunki. — Z moją jest podobnie. Doktorzy nazywają to „baby blues”. Ja nazywam to bólem w kroczu. Kobiety, które przez dłuższy czas nie miały dzieci.

— Długi czas — zgodził się cicho Jack, albowiem odniósł wrażenie, że gdyby usłyszała go Keely, później musiałby za to słono zapłacić. — To nie jest moja żona. I to nie jest moje dziecko. — Nie wiedział, dlaczego musi podzielić się tą informacją z nieznanym, ale stwierdził, że jest to dla niego istotne.

Nie sprawiło to żadnej różnicy, ponieważ Bill i tak nie słuchał.

— Jack, jak się ma twój bliźniak? Tim? Wszystko w porządku z jego ręką mistrza? Szkoda, że to twoje kontuzjowane ramię nie może mieć też zastępcy bliźniaka, co? Ale drugi Trehan ciągle jest w najwyższej formie? Miałem na myśli, że Tim pewnie teraz dosięga piłką samego piekła, co?

— Tak, dosięga piłką samego piekła — powiedział Jack. Zaciśnął zęby, podpisując kartkę, którą podała mu Sally. — To było wspaniałe spotkanie Bill, ale musimy już lecieć, zawieźć tę małą damę do domu i tak dalej. Keely, jesteś gotowa? Możemy iść do kasy?

— Niech się jej teraz odbije — rzekła bardzo łagodnie Sally Hunsberger, wskazując MiM.

— Twoja kolej, bokserze. Panie „Super Ego”. Panie „Jak To Nie Wiesz Kto To, I Nie Zamierzam Ci Powiedzieć Kim Jestem!”. Naprawdę mnie to nie obchodzi — powiedziała Keely, mijając kolejne półki i kierując się do kas. — I co najważniejsze, jestem fanką drużyny Mets. Nienawidzę Yankees.

— Ach tak, dynio? Wiesz co? W takim razie nie musisz zgadywać trzy razy, co ci powiem — zwalniam cię!

Odwróciła się, by mu spojrzeć w twarz.

— Och, wspaniale. W takim razie spieszę się do domu, a ty zabieraj się do swojego. Razem z MiM. Baw się dobrze. Wygląda na to, że ona zaraz po jedzeniu narobi w pieluchę.

Jack już otwierał usta, żeby jej powiedzieć: „idź do diabła”, gdy dotarło do niego ostatnie stwierdzenie. „Narobi w pieluchę” sprowadziło go na ziemię.

— Nie spieraj się ze mną, kobieto — ostrzegł z napięciem.

— I nie mów na mnie „dynio”! — Keely miała podobnie zacisnięte szczęki.

— Umowa stoi — zgrzytnął zębami, nienawidząc siebie. To był cios poniżej pasa. Mógł dostrzec urazę w błyszczących oczach Keely. Ale, kurde, niech się odchrzani, Panna Dobrze Ułożona!

— Umowa stoi — powtórzyła Keely. — Ale to ciągle twoja kolej, żebyś już przestał. Idę wypakować wózki.

Spojrzał na Keely. Popatrzył na MiM, leżącą obok piersi „matki zastępczej”.

— Boże — jęknął, wspominając nocną rozmowę z Cecily. — Powinienem być zwyczajnie powiedzieć „nie”.

— Znam to uczucie — przechodząc obok, powiedziała Sally Hunsberger. — Cholernie dobrze je znam.

4

*Znam przyszłość — ona jest taka sama
jak teraźniejszość, tylko dłuższa.*

Dan Quisenberry, miotacz

Keely siedziała pośrodku dzieciennego pokoju i zastanawiała się od czego zacząć. Kto powiedział, że pieniądze nie dają szczęścia? Trzy tysiące dolarów z kawałkiem (dokładnie licząc: trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt dwa dolary i pięćdziesiąt siedem centów) zawsze ułatwia załatwienie dostawy w tym samym dniu, i do tego z bezpłatnym transportem.

Całkiem niekiepsko, jak na pół dnia pracy. Cholernie dobrze, przecież jesteśmy przy forsie. No i nie było wcale tak strasznie.

W zasadzie wszystko całkiem dobrze się ułożyło. Prawie dobrze. W pewnym sensie dobrze. Wszystko ułożyło się nie całkiem paskudnie, dobra?

Od tego trzeba zacząć, że MiM była kochanym dzieckiem. Piła, gdy dostawała butelkę. Bekała, gdy klepnęło się ją w plecki. Robiła w pieluchy i spała. To było w porządku. Jednakże w momencie gdy Keely otwierała którąkolwiek z książek o opiece nad dzieckiem, za każdym razem przekonywała się, że jest jeszcze wiele rzeczy na ten temat, których do tej pory nie wiedziała.

Aktualnie MiM drzemała w swoim koszu, co pozwalało Keely przejrzeć zawartość wszystkich plastikowych reklamówek. Siedziała na podłodze w sypialni i starała się dojść w tym całym chaosie do ładu.

Rozejrzała się po pokoju, sięgając do pierwszej torby. Szukała miejsca na postawienie łóżeczka, na oszkloną szafkę i stół do przebierania dziecka. Trzeba pomyśleć o właściwym ustawieniu poszczególnych mebli, by nie utrudniać poruszania się po pokoju. Trzeba też pamiętać, aby łatwo można było w każdej chwili dojść do łazienki. Pokój miał dobre oświetlenie. Znajdował się po wschodniej stronie domu, był więc pełen słonecznego światła. Wymyśliła przyjemny dla oka układ kolorów. Tkanina w zielono-beżową kratkę z brązowymi, tańczącymi misiami.

Ściany należałoby pomalować trochę ciekawiej niż na tę oklepaną biel. Ale to może jeszcze poczekać. Ważniejsze jest ustalenie porządku rzeczy, zaplanowanie całego systemu dla MiM i dla siebie.

Przyjrzała się paczce, którą wyjęła z pierwszej reklamówki.

— Coś tak głupiego, że na pewno poruszyłoby kuzynkę Jacka — powiedziała przyglądając się kompletowi do „Zrób to sam”, niezbędnemu, gdy chce się zrobić w gipsie modelarskim odcisk nóżki i rączki dziecka. Wstała i zaniósła pudło do wielkiej garderoby. Umieściła je wysoko na półce. Pewnie się o nim zapomni.

Następnie na poważnie zabrała się do pracy. Obok stołu do ubierania dziecka ułożyła stos pieluch, jego zaś szuflady wypełniła podkładkami i prześcieradłami. Zaniósła wszystkie kąpielowe akcesoria do łazienki. Jak będzie wolna chwila, trzeba pamiętać, żeby je wymyć przed użyciem.

Keely była osobą schludną i staranną. Nie działała pod wpływem jakiegoś kaprysu. Zwyczajnie uważała, że lepiej jest kłaść wszystko na odpowiednie miejsce. Blaty stołów były inspiracją do doboru rodzajów i koloru kwiatów. Drobiazgi i akcenty dekoracyjne mówiły przecież dużo o guście i sposobie życia właściciela. Garderobę traktowała prawie jak fetysz. Pasjonowała się organizacją przestrzeni, zabudową półek i dobranymi kolorystycznie do wszystkiego szafkami na buty.

Około godziny później poczuła się kompletnie sfrustrowana. Niejednokrotnie w przeszłości urządzała pokoje dziecinne,

jednak zawsze chodziło o wystrój prawdziwego, wspólnego mieszkania z dzieckiem. Nie było sposobu na zorganizowanie samego dziecka. To jedno okazało się zupełnie niemożliwe.

Pojemniczki z zasypką i tonikiem, wazelina i chusteczki muszą stać na wierzchu. Nie dostarczają niestety wrażeń estetycznych. Wielka paka pieluch na pewno powinna znajdować się w garderobie. Należy tylko pamiętać, żeby wypełnić pieluchami szufladę pod stołem. W przeciwnym razie, mając na blacie MiM z gołą pupą, będzie musiała biec kawał drogi po jedną czystą pieluchę.

— Dzieci robią tyle bałaganu. Rozwalają się, jak olbrzymi małopod i zajmują wszędzie tak dużo miejsca — stwierdziła, opierając ręce na biodrach.

Rozejrzała się po pokoju. Reklamówki znikły. Prawie wszystko rozmieściła już na półkach. Zasała też łóžeczko harmonizującą z całością pościelą. Pokój wyglądał na kompletnie urządzony, ale w dalszym ciągu nie stanowił jedności.

— Jestem zmęczona — podsumowała. Przeciągnęła ręką po włosach i zaczesła kręcone loki za uszy. — Czas na małą przerwę, szklaneczkę czegoś zimnego i miękki fotel...

W tym właśnie momencie Keely zdała sobie sprawę, że wydanie jednego poranka prawie czterech tysięcy dolarów, plus dwie godziny pracy nad urządzeniem pokoju MiM, nie zbliżyło jej wcale do realizacji planu zaaranżowania reszty domu.

Jedynie sypialnia MiM była umeblowana. Pokoje na górze stały puste. Wyjąwszy apartament pana domu, który wyglądał... żałośnie. Niestety taki był. Równie dobrze można było mieszkać pod mostem.

Na dole... W całej tej pieczarze stało tylko jedno jedyne olbrzymie krzesło, któremu dawno temu powinno się sprawić pogrzeb. Była też tyczkowata lampa z lat sześćdziesiątych i monstrealnej wielkości telewizor. Musiałaby użyć wszystkich swoich zdolności, aby jego otoczenie rozplanować w taki sposób, by nie kojarzyło się z teatrem dla zmotoryzowanych. Najbardziej logicznym umeblowaniem mogłoby być stanowisko sprawozdawcy i otwarte pudełko kondomów.

Minęła pustą jadalnię i weszła do prawie pustej kuchni. Ucieszyła się widząc, że MiM wciąż śpi. W domu, który urządziła poprzednio, początkowo także nie było żadnych mebli, ale przynajmniej można było znaleźć coś do zjedzenia.

Keely wetknęła głowę do wnętrza lodówki. Próbowwała wymyślić, co mogłaby zdziałać za pomocą ketchupu, musztardy, trzech ostatnich butelek odżywki przygotowanych przez Cecily, oraz trzech, miała nadzieję, że niezbyt starych jajek. Nagle tuż przy niej, podchodząc bezszmerowo, odezwał się Jack.

— Głowa do góry. Właśnie zmierza do nas na kontrolę ciocia Sadie.

Keely absolutnie nie przejęła się jego słowami, ale zaskoczyła ją. Z tego powodu gwałtownie wyprostowała się a jej głowa stuknęła boleśnie o kant lodówki.

— Cholera jasna, Trehan! — wybuchła, rozcierając guza.

W tym momencie MiM obudziła się i z miejsca zaczęła wrzeszczeć.

— Spójrz, co narobiłeś! — Keely wskazała na MiM, której buzia momentalnie zrobiła się ogniście czerwona. — Obudziłeś dziecko.

— To ja obudziłem dziecko? — powiedział Jack, unosząc brwi. — W jaki sposób? Czy trzasnąłem drzwiami wchodząc? Czy tupałem nogami? Nie. A może wrzeszczałem? Niiieeee, więc oczywiście to nie ja, prawda? Ja? Ja pilnowałem dziecka, całkowicie wbrew swojej woli, podczas gdy ty bawiłaś się na górze całe dwie godziny. Następnie zrobiłem sobie małą przerwę, żeby porozmawiać z ciotką i opowiedzieć jej, co się dzieje. Na palcach wróciłem, na palcach podszedłem do ciebie, szepcząc... ale ty reagujesz irracjonalnie.

Boże, jaki on był zadowolony z siebie! Ten człowiek był naprawdę... *zadowolony*. Keely stwierdziła, że naprawdę nienawidzi takiej pewności siebie w facecie, nawet, jeśli ma najpiękniejsze, kobaltowobłękitne oczy. Jeszcze bardziej wtedy, gdy jego oczy są koloru najpiękniejszego kobaltowego błękitu. Cholera jasna, bez porównania bardziej, ponieważ do tego wszystkiego miał jeszcze rację.

A więc Keely, mając rację czy nie, wybrała oburzenie i kontynuację ataku.

— Znowu zostawiłeś dziecko samo? Jak mogłeś to zrobić? — spytała, odpinając pasek i biorąc MiM w ramiona. — Co za kretyń zostawia dziecko bez opieki? Najpierw w samochodzie, a teraz tutaj. Już drugi raz. Jeżeli nie chcesz być odpowiedzialny, Trehan, zadzwoń do swojego kuzyna, Joeya. On nie mógłby tego wszystkiego zrobić gorzej od ciebie.

Jack podniósł rękę.

— Pięć minut. Wyszedłem tylko na pięć minut. Góra dziesięć. Chryste, ona spała... chrapała.

Keely posłała mu jeszcze jedno ohydne spojrzenie, potem otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę.

— Proszę — powiedziała, podając ją Jackowi. — Usuń powietrze tak, jak mówił tamten dzieciak. Ja zmienię jej pieluchę tutaj, na podłodze. Potem zadzwonię do sklepu i zamówię jeszcze jeden stół pomocniczy. Muszę go mieć tu, na parterze. I paczkę pieluch. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej.

— Jeśli sobie przypominasz, mówiłem ci, że potrzebujemy dwóch. Niemniej muszę ci zadać jedno pytanie. — Jack trzymał przed sobą butelkę. — Odśwież moją pamięć, McBride. Gdzie w naszym kontrakcie jest napisane, że będę spełniał twoje rozkazy?

MiM usadowiła się wygodniej na rękach Keely i z upodobaniem zaczęła ciągnąć ją za włosy, próbując wetknąć sobie do ust kilka jej loków.

— Błagam o wybaczenie, panie Wielka Gwiazdo Baseballu przyzwyczajony do tego, że wszyscy padają przed tobą placikiem — odgryzła się Keely. — Proszę, usuń powietrze tak, jak mówiła tamta dziewczynka ze sklepu. Masz. Czy tak jest lepiej?

— Nie podobasz mi się, McBride — powiedział Jack z mieszanymi uczuciami. — To znaczy... że naprawdę, faktycznie i definitywnie nie podobasz mi się.

— Ach, słyszałaś to, kochanie? — powiedziała Keely, próbując wypłatać tłuste paluszki MiM ze swoich włosów. Ten dzień

był stanowczo przydługi. Tak czy owak. Cała ta jej nowa i niespodziewana praca. Wieści od Gregory'ego Fontaine'a i cała reszta. Rozdrażnienie Keely zawładnęło jej zdrowym rozsądkiem i sprawiło, że zapomniała o braku równowagi na swym koncie bankowym.

— Tatuś już mamusi nie kocha. Ale ciągle jej potrzebuje i to doprowadza go do szaleństwa. Ładnie to tak?

— O to chodzi! To znaczy, że... to... że jest... Zwalniam cię, McBride, i tym razem definitywnie. Wyślę ci czek za twoje usługi i idź już. Psiakrew, już trzecia. O szóstej... Opuść ten dom. Ciocia nie może zobaczyć MiM, dopóki nie wykombinuję co dalej robić, ale niech mnie szlag, jeśli ścierpię cię tutaj jeszcze jedną minutę. Nadażasz za mną?

— Hop hop! Jestem tutaj. Gdzie masz to dziwne dziecko?

Keely z opóźnieniem zorientowała się, że nie jadła przez cały dzień i niski poziom cukru w jej organizmie wywołał u niej samobójcze reakcje. Bo inaczej jakże by mogła zaprzepaścić jedyną szansę nabicia sobie forsy kieszeni? Odwróciła się w stronę wchodzącej właśnie do kuchni kobiety.

— Ciągle to samo — powiedziała beztrzesko Sadie Trehan. Szła przez jadalnię w kierunku Keely i MiM, machając rękoma. — Och, spójrzcie na to. Jaka ona słodka! Zupełnie jak laleczka. Generalnie nie jest podobna do mojego, świętej pamięci, szwagra. Nikt go nie opłakiwał. Dzięki Bogu i wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie. Nie ma też nic z Florence. Co jest tylko błogosławieństwem, jeśli wziąć pod uwagę, że byliśmy z Flo jednojajowymi bliźniaczkami. Ciągle mi się wydaje, że Florence oszukała męża i ojcem jej dzieci był mleczarz. A kim ty jesteś? — spytała.

Dobre pytanie. Keely nie była całkiem pewna. Nie była pewna od momentu, gdy wczesnym rankiem po raz pierwszy zobaczyła głowę Jacka Trehana, wystającą zza drzwi. Wszystko, co wydarzyło się później, było raczej surrealistycznym doświadczeniem. Wymioty, papierowe ręczniki, śliskie niemowlę, obsłizgły Gregory Fontaine, ten drań. Jej pracodawca, przeistoczony w sławnego gracza baseballu.

Ale Sadie Trehan była zwieńczeniem tego wszystkiego. Niska, pulchna, w sposób harmonijny dopasowana do całości. Była jedną z tych kobiet o kolorowych jak jabłko policzkach, które nie wiadomo, czy mają czterdzieści, czy osiemdziesiąt lat. Takie panie, które nigdy się nie starzeją. Miała srebrnosiwe włosy, ogromne niebieskie oczy i do przesady białe sztuczne zęby.

Wszystko było jak należy. Dokładnie. Jednak, żeby dopełnić charakterystyki Sadie Trehan należałoby jeszcze dodać, że nosiła błękitną koszulkę z Myszka Micky. Miała też jasne zielono-żółte bermudy oraz różowe puszyste pantofle w kotki. Otóż to. Wszystko to wyglądało trochę dziwnie na Włościach Szczęśliwego Trehana.

— Ja... nazywam się Keely McBride, pani Trehan. Rozmawiałyśmy telefonicznie w zeszłym tygodniu. Wynajęła mnie pani — wydukala w końcu Keely, podsuwając Jackowi MiM. — A pani siostrzeniec właśnie mnie zwolnił. Tak więc odchodzę, wracam do normalności, jeśli mi się poszczęści. Miło mi było panią poznać.

— Johnie Jacku Trehanie, co najlepszego narobiłeś? — spytała Sadie i przytrzymała Keely za rękę, gdy ta chciała uciec w stronę drzwi. — Mówiłeś mi, że Keely odwaliła dzisiaj kawał dobrej roboty, zajmowała się dzieckiem, umeblowała pokój dziecinny. Czy może źle zrozumiałam? Sądziłam, że ostatecznie już zapanowałeś nad swoim posępnym nastrojem i złymi manierami. A więc nie będziesz mógł już nigdy grać w baseball? I cóż z tego? To jeszcze nie oznacza, że masz rzucać się jak jakiś warczący niedźwiedź, kąsać wszystkich. Mamy tu dziecko, potrzebujące twojej pomocy. Mamy też dom tak pusty, że słyszę echo moich słów, co nie jest dla mojego ucha zbyt przyjemne. Czyżbyś nie zauważył, że są rzeczy ważniejsze niż gra?

Keely przyglądała się rozbawiona, jak Sadie Trehan zmieniała dużego Jacka Trehana w małego chłopczyka, w zawstydzone dziecko, które wciąż ma jeszcze ochotę uderzyć coś, lecz wie, że jeśli tylko spróbuje, zostanie ukarane.

— Przepraszam, ciociu Sadie — powiedział Jack. Podszedł do Keely i oddał jej dziecko. — Sądzę, że należą ci się przeprosiny. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy przy MiM. Na jakieś kilka dni, aż nie wykombinuję czegoś innego — przyznał. — To nie twoja wina, że masz cięty język i podłe usposobienie.

— Rany, wielkie dzięki — powiedziała Keely, tocząc oczami. — Przypomnij mi, gdy to się wreszcie skończy, abym poprosiła cię o wystawienie referencji dla moich przyszłych klientów. Teraz proszę o wybaczenie, lecz muszę zabrać MiM na górę, by ją przewinąć. A później musimy rozejrzeć się za czymś do jedzenia, w przeciwnym razie niewątpliwie zagryziemy się na śmierć.

Doszła zaledwie do drzwi i zatrzymała się. Westchnęła i wzruszyła ramionami. Ten mężczyzna, będąc złym przykładem dobrego wychowania, okazał się jednak obdarzony sumieniem.

— Wyśmienicie — powiedziała, wchodząc z powrotem do pokoju. — Powiedziałeś, że przepraszasz. Chcę, byś usłyszał to samo: przepraszam. Zachowałam się jak pierwszej klasy jędza. Potrzebuję tej pracy, Trehan. Jeszcze gorzej. Potrzebuję tej pracy tak rozpaczliwie, że gotowa jestem znieść każde przeciwności losu. To faktycznie strasznie mnie nakręca. Jak wiesz, nie chodziłam do szkoły po to, aby uczyć się opieki nad dziećmi. Miałam własny sklep na Manhattanie, ale zbankrutowałam. Facet, którego głos słyszałeś na automatycznej sekretarce, był moim poprzednim szefem. A kiedyś także kochankiem. Wielką straszną pomyłką. Teraz powiada, że przejął dzierżawę mojego sklepu i oferuje ponowną współpracę, fałszywiec. Tak oto, sam widzisz, że nie jest to mój najlepszy dzień.

— Nie wiedziałem. A to pech — przerwał Jack. — Wybacz mi, oceniłem cię po tej dyni... przepraszam.

— No, tak. Przykro mi tylko, że opuszczając Manhattan nie przywalałam Gregory'emu Fontaine'owi w ten jego świński ryj. Zdarza się. Ale ten etap życia mam już za sobą. Wkrótce o nim zapomnę. Obecnie wygląda to następująco: wróciłam z podkulonym ogonem do domu, do Ałlentown. Pomagam

cioci w sklepie, podczas gdy ona spędza miesiąc miodowy na greckich wyspach. Jestem po uszy w długach. Wiem, że i tak mam szczęście. Mam dach nad głową. Mam również prowizję. Pięćdziesiąt procent od każdej transakcji aż do powrotu cioci. Zrobię wszystko, aby zachować tę pracę. Będę opiekować się MiM, wyprowadzać psa, czyścić basen. Wszystko, co rozkażesz. Nie cierpię siebie ani ciebie, ale będę cholernie dobrze pracować. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że nie planowałam zostać Ostoją Spokoju Ogniska Domowego. Teraz zamierzam zacząć od początku, upiekę dzisiaj ciasteczka, może wszystko się poprawi?

— Gdzie ogon, gdzie uszy i głowa? Słoneczko, żadnych ciastek. Zrozumiano? Chyba powinienem zapytać od czego masz te pięćdziesiąt procent? Chyba pamiętasz szkody, jakie wyrządziłaś dzisiejszego poranka. Od tego czasu zaprojektowałaś umeblowanie tylko jednego pokoju, a ja zostałam wykorzystany. Zmusiłaś mnie do płacenia sporych kwot z mojej renty.

— Nie wierzę w to, panie hrabio. Założę się, że twój kontrakt ma więcej zer, niż zdołałabym policzyć. Mam jedynie nadzieję, że któreś z tych zer będzie moje. I co było dalej? Och, tak. Okazałeś się darem niebios, Trehan, moim ocaleniem. A później wrobiłeś mnie w to dziecko, uzależniając od tego moje zatrudnienie. Nie wiem o dzieciach więcej, niż nauczyłam się z filmów, telewizyjnych programów rozrywkowych czy reklam. Niestety. Jednak to nie przesądza przecież o tym, że nie potrzebuję twoich pieniędzy, a ty nie potrzebujesz mojej pomocy. Nie lubisz mnie? Wspaniale. Nie załamie się z tego powodu. Z tego, co widzę, ty również jesteś cholernie przyzwyczajony do chodzenia własnymi ścieżkami i bycia traktowanym jako as, bohater sportowy. W porządku. Och! Jestem pod wrażeniem. Nie. To, nie o to chodzi. Chcę zwyczajnie pracować i otrzymać za tę pracę tyle pieniędzy, ile to możliwe. Wtedy będę mogła opuścić Allentown i wrócić tam, gdzie czuję, że naprawdę żyję. Możesz to chyba pojąć, prawda? Wydaje mi się, że nie byłeś jedynym, którego odesłali do średniej ligi. Nie jesteś też, do cho-

lery, jedynym, który chce upiec własną pieczeń przy cudzym ogniu. Aha, i jeśli nie przestaniesz nazywać tego biednego porzuconego dziecka MiM, to chyba coś ci zrobię. Czy teraz już wszystko jest jasne?

— Jasne jak słońce. I obiecuję nie przeklinać przy dziecku.

— Oh, Jack, Jack, Jack, Jack. — To była Sadie. Uśmiechnęła się tak szeroko, zupełnie jak Myszka Mickey na jej podkoszulce. — Nie pozwól jej odejść, bo nigdy więcej nie znajdziesz tyle uczciwości w jednym kawałku.

— Ucisz się ciociu Sadie. — Jack pogroził jej palcem, co spowodowało, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Zabrał z blatu kluczyki od samochodu i skierował się do drzwi. Trzymając rękę na kłamce, odwrócił się do Keely. — Zajmij się M... dzieckiem, dobrze? Niedługo wrócę.

— Cóż, to było całkiem miłe, nieprawdaż? — spytała Sadie, gdy trzasnęły drzwi. -Zaoferowałam ci swoją pomoc, lecz nie wiem nic na temat niemowląt i obywałam się bez tej wiedzy sześćdziesiąt lat. Nie chcę kłaść przeszłości. Ponadto za dwadzieścia minut zaczynają się moje zajęcia na kursie ceramiki, a muszę jeszcze wpaść po Mitzi. Lubisz dynie? Co za zbieg okoliczności? Zaczynamy właśnie dzisiaj robić dekoracje na Halloween. Mamy już dynie. Zamierzam swoją pomalować na różowo. Nie robię tego tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. To byłoby beznadziejnie nudne. Po prostu uwielbiam róż.

— Różowe dynie? — spytała Keely, gdy tylko Sadie przebrała, by złapać oddech. — Przecież, domyślam się, że... przypuszczam...

— Nieistotne. Zrobię dla ciebie jakąś. To przynajmniej potrafię zrobić. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam Jacka tak podnieconego. Od momentu przejścia na rentę strasznie długo był przygnębiony. To urocze, że mogłam ponownie zobaczyć ogień w jego oczach. Nawet Timothy nie miał wpływu na to, że jego brat całymi dniami siedział pośepny, użalając się nad sobą i robiąc złośliwe uwagi. Mało brakowało, jak sądzę, a stoczyliby

walkę na pięści. No, ale znowu odżył. Widzę to. Ale jeżeli byś chciała posłuchać rady starszej kobiety, spuść trochę z tonu. Teraz, gdy masz to co chciałaś. Lepiej, żeby cię znowu nie zwolnił. Będiesz dla niego dobra. Wiem o tym. Ty i to maleństwo. Och, zastanawiam się, czy wiesz, że mleko dla dziecka należy podawać ciepłe? Och, nie przejmuj się. Naprawdę nie chcę cię sprawdzać. Cóż, muszę już lecieć!

Keely otworzyła usta i podniosła palec do *góry*. Była już bliska przywołania Sadie Trehan z powrotem, ale szybko zrezygnowała z tej myśli. Lepiej chyba zostawić rzeczy ich biegowi.

— Podgrzać odżywkę? Brzmi to sensownie, ale jak to mam zrobić? Poczekaj. Kupiliśmy przecież mikrofalówkę. Jak mogłam o tym zapomnieć? Czy kiedykolwiek uda mi się nad wszystkim zapanować? Trzymaj się, kochanie — poleciała dziecku zmierzając na górę.

Zatrzymała się na najwyższym stopniu i wyjrzała przez okno akurat w momencie, gdy Sadie energicznie ruszała z podjazdu, prowadząc mały czerwony kabriolet. Przypuszczam, że dobrze zrobiłam nie próbując jej zatrzymać. Cóż za dziwna nieracjonalna kobieta. Ogólnie rzecz biorąc, jednak sympatyczna. Co za dziwaczni krewni! No dobrze, zmienimy pieluszkę i przypudrujemy pupkę. I dokładniej przeczytamy wskazówki na nalepkach butelek, które kupiliśmy. Następnie sprawdzimy co pan Spock radzi robić dalej. Poza tym wszystkim skończyłam przecież studia. Potrafię czytać instrukcje. Ułożyłam już jakiś plan, nieprawdaż?

W ostatniej chwili, wyjeżdżając z garażu, Jack zdecydował, że dobrze mu zrobi długa przechadzka. Przejazdka mogłaby zakończyć się jakimś drogowym szaleństwem. Lada chwila wybuchnie.

Chryste, co za ranek! Dziecko na progu, jędra w kuchni, a Sadie, jak zwykle, dobrze się bawi.

Nie miał nawet możliwości, by zobaczyć na ESPN wyniki meczów. Nie chodzi o to, że świat się zawali, jeśli nie będzie

wiedział, jak wczoraj zegrali Yankees. Nikt z Yankees nawet nie zadzwonił, żeby spytać jak mu leci.

Nikt nie napisał. Nikt nie zatelefonował. Nikt go nie wyklął.

Przeszedł już do historii. Rozgrywający, który mógłby znaleźć się w Sali Chwały. Teraz jest już tylko tematem poobiednich rozmów na bankietach młodych sportowców. A mecze z jego udziałem to już przeszłość.

W tym samym czasie Tim prze ciągle do przodu. Łapiąc piłkę. Walcząc. W przyszłym miesiącu sięgnie po główną wygraną w zespole Ali Stars. Otoczony dziewczętami. ESPN doprasza się o przeprowadzenie z nim wywiadu. W restauracjach dostaje najlepsze stoliki. Jest rozpoznawany na ulicach. Spotyka się z kumplami i opowiadają sobie dowcipy.

Nie musi, cholera, dorastać!

Ta myśl zastopowała go w momencie, gdy właśnie miał kopnąć kamień, leżący na trawniku. Dorastać? Czyż on nie był dorosły? A może nie chciał być tak do końca dorosły?

Gra. Sadie nazwała jego zawód grą. Tym była też dla kibiców. Natomiast dla działających pomiędzy białymi liniami było to, psiakrew, znacznie więcej niż po prostu gra.

Scrabble było grą. Pchełki były grą. Baseball? Psiakrew, baseball był sposobem życia.

Wyrwał garść trawy i usiadł, opierając się o drzewo, aby rozważyć parę spraw. Baseball nigdy nie był dla niego tylko grą. Nawet, gdy był nazywany grą, to co się działo na polu, nazywano graniem meczu. Zamknął oczy i przypomniał sobie cytata z Pete'a Rose'a: „Przeszedłbym piekielne męki, by zagrać w baseball”.

Jack był całkowicie pewien, gdzie Pete wypowiedział to zdanie, ten krzyk serca.

Wiedział, że dla niego nie było nic ważniejszego od baseballu. On nawet nie starał się niczego innego poznać. Żył dla całego widowiska, odgłosów, zapachów. Pamiętał spojrzenie na jego napiętą twarz, gdy kiwał się na piętach, jakby połączony z ziemią tylko powietrzem, podczas gdy podkręcona piłka rzu-

eona przez Jacka ze świstem przelatowała obok niego, wpadając z trzaskiem w rękawicę łapacza. Nic nie było ważne, tylko perfekcja gry. Jego szczęśliwe skarpety. Ten jego długi spacer na pozycję i czasami jeszcze dłuższy wolny powrót na miejsce, by odpocząć.

Kumple. Kibice. Napięcie.

Wszystko. Wszystko. Właśnie gry brakowało mu najbardziej. "Wiedza, mechanika, strategia. Moment, gdy trzymał piłkę w dłoni. Wybuch radości, gdy ją uwalniał. Kumple i głupie kawały jakie sobie robili, gdy wynik meczu był już przesądzony, bo było szesnaście do zera. Odgłos jego korków na podłodze, gdy wchodził do szatni. Cholera jasna! Uwielbiał to. Uwielbiał.

Strasznie do tego wszystkiego tęsknił.

— Boże — wymamrotał Jack, drapiąc się palcem po twarzy, jakby chciał wytrzeć z mózgu wspomnienia. — Straciłem możliwość grania. Mam pusty dom. Mam dzieciaka Cecily. I mam również przejmujący ból w dołku, gdy maleje mi stan konta bankowego. Wszystko to powoduje, że zaczynam wariować. Można się spodziewać tylko nicości. Mój dzień będzie kompletnie wypełniony, kiedy dodamy jeszcze czekającą mnie kontrolę podatkową.

Wstał, wygrzebał kluczyki z kieszeni i skierował się do garażu. — Trzeba z tym skończyć. Nienawidzę facetów godnych politowania. Jestem zarazem pewien, że podoba mi się bycie gościem honorowym. Sadie miała rację. Jestem pokręcony, emocjonalnie splątany. Coś powinno się wkrótce zdarzyć.

Keely wykręciła wózkem w prawo i przejechała do następnego rzędu. Nie udało się jej zrobić zakupów w olbrzymim hipermarkecie, gdzie mogłaby kupić wszystko za jednym zamachem, zaczynając od papierowych ręczników, a kończąc na delikatnych filetach. Manhattan był przeładowany delikatesami i małymi, specjalistycznymi sklepikami. Skomponowanie jednego posiłku mogłoby oznaczać konieczność odwiedzenia

czterech różnych sklepików, ceny zaś byłyby wystarczające, by złamać niejedno serce.

Skręciła do działu zarezerwowanego dla puszkowanych owoców, sosów i dziewięciu milionów różnorodnych makaronów. Szybko zabrała z dziecinnej rączki puszkę kukurydzy, którą mała złapała, gdy znalazły się zbyt blisko półki.

— Masz więcej macek niż ośmiornica, dziewczynko — powiedziała Keely, popychając jedną ręką wózek... i powodując nagle kolizję z innym wózkiem, nadjeżdżającym z przeciwka.

— Ojej, bardzo przepraszam — przeprosiła szybko, instynktownie sprawdzając, czy nic nie stało się dziecku. — Nie patrzyłam, gdzie jadę.

— Bez żartów, Sherlocku.

Keely spojrzała do góry i ujrzała cudowne, doprowadzające do szaleństwa, tak seksowne, ale jednocześnie potępiające, niebieskie oczy Jacka Trehana.

— To ty? Co tutaj robisz?

— Przypominam sobie dowcipy o kobietach za kierownicą... Jestem wygłodzony, oto masz powód. Można oczywiście zawsze skorzystać z usług McDonalda, lecz stwierdziłem, że jestem tym zmęczony. Dlaczego ty znalazłaś się tutaj? I kto za to zapłaci? — spytał, wskazując na porządnie wypchany wózek.

Keely przyjrzała się zawartości wózka.

— Midol i szampon są dla mnie. Za resztę przedłożę ci rachunek. Lubisz kurczaki? Pomyślałam, że moglibyśmy zjeść drób na obiad. Ale może nie zdawałaś sobie sprawy z faktu, że jeżeli mieszkam w twoim domu, to muszę także jeść? Postanowiłam, że mogę pójść na mały kompromis i gotować również dla ciebie.

Wskazała na białą torebkę leżącą w wózku.

— Chcesz pączka? Zjadłam już trzy, ale jeszcze dwa zostały. Ale może już gdzieś jadłeś?

Przyjrzał jej się z ukosa.

— Ty będziesz gotować? — powiedział to takim samym głosem, którym można by zapytać: „Ach więc to ty właśnie robisz bomby w piwnicy?”.

— Tak, umiem gotować — odpowiedziała Keely. — Aha, no i kupiłam dwie patelnie na te kurczaki. Wzięłam też kilka pieczonych ziemniaków. Stwierdziłam, że będę musiała zrobić trochę większe zakupy. Garnki, rondle, naczynia. Nie przepadam za papierowymi talerzami. I muszę cię w końcu zapytać... jak długo już mieszkasz w tym domu? Żyjąc jak... jak... cóż. To nie mogło być bardzo długo?

— Mniej niż tydzień — odpowiedział jej Jack, skręcając wózkiem w taki sposób, że mogli iść obok siebie. — Ten dom wybudowano w zeszłym roku. Sadie wprowadziła się nad garaże, ale ja nigdy nie planowałem, że będę tutaj mieszkał. Na pewno nie przez następne dziesięć lat czy coś koło tego. Mam mieszkanie na Manhattanie.

Keely dołożyła dwa długie cienkie pudełka spaghetti.

— Och, obowiązkowo mieszkanie na Manhattanie. Jestem pewna, że z widokiem na park. Szczęśliwi wypłacalni. Ja swoje miałam w Brooklynie na trzecim piętrze. Nie było w nim latem klimatyzacji. Zimą natomiast było kiepsko ogrzewane. Ale bardzo za nim tęsknię.

— Gdy podróżowałem z drużyną, posiadanie domu w Nowym Jorku było logicznie uzasadnione — powiedział Jack, wrzucając do wózka pięć puszek chili. Dodał dwie butelki salsy i wielką torbę płatków kukurydzianych. Rzucało się w oczy, że facet był koneserem dobrego jedzenia i miał strusi żołądek. Reszta rzeczy, które wrzucił do wózka to program telewizyjny, paczka suszonej wołowiny i słoik pikantnych kiełbasek.

— Wiesz, że jedzenie, które wybrałeś, składa się z przypraw, tłuszczu i konserwantów jako podstawowych produktów? Wydaje mi się, że jeśli pójdziemy tym przejściem, to znajdziemy miętę i coś na żołądek. Mogą się przydać. Tak więc, nie wracałeś tu nawet na chwilę... Nawet na krótkie odwiedziny poza sezonem?

— Tim, mój brat, ma tutaj w okolicy dom. Zwykle, jak bywam w mieście, to śpię u niego. Mój dom powstał jako odpis od podatku i tyle. Był to też sposób, aby Sadie miała swój własny kąt.

— Lubię twoją ciocię Sadie. Zrobi dla mnie różową dynię na kursie ceramiki. — Skręcili za róg do następnej alejki. Dziecko wydawało ochy i achy, gdy światła migały mu nad głową.

— Czy zwróciłeś uwagę — spytała po chwili Keely — że udało nam się porozmawiać? To nasza pierwsza normalna rozmowa od momentu, gdy rano się spotkaliśmy. To nawet przyjemne nie wbijać sobie cały czas szpilek, szczególnie teraz, gdy mieszkamy razem. Czy jesteś tak samo zdziwiony jak ja?

Zatrzymał swój wózek, więc musiała się do niego odwrócić.

— Co się stało? Co takiego powiedziałam, że reagujesz tak nerwowo? — spytała. Miała chęć walczyć z nim tak samo mocno, jak bardzo chciała rozmawiać. Ten facet rzeczywiście opacznie ją zrozumiał. Próżny bogacz! Wciąga powietrze w płuca i obserwuje, jak rosną jego akcje, a całą przyziemną robotę zostawia innym. Cały czas użala się nad sobą, jakby jego życie już się skończyło. Powinien kiedyś zostać bezrobotny i załamany, a wtedy byśmy zobaczyli, czy by mu się to spodobało! — Więc o co tym razem chodzi? Coś jest nie tak?

— Nic — stwierdził po chwili. — ja właściwie... to znaczy... Otóż będziemy mieszkać trochę razem, jak właśnie powiedziałas, ale tylko ze względu na MiM. Bez żadnych innych podtekstów. Nie chciałbym, żebyś wyciągała jakieś pochopne wnioski.

— Wyciągała jakieś... co?! Oj, bracie — wyrzuciła z siebie Keely, potrząsając głową. — Odejdź, Jacku Trehanie. Odejdź stąd natychmiast, póki twoja głowa ciągle jeszcze jest w stanie poprowadzić cię do drzwi i nie jesteś zbyt oszołomiony by trafić na parking. Wyciągać jakieś wnioski? Co za pomysł! Pyszne! Chodź, dziecko, sądzę, że mam bardzo dużą ochotę na zakup kosztownych cukierków i drogich lodów.

— Hej, uważaj... nie bierz wszystkich, och, do diabła z tym... — usłyszała jeszcze Jacka, gdy odchodziła w kierunku półtek.

Nie obejrzała się.

5

*... ale ze wszystkiego, co może usłyszeć miotacz
najsmutniejsze dla niego są dwa słowa: „Zdjąć go.*

Christy Matthewson, miotacz

Karty płatnicze i kredyt cioci Mary wykazywały od pewnego czasu spadkowe tendencje. Przynajmniej było tak do chwili, aż Jack Trehan podpisał czek na znaczną kwotę.

Poza tym w ciągu ostatnich dwóch dni Keely zrobiła kilka bardzo satysfakcjonujących zakupów. Wybrała się, z MiM na biodrze, do kilku sklepów z misją „szukaj i kup”. Do Macys Strawbridges, Sears, a nawet do Wal-Mart. Szaleństwo zakupów zaowocowało przedmiotami, jakich Whitehall od dawna nie widział. Poza tym Keely postanowiła nie nazywać niemowlęcia MiM. Stwierdziła, że lepiej już mówić „dziecko”, niż męczyć się z nieudolnym i wielce niekorzystnym przydomkiem MiM, który wszak przylgnął do małej bardzo silnie.

Stali się teraz posiadaczami tuzinów patelni i rondli, a nawet garnka do gotowania na parze, o którym Keely zawsze w tajemnicy marzyła, ale nigdy go sobie nie kupiła. Nabyła też prześliczne talerze w Pier One. Następnie, wykorzystując jako inspirację kolory owoców znajdujących się na talerzach, a więc niebieski, zielony, rdzawo czerwony i musztardową żółć, wyposażyła w odpowiednie akcesoria całą kuchnię.

A zatem przybył jeszcze komplet — drewniany klocek z doskonałymi nożami — do postawienia na blacie. Biały toster. Przybyła sokowirówka Cuisinarta, która powinna być wprawdzie powleczona złotem, ale i bez tego była straszliwie droga.

Mikser, ta stojąca pomoc kuchenna, miał silnik na tyle silny, że mógłby zmiksować beton.

Sprowadziła również olbrzymią wiszącą półkę z kutego żelaza. Należało ją zamontować nad centralnym blatem, a służyła do wieszania miedzianych rondli (zainstalowała ją McBride, mistrzyni wiertarek). Kupili też stół ze szklanym blatem stojący na metalowych nogach. Oczywiście wraz z zestawem czterech pasujących do niego krzeseł.

Pojawiła się również lampa wisząca w stylu Tiffany'ego, z motywem winorośli i owoców. Jej światło dawało niesamowite refleksy i odbijało się w szklanym blacie stołu.

Ciągle jeszcze brakowało drobiazgów. Zaplanowała na przykład coś do postawienia w rogu, obok francuskich drzwi, wiodących na patio. Mogłyby to być na przykład rośliny w fajansowych doniczkach, ale z tym nie musiała się spieszyć. Teraz przede wszystkim zajmowała się rzeczami niezbędnymi. Tak, Keely zdecydowała, że szklany owoc na kuchennym stole był konieczny.

W ten oto sposób zaczęła od kuchni. Dość szybko jednak przeniosła się do łazienek. Istniejące już tam boazerie w kolorze delikatnego beżu sprawiły, że łatwo przyszło jej dobrać kolory. Wyobraźnia pracowała. Następnie wystarczyło tylko trzymać się określonej tonacji, kupując zasłony, ręczniki, podstawki pod mydło czy puchate dywaniki. Umywalnię urządziła w tonacji niebieskiej i purpurowej. Główną łazienkę — w trawiastej zieleni i jasnej żółci. Łazienka gospodarza domu otrzymała kolor czarny i biały. Natomiast łazienka dla gości, z której Keely teraz korzystała, została zaprojektowana w tonacji brzoskwiniowo-zielonej. Resztę łazienkowych spraw zostawiła na inny dzień.

Niemożność doprowadzenia wykonywanej pracy do końca stresowała ją. Równie mocno irytowała ją konieczność ciągłego przerywania zajęć. Musiała przecież co chwilę sprawdzać, co robi dziecko, dopilnować gotującego się obiadu czy też wrzucić do pralki ręczniki. Starła się też jakby mimochod-

dem zorientować, gdzie w danej chwili jest Jack Trehan. Nie zawsze przesiadywał przecież w domu.

Nie o to chodzi, że ją aż tak bardzo interesował. Nie w przypadku, gdy na czas zjawiał się na posiłek.

Jednakże, hej, czy nie mógłby przejawiać choć trochę zainteresowania tym, co się dzieje? Nie, chyba nie. Jeśli wchodził pod prysznic i sięgał po suchy ręcznik, czy obchodziło go, że przeszła całą aleję, by znaleźć odpowiednią dla niego fakturę i właściwe wymiary? A czym się przejmował, gdy mógł zasiąść przy stole i napaść się upieczonym w piekarniku kurczakiem z podsmażanymi ziemniakami? Czy myślał wtedy, że gdy skrobała te ziemniaki, musiała w tym samym czasie trzymać na rękę to kapryśne dziecko? Czy wiedział, że tylko wtedy mała się nie darła?

Była jeszcze jedna ważna sprawa. Samodzielnie odbyła kurs opieki i żywienia niemowląt. To wcale nie było łatwe. Obejrzała taśmy wideo i przeczytała specjalistyczne książki. MiM była wzorowym dzieckiem. Ale to wcale nie oznaczało, że Keely była mniej nerwowa lub że miała ochotę spędzić cały dzień na rozmowie z kimś, kto w odpowiedzi mógł się jedynie uśmiechnąć. Czuła się zaniedbywana jak prawdziwa żona. Była zestresowaną i przepracowaną matką, a przecież, co za paradoks, nie była nawet mężatką.

Ten facet zaś był taki zapominalski. Chodził wokół jakby oszołomiony, godzinami patrzył w buczący telewizor, a następnie znikał bez śladu. Chodził nie wiadomo dokąd, zjawiając się znienacka ponownie w czasie posiłku. Potem brał prysznic i znowu oglądał telewizję. Dla niego Keely nie istniała. MiM także nie było.

I jeszcze inna sprawa: telefon nigdy nie dzwonił. Czy telefon nie powinien dzwonić przynajmniej raz na jakiś czas? Czy ten facet nie miał żadnych przyjaciół? Ale znowu, dlaczego miałby mieć? Nie był zbyt przyjacielskim typem, prawda?

W dalszym ciągu Keely nie mogła stwierdzić, czy trafiła się jej wymarzona, życiowa szansa. Facet ustalił reguły gry: ty opiekujesz się dzieckiem i ty urządzasz dom. Bez budżetu, żadnych

limitów, bez pytań w stylu „Czy mogłabyś pomalować ściany tego pokoju w kolorze moich oczu?”. Był pracodawcą, który nie chciał się do niczego mieszać. Każda dziewczyna życzyłaby sobie takiego szefa. Keely zatem nocami sumowała to, co wydała w dzień, potem dzieliła przez dziesięć procent, a następnie na dwa. Ciągłe nie pojawiła się jeszcze megaforsa, ale zarobiła już tutaj... hm, a dopiero przecież zaczęła. A w domu ciągle jeszcze było słychać echo.

Ale teraz już chciała i potrzebowała jego pomocy. Nie mogła przecież umeblować piętnastu pokoi bez jakiegokolwiek sugestii ze strony klienta. A w jaki sposób odgadnąć jego gust, bazując na jednym starym krześle, jednym telewizorze i lampie z dziewczyną na abażurze? To się nie może udać.

Tak więc powinien pojechać razem z nią na następne zakupy. Po prostu musi. Sztuka w tym, żeby znaleźć sposób, aby to sam zrozumiał.

— Potrzebujesz kanapy — powiedziała przy obiedzie w środę wieczór. Klapnęła miską z czosnkowym ziemniaczanym puree o blat stołu i usiadła naprzeciwko niego. Gdyby ktoś podglądał ich przez okno, zobaczyłby bardzo miłą rodzinną scenkę. Ale pozory często mylą.

— Potrzebuję mnóstwa różnych rzeczy — odpowiedział, sięgając do miski. — Kupuj je więc.

— W porządku. Zgoda. Kupię je. Ale /aide? Co lubisz? Meble w mieszczańskim stylu francuskim wydają mi się nieodpowiednie. Ale nie widzę cię również wśród modnych chromów. Pozostaje jeszcze problem z dostawą. Nie jestem w stanie zamówić indywidualnie wybranych tkanin, czasami jest też problem ze sklepem, w którym akurat mebli nie można kupić od ręki, a trzeba zamawiać. Nienawidzę tego.

Jack uniósł ręce, dając jej znak, żeby zamilkła.

— Nie nadążam. Dlaczego ma to być mój problem?

Keely momentalnie wyobraziła sobie, jak nakłada na łyżkę ziemniaczane puree i robi z niego katapultę, celując w jego twarz.

— Oj, nie wiem — powiedziała, zaciskając zęby. — Wydaje mi się, że to jednak jest również twój problem. Będziesz potem musiał mieszkać pośród moich wyborów. Na przykład, czy podoba ci się czarno-biały motyw, który zastosowałam w twojej łazience?

— To się nazywa motyw? — spytał Jack, unosząc brwi. — Dobra. Ach, załapałem. Cholera, że to jest motyw. Kto tak to nazwał? Myślałem, że miałem zwyczajne ręczniki?

— I dywaniki, i inne akcesoria, i... oj, zapomnij. Tak, masz ręczniki. Dzięki mnie masz ręczniki. A teraz potrzebujesz kanapy. Potrzebujesz także krzesół, lamp, dywanów i draperii. Tkanin na stoły, ściany. Mówisz, że chcesz, abym to wszystko sama wybrała? Chcesz wszystkie decyzje dotyczące wyboru mebli zostawić w mojej gestii, tak? A gdybym wymyśliła, że na ścianach jadalni najlepiej będzie się prezentować sztuczna skóra lamparta?

Jack okazywał już pierwsze oznaki zniecierpliwienia.

— Posłuchaj, Keely. Wiem, że uważasz to za bezsensowne, ale mnie to i tak zupełnie nie obchodzi, rozumiesz?

— Może zainteresowałoby cię, gdybym kupiła najmodniejsze, ale i najbardziej niewygodne meble, jakie tylko można znaleźć — przerwała.

— Naprawdę? Mieszkam teraz z jednym krzesłem i jakoś sobie radzę. MiM ma więcej mebli niż ja. Kto by się tym przejmował?

— Kto by się przejmował? Przez dwie ostatnie noce śpię na podłodze, a ty mówisz, kto by się tym przejmował?

— To kup sobie łóżko. Kup sześć łóżek. Mam sześć sypialni, prawda? Zwyczajnie i po prostu załatw to, dobra?

Keely usiadła z powrotem, potrząsając głową.

— Nie nadażam. Czy to depresja? Czy ty rzeczywiście • jesteś tak bardzo nieszczęśliwy z tego powodu, że nie będziesz mógł już więcej grać w baseball? Może powinieneś pójść do kogoś z tym problemem?

— Och, pięknie. Och, ślicznie— stwierdził Jack, odkładając widelec na stół. — Co będzie dalej? Czy teraz spróbujesz prze-

analizować mój przypadek, Keely? Do jasnej cholery, nie mam depresji!

— Stroisz sobie ze mnie żarty — powiedziała Keely, wstrzymując oddech. Jego spojrzenie powinno ostrzec ją, żeby trzymała buzię na kłódkę. Gdyby tylko jeszcze Keely reagowała na tego rodzaju ostrzeżenia!

— Zwyczajnie rozważam możliwość wynajmu tego domu. To wszystko — przyznał Jack, biorąc widelec do ręki i nakłuwając kawałek wieprzowiny. — Chciałbym, żeby dom został umeblowany, zanim zdecyduję co dalej z MiM, gdzie ją umieścić do powrotu Cecily. Potem prawdopodobnie wynajmę ten dom z umeblowaniem, jeśli skończysz swoją robotę, albo bez umeblowania, jeśli nie skończysz. Nie czuję się tu jak u siebie.

Gdy wspomniał o MiM, Keely dosłownie zamurowała.

— Gdzie chcesz ją umieścić? Gdzie zamierzasz ją oddać? Ona zostaje z tobą, tutaj.

— To niemożliwe — stwierdził krótko — Ja mógłbym... może pojadę do Japonii.

— Do Japonii? — Keely zamknęła oczy. Zdawała sobie sprawę, że powtarza za nim, że interesuje się czymś, czym nie powinna się interesować, że może posunąć się aż tak daleko, że wpędzi się znowu w spore tarapaty. — Co, psiakrew, jest w Japonii?

— Baseball — powiedział, a właściwie wyrzucił z siebie Jack. — Mógłbym tam rzucać. Tylko przez jakieś cztery czy pięć dni tygodniowo. Wtedy nie czułbym bólu w ramieniu. W dalszym ciągu mam jeszcze dosyć dużo mocy w ręku, by pograć ze dwa sezony. Nie w naszych wiodących drużynach, ale tam chyba tak. Będzie dobrze. Mogłoby mi się udać odzyskać siły w ramieniu. Mogłoby się to zdarzyć.

Keely ponownie usiadła przy stole i spojrzała na niego.

— Jesteś szalony — powiedziała szczerze. — Myślę, Trehan, że jesteś szalony. Masz szansę wykończyć sobie całkowicie to ramię, grając jeszcze parę sezonów baseballowych. W Japonii?! A co z dzieckiem?! Tak zwyczajnie i po prostu pojedziesz, zostawiając dziecko? Jak możesz to zrobić?!

Jack odsunął krzesło i wstał.

— Nie było tej rozmowy — odpowiedział jej, odrzucając serwetkę. — A wieprzowina w gulaszu była twarda — dokończył opuszczając kuchnię jak poirytowany mąż. Podczas gdy Keely została przy stole, jakby była sfrustrowaną i obrażoną żoną.

A przecież faktycznie nie byli nawet małżeństwem.

Jack wiedział, co jest nie tak z jego domem. Nie było w nim wystarczającej liczby drzwi. To było to. Pokoje mieszczące się na głównym piętrze tworzyły jakby jeden wielki pokój, poprzedzielany gdzieniegdzie ścianami, aby było wygodniej ustawić meble. Po co tracić czas na kupowanie łóżek? On potrzebował przede wszystkim drzwi. Drzwi, które można by zamknąć, odgradzając się od ciotki, dziecka i kobiety, która z taśmą mierniczą w dłoni pojawia się w miejscach, w których wcale nie chciałby jej spotkać. Murowany powód, dla którego znowu będzie musiał uważniej śledzić poziom środków płatniczych na swoim koncie bankowym.

Podniósł słuchawkę telefoniczną i wszedł do toalety. Zamknął za sobą drzwi. Czuł się idiotycznie. GWIAZDA BASEBALLU (BYŁA GWIAZDA) UKRYWA SIĘ W ŁAZIENCIE. Obejrzyj koniecznie film o dwunastej.

Świetne. Wybrał numer komórki brata.

— Tu Paradise Hotel, otwarty całą dobę. Nasza specjalność to „gorące łóżka”.

— O, świetnie. Proszę zarezerwować mi dwa pokoje z widokiem na park — powiedział Jack, kręcąc głową.

— O, cześć Jack — powiedział Tim Trehan. — Przepraszam cię za ten wstęp. Czekałem na telefon od kogoś innego.

— Mhm, słyszę, że tak. Jak jej na imię, jeśli w ogóle pamięta- *
łeś, żeby ją spytać o imię?

— Pamiętałem, pamiętałem. Daj mi chwilę. Trixie? Nie, poczekaj, ta była w Cincinnati. Dobra, już sobie przypomniałem. Jeśli jestem w Chicago, to w takim razie musi to być Suzanne. Widzisz? A ty myślałeś, że należę do tych facetów w stylu „kochaj i rzuć”.

— Jesteś taki — powiedział Jack, podchodząc do umywalki i zastanawiając się, czy Tim może słyszeć echo powstałe po odbiciu się jego głosu od glazury — Wczorajsza gra była zupełnie przyjemna. Widziałem na kablówce. Ciągłe tracisz za dużo w początkowych sekundach, a wtedy jesteś najbliżej zdobycia punktu. Ale, rzut jak zawsze masz znakomity. Ktoś musi przypalać ci tyłek w takich razach. Nic nie wygląda bardziej idiotycznie w szybkim, atrakcyjnym łapaniu niż jakiś głupi, błędny chwyt właśnie przez tę spaskudzoną sekundę.

— Ach, w porządku. Bracie, ty nigdy nie pozwoliłeś, żeby to trwało aż sekundę — odgryzł się Tim ze śmiechem. — Dobrze byłoby tak rzucać piłkę, bo miałyby się cholerną pewnością jej uderzenia. A więc o co chodzi?

— O nic. Patrzę jak trawa rośnie. Powinieneś spróbować, bo to bardzo relaksuje.

— Dzięki, nie skorzystam z tej mądrej rady. Chciałem zapytać, o co naprawdę chodzi. Słyszeć cię tak jakoś... głucho.

A więc Tim słyszał to echo.

— W porządku. Chciałem prosić cię o przysługę.

— Aaa, o przysługę. Jeśli ma to coś wspólnego z moim siusianiem do filiżanki i odgrywaniem przez ciebie ojcowskiego przesłuchania, to nie zgadzam się. Poza tym jestem pewien, że mamy takie same DNA.

To był ich stary kawał, ale Jacka ciągle bawił. Jako identyczni bliźniacy zamieniali się miejscami na szkolnych testach, wizytach u dentysty, a nawet jednej czy dwóch randkach.

— Nie, ale obiecuję, że to coś w tym rodzaju. Jednak muszę skorzystać z twojej pomocy.

— Wykrztuś to w końcu — powiedział Tim i Jack mógł usłyszeć, jak tamten chodzi po pokoju, pewnie szykując się na czwartą, do gry na Wrigley Field.

— Mort znalazł łowcę i przywozi go tutaj w piątek rano — powiedział Jack i poczekał na odpowiedź Tima.

— Łowcę? Jakiego łowcę? Łowcę skalpów czy łowcę talentów? Czy chodzi o nowo odkryty wielki talent? Mort załatwia ci rolę

w filmie? Byłeś wspaniały jako Mr Dental Floss, szczególnie dla mojego Mr. Six-year Molara w klasie pani Harrison. Jednak nie sądzę, abyś był gotowy na coś naprawdę wielkiego, brachu. Ale, słuchaj, to tylko moje zdanie. Co ja tam wiem? Ty się tym zajmiesz.

— To baseballowy łowca — powiedział Jack. A potem ciągnął szybko dalej, jakby sobie samemu tłumacząc: — Pewnie, że przeszedłem na rentę, ale Yankees i tak byli gotowi puścić mnie wolno, a mój kontrakt kończy się w przyszłym miesiącu. Im nie zależy czy jeszcze będę grać, póki nie zechcą tego robić gdzieś tutaj. Tak więc Mort zaaranżował spotkanie z łowcą jakiegoś japońskiego klubu baseballowego, który przyjedzie mnie zobaczyć. Nie chcę robić filmików reklamowych o paście do zębów, chcę rzucać piłkę. A ciągle jeszcze mogę ją rzucać, Tim. Nigdy więcej nie spróbuję już bardzo ostrej gry. Ani nawet gry w pierwszej lidze, tutaj w Stanach. Ale moje nazwisko ciągle jeszcze wystarczy, by w Japonii zapełnić miejsca na stadionach przez parę lat.

Na drugim końcu linii odpowiedziała mu długa i bezwzględna cisza.

— Tim? Tim, jesteś tam jeszcze? Słuchaj, oni dali mi taką możliwość. Dobra, po prostu pomóż mi. Nie mogę jeszcze porzucić grania, Tim. Nie jestem na to jeszcze gotowy. Ta próba generalna musi być utrzymana w sekrecie, ponieważ nie chcę, żeby prasa się dowiedziała. Wróciłeś dzisiaj późno z podróży, a jutro rano wybierasz się do Philly, ale później spotkajmy się. Połapiesz dla mnie piłkę na boisku uniwersytetu. Jak za dawnych lat, Tim. Ja rzucam, ty łapiesz. Będzie to wyglądało, jakbyśmy ćwiczyli tylko we dwóch. Nikt nie zauważy różnicy. Tim. Powiedz coś. Tim, jesteś tam jeszcze?

— Jesteś szalony — odpowiedział w końcu Tim.

Jack zaczął pojmować sens tego wszystkiego. Dawało to już w sumie dwie osoby — Keely i teraz Tima. Oboje uważali, że oszalał. Mort uważał inaczej, gdyż miał dziesięć procent od każdego dolara zarobionego przez Jacka. Z tego powodu trudno go uznać za obiektywnego.

— W porządku, Tim, jestem szalony. Teraz zamknij na chwilę oczy i zastanów się nad tym, co powiem. W ciągu następnych pięciu minut usłyszysz dzwonek u drzwi. Wejdzie trener, aby poinformować cię, że jesteś bezwarunkowo zwolniony, chyba że odejdiesz na własne życzenie. Jesteś skończony, a w jego opinii, nie ma w całym kraju prawa dającego ci możliwość odzyskania kontraktu. I do cholery, on ma rację, prawda? Co byś zrobił, Tim? Przyjąłbyś ten policzek, zostałbyś do końca mężczyzną, pojechałbyś do domu i poszukał sobie jakiegoś hobby na następne pięćdziesiąt lat? Może struganie? Chciałbyś porzeźbić w drewnie, Tim?

— Jack... Jack, Jack, Jack — powiedział Tim, a Jack mógł w wyobraźni zobaczyć brata, jak siada na podłodze i potrząsa głową. — Nie chcesz przecież w ten sposób odejść. Żałosny, smutny patetyczny cień samego siebie sprzed lat, któremu szczyt karier' już minął.

— Szczyt? Właśnie do niego dochodziłem, Tim, i ty o tym wiesz. Gdyby nie ten miesiąc skręcający, ciągle bym na nim był, zbierając...

— Jack — przerwał mu twardo Tim — prawdopodobnie i tak znajdziesz się w Sali Chwały. To prawda, że w pierwszej lidze byłeś miotaczem przez siedem lat. Sandy Koufax nie grał wiele dłużej, a jest tam. No dobra, może nie będziesz na samym froncie, ale na pewno tam będziesz. Masz medale: dwa Cy Young, trzy World Series. Chcesz to wszystko zaryzykować dla gorszej gry, z mniej sprawnym ramieniem? Ludzie pamiętają najlepiej to, co oglądają na samym końcu. Chcesz, by pamiętali cię w koszulce Yankees, czy też rzucającego do pałkarza, ale wybijającego piłkę łukiem poza pole?

Jack usiadł na jedynym dostępnym tu sprzęcie.

— Nie mogę sobie z tym poradzić, Tim. Próbowałem, Boże, próbowałem, ale zwyczajnie nie mogę. Muszę jeszcze raz dać sobie szansę, przynajmniej spróbować powrócić do gry.

Znowu zapadła cisza, a potem Tim powiedział:

— Dobra, brachu. Wspomniałeś pole w Whitehall High? Mogę tam być w piątek, koło dziewiątej rano, tak? Czy to ci pasuje?

Jack odetchnął z ulgą.

— Dzięki, Tim. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

— Tak? Oczywiście, że możesz. Dlatego, że jak pamiętasz, ja łapię piłkę, którą ty rzucasz. Pamiętasz, nie? I jeśli mówię ci, że nie powinieneś tego robić, to cholera, zrezygnuj. Czy jesteś gotowy usłyszeć to ode mnie, od twojego brata?

— Nie, nie jestem na to gotowy — uczciwie odpowiedział Jack. — Ale wierzę ci. Do zobaczenia jutro rano. I dzięki.

Jack nacisnął klawisz rozłączający rozmowę. Opuścił łazienkę zastanawiając się, gdzie jest teraz Keely, Cudowna Kobieta Dekoratorka. Czy też przypadkiem nie wyskoczy nagle z pytaniem, jaki rodzaj drewna lubi bardziej: wiśniowe czy sosnowe?

Cisza. Nie było jej w bawialni, nie mierzyła draperii. Nie było jej także w pieczarze, nie oglądała niczego w telewizji. Nie widać jej było również w kuchni, chociaż coś wspaniale pachniało. Potrawka? Tak, potrawka. Lubił potrawkę, ale nie do tego stopnia, by jej o tym powiedzieć.

Spojrzał na zegar, który Keely powiesiła nad zlewem, pokazujący, ile czasu dzieli go jeszcze od obiadu. Zdecydował się pójść do garażu i trochę porzucać. Wziął oponę, powiesił ją na sznurze i przymocował mocną siatką do ściany garażu. Stojąc na zewnątrz w otwartych drzwiach, nagarnął na środek wzgórek kurzu i piachu w ten sposób oznaczając swoją pozycję. Przyłożył się i ustawił w postawie wyjściowej, przygotowując ramię do rzutu dokładnie w środek opony. W treningu był to sposób wykorzystywany od lat i teraz też zamierzał się nim posłużyć.

Rozcierał przez chwilę prawe ramię. Więc cóż, bolało. Bolało go trochę bardziej. Ale o co chodzi? Nie rzucał przecież od dwóch miesięcy. I może teraz trochę przesadził z trenowaniem go trzy razy dziennie. Lecz jeżeli to nie zadziała, będzie mógł odpoczywać do końca życia... i wcierać w klatkę piersiową trzy różne rodzaje maści.

Właśnie kierował się do tylnych drzwi, gdy coś usłyszał. Zatrzymał się. To była MiM. Płakała. Dźwięk dochodził od

strony tylnych drzwi. Odczekał sekundę, następnie znowu odwrócił głowę w kierunku drzwi. Zawahał się, trzymając rękę na klamce. Dzieciak ciągle płakał i to coraz głośniej.

Gdzie jest Keely? Dlaczego nie zabrała dziecka? Nosiła je tak często na biodrze, że można by pomyśleć, iż są trwale złączone.

Wycie MiM stawało się coraz głośniejsze i coraz niecierpliwse.

— Psiakrew — powiedział Jack, naciskając klamkę i wchodząc po schodach.

To nie mieściło się w jego planach. W żadnych planach. MiM była mu tak potrzebna jak następna operacja mięśnia skrętnego. Cholerna Cecily. Cholerna Keely, która pewnie nie dotrwa do końca swego przedsięwzięcia. A zasadniczo to on jest przeklęty, że wpakował się w ten cały bajzel. W chwili gdy znalazł MiM na schodach, powinien był zawiadomić Joeya, albo jeszcze lepiej — Pogotowie Dziecięce.

Oto co zrobiłby człowiek przy zdrowych zmysłach.

Jack przeszedł cały korytarz, zaglądając po drodze do mijających pokoi i rozglądając się za Keely. Wyglądało na to, że rozplynęła się w powietrzu.

Drzwi do pokoju MiM były otwarte, a jej wrzask wypełniał cały przedpokój. Jack westchnął i wszedł do środka. Zobaczył MiM, która siedziała na środku łóżeczka i próbowała dosięgnąć kwiatków wiszących nad jej głową. Blond loczki przylepiły się jej do głowy. Były pozlepiane mieszanką zasyпки, łez i prawdopodobnie gili z nosa. Miała czerwone policzki i patrzyła wielkimi niebieskimi jak przemoczone deszczem fiołki oczami. Przemoczone fiołki? Skąd mu się wzięło, psiakrew, takie porównanie?

Jack pokręcił głową i pochylił się nad łóżeczkiem.

— Hej, dzieciaku, co jest grane?

MiM popatrzyła na niego i ucichła. Jej dolna warga drgała jeszcze, a ciało się trzęsło. I nagle wyciągnęła do niego rączki. Jeszcze jedna łza spłynęła po jej pucołowatym policzku.

— No nie — powiedział Jack, cofając się. — Nieee, w życiu. Czuję się, jakbym cię miał rok, mimo że jesteś tu dopiero od kilku dni. To o wiele więcej niż dosyć, rozumiesz?

MiM wzdrgnęła się ponownie i zakwiliła. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze, na wpół wdychając, na wpół płacząc.

— To na mnie nie działa, dziecino. Ani trochę nie czuję się winny. Nikt mi nie powie, że mam grać rolę taty, kojarzysz? Nie tata. Nie, nie jestem tatą.

— Ta — powiedziała MiM, machając rączkami. — Ta-ta-ta! Jack wytrzeszczył oczy.

— Kto cię tego nauczył?

— Ta-ta-ta-ta-ta!

— Ja nie jestem twoim... — Jack obejrzał się przez ramię i zobaczył, że jest nadal sam w pokoju MiM.

— O, psiarew! — powiedział, odwracając się do dziecka. — Czy miałem jakiś wybór? Gdybym sobie poszedł, zaczęłaby znowu. Równie dobrze mogę wziąć ją ten jeden raz na ręce.

Spojrzał na poprzeczny pręt łóżeczka, zastanawiając się, jak go obniżyć. Pręt wyglądał, jakby był ruchomy. I pewnie można go było opuścić, lecz, jak zdecydował minutę później, jeśli się miało dyplom inżyniera. A on nie miał.

Sięgnął rękoma do łóżeczka i podniósł małą do góry, trzymając ją pod pachy. MiM przywarła natychmiast obiema mokrymi, lepkimi rączkami do jego twarzy. Jedną rączką złapała go za ucho, a drugą bezbłędnie zatkała mu usta.

— Ta-ta-ta-ta-ta!

Tata... to znaczy, Jack... w odruchu obronnym zaniósł ją na stół, położył i uwolnił się od jej paluszków. Wyciągnął z półki mały kawałek materiału w misiaczki i zaczął nim wycierać dziecko. MiM zaś patrzyła prosto w górę, na niego. Ciemne rzęsy miała ciągle jeszcze posklejane, różową buzię otwartą i ciągle śpiewała tę samą piosenkę — ta-ta.

— No i jak? Teraz lepiej? — spytał, nie zauważywszy nawet, że głos zrobił mu się miłszy i delikatniejszy. — Czy teraz masz już ochotę mi powiedzieć, co złego się stało? Hmm? — spytał, delikatnie trzymając ją za malutkie rączki. — No dalej, powiedz Jackowi, o co chodzi? Czy ta wielka, okropna Keely zostawiła cię samą? Zła Keely, zła Keely.

Dolna warga MiM znowu zaczęła się wykrzywiać. Jack szybko zorientował się, że przed chwilą zrobił groźną minę i zmarszczył brwi. Szczerząc się od ucha do ucha i nie zastanawiając się, dlaczego to robi, powtórzył: — Zła Keely, zła Keely.

MiM zamruczała, zagulgotała czy coś w tym rodzaju. Było to zdecydowanie ujmujące.

— Tak, właśnie tak — powiedział Jack zachęcająco. Mówił miłym głosem. Pochylił się nad dzieckiem i już pamiętał, by uśmiech był na właściwym miejscu. — Keely zła, Jack dobry, ale Keely zła... Nie to, że źle wygląda... trzeba przyznać... ale te jej gadki... to nastawienie...

MiM zamruczała.

— Och, wiesz o tym, nieprawdaż? Oczywiście, że musisz to wiedzieć, skoro przebywasz z nią cały czas. Biedne dziecko. Ale ona się stara, prawda? Zrobiła się tak nudna jak ja. Teraz pyszni się jak paw, chodząc wkoło. Zasuwa, jakby nigdy nie kładła się spać. Robi zakupy, gotuje, dekoruje, zajmuje się tobą i sprawia, że to wszystko, cholera, staje się tak proste. Podczas gdy ja jestem w złym humorze, ona daje mi odczuć, że wszystko sama załatwi. Nawet nauczy cię wiązać sznurówki. Sznurówki! Tego słowa, jak pamiętam, użyła Cecily. To coś nam powinno uzmysłowić, prawda? Ale, co też ona sobie tani myśli? Nie powinienem ci tego mówić. Jest zadowolona, gdy widzi, że jeszcze bardziej się tym wszystkim męczę.

MiM zmarszczyła brwi.

— Co? Myślisz, że przesadzam? — spytał dziecko. — Nie, nie przesadzam. Już pierwszego dnia to zaplanowała. Jest pomysłowa, a ja jestem użalającym się nad sobą idiotą. Cóż, będzie dobrze, dopóki będzie dobra dla ciebie, słodka kruszyno... Jesteś słodką kruszyną, co? Jeśli będziesz sucha i nie będziesz brzydko pachnieć. Wiesz, że masz najpulsniejszy brzusek...

Jack podniósł rąbek góry od piżamki, odkrywając okrągły brzusek. Nagle poddał się impulsowi, którego nigdy później nie rozumiał. Zniżył głowę, przycisnął swoje usta do brzucha

MiM i mocno dmuchnął... wydmuchiwał powietrzne bańki prosto na jej delikatną skórę.

A MiM zachichotała.

Naprawdę zachichotała!

Podniósł głowę i uśmiechnął się do dziecka.

— Podobało ci się? — spytał i poczuł się całkiem dumny z siebie. Pięć minut temu dzieciak darł się na cały dom, a teraz chichocze. Kto powiedział, że zajmowanie się dziećmi to taka cholernie ciężka praca? Cokolwiek może zrobić Keely McBride, on zrobi to lepiej, albo przynajmniej równie dobrze.

Znowu schylił głowę, wydmuchnął więcej powietrznych baniek... a MiM znowu zachichotała.

Puścił jej rączki, gdyż zaczęła wierzgać nogami. Ponieważ się nachylał, złapała go natychmiast za uszy i maciupenkimi paznokietkami próbowała wbić się w jego skórę.

MiM zachichotała.

Jack roześmiał się.

A Keely, stojąc za drzwiami, patrzyła na nich przez dobrą chwilę. Zamrugała szybko oczyma, jakby ukłuło ją coś ostrego. Następnie odwróciła się, zacisnęła mocniej na sobie ręcznik i poszła się ubrać.

Dziesięć minut później już schodziła na dół. Zaczęła dość głośno nucić jakąś piosenkę, żeby Jack w porę zorientował się, że nadchodzi. Skręciła do dziecinnego pokoju. Wchodząc, zobaczyła Jacka, stojącego przy stole. Miał nastroszone włosy, a jedną rękę trzymał na gołym brzuszku dziecka. Z twarzy mogła wyczytać pytanie „gdzie, psiakrew, byłeś”.

I to właśnie powiedział:

— Gdzie, psiakrew, byłeś? Utknąłem tu na godzinę przy tym wrzeszczącym dzieciaku.

— Godzina? — powtórzyła Keely, unosząc brwi. — Oj, wątpię, biorąc pod uwagę fakt, że weszłam pod prysznic pół godziny temu, a Mary Margaret głęboko wtedy spała. Wiem, bo sprawdzałam.

— Cóż, może wydawało mi się, że to była godzina. Miałem tyle do zrobienia, i nie miałem akurat czasu na opiekowanie się małą Mi... jak ją nazwałeś?

— Mary Margaret — powiedziała Keely, czując się trochę głupio. — Lub Margaret Mary. Tak też jest nieźle, prawda? Nie mogłam dłużej nazywać tego uroczego dziecka MiM. Wspominałam ci już o tym.

— Mary Margaret Morretti. Brzmi jak imię pupilki nauczyciela ze szkółki parafialnej.

— Wolisz Magenta Moon Morretti?

Jack spojrzął na dziecko.

— Nie nazwałbym tak nawet psa — powiedział, podnosząc Mary Margaret i podchodząc do Keely. — Twoja kolej. Muszę już iść.

Keely szybko ruszyła za nim, prawie deptając mu po piętach.

— Masz dokąd pójść, prawda? Ciagle z kimś się spotykasz? Wiecznie zajęty. Czym? Bierzesz lekcje japońskiego? Układasz list do Cecily, zawiadamiając ją, że zamierzasz oddać to słodkie maleństwo do jakiejś dobroczynnej instytucji, bo masz palącą potrzebę zabrania swego tyłka za morze? Jak możesz być tak bardzo... samolubny!

Zanim się zatrzymał, Jack najpierw doszedł do pierwszego stopnia schodów. Uniósł rękę i odwrócił się z ogniem w oku.

— Zamknij się!

Keely zrobiła krok w tył, przyciskając Mary Margaret mocno do siebie.

— Ojej, teraz naprawdę się przestraszyłyśmy — powiedziała z sarkazmem, który, jak ostrzegała ją ciocia Mary, skończy się kiedyś wywichnięciem szczęki i koniecznością zamilknięcia na sześć tygodni albo i dłużej. Ale ona się tym wcale nie przejmowała. Ktoś musiał dbać o interesy Mary Margaret i wyglądało na to, że to ona została wybrana lub zaplanowana, lub coś w tym rodzaju.

Jack podniósł rękę i ścisnął nimi głowę z obu stron.

— Czy ja ci płacę czy nie? Muszę być chyba całkiem szalony!

— Tak, Trehan, jesteś zupełnie szalony — ciągnęła Keely, przyciskając Mary Margaret tak mocno, że mała zaczęła pisać i próbowała się uwolnić. — Wiesz co, nie proszę cię tylko ze względu na dziecko, ale ja je mam, i ty je masz. Niech mnie trafi szlag, jeśli pozwolę ci od niej odejść. Ona to nie odpowiedzialność, czy niewygoda. Ona jest *dzieckiem*, żywą istotą. Potrzebuje rodziny.

— Nie jesteśmy jej rodziną. Ona ma prawdziwą rodzinę. My nią nie jesteśmy. Nawet jeżeli wezmę pod uwagę moje zaangażowanie się, ponieważ doprowadzasz mnie tą gadką do szaleństwa, to Mi... Mary Margaret nie jest moim problemem. Ja w ogóle nie przepadam za dziećmi.

Keely trzymała buzię na kłódkę około dziesięciu sekund, podczas gdy Jack patrzył na nią ponuro.

— Widziałam cię — powiedziała w końcu, podnosząc do góry podbródek.

— Widziałś mnie? Kiedy? Jak co robiłem? Co niby widziałś? Co to, do diabła, ma oznaczać?!

— To oznacza, Trehan, że widziałam cię z Mary Margaret. Puszczając bąbelki na jej brzuchu. — Spróbowała tak ułożyć wargi i cmoknąć raz czy dwa, aby naśladować odgłos puszcanych bąbli. Potem powiedziała jeszcze raz: — ciup, ciup, pop, pop. Naprawdę cię widziałam.

Uśmiechnęła się, widząc, jak Jack Trehan odwrócił się zmieszany. Jednak przedtem jego policzki zrobiły się czerwone z gniewu lub poczucia winy. A potem zbiegł ze schodów.

Wtedy Keely również odwróciła się i ruszyła korytarzem. Musiała jeszcze przed drzemką Mary Margaret zmienić jej pieluchę.

— Japonia — pokonany i przystosowany! Będzie musiał zostać właśnie z tobą, skarbie, a ty zostaniesz tutaj z nim. To przecież wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Gdy tylko przestanie mu być przykro i zda sobie sprawę z faktu, jak mówi ciocia Mary, że drzwi muszą być albo otwarte, albo zamknięte.

— Jeszcze mu pokażesz, bąku, obiecuję. — powiedziała do dziecka, całując je w czoło.

Położyła gaworzące niemowlę na stole i zaczęła zdejmować mu piżamkę.

— Ubierzemy cię, potem dostaniesz butelkę, a następnie pojedziemy kupić kanapę. To tyle na początek. Lubisz jeździć autkiem, kochanie? Jednak najpierw poćwiczmy jeszcze trochę, dobrze? Pamiętasz, jak to szło? Ta. Ta. Ta-ta-ta.

6

*Gdy jesteś w trudnym położeniu
i musisz dokonać wyboru,
masa myśli przelatuje ci przez głowę.
Jedną z nich było:*

Może powinienem się sam wycofać?

Lefty Gomez, miotacz

Będąc w każdym calu małą damą, Mary Margaret dystyngowanie beknęła, a potem uśmiechnęła się do Keely.

— Tak, to było piękne — pochwaliła małą Keely, patrząc jednym okiem na zegar kuchenny. — Czy wszystko jest już gotowe? To dobrze. Teraz poszukamy Ta-ty, dobrze? Dzisiaj po południu wybierze się z nami po zakupy, bez względu na to, czy o tym wie, czy nie.

Keely wstała i zniosła do zlewu talerz z resztkami sałatki i okruchami po kanapce z tuńczykiem. Wyrzała przez okno w nadziei, że zobaczy samochód Jacka, ciągle jeszcze zaparkowany na podjeździe. Z okna domu nie było go jednak widać. Musiał stać poniżej wzgórza. Dlaczego ten facet nie parkował normalnie w garażu? Robił wrażenie, jakby chciał jej unikać. Prawdopodobnie miał jakiś powód, typowo męski, ale na pewno ważny powód.

— Boże. On ciągle się ukrywa. Tu i tam. Kiepsko mu się wiedzie. Wygląda jak ucieleśnienie litości. Tak, wsadzę jeszcze do kufra spacerówkę, a na tylne siedzenie fotelik. I żeby nie zapomnieć listy zakupów, która jest tym razem długa jak łapa orangutana. Ja poprowadzę samochód, a on ciężarówkę i nie

wrócimy, dopóki nie kupimy materaca dla cioci Keely. Czy to dobrze brzmi? A teraz zabierzemy jeszcze czapeczkę i możemy wyruszać do... Ojej, cóż to za dziwadło.

Keely odsunęła się od okna. Pragnęłaby nie widzieć Sadie Trehan, machającej do niej ze ścieżki pomiędzy swoim apartamentem a garażami.

— Uważaj kochanie, wyglądamy na bardzo zapracowane — powiedziała Keely zgarniając czapeczkę w różyczki, chroniącą przed słońcem, oraz kluczyki do samochodu. — Jesteśmy zajęte, zajęte, bardzo zajęte. Już wychodzimy i jesteśmy gotowe do drogi. Mamy do odwiedzenia dużo miejsc, mnóstwo ludzi i zupełnie nie mamy czasu na pogaduszki. Bardzo przepraszamy.

— Hop hop! Keely! — usłyszała przez otwarte okno. Odwróciła się, przywołała na twarz uśmiech i oto już była gotowa stanąć oko w oko z ciotką Jacka. Nie, żeby nie lubiła tej kobiety. Ledwo ją przecież znała. Ale miała przecież piany.

Otworzyły się drzwi z tyłu domu i weszła Sadie Trehan.

— A więc tu jesteś. I to z dzieckiem. Cudownie. Zaczekaj, za chwilę wrócę.

Keely już otwierała usta, aby powiedzieć, że właśnie bardzo się spieszy. Musi zrealizować ważne zlecenie. Jednakże musiała zamknąć buzię, chyba, że zdecydowałyby się na tyradę do pustych otwartych drzwi.

Rozejrzała się wokół. Zabrała ze stołu pustą butelkę Mary Margaret i włożyła ją do zlewu. Zajęło jej to jakieś dziesięć sekund. Ciagle z Mary Margaret na swoim biodrze, podeszła do lodówki. Otworzyła drzwiczki i zastanowiła się przez chwilę, czy nie warto by rozmrozić cielęciny na kotlety. Przez moment medytowała, czyby się z Jackiem przypadkiem nie pozabijali, gdyby go poprosiła o przywiezienie na obiad jakiegoś jedzenia z pobliskiego KFC. Zaczęłyby od czegoś w rodzaju „kobiety nigdy nie mają dość czasu” i to dostatecznie szybko doprowadziłoby ją do szalu.

Próbowała wolną ręką sprawdzić w zamrażalniku, gdzie jest paczka z cielęciną. Jej ręka wylądowała na plastikowej torebce

z lodem. Jedna torebka, druga. Trzecia. Lodówka była z rodzaju tych olbrzymich, które mają wbudowane osobne, specjalne drzwi przystosowane do robienia lodu. Można było momentalnie otrzymać wedle uznania lodowatą wodę, pokruszony, albo kostkowy lód. Nie było powodu ani potrzeby przechowywania lodu w plastikowych woreczkach.

— No i po co komu...

— Już jestem z powrotem. I mamy towarzystwo — zatrajkotała Sadie, więc Keely odłożyła woreczek z lodem... to nie były kostki lodu, lecz jakaś bryła lodowa. Kiedyś była może kostkami lodu, ale potem wszystko się rozmroziło i znowu zamroziło. Odwróciła się.

— Witam. Kto to jest, Sadie? — Starła się nie wytrzeszczać zbyt mocno oczu.

Trafniej byłoby spytać co to jest. To coś... czy jednak ten ktoś był raczej kobietą. Oczywiście. Ale z którego systemu słonecznego? Szczupła, nie więcej niż pięć stóp wzrostu i ważąca prawdopodobnie mniej niż sto funtów (Keely już jej za to nie nawidziła), niemniej wydawało się, że wypełnia sobą całą kuchnię. Kolorem. Miała na sobie cytrynowozieloną spódnicę o kształcie dzwonu w stylu lat siedemdziesiątych, która odsłaniała pępek. A w pępku tkwił cienki srebrny kolczyk. Jej pasiasta krótka bluzka mieniła się kolorami: cytrynową zielenią, ostrym różowym i wstrętą purpurą. Podobnego koloru pasma osoba ta miała na długich, prostych blond włosach. Powieki umalowała na purpurowo, policzki były mocno różowe, zaś usta — Boże wszechmocny — jej usta były zielone.

Miała także inne srebrne kolczyki. Jeden nad lewą brwią i przynajmniej sześć srebrnych kółek, tkwiących równym rzędkiem w lewym uchu. W płątku prawego ucha miała o połowę mniej kółek niż w lewym. Gdy Keely w końcu odzyskała głos i powiedziała: „Cześć”, wielokolorowa postać potrząsnęła lekko jej ręką i powiedziała: „Sie ma Keel, to jesteśmy”, potem pomachała w lewo i prawo wystawionym na zewnątrz językiem, pokazując małą srebrną kulkę przytwierdzoną na jego środku., o kurczę!

- Keely, to jest Petra - powiedziała Sadie jakby z dumą w głosie, obejmując dziewczynę ramieniem. — Pasierbica Mitzi. Przyjechała tu na lato. Studiuje sztukę w Filadelfii. Czyż to nie sympatyczne?

Petra podchodziła właśnie do Keely i już, już chciała wziąć na ręce małą. Lecz Keely instynktownie objęła ją mocno ramionami, aby tego uniknąć.

- A więc to jest ten mały zarozumialec? Ona jest oburzająca! Te wielkie oczy, te loki. To znaczy, czy sobie z tym wszystkim radzisz? Ja nawet nie mogę sobie tego przyswoić.

- Z czym sobie radzę? — spytała Keely cofając się.

- Z tym, jak oburzająco jest ona śliczna. - Petra wyciągnęła zachęcająco przed siebie ręce. Wszystkie palce miała ozdobione pierścionkami. — Mogę ją potrzymać?

Keely poczuła zupełną pustkę w głowie, jakby była jakimś małym zwierzątkiem zahipnotyzowanym przez egzotycznego węża.

- Niiieeee, nie wydaje mi się... - zaczęła, gdy w tym momencie Mary Margaret zaczęła coś gaworzyć po swojemu i wyciągnęła rączki w kierunku tej multikolorowej nastolatki.

- Proszę, proszę. Spójrzcie na to - powiedziała Sadie. — Jest zupełnie tak, jak mówiła Mitzi. Petra faktycznie świetnie dogaduje się z dziećmi. To dar, natychmiastowy pozytywny kontakt, nie sądzisz, Keely? Dalej, pozwól, niech Petra potrzyma trochę małą.

Mary Margaret zaczęła wiercić się w ramionach Keely, nie zostawiając jej wielkiego wyboru. Wyciągnęła więc dziecko w stronę Petry. Oprócz tego nic nie wskazywało na to, że dziecko mogłoby znaleźć się daleko stąd, dopóki Keely nie przywiąże go do fotelika.

Keely przyjrzała się Sadie. Ciocia Jacka nosiła dzisiaj hawajski podkoszulek, przedstawiający pedałużące zawzięcie nogi oraz napis „Spróbuj mnie dogonić”. Teraz, kiedy w pokoju była również Petra, taki podkoszulek nie wydawał się wcale szokować.

— Cóż, świetnie byłoby... w zasadzie złapałyście nas w ostatniej chwili. Właśnie wychodziłyśmy.

— Dokąd wychodziłyście, kochanie? — spytała Sadie, uchylając pokrywki pojemnika na ciasteczka. Keely nie mogła się oprzeć, by nie porównać tej kragłej postaci do okropnego Cartmana z „South Park”.

— Och, jedźcie do hipermarketu, tak? — spytała, taksując ponownie spojrzeniem pusty pojemnik. — Jack mówił, że jesteś niezłą kucharką... taką miałam nadzieję. Czy również umiesz piec, moja droga?

Keely przypatrywała się, jak Petra wystawia język, eksponując srebrną kulkę, i jak Mary Margaret dotyka jej, prychnąc ze śmiechu. Na ile niewłaściwe może być pokazywanie dziecku czegoś takiego?

— Uch — powiedziała z opóźnieniem, zdając sobie w końcu sprawę, że Sadie mówiła coś do niej.

— Piec — powtórzyła Sadie. — Czy umiesz piec? Ciasteczka, ciasta? Torty?

— Ciasteczka — odpowiedziała Keely jakby nieobecna, podchodząc, aby zabrać Mary Margaret zanim coś złego się wydarzy. Dziecko jednak odwróciło główkę ignorując Keely i bawiąc się tęczowymi włosami Petry. Keely z miejsca poczuła się odrzucona. Odrzucona przez tę zmienną małą zdrajczynię w czapeczce na głowie. Opuściła ręce i zastanowiła się, czy dezercja Mary Margaret bardzo ją zabolęła. Odwróciła się znowu do Sadie. — Tak, nie, nie miałam ostatnio czasu...

— Ależ kochanie, teraz już będziesz miała czas — powiedziała Sadie, a właściwie zaszczębiotała. — Keely McBride, poznaj nową opiekunkę do dziecka, Petrę Polinski. Wszystko już załatwione. Ty potrzebujesz więcej czasu, żeby wypędzić z tego domu echo, Petra zaś potrzebuje trochę pieniędzy. Wiesz, George, to znaczy mąż Mitzi, obciął jej kieszonkowe z powodu jakichś głupich, niezapłaconych kwitów parkingowych, które jej wlepili, gdy była na zajęciach w szkole. Mamy więc rozwiązanie zadowolające was obie. Już pytałam Jacka i nie miał zastrzeżeń. A więc? Jestem chyba geniuszem, co?!

Keely oparła się biodrem o błąt. Jak to wszystko się stało? Odrzucona przez Mary Margaret. Wymieniona na tą głupią nastolatkę z jedną dziurą w pępku i całą resztą innych dziur w uszach. Wszystko całkowicie bez uprzedzenia.

To zabolalo. Cholera, naprawdę zabolalo.

— Och, Boże — wymamrotała, łapiąc oddech. A potem zyczajnie wściekla się. Rzuciła ostatnie spojrzenie na krzesło, na którym siedziała Petra Polinski, trzymając na kolanach zachwyconą Mary Margaret. Następnie skierowała się do drzwi z zamiarem zamordowania Jacka Trehana — nie będzie przecież w tym kraju sądu, który by ją skazał.

Jack utracił nie tyle aplauz tłumów, co celność rzutu. Nie trafiał w tą cholerną oponę, nie trafiał nawet w rant. Nie trafiał w całe to cholerstwo. Psiakrew, był szczęśliwy, że udało mu się rzucić i trafić w siatkę. Potarł ramię. Schylił się, aby podnieść kolejną piłkę. Następnie wyprostował się. Patrząc na palec i celując w oponę, przymierzył się do strzału. Odgiął ramię do tyłu i obracając w palcach piłkę, decydował się na rzut.

Uniósł rękawicą do góry daszek czapki z emblematem Yankees. Przetarł czoło przedramieniem usuwając krople potu, który pojawił się częściowo z fizycznego wysiłku, a częściowo z powodu tej cholernej obawy o to, czy też nie obniżył za bardzo formy. Poczul, że podkoszulka przylepia mu się do pleców. Zastanawiał się poważnie, czyby nie skrócić treningu i nie pójść do ogrodu, polać się wodą z gumowego węża.

Nie, nie można. Tim i łowca będą tu jutro rano. Nie mógł przerwać.

Tak więc czego teraz chciał spróbować? Definitywnie brak mu pary. Nie miał już teraz wystarczająco dużo siły w prawej ręce, nawet tyle, ile potrzeba do odsmażenia resztki tortilli. Podczas porannego treningu pracował nad podkręcaną piłką. Nie chciał teraz spowodować nawrotu starej kontuzji łokcia, próbując więcej podkręcanych rzutów.

To były jego dwa najmocniejsze atuty. Szybka piłka i ta

podkręcana. Dzięki tym rzutom wszedł do pierwszej ligi i w niej pozostał.

I co teraz? Jeżeli nie można pałkarza powalić siłą rozmachu, trzeba nauczyć się, jak oślepić go byle gównem. Mimo braku wystarczającej szybkości ciągle jeszcze ma się przebiegłość, możliwość wyboru i szczęście. Czy to nie miotacz, Lefty Gomez, ten z Sali Chwały, powiedział, że raczej miał w życiu szczęście, niż był dobry? Czy to nie jego słowa, że dzięki pomocy złotej rybki wynalazł nowy świetny sposób rzucania kręcącej się piłki?

Nie wszystko, co mówi miotacz, musi być zaraz takie mądre i podniosłe.

Jack ustawił odpowiednio palce i przygotował się do rzucaenia podkręcanej piłki. Ciągłe wpatrując się w środek opony, jakby to była prawdziwa rękawica łapacza, wprawił ciało w ruch. Był już gotowy zrobić nogą wypad do przodu. Tym razem był gotowy poradzić sobie z tą piłką.

— Ty Cholerny Mściwy Graczu! Nie ruszaj się stamtąd!

Jack potknął się. Cała jego koncentracja znikła bez śladu i o mały włos nie wylądował twarzą w piachu.

— Kurcze blade... co do diabła się z tobą dzieje, kobieto?! — krzyknął patrząc na Keely.

Wołała, stojąc w odległości jakichś dwudziestu stóp od niego, a teraz ruszyła w jego kierunku z całą determinacją na jaką stać ciężko stąpającego zasikanego słonia, szukającego ratunku u swoich.

— Ze mną? Co się dzieje ze *mną*? Czy to ja właśnie oddałam niewinną kuzynkę prosto w szpony poprzekłuwanej, ufarbowanej i lobotomicznej ekscentryczki? Nie sądzę!

Jack zdjął rękawicę, wsadził ją sobie pod pachę i zszedł z prowizorycznie zaznaczonej pozycji.

— Wiesz co, zdecydowałam o tym z myślą o tobie. Jesteś mianowicie osobą bardzo żywiołową, biorącą zbyt wiele na siebie. Jesteś pewna swego, ale prędzej czy później zacznasz być kąśliwa. Więc do kogo ta mowa?

— Ja nie kąsam, więc nie kuś mnie, bo cię całego pogryzę. A mówię o osobie, która nazywa się Petra Polinski. Jak mogłeś? Boże, Trehan, ona musi świecić w ciemności! Nawet gorzej, sądzę, że jeśli przystawisz jej płomień do jednego ucha to zdecydowanie wyleci błyskiem z drugiej strony, zupełnie jak w latarni morskiej. Czy więc oczekujesz ode mnie, że oddam jej Mary Margaret tylko dlatego, że działałam ci na nerwy, bo mówię prawdę, a prawda przecież cię boli, tak? To po świńsku, Jacku Trehanie, po świńsku.

Stał nieruchomo w miejscu, ubawiony tym, że Keely McBride wyglądała bardzo atrakcyjnie, gdy się złościła. Jej ogromne brązowe oczy stawały się prawie czarne. Miodowe włosy wyzwoliły się ze spinek, więc luźne już loki pieściły teraz jej policzki i głąskały kark. Gdy szła w jego kierunku na tych swoich długich nogach, jej ciało kołysało się w biodrach przy każdym kroku. Miał jednak przekonanie, że Keely zabiłaby go, gdyby mogła śledzić tok jego myśli. Nie mówiąc o tym, że już teraz wyglądała, jakby planowała *morderstwo*.

— Nie mam w zasadzie pojęcia, o czym ty mówisz — powiedział, cofając się trochę, aż do zrobionej przez siebie pozycji miotacza. Pozwoliło mu to stanąć trochę wyżej, ale Keely i tak sięgała mu zaledwie do policzka. — Aha, zaczekaj. Chodzi ci o tę pasierbicę Mitzi, znajomej Sadie, tak?

— Ooo — zamruczała. Przypominało mu to mruczenie lwy zadowolonej ze smaku właśnie zjedzonej nogi gazeli. — Więc jednak coś pamiętasz — ciągnęła. — Któż to stwierdził, że istnieje tylko jeden męski mózg i podobno musieliście się kiedyś nim wszyscy podzielić? Widzę, że wykazujesz dzisiaj trochę rozumu. Hmm...? No, ale całkiem go chyba straciłeś, gdy zobaczyłeś Petrę Polinski.

— Zobaczyć? Wcale jej nie widziałem. Dlaczego zresztą miałbym ją oglądać? Sadie powiedziała, że to dobry dzieciak, i to mi wystarczy. Oprócz tego przypuszczałem, że chciałybyś zakończyć swoją pracę przed Bożym Narodzeniem. Ciąganie po całym mieście ze sobą Mi... Mary Margaret utrudnia ci to

chyba. — Rozłożył ręce dłońmi do góry. — Tak oto masz teraz pomoc. Osobiście uważam, że to wspaniałe rozwiązanie.

Keely spojrzała na niego, zmrużyła powieki, a jej zaciśnięte szczęki drgały, mimo że trzymała usta mocno zaciśnięte.

— Co takiego jeszcze? — spytał. Zaczynał się czuć winny, ale sam nie wiedział dlaczego. — Gdzie leży problem? Nie zwalniam cię. Wciąż jeszcze możesz mnie zmusić, abym pojechał do pralni czy gdzieś tam. A ten dzieciak może przychodzić tylko rano, bo wieczorem chodzi do jakiejś szkoły na lekcje sztuki. Ciągłe więc jesteś niezastąpiona, co jest dla mnie nie do zniesienia.

Keely nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli nosem. Jack zaś zapanował nad obronnym odruchem podniesienia rąk w górę. Najpierw słoń, potem lwica, a teraz byk gotowy do szarży. Być może to nietrafne porównania, zważywszy, że ma tylko jakieś pięć albo sześć stóp wzrostu. I nie może ważyć więcej niż sto dwadzieścia funtów... nawet gdyby ją zmoczyć i utylać w błocie. Gdy myśli się o miłej kobiecie, zwykle stosuje się porównania typu: pełna wdzięku gołębica, lśniąca kotka, lub przymilna puszysta, czy coś takiego.

Jednakże do Keely McBride te określenia nie pasowały. Częściowo może tak, ale Jack nie był aż tak głupi. Ona miała delikatny i przymilny instynkt hieny. A wymowa i usposobienie pasowały wprost idealnie.

— Chodź... ze... mną — wycedziła w końcu. Następnie odwróciła się i zaczęła iść przez trawnik w stronę domu. Kierowała się na wzgórze. I to wcale nie była prośba, tylko rozkaz.

Jack odłożył rękawicę baseballową i ruszył za dziewczyną. Mimo woli był zaintrygowany. Zdecydowanie bowiem coś poruszyło Keely i chciał się dowiedzieć, co to takiego. Jeśli była to pasierbica Mitzi, da dziewczynie podwyżkę, zanim jeszcze rozpocznie u niego pracę.

Musiał za Keely ruszyć truchtem, aby ją dogonić. Chociaż faktycznie nie za bardzo się spieszył. Wolał raczej podziwiać jej rozkołysane biodra, gdy wspinała się do góry. Hej człow "ku, trzeba chwycić przyjemności, kiedy tylko się da!

— Co jest właściwie nie w porządku z tą pasierbicą? — spytał, gdy już zrównał z nią krok, jakieś sto stóp od domu. — Chyba niezbyt dobrze zrozumiałem co mówiłaś.

— Prawdopodobnie z tego powodu, że nie ma wystarczająco dużo słów, aby ją opisać — odcięła się. — Wkrótce sam się przekonasz.

Poszła przodem, skrajem wkopanego w ziemię basenu, minęła patio i pchnęła drzwi do kuchni. Następnie przesunęła się na bok, tak, że musiał wysunąć się do przodu.

— Jesteś tajemnicza — powiedział, wchodząc do kuchni, i zsunął czapkę na tył głowy.

— Oj, dziękuję ci bardzo. — Zza otwartych drzwi doszedł do niego jej głos. — Sądzę, że sam jesteś w błędzie. Czy ty jakoś szczególnie lubisz pot, co? Chyba wiesz, że trochę od ciebie załatuje, prawda?

Jack pokręcił głową, by spojrzeć na właścicielkę młodego, szczególnie uroczonego damskiego głosu.

— Słucham? — spytał i chwilę później zdębiał na widok tego, co zobaczył przed sobą.

To był cyrkowy klaun, indywiduum z psychodelicznego autobusu marki Volkswagen, pracownik pomocy społecznej z akcji pod hasłem: „Czy wiecie, gdzie podziały się wasze dzieci”. To był... to był... to trzymało MiM!

— Sadie!

Ciotka wyłoniła się z pieczary, trzymając plastikową torebkę z owsianymi ciasteczkami. Takie oblewane białym lukrem ciastka, które odstawia się na trochę, by stężały.

— Tak skarbie? Oglądałam swój serial. Wiesz, na tym twoim olbrzymim ekranie wszystkie sceny łóżkowe nabierają nowej perspektywy.

Spoglądając na Sadie, wycelował lewe ramię w kierunku Petry Polinski.

— To jest twój pomysł na zlikwidowanie trudności? Słuchaj, Charles Manson być może wyjdzie na dniach za kaucją. Zaczekamy chyba na niego, by zajął się MiM.

— Nie bądź taki dowcipny, koleś — powiedziała Petra, wkładając Mary Margaret do siedziska. Potem podeszła i stanęła naprzeciw niego. — Przechodzę taki okres, rozumiesz, ale on się już kończy tak czy siak. Rozchmurz się. Nie skrzywdzę ci dziecka. Skończyłam kurs udzielania pierwszej pomocy w przypadkach bezdechu, znam też techniki Heimlicha, dotyczące usuwania ciał obcych z układu oddechowego. Był jeszcze inny etap w moim życiu, ale też już się skończył. Chciałam zostać lekarzem. Zresztą, nieważne, to już przeszłość. Tatusiowi bardziej się ta wersja podoba. A teraz uwaga, aktualnie jestem artystką. A artysta musi próbować nowych rzeczy, tak? Nie stój taki pełen entuzjazmu jak ta damulka za tobą i może zwyczajnie daj mi szansę?

— Ile masz lat? — spytał Jack wymijająco, jak robią wszyscy dzielni myślicy zanim znajdą kij na dzikiego zwierza. Będzie przecież musiał pozbyć się Petry Polinski, zanim MiM zostanie emocjonalnie skrzywiona na całe życie.

— Uważasz, że powinnam o tym pamiętać, żeby przynieść z sobą referencje? Jezusie. Ojej, dobrze. Mam siedemnaście lat. — Petra przewróciła oczami.

— Nie masz tyle — powiedział Jack. — Nie możesz mieć, bo ciocia mówiła, że jesteś w juniorach w szkole. Zawsze dokładnie pamiętam, co ona do mnie mówi.

— No, tak — powiedziała Petra. — Nigdy nie widziałeś dziecięcego geniusza? Widzisz teraz i patrzysz na niego. Jestem w szkole średniej od dwunastego roku życia. Wygląda na to, że nigdy nie będę absolwentką.

Jack pomrugał gwałtownie oczami, a potem odwrócił się do ciotki.

— Sadie?

— Jest niezła, Jack. Mitzi mnie o tym zapewniała. A to jest tylko taki młodzieńczy okres. W zeszłym roku opiekowała się innymi studentami na fizyce. Petra to wolny ptak, zbierający życiowe doświadczenia. Oprócz tego jest tak pięknie kolorowa.

Jack nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Był więc szczęśli-

wy, że Keely wybawiła go z opresji. Odsunęła go na bok i zbliżyła się do nastolatki.

— Zgoda geniuszu. Co zrobisz, gdy Mary Margaret nagle się zadławi? — spytała podpierając się pod boki.

Petra przewróciła oczami.

— Gdyby była większa, zastosowałabym standardową metodę, lecz to mogłoby spowodować połamanie jej małych żeber. Tak więc położyłabym ją i znalazłabym odpowiednie miejsce tutaj ponad jej brzuszkiem i kilka razy klepnęłabym ją, o tak — dokończyła, demonstrując całość swymi rękami. — I wszystko pięknie by się skończyło. Mam na myśli ten mały kawałek czegoś co wyleci z ust tej lalki. Mieliśmy ćwiczenia z lalkami.

— Aha — przycisnęła ją do muru Keely tak, jakby Petra przyznała, że dopuściła się tego głośnego plaśnięcia w ciszy czytelnicy. — Mam rozumieć, że w zasadzie nigdy nie ćwiczyliście na prawdziwych dzieciach?

Petra sprawdziła stan swoich krótkich, pomalowanych na zielono paznokci. Mały palec jej lewej ręki miał namalowaną amerykańską flagę.

— Aha, dziewczyno. Pytasz o takich prawdziwych, jakimi wy też jesteście?

Jack zakasłał, aby ukryć śmiech. Podeszedł do szafki, wyjął szklankę i podstawił ją pod dozownik w drzwiach lodówki. Następnie opróżnił szklankę kilkoma dużymi łykami. Potem sięgnął do zamrażalnika i wyjął jeden woreczek z lodem. Położył go sobie na ramię, opierając się o blat, i dalej się wszystkiemu przyglądał. To mogło być nawet zabawne.

— Co zrobisz, gdy zacznie się palić dom? — upierała się Keely. Jack zaś przypomniał sobie taśmy wideo, które znalazł w piecazrze. Jedna z nich była na temat bezpieczeństwa dziecka.

— Oj, ekstra. Mamy zamiar przeprowadzić prawdziwy quiz, tak? — spytała Petra, siadając na jednym z kuchennych krzesel. — Zgoda. Łapię dzieciaka, telefon komórkowy i buteleczkę mojego lakieru do paznokci — w takiej właśnie kolejności —

i opuszczam dom. Wykręcą numer straży pożarnej i zrywam kwiatki na łące. Proszę o następne pytanie.

Jack zauważył, że oczy Keely zwilgotniały, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. I co to za nietypowe odgłosy zaczęła wydawać? Odłożył woreczek z lodem. Odszedł od blatu, ruszając w stronę Keely. Złapał ją za łokieć.

— Dobra. Zdała ten test, zgoda? Przecież sama mówiłaś, że potrzebujesz pomocy, okay? Teraz tak... co mówiłaś, gdy byłem pod prysznicem, a ty coś tam wymierzałaś? Mamy gdzieś tam jechać i kupić kanapę. To jest właśnie twoja praca, tak?

Dolna warga Keely zaczęła się trząść, ale przygryzła ją górnymi zębami. Kiwnęła głową potakując.

— Świetnie. Wspaniale. — powiedział Jack.

Zastanawiał się i to go jednocześnie również poruszyło: dlaczego nagle zmienił się w Pana Miłego Kolesia. I to w szczególnym przecież przypadku, gdy zupełnie nie trawił tej kobiety. I o co zresztą chodzi? Ona wiedziała, że opieka nad MiM to tylko praca, tak samo jak meblowanie domu było pracą. Nie powinna była aż tak się angażować. MiM występuje tylko tymczasowo jako problem, ale trwale nie jest związana z żadnym z nich. To chyba jasne?

Pojechali razem ciężarówką. Nie mieli powodu, żeby jej nie brać, tym bardziej że nie było potrzeby montowania fotelika dla Mary Margaret. Mary Margaret, lepiej znana jako Zdrajczyni, była zajęta swoją nową najlepszą przyjaciółką, psychodeliczną Petrą.

Keely siedziała na miejscu dla pasażera, skrzyżowawszy ręce na piersi. Ciągle mrugała oczyma częściej niż zwykle, bo gdyby tego nie robiła, prawdopodobnie rozbeczałyby się w głos.

To nie byłoby mądre. To byłoby więcej niż głupie.

Znała Mary Margaret od czterech dni. Cztery bardzo krótkie i nieskończenie długie dni.

— Jak się czujesz?

Keely wolno odwróciła głowę i spojrzała na profil Jacka.

¹ — Oczywiście, że świetnie. Dlaczego miałabym czuć się źle? Co sugerujesz? Ze coś ze mną nie tak? Ze jestem... że mam złamane serce czy coś w tym stylu, tylko dlatego że Mary Margaret woli spacerować i rozmawiać z malarską paletą, a nie ze mną? — Spojrzała ponownie w przód, przechylając głowę. — Nie bądź śmieszny.

— W takim razie rozumiem, że wszystko gra — odpowiedział Jack, Keely zaś zaczęła rozważać odkręcenie wielkiej gałki tkwiącej w podłodze i zatkanie mu nią ust. — Wiesz, do tej pory o tym nie pomyślałem, ale prawdopodobnie nie byłoby to właściwe, gdybyś zbyt przywiązała się do Mi... Candy. Wybacz, ale ona ciągle nie jest relatywnie tak duża, jak poważnie brzmi Mary Margaret. Candy bardziej mi pasuje. Pomijając fakt, że to imię i tak jest dla nas tymczasowe. Dla całej naszej trójki. Żadne z nas nie powinno za bardzo się angażować, ponieważ to dziecko będzie musiało wrócić do mamy.

— Och, Boże wielki! Wrócić? Czym ona niby teraz jest? Jakimś towarem? Wygląda, że mała była dobrze odżywiana. Ma ładną zdrową cerę. Wiesz, wydaje mi się, że pragnęłam dla niej czegoś zupełnie innego. Wrócić? Dzieci same nie wracają.

— To akurat wróci. A może chcesz mi przez to powiedzieć, że mimo przeczytania listu mojej kuzynki nadal myślisz, że to ja jestem ojcem?

— Nie, wcale tak nie myślę.

Podniosła oczy, wyrzała przez okno, widząc niewiele więcej niż puste przestrzenie Whitehall Township. Równie pusto może zrobić się w jej sercu, gdy matka Mary Margaret zejdzie z obłoków i upomni się o swoje dziecko. Chociaż prawdopodobnie ona, Keely, przecież tego i tak nie zobaczy, bo zdąży już opuścić to miejsce.

— Cholerny dzieciak — powiedziała w końcu, ale głos jej się załamał, a oczy piekły coraz bardziej. Odwróciła szybko głowę w bok i tępo zapatrzyła się w okno.

Nie widziała drzew, nie dostrzegała trawy czy domów. Widziała Mary Margaret, uśmiechającą się do niej, wyciągającą do

niej rączki, gdy wchodziła do jej pokoju. Prawie czuła, jak jej szyć oplatają drobniutkie ramionka. Czuła ten uroczy, słodki zapach dopiero co wykapanego dziecka.

Keely nagle zdała sobie sprawę, że Jack zjechał na pobocze i zgasił silnik.

— Rzeczywiście tak bardzo ją polubiłaś?

— Jest w porządku — odpowiedziała poddając się i pozwalając mu zobaczyć łzy w jej oczach. — Och, jakie to wszystko jest głupie!

— Czy ja wiem — powiedział Jack miłym głosem i jakby się uśmiechając — To coś nowego i miłego dowiedzieć się, że Attyla, władca Hunów, ma jednak wrażliwą naturę.

— Nie jestem Attylą — powiedziała Keely, odwracając się, żeby się przyjrzeć się swemu pracodawcy. — No, może trochę. Gregory powiedział mi, że apodyktyczność to moja najgorsza cecha. Ciągłe próbuję zorganizować cały świat.

Jack podniósł lekko lewą brew.

— Faktycznie? Ja w zasadzie umieściłbym na pierwszym miejscu listy: Te-Usta-Wiedzą-Wszystko. Ale i to, i to pasuje. Keely zobaczyła jego uśmiech (co prawdopodobnie uratowało mu życie, a już na pewno co najmniej cztery z jego dwustu szczęściu kości), opadła na siedzenie i zamknęła oczy.

— Tak bardzo się starałam.

— Tak, to muszę przyznać — zgodził się, sięgnął w bok i pogładził ją po ręku. — Dlaczego wszystko przyjmujesz w taki sposób? Może twoja mama bała się, że sobie w życiu nie poradzisz?

Keely prawie nie pamiętała swojej matki, ale nie zamierzała tego powiedzieć Jackowi. Nie miała rodzeństwa ani kuzyńców, tylko jedną ciotkę Mary. Ta natomiast nigdy jej nie chwaliła, ale było wiadomo, że ją zgani, jeśli coś się nie uda. W taki to sposób Keely pracowała bardzo dużo starając się nie popełniać omyłek. Gdy Keely dorosła, zostały przyjaciółkami, ale wcześniej przeżyły ze sobą wiele trudnych lat.

— Lubię nad wszystkim panować. — Tylko na tyle się zdobyła. Spojrzała na niego. Powinna raczej powiedzieć: „Niena-

widzę, gdy ktoś uważa, że nie wiem wszystkiego. Sama czasem nie orientuję się w jakiejś kwestii i to wywołuje we mnie uczucie, jakbym tonęła i nikt mnie nie mógł uratować". Jednak nie odezwała się. Zamiast tego spytała. — Co w tym złego?

— Nic, jeślibyś prowadziła armię na wojnę. Ale przypuszczam, że nie ma palącej konieczności, byś była tak cholernie wydajna na co dzień.

Keely poczuła się urażona, a kiedy czuła się urażona, przystępowała do ataku.

— Przypuszczam, że nie zamartwiasz się takimi sprawami, Trehan? Mam na myśli, że ty nawet nie śpisz efektywnie. Twoje łóżko codziennie jest skotłowane.

— Tak, a ty codziennie je ściesz, gdy biorę prysznic albo gdy piję swoją poranną kawę na dole. Cztery dni i czuję się, jakby za bardzo mi pobłażano, jak... nie wiem. Skarcony?

— Skarcony? Dlatego, że ściele twoje łóżko?

— Nie. Dlatego, że wygląda to tak, jakbyś uważała, że sam tego nie potrafię.

— A potrafisz?

Chwilę zmagał się z sobą.

— Prawdopodobnie tak. Ale to nie ma nic do rzeczy. Sęś w tym, że zjawiłaś się tutaj...

— Na twoją prośbę — podkreśliła, ponownie zerkając na wielką gałkę.

— W porządku, na moją prośbę. Byłem zdesperowany. Nic nie wiedziałaś o dzieciach i czy to powstrzymało cię choć na chwilę? Kilka godzin i umeblowałaś pokój dziecienny. Następną kilka godzin upłynęło, a ty oglądałaś już na wideo film „Jak opiekować się dzieckiem”, czytałaś trzy książki o opiece i karmieniu niemowląt. Opanowałaś kuchnię i zaczęłaś gotować. Ciągłe jeszcze jesteś gotowa umeblować resztę domu. Zawiesiłaś nawet tę cholernie ciężką półkę na garnki, samiuteńka, nie prosząc mnie o pomoc.

Keely potrząsnęła głową.

— I to cię tak gryzie? Wściekasz się o tę półkę? To śmieszne. Przede wszystkim musiałabym cię najpierw znaleźć, żeby

poprosić o pomoc. Teraz już oczywiście wiem, gdzie przebywasz. Siedzisz zamknięty w garażu i robisz z siebie idiotę.

— Żeby nie zaognić stosunków, zignoruję to, co powiedziałaś — powiedział Jack, zaciskając szczęki. — Jednak chciałbym ci przypomnieć, że to, co robię z moim życiem, jest tylko moją sprawą.

— Tak, i jeśli dobrze przyswajam, moje jest moją — odgryzła mu się.

— A więc jesteśmy zgodni, Keely — powiedział po chwili. — Wracając do chwili obecnej. Scena, gdy stoisz w kuchni i masz złamane serce, bo Candy i Petra gruchają sobie razem. Zbyt- nio przywiązałaś się do tego dziecka, Keely. To nie jest dobre. Powinnaś pamiętać, że to tylko twoja praca, za kilka tygodni odejdziesz. Psiakrew, Candy może jeszcze szybciej zniknąć, jeśli wróci Cecily. Tak więc nie... angażuj się... tak bardzo.

— To znaczy, że już znalazłeś sposób na to, żeby się do niej nie przywiązać? — spytała Keely. Nagle zrozumiała, dlaczego Jack utrzymuje tak wielki dystans pomiędzy sobą a Mary Mar... a Candy. — Też masz na jej punkcie bzika, nieprawdaz?

— Nie, nie zwariowałem na jej punkcie — odpowiedział Jack, przekręcając kluczyczek w stacyjce. Spojrzał przez ramię i wjechał ponownie na drogę. — Jadę wkrótce do Japonii, pamiętasz chyba? Chcę w swoim życiu bardzo wielu rzeczy, ale dziecko, żadne dziecko, nie jest, psiakrew, moim celem. Może byś teraz udzieliła mi kilku wskazówek, w którą stronę mam jechać.

Keely popatrzyła na niego i zwięzła oczy w szparki.

— Nie pozwoliłabym sobie, żeby tobą kierować. To byłoby apodyktyczne.

— Oczywiście. Nie byłoby to również coś, o czym można by mówić głośno przy Candy — powiedział Jack, wpatrując się w drogę przed sobą. — Rozumiem do czego zmierzasz. Jednak- że sądzę, że musimy w tym przypadku zrobić wyjątek. Biorąc pod uwagę fakt, że rzeczywiście nie wiem dokąd jedziemy. Nie wykorzystam tego przeciwko tobie, mówię szczerze. Uwierz mi, moja lista jest już i tak wystarczająco długa.

— Po prostu jedź dalej MacArthur Road. Powiem ci, w którym miejscu skręcić. — Schyliła się i podniosła z podłogi notatnik. Zaczęła go pilnie przeglądać. — Należy pamiętać, że musimy kupować na wyprzedży. Przynajmniej większość sprzętów, ponieważ na specjalnie zamówione meble czeka się od sześciu do dziewięciu tygodni. Zapakujemy do ciężarówki co się da, a na całą resztę postaramy się załatwić w miarę szybką dostawę do domu.

Jack przez chwilę przestał obserwować drogę i zerknął na notatnik.

— Może się mylę, ale plany inwazji w Normandii zmieściły się na mniejszej ilości papieru. Co masz... mamy zamiar dzisiaj kupić?

— Na początek materace i stelaże do pokoju gościnnego i mojego. Chciałabym również umeblować tę wielką pieczarę, twoją sypialnię, i przynajmniej jeden pokój gościnny, ten, w którym śpię. Do hallu, pod ten ogromny żyrandol chciałabym kupić okrągły stół. Myślę, że zakup kilku dywanów pomógłby zlikwidować nieprzyjemny pogłós w bawialni. W zasadzie skoncentrujemy się dzisiaj tylko na sprawach najistotniejszych, bez których nie można normalnie funkcjonować. Ostatecznie na pewne meble, te lepsze gatunkowo, chciałabym złożyć specjalne zamówienie u dostawców cioci Mary. Och, muszę ci powiedzieć, że wykorzystałam swobodę decyzji, jaką mi dałeś, i wynajęłam firmę sprzątającą. Pojawią się jutro. — Zamknęła notatnik i spojrzała na niego. — Chyba że uznasz, iż za bardzo się rządę.

— Nie, nie przypuszczam. Nie miałbym odwagi prosić cię o sprzątanie domu, prawda?

— Nie w tym życiu. Chyba, żeby mnie sklonować, a na to pytanie także znam odpowiedź — powiedziała Keely już bardziej swobodnym tonem. Następnie wróciła do przerwane go wywodu.

— Zadzwoiłam również do pewnej znajomej ze studiów. Pamiętałam, że planowała zostać pielęgniarką, obecnie zaś jest

najlepszym pediatrą w mieście. W następny wtorek o dziesiątej Mary Margaret ma umówioną wizytę.

Keely poczuła, że ciężarówka trochę zwolniła, bo Jack zdjął w tym momencie nogę z gazu.

— Dlaczego? Czy ona jest chora?

— Nie, nie jest — powiedziała, ciesząc się z jego reakcji. Nie jest zaangażowany? Ha! — Zrobiłam to, ponieważ twoja kuzynka wspomniała, że Mary Margaret nie była jeszcze szczepiona. Każda z książek, które czytałam podaje długą listę niezbędnych szczepień. To dziecko trochę już w życiu przeszło. Oprócz tego wydaje się, że ma wszystko, co potrzeba, by nazwać ją „prawidłowo rozwiniętym dzieckiem”. Zapomniałam wspomnieć tylko o jednej sprawie. W notatce Cecily jest wyraźnie napisane, że to tobie powierza opiekę nad dzieckiem. Powinieneś więc iść sam, przynajmniej na tę pierwszą wizytę. Chyba, że będziesz już w Japonii — dokończyła sarkastycznym tonem.

Jack uderzył dłońią w kierownicę.

— Cholerna Cecily. I teraz muszę iść do doktora z tą małą? — spojrzał na Keely. — Jesteś pewna, że muszę? A co zrobić, jeżeli doktor będzie chciał od razu zrobić któryś z tych zastrzyków?

— Skręć na światłach w prawo — powiedziała Keely, uśmiechając się. — To w czym problem? Czy duży, srogi baseballista, do tego gwiazda, zemdleje, ujrawszy igłę?

Jack trzasnął dłońią w przełącznik kierunkowskazu i skręcił na prawy pas. Mamrotał coś pod nosem. Chyba po japońsku.

Keely nawet na chwilę nie przypuszczała, że to było coś miłego. Wtuliła się głębiej w niewygodne siedzenie i zamknęła buzię.

7

Można dużo zaobserwować, tylko patrząc.

Lawrence Peter Berra (Yogi)

To nie był zwyczajny sklep meblowy. To był skład magazynowy stylizowany na sklep meblowy. Kanapy, krzesła i stoły spiętrzone były prawie do sufitu. Wzdłuż rzędów półek, trąbiąc i migając światelkami, jeździły wózki widłowe. Sklep był tak ogromny, że zanim odnaleźli wielką ekspozycję mebli na tyłach budynku, musieli przejść przez cały magazyn. Jack był już bliski wyczerpania.

Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby chciał wracać z powrotem do magazynu lub iść gdziekolwiek indziej. Mężczyźni nie pasują do takich miejsc. Wystawy samochodów — to jest to, co mężczyźni lubią najbardziej. Można porozmawiać o tłokach czy prędkości. Kto by chciał zastanawiać się nad wzorem perkalu. Jego to na pewno nie obchodziło i zdecydowanie nie będzie się tego uczyć.

Jednakże Keely była oczywiście zachwycona i w swoim żywiole. Absolutnie nie reagowała na jego delikatne aluzje, żeby spróbowała trochę powściągnąć swą nadopiekuńcza osobowość. Attyła, władca Hunów, robi zakupy — to była Keely McBride.

Przy wejściu do salonu wystawowego podszedł do nich mężczyzna.

— Najpierw się rozejrzemy, dziękuję — odpowiedziała Keely, proponującemu pomoc sprzedawcy, który odłączył się od gęgającego stadka mężczyzn, wyglądających na podobnie jak on zde-

sperowanych. — Jeżeli wybierzemy coś, co nam odpowiada, wrócimy. Tymczasem chcielibyśmy jednak zostać sami.

— Wezmę to — Jack wyszarpnął sprzedawcy kartę handlową, którą ten chciał podać Keely. Lecz ona była już przy pierwszym rzędzie mebli. — Możesz wykorzystać ten zaoszczędzony czas na filiżankę kawy lub lekcje samoobrony. Albo na co tylko chcesz. Przygotuj się na wypadek, gdyby ta pani coś wybrała.

— Tak... och, dziękuję — powiedział sprzedawca, a potem, wskazując na Jacka, spytał: — Powiedz, czy ty nie jesteś...

— Prawdopodobnie — powiedział Jack, uśmiechając się. — Zobaczymy się za chwilę, dobrze?

Keely przeszła już połowę pierwszego rzędu. Szła dalej i pisała coś w swoim notatniku. Jack nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że chce, by tak przez chwilę trwało. Zrewidował swoje odczucia i polemizował ze swoim, wewnętrznym „ja”. Jednak w tej chwili nie mógł już przestać się jej przyglądać. Ona zaś zwyczajnie robiła swoje.

— Znalazłaś już coś? — spytał. Następnie wskazał na ciemnozieloną, skórzaną kanapę. — To jest niezłe. A mają jeszcze pasujący do tego komplet krzeseł, parę stołów i jakieś lampy. Wygląda porządnie. Kupmy może to wszystko i zabierajmy się stąd.-

Zamarła na chwilę, odwróciła się i spojrzała na niego.

— Kupić gotowy pokój? Och, wspaniale. Mój klient jest jednym z tego właśnie gatunku.

— Co to znaczy? — powiedział Jack, prostując plecy i zapominając natychmiast o swych poprzednich odczuciach. Czyżby zrównywała go z wszystkimi innymi obrączkowanymi zwierzętami w królestwie dzikich zwierząt, umieszczając go na dość niskim poziomie łańcucha pokarmowego?

— Oznacza to, że każdy może kupić gotowy pokój i pozwolić, by ktoś inny podyktował, jak ma wyglądać. Każdy, kto nie ma choć cienia wyobraźni, tak właśnie robi. Nie potrzebujesz mnie. Potrzebujesz kogoś, kto powie ci, co lubisz.

— A czy ty nie mówisz mi, co lubię? — spytał, cofając się trochę i przyglądając się jej uważniej. — Och, nie. Zapomnij o tym, co powiedziałem. Wynająłem cię. Nie mam zamiaru dać się wciągnąć w całe to urządzenie. Jestem tu po to, by prowadzić ciężarówkę. Kup tę zieloną kanapę, cholera jasna, i zabierajmy się stąd.

— Usiądź na niej, Trehan.

— Hej, czy nie używasz tego samego tonu, mówiąc do dziecka mojej kuzynki?

Keely przewróciła oczami.

— Nie, to znaczy... usiądź na tym. Usiądź na kanapie. Podobają ci się, kupujemy. Ma świetne wymiary i na pewno wypełni w przyjemny sposób olbrzymią przestrzeń tej twojej pieczary. Lecz zapomnij o całej reszcie. Nie po to mnie wynająłeś, by podejmować za ciebie decyzje. Ja projektuję wystrój pokoi. *Niestety nie robię projektów masowych.*

Jack z dużą czułością wspominał autobus, którym jeździł w drugiej lidze. I tego faceta, który w trakcie robienia porządków i innych rzeczy spluwał na buty śliną ciemną od tytoniu. Milcząco podszedł do kanapy i usiadł. Rozłożył ramiona na poduszkach. Skrzyżował nogi.

— Jest twarda jak skała — powiedział ubawiony, gdyż przedtem mebel wyglądał zupełnie wygodnie.

— Oprócz tego nie jest zrobiona z prawdziwej skóry, musiałbyś więc po trzech latach wymienić ją na inną. No, to coś sobie wyjaśniliśmy. I jak cię uprzedzałam, tutaj jest tylko namiastka tego, co nam potrzeba. Kupujemy tu kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Większość twoich mebli będzie dużo bardziej... wyrafinowana.

— Wyrafinowana. Czy to jest synonim od: „kosztowny”? Mam dziwne uczucie, że trafiłem w sedno.

Keely przechyliła głowę i spojrzała na niego.

— Dobrze, zrobię ci przyspieszony kurs aranżowania przestrzeni. Przejdziesz go teraz po raz pierwszy i ostatni. Najlepiej wykonane, z najlepszego drewna kanapy i krzesła mogą być

ewentualnie wykonane od nowa. Są naprawdę niezastąpione. Rzeczy dobre kosztują, ale za kiepskie też trzeba płacić. A te kiepskie trzeba często wymieniać. Tutaj dostaniemy materace ze stelażami i kilka dywanów. Podstawowe meble do twojej pieczary. Kupimy tu także główne części do kilku sypialni. Ten sklep prowadzi sprzedaż naprawdę ładnych i w miarę funkcjonalnych mebli tego rodzaju. O dziwo, znalazłam tam, z tyłu, również kanapę idealną do twojej bawialni. To tyle na dzisiaj. Oprócz tego dowiedziałam się dużo o twoim guście. Pokazywałeś przecież to, co ci się podoba. Lubisz skórzane kanapy, świetnie. Podsunę ci kilka sugestii. Coś, co byłoby najlepsze w stylu czy kolorze, ale co ostatecznie ty sam zdecydujesz się kupić. W ten właśnie sposób pracuję. No, to chodź dalej. Chodź, wstawaj. Wstawaj.

Posłusznie wstał, kolejny raz idąc za Keely... i rozważając sposoby jej zamordowania, a potem ukrycia ciała w miejscu, gdzie nikt nigdy go nie odnajdzie.

— Wypróbuj tę — powiedziała w połowie następnego rzędu mebli. Wskazywała beżową, skórzaną kanapę, która wyglądała, jakby była zrobiona z mnóstwa kawałeczków złączonych razem. Na dodatek jeden bok lekko zakręcał.

Wprost utonął w poduchach. Mógł poczuć zapach skóry, i to skóry tak delikatnej, że grzechem wydawało się trzymanie na niej rąk.

— Niezła — stwierdził, a potem zerknął na metkę. — O niebios... czy ta cena obejmuje wszystkie elementy wnętrza, tu zaaranżowane? Krzesła, lampy i te kwiaty?

— To cena kanapy — odpowiedziała Keely, siadając obok na krzesle od kompletu. Sięgnęła ku metce. — Słuchaj, porozmawiajmy. Nigdy nie należy wierzyć cenom z metek. Nie odzwierciedlają wszystkiego. Jednak musisz pamiętać, że robimy zakupy w miejscu, gdzie wszystko jest na składzie. To nie tylko ogranicza twój wybór, lecz również wpływa na cenę.

Wstał, a gdy ona też chciała się podnieść przytrzymał ją za ramiona.

— Sądzę, że przede wszystkim powinniśmy sobie coś wyjaśnić, dobrze? Jestem bogaty. Ty to wiesz i ja to wiem. Lecz nie zawsze byłem bogaty i być może nie zawsze będę bogaty. Szczególnie, jeśli nie będę uważał na metki. Moja matka gdyby tylko je zobaczyła, załamałaby się nerwowo. Cholera, ona przecież nigdy czegoś takiego nawet nie widziała. Mieliśmy w bawialni tę samą brązowo-zieloną kraciastą kanapę przez dwadzieścia lat. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

— Tak, to był jakby rys historyczny — powiedziała Keely ponownie siadając na krześle.

— Och, ale ona jest wygodna, nieprawdaż? W każdym razie cały czas czekam, aż podasz mi jakąś sumę wyjściową, Jack. Podobał mi się ten początek na temat budżetu. Ile więc planowałeś wydać?

Przeciagnał dłonią po włosach.

— Nie mam najmniejszego, cholernego pojęcia.

— Piętnaście pokoi, Jack. Zaczynaliśmy od gołych ścian. Przeszliśmy całą drogę od kuchennych ręczników do wycieraczki przed drzwiami, wraz ze wszystkim pośrodku. Przyznaję, że nigdy do tej pory nie miałam tak dużego zlecenia. Niemniej przemyślałam wszystko. Spójrz tutaj. Co powiesz na to? — Otworzyła notatnik, napisała jakąś liczbę i odwróciła kartkę, by mógł przeczytać.

Jack zamrugał oczyma i przełknął.

— Czy to kwota z podatkiem? — spytał po chwili. W zeszłym roku zarobił dwanaście milionów dolarów i ciągle miał problemy z wydawaniem pieniędzy. Mimo że mógł sobie na dużo pozwolić. — Nie, nieważne. Nie odpowiadaj na to pytanie. Sądzę, że to rozsądna kwota. Zareagowałem zupełnie dziecinnie. To jest jak konieczność zjedzenia wszystkiego z talerza, bo przecież żywność nie rośnie na drzewach. — Uśmiechnął się do pewnego wspomnienia. — Tim wytknął kiedyś mamie, że jednak sporo jedzenia rośnie na drzewach. Przez tą zuchwałą uwagę tata zakazał mu gry w piłkę przez tydzień.

Keely roześmiała się.

— Z tego, co słyszę twój brat jest bardzo do mnie podobny. Nie wiemy, w którym momencie powinniśmy trzymać buzię na kłódkę. Ale myślę, że musisz podziękować swoim rodzicom, bo nauczyli cię, jaką wartość ma pieniądź. Ciągłe czytamy o mistrzach sportu, którzy potrafią przepuścić swoje miliony w ciągu kilku minut i w końcu zbankrutować.

— Tak, ale w tym przypadku to się nie sprawdzi — powiedział wstając, a nie było to łatwe, gdy weźmie się pod uwagę, jak głęboko zapadł się w miękką kanapę. — Chodźmy teraz wydać trochę pieniędzy, ale nie na tę kanapę. Ta pochłania ludzi.

Pomógł Keely wstać, a ciepło jej dłoni w jego ręce spowodowało coś bezgłośnego, coś całkowicie głupiego i nieoczekiwanego, przez co ścisnęło go w żołądku. Spojrzał na nią. Ona spojrzała na niego, podziękowała i skierowała się do wyjścia z ekspozycji.

— Dobrze, królu złoty — powiedziała, a głos jakby jej zadrżał, co mu się oczywiście spodobało. — Znaleźliśmy już kanapę za twardą, znaleźliśmy też za miękką. Teraz poszukamy tej właściwej. Jak do tej pory dostaliśmy wszystko i nic.

— No właśnie — powiedział Jack, cedząc kłamliwie słowa przez zęby, gdyż do czegoś jednak doszli. Nauczył się, że Keely McBride łatwo trafia w sedno sprawy, nie wykorzystując tego do odgrywania się na innych, lecz do obrony siebie. Dowiedział się także, że nie był jedynym, który ujrawszy Candy, od razu zwariował na jej punkcie. I wreszcie, zorientował się, że dotknięcie Keely prawdopodobnie pozostawiło ślad na jego kondycji psychicznej.

Zaczęło się trochę pogarszać... a może polepszać... przy ekspozycji materaców. Było ich około sześćdziesięciu różnych rodzajów. Keely robiła to co zwykle. Poklepywała, macała, siadła tu i ówdzie, ale ze sposobu, w jaki się ociągała i krzywiła, zorientował się, że nie była ekspertem w tej dziedzinie.

— Nie byłoby lepiej wypróbować je po prostu i położyć się na nich? — zasugerował. Wybrał jeden z materaców wraz ze stelażem, który wydawał się ogromny. Miał pikowaną podusz-

kę i Jack zwyczajnie wyciągnął się na nim jak długi. — Wiesz? Na łózkach się śpi, a nie siedzi. Ten jest całkiem niezły. Chodź, wypróbuj go.

Keely odgarnęła swe miodowe włosy, zrobiła krok w bok i potrząsnęła głową.

— Chyba nie. Jeżeli tobie się podoba, to wystarczy. Potrzebne są dwa duże i dwa pojedyncze do narożnych pokoi gościnnych. Do innych sypialni wynajdę coś bardziej wyrafinowanego. Ustawię kanapy, szezlongi i tego rodzaju meble, ale to może jeszcze poczekać. Świetnie, chodź, wstawaj. Ciągłe jeszcze mamy tutaj dużo pracy.

— Nie — powiedział stanowczo, szczerząc się od ucha do ucha. Lubił się przyglądać, w jaki sposób Keely denerwuje się. Miała zaróżowione policzki, za dużo mrugała, wicherzyła włosy, tak że niektóre loki fruwały wokół jej twarzy i szyi. — Nie ruszę się dopóki i ty się nie położysz i nie spróbujesz sama. — Znowu się wyszczerzył. — To znaczy, wierzę, że ocenisz to fachowo, Keely. Więc... osądź.

Rzuciła swój notatnik na materac obok i podeszła do tego, który on wybrał. Spojrzała w dół, na niego.

— To śmieszne.

— Zgoda, ale zrób to, Keely. Ustąp mi.

Usiadła na brzegu łóżka, sztywna i oficjalna. Zgięła się w pół, a potem uniosła nogi i położyła je równiutko na materacu.

— Już lepiej, ale ty ciągle siedzisz na łóżku, Keely, nie leżysz. Położyła się, skrzyżowała ręce i spojrzała w sufit.

— Jest dobry — stwierdziła krótko — Delikatny, ale w porządku.

Jack przewrócił się na bok, podłożył jedną rękę pod głowę i spojrzał Keely w twarz.

— Wolisz, gdy jest twardszy? — zapytał, nie mogąc się powstrzymać.

Następne, co spostrzegł, to Keely stojącą obok materaca, z notatnikiem w ręku. On w dalszym ciągu leżał.

— Jeśli przedstawienie już się skończyło, Trehan, chciałabym iść dalej.

— Ja również, ale nie zawsze dostaje się to, co się chce, panno McBride — powiedział, wciąż się uśmiechając. Ale ona już szła wzdłuż rzędu mebli. Co mu odbiło? Przecież nawet nie lubił tej kobiety, a co dopiero mówić o pożądaniu? No tak, czy nie?

Godzinę i szesnaście długich rzędów mebli później Keely była gotowa już do rozmowy ze sprzedawcą. Jack nie był do końca pewien, czy sprzedawca też był już gotowy. Ten facet podchodził, ociągając się. Zastanawiał się, czego może się spodziewać po tej klientce.

— Ubijamy interes — powiedziała Keely bez wstępu, gdy już odnalazła sprzedawcę. Przedstawiła się oraz dowiedziała, że tamten ma na imię Curtis. — Kupujemy, Curtis, kupujemy naprawdę dużo mebli. Chcemy dwudziestopięcioprocentowego rabatu na wszystkie meble, które kupimy. Jack, pokaż mu swoje karty kredytowe.

— Oj, nie, nie — powiedział Curtis, machając nerwowo ręką, gdy tylko zobaczył, jak ślepo posłuszny Jack sięga po portfel. — Nie ma potrzeby panie Trehan. Ma pan u nas kredyt. Nielimitowany kredyt. Już rozmawiałem w tej sprawie z kierownikiem. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałby dostać autograf dla swojego syna.

— Jak miło — powiedziała Keely, jednak jej uśmiech nie sięgnął oczu. Curtis obejrzał jej handlową kartę, zanim schował ją do kieszonki, i teraz prawie że mdlał kręcąc się koło Jacka. — A dwadzieścia pięć procent? — ciągnęła Keely. — I natychmiastowa dostawa, bez dodatkowej opłaty?

— Cóż, tego nie jestem pewien — powiedział Curtis. Wyglądał na zakłopotanego. Próbował poluzować kołnierzyk koszuli, wtykając za niego palec. — To znaczy współpracowaliśmy już z pani firmą, ale tylko z właścicielem. I wtedy stosowaliśmy jedynie piętnastoprocentowy rabat. Nie wydaje mi się...

— Do widzenia, Curtis. Miłego dnia — powiedziała Keely, sięgając do kieszonki jego koszuli i wyciągając swoją kartę. — Chodźmy, Jack. Tylko tracimy tu czas.

Jack, który do tej pory siedział na krześle opodal, przygląda-

jąc się działalności Keely, teraz wstał, wzruszył ramionami i zaczął iść za nią do drzwi. Boże, strasznie lubił obserwować ją w ruchu. Zastanawiał się tylko, co byłoby bezpieczniejsze: obserwować, jak ona chodzi, czy też lepiej pozwolić jej przejść przez jego życie.

— Wyśmienita taktyka, jeśli tylko zadziała — powiedziała do Keely, gdy się z nią zrównał. — Nie wiedziałem, że jesteś taką hazardzistką.

— Nie jestem — zaprzeczyła, czepiając się jego ramienia. — Nie masz nic przeciwko temu? Tak bardzo się trzęsę, że mogłabym upaść. Nie idź zbyt szybko. Daj mu czas, by porozumiał się z szefem.

— Nie żartowała. Czuł, jak się cała trzęsie.

— Słuchaj, stać mnie na tę różnicę. Nie potrzebuję tego całego rabatu na dwadzieścia pięć procent. Nie jestem aż takim skapcem, naprawdę.

— Wiem, ale zamierzam wyciągnąć z tego magazynu tyle pieniędzy, ile się da i ile mogę. Zasady to zasady. Nie ma co dyskutować o dwudziestu pięciu procentach w momencie, gdy kupujemy tak dużo. Gwarantuję, że stać mnie na więcej, jeśli załatwimy niższy rabat u Curtisa. Jednak Curtis powinien nauczyć się, że nie zarobi pieniędzy, gdy stąd odjedziemy. A wtedy zacznę znowu żyć w pojedynkę. Jesteś moim klientem i kupującym w tym sklepie. Nie zamierzam pozwolić, by cię ktoś wykorzystywał, nawet jeśli byłbyś Billem Gatesem, okay?

Jack poczuł szaloną ochotę, aby zatrzymać się, chwycić Keely w ramiona i z rozmachem ucałować. Przewyciężył jednak ten impuls.

— Tak więc to tylko wymogi pertraktacji handlowych? Przy każdym kliencie w ten sposób przeżywasz i trzęsiesz się?

— Nie odpowiedziała mu, co może było dobrym znakiem. Powiedziała tylko:

— Czy mógłbyś się zatrzymać i zawiązać sznurówki butów? Gdyby Curtis szedł za nami nie chciałabym, żeby zorientował się, że sprawdzam co się za mną z tyłu dzieje. Ty jednak mógłbyś zerknąć, udając, że wiążesz sznurówkę.

— Włożyłem dzisiaj mokasyny — *zauważył* — *ale* zawsze mogę trochę poudawać.

— Nie, nieważne. Albo pójdzie za nami, albo nie — odpowiedziała, wzdychając. — Naprawdę bardzo podobał mi się ten szeszląg. A tobie podobała się kanapa. I była jeszcze ta waza...

— Nie możemy zawrócić — *zauważył* Jack, czując się jak mały chłopczyk uczepiony spódnicy matki.

— Nie, nie możemy. Chodź. Zafunduj mi hamburgera.

— Poczekajcie! — usłyszeli krzyk Curtisa w momencie, gdy Jack otworzył już ciężarówkę, a Keely uniosła nogę, żeby wsiąść na miejsce pasażera. — Pani McBride, panie Trehan... proszę, zaczekajcie!

Jack obserwował zmarszczkę zmartwienia pomiędzy brwiami Keely, wygładzającą się, gdy uśmiech pojawił się na twarzy dziewczyny.

— Czy słyszał pan coś, panie Trehan?

— Tak jakby — odpowiedział pod wrażeniem, że Keely udał się fortel. — To chyba wiatr. A może hałas z pobliskiej autostrady?

— Tak.' Prawdopodobnie to ten hałas.

— A więc jak długo jeszcze to ciągniemy? Mam nagrodzić starego dobrego Curtisa, czy wsiąść do ciężarówki i uruchomić silnik?

— Mam w wyobraźni śliczny obrazek — powiedziała Keely. — Ciężarówka odjeżdża, a goniący ją Curtis krzyczy: „Trzydzieści procent, trzydzieści procent! ”.

— Jesteśmy początkującymi hazardzistami, więc nie bądź taka zachłanna. Trzeba wiedzieć, kiedy przystopować, a kiedy popuścić — ostrzegł Jack. Następnie podszedł do niej. Curtis natomiast, prawie tracąc już oddech, poślizgnął się przed samą ciężarówką. Był prawdopodobnie gotów rzucić się nawet pod koła, gdyby okazało się to niezbędne.

— Dwadzieścia... dwadzieścia procent — wysapał. — Tyle udało mi się uzyskać. I bezpłatna dostawa. Wszystko będzie zrealizowane jutro rano.

Keely odwróciła się do Jacka z nadzieją.

— Co o tym myślisz?

Nie mógł nic na to poradzić. Wyszczrzył się do niej.

— Sądzę, że mamy zwycięzcę.

I wtedy dopiero się zaczęło. Jack szedł wolno wzdłuż rzędów mebli za Keely i Curtisem. Mijali te same meble co poprzednio, ale tym razem widział to, czego nie zauważył przedtem.

Keely wyciągała kanapę z jednego kąta, a krzesło z drugiego. Łączyła obie rzeczy ze stołem, który do tej pory stał w zupełnie innym komplecie.

— Weźmiemy te dwie lampy, kompozycję kwiatową z tego tam stołu. Nie, bez stołu. I tamtą roślinę w fajansowej donicy przy końcu rzędu. Nie, Curtis, nie zatrzymuj się i nie trać czasu, by zdejmować te oznakowania. Po prostu przyklejaj nalepki na wszystkim, co kupujemy. I błagam spróbuj za mną nadażać. Chcę być z powrotem w domu na czas kąpieli dziecka.

— Gdzie ty to wszystko poustawiasz? — spytał szeptem Jack, podczas gdy Curtis naklejał następną odblaskowo czerwoną nalepkę „Sprzedane”. Tym razem przyklejał ją na okrągłym dywaniku, wyglądającym jak żywcem wyjęty z baśni tysiąca i jednej nocy.

— Okrągły stół, okrągły dywan, oba do hallu — przytomnie odpowiedziała mu Keely. — To importowana wełna i do tego w niezłym gatunku. Mimo to jest niezupełnie tej samej jakości, jaką można znaleźć w wielu mieszkaniach zamożnych ludzi na Manhattanie. Lecz nie jesteśmy na Manhattanie i sądzą, że w podmiejskim domu rodzina powinna mieć meble dobrze dobrane, wygodne i ułatwiające życie codzienne. Z tego, co powiedziałaś mi przedtem, zorientowałam się, że gdybym zaproponowała położenie w hallu dywanu za dwadzieścia tysięcy dolarów, prawdopodobnie nigdy byś po nim nie chodził.

Jack jeszcze raz rzucił okiem na okrągły dywan.

— Dwadzieścia tysięcy? To ile ten kosztuje?

— Tysiąc pięćset. Minus dwadzieścia procent. Czy teraz nie czujesz się jak myśliwy polujący na okazje?

— Dwadzieścia tysięcy?! — powtórzył znowu patrząc na dywan. — Keely, w końcu chyba się doczekałem. Wygląda na to, że zacznę być zadowolony, że cię zatrudniłem. Powiedziałem ci już, żebyś robiła co uważasz za stosowne. Zwyczajnie niech to wszystko będzie już załatwione. Jestem baseballistą i pochodzę z małego miasteczka. Poprzednie mieszkanie kupiłem już umeblowane i tylko mój menedżer widział je przedtem. Nie miałem bladego pojęcia, ile to wszystko kosztuje. Każdy mógł to wykorzystać.

— No tak — powiedziała Keely, w dalszym ciągu wskazując Curtisowi kolejne meble do oznakowania. — Nie myśl sobie, że ten pomysł nie przyszedł również mnie do głowy. A uczciwie mówiąc, gdyby tu nie chodziło o Mary Margaret, mogłabym postąpić bardzo podobnie.

— Candy? Co Candy ma do tego?

— Nie wiem — powiedziała Keely, odwracając się w jego stronę — ale gdy o tym mówię brzmi to tak wybornie. I dobrze się czuję, gdy o tym mówię. Gdybym dłużej zaczęła się nad tym zastanawiać, być może nie spodobałaby mi się moja motywacja. Ale zostawmy to teraz. Powiedzmy, że na razie jestem z siebie zadowolona i jestem też zadowolona z tego, że równocześnie poznaję samą siebie. Przecież kiedyś faktycznie zostanę bardzo dobrą matką.

Tym razem, gdy Keely ruszyła dalej, a Curtis deptał jej po piętach, Jack pozostał nieruchomo na miejscu.

Keely zajrzała do Mary Margaret. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że mała niewiele poruszyła się, odkąd ułożyła ją do snu na noc. Zostawiła na straży Jacka i sama w największym pośpiechu pojechała do Macy's zakupić pościel dla siebie, to znaczy do pokoju gościnnego.

Z początku protestował, mówiąc, że musi coś załatwić na dole w garażu. Mogła oczywiście łatwo sobie wyobrazić, co oznacza to „coś”. Jednakże po powrocie do domu spostrzegła,

że usiłuje schować przed nią jeden z wypełnionych lodem woreczków. Być może bardziej niż treningu potrzebował odpoczynku, bo bolało go ramię. Przepracował się, przetrenował, czy jak tam nazywają to baseballiści.

— Czy twoje ramię ma się już lepiej? — spytała idąc do pieczary, by sprawdzić monitor dziecka, stojący na podstawce koło telewizora. A w pobliżu krzesła... Czyżby Jack przyglądał się śpiącej Mary Aigarget? — Mam nadzieję, że nie nadwyrężyłeś go dzisiaj zbyt, pomagając mi wnieść materac na górę. Jutro nie będziesz musiał nawet kiwnąć palcem, ale dzisiaj chciałabym wreszcie spać na prawie kompletnym łóżku.

— Nie ma problemu. A kto mówił, że boli mnie ramię? — odparł szybko, lecz Keely wyszła znowu z pokoju, próbując wyobrazić sobie rozstawienie nowych mebli.

Powinna wyprać podkładkę materaca i powłoczki przed pościeleniem łóżka. Zrobiłaby to, gdyby nie była tak wyczerpana. Wydawanie pieniędzy było bardzo męczące. Nawet gdy nie należały do niej.

Jutro razem z pozostałymi meblami pojawią się stelaże, dywany, lampy i inne sprzęty. To będzie musiało wystarczyć, do czasu, gdy znajdzie chwilę na wizytę w miejscowych antykwariatach i sklepach specjalistycznych.

Udało się całkiem zmyślnie zakupić podstawowe meble do pieczary i trzech sypialni. Miała też gotową bawialnię, pracownię, pokój do ćwiczeń, apartamenty właściciela domu, oszkloną werandę po wschodniej stronie domu, trzy sypialnie oraz bawialnię na górze. Zupełnie nieźle jak na jeden dzień pracy.

Gdy już pościel znalazła się na materacu, Keely włożyła świeżo upraną, bawełnianą piżamę, którą wyjęła ze starannie ułożonego na podłodze stosiku. Można zostawić na jutro sprężyny, stelaż i całą resztę, walającą się na podłodze.

Poszła do łazienki i wzięła szybki prysznic. Jedną tylko chwilę poświęciła na zadumę. Zastanawiała się, jak to jest brać prysznic w łazience Jacka. Te wszystkie dysze wodne! Gdyby miała taki prysznic, pewnie po prostu korzystałaby z niego bez zasta-

nawiania się nad tym. Poza tym nawet łazienka przy pokoju gościnnym była o całe lata świetlne nowocześniejsza niż ta przedtopopowa, którą miała w swoim brooklyńskim mieszkaniu. A wtedy wydawało jej się przecież, że wspięła się już tak wysoko po drabinie sukcesu. Prawie wcale już tego nie żałowała.

Wycierając się ręcznikiem i wciągając przez głowę górę od piżamy zdała sobie sprawę, że nie tęskni już tak bardzo za Manhattanem. Była za bardzo zajęta, żeby wspominać swoje poprzednie życie. Nie przemyślała nawet wystarczająco przejęcia dzierżawionego przez nią sklepu przez Gregory'ego. Czy pomyślała chociaż o samym Gregorym? A po co niby miałyby myśleć o tym nadętym dupku, i to kładąc się spać.

Całe życie pragnęła wyrwać się z Allentown. Przeprowadzić się do jakiegoś dużego miasta, takiego, jak Nowy Jork. Całe życie chciała się rozwijać, musiała ciągle coś w sobie poprawiać. I zbankrutowała. Straciła swoją firmę, mieszkanie i wszystkie pieniądze. Przegrana wróciła do domu.

Dlaczego jednak teraz nie czuła się już przegrana? Od pewnego czasu miała świetne samopoczucie, lepsze niż kiedykolwiek przedtem.

Czuła się potrzebna. Ciocia Mary potrzebowała jej do chwilo-
wego prowadzenia swojej firmy. Potrzebowała jej również Mary Margaret. Jack Lord Trehan, też wiedział, że kogoś potrzebuje.

Objęła się rękoma i skierowała do przedpokoju, gdyż chciała przed snem ostatni raz sprawdzić co dzieje się z dzieckiem. Wyszła ze swojego pokoju i skręciła w lewo, nie patrząc nawet, dokąd idzie, i nagle zderzyła się z Jackiem.

Rozpostarł ramiona i przytrzymał ją, mówiąc:

— Właśnie chciałem cię zawołać. Candy się wierci w łóżeczku. Widziałem na monitorze.

Keely bezwiednie złapała się jego niebieskiej piżamy, chociaż w zasadzie nie dotknęła nawet tkaniny.

— Dzieci często się kręcą i wiercą, Jack. — powiedziała, starając się nie westchnąć, gdy wypuszczał ją ze swych ramion. Nie do wiary, że tak szybko straciła możliwość dotknięcia go.

— Wiem — powiedział, przeczesując włosy palcami jednej ręki, tak że ponownie zwróciła uwagę na jasne kręcone blond pasmo nad jego lewą skronią. — Gdy pojechałaś, oglądałem jeden z tych filmów na wideo. Dzieci mogą wetknąć głowę w jakiś kąt czy pod te podkładki, które są w łóžeczkach. Albo szczebelki i uduszą się. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Tak to właśnie nazwali na tej taśmie wideo — poważnie niepokojące.

Był taki słodki. Tylko spójrzcie na niego, jaki on zaniepokojony, i boi się.

— Jack, zgodnie z tym, co mówi twoja kuzynka, Mary Margaret ma sześć miesięcy. Jest wystarczająco duża i silna, by nie zaplątać się w podkładki, jeśli prawidłowo się je ułoży. Natomiast łóžeczko, które kupiliśmy, zrobiono według najnowszych standardów bezpieczeństwa. Sprawdziłam, gdy tylko obejrzałam ten film.

Przycisnął dłonie do skroni.

— Boże, nie miałem pojęcia, że to będzie takie trudne — powiedział, kręcąc głową. — Trzeba o wszystkim myśleć, o wszystko się troszczyć. Ten dzieciak jest taki mały, taki bezbronny. Jak Candy przeżyła te sześć miesięcy z Cecily?

— Osobiście wolę o tym nie myśleć — odpowiedziała szczerze Keely. — Mam tylko nadzieję, że ona nie wróci.

Jack wytrzeszczył na nią oczy.

— Nie wróci?! Musi wrócić. Ja nie mogę wychowywać Candy. Nie chcę jej wychowywać.

— Bo jedziesz rzucać piłką w Japonii. — powiedziała Keely, a cała czułość i niesprecyzowane uczucia do Jacka uleciały w jednej chwili. — Wiesz, Trehan, jesteś bardzo podobny do twojej kuzynki. Ona jedzie do Tybetu, ty do Japonii, a Mary Margaret do... no właśnie, Jack, dokąd? Do wujka, który, jak opowiadałeś, jest tak niemądry jak jego siostra? Albo do jakiegoś ośrodka wychowawczego, gdzie zostanie do osiemnastego roku życia.} No tak, to nie twoja sprawa, co, Jack? Nie twój problem.

Próbowała odwrócić się i odejść, ale przytrzymał ją w swych ramionach, nie pozwalając na to.

— Czy nigdy się nie zamkniesz? — zapytał przyglądając się jej. — Nie prosiłem się o to, to wszystko. Co, psiakrew, miałbym niby zrobić?

Keely przyglądała mu się dłuższy czas.

— Nie wiem — odpowiedziała szczerze. — Wiem tylko, że dziecko zasługuje na więcej, niż ty czy twoja kuzynka zamierzacie mu dać. Jestem tutaj nie dlatego, że mnie zatrudniłeś, ale dlatego, że ktoś musi opiekować się tym słodkim maleństwem. Nie zaczęłam w ten sposób, ale zdecydowanie w ten sposób skończę. Nie możesz mnie zwolnić, bo mnie rozpaczliwie potrzebujesz. Petra ma wieczorem zajęcia, a ciocia Sadie jest już starszą panią, w dodatku zbyt zadowolona ze swojego wygodnego życia, aby dla ciebie zająć się tą niewdzięczną robotą. Powiedz mi Jack, kiedy przestaniesz zachowywać się tak buńczucznie i przyznasz, że to ty jesteś odpowiedzialny za Mary Margaret?

Jego palce zacisnęły się trochę mocniej.

— Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak bardzo chciałbym się ciebie stąd pozbyć?

— Zupełnie jasno dajesz mi to do zrozumienia każdego dnia. Przestań w końcu robić te częste aluzje, Trehan, i powiedz, że-bym sobie poszła. No dalej, powiedz, żebym odeszła.

— Nie mogę — powiedział, odsuwając się od niej.

Keely mało co nie upadła. Nogi nie chciały jej utrzymać. Mówił w taki sposób, jakby jej tu nie było, jakby go nie słyszała.

— Jutro rano przyjedzie do mnie Tim, żeby sprawdzić moją formę. W przyszłym tygodniu ma być w Arizonie kręcenie tej reklamówki...

Sprawdzić formę? O rany! Keely musiała trochę cofnąć taśmę. Nie posiadała wystarczającej wiedzy ani też nie miała interesu, żeby zostać komentatorem w ESPN, ale była kibicem. Wiedziała, co to oznacza. Japonia nie była jeszcze zaklepana, jak Keely dotąd przypuszczała. Musiał poddać się próbie jak jakiś początkujący. Jakiś facet, którego już nikt nie chce. To był powód, dla którego odbywał treningi w garażu. Nie

dbał o sylwetkę, tylko trenował. Jeszcze nie złożył podpisu na kontrakcie z Tokyo Tigers ani żadnym podobnym mu zespołem. Jakie to dla niego upokarzające! Dwa razy był mistrzem w Cy Young Yankees, a teraz został zdegradowany do roli *sprawdzanego* przez jakiś zespół z końca świata.

Skończył karierę i *znalazł* się w miejscu startu. Ma lepszy dom, jest wypłacalny, ale ciągle stoi na starcie. Ma ten ogromny dom, ale nie ma mebli. Jego brat utrzymuje się ciągle w pierwszej lidze, co musi być dla Jacka jak cios w żołądek. I nie jest istotne, jak bardzo go przecież kocha. No, a tu jeszcze na dodatkę ma Mary Margaret... i ją. Keely była zaskoczona, że Jack nie spróbował dotychczas pójść do garażu, żeby powdychać sobie spalin z rury wydechowej.

Keely dotknęła jedną ręką jego ramienia.

— Jack... przepraszam — powiedziała szczerze — jestem taka pyskata. Nie powinnam była tak bardzo się wściekać, gdy powiedziałeś mi o tej Japonii. Myślałam, że po prostu rozglądasz się za jeszcze jednym pokaznym kontraktem, nie zważając na dzieciaka i całą resztę. Ale to nie to, prawda? Ty zwyczajnie nie wiesz, gdzie się podziąć teraz, gdy znalazłeś się poza baseballem.

Momentalnie się najeżył.

— To ja zdecyduję, kiedy będę poza baseballem. Wróciłem do gry po pierwszej operacji. Mogę wrócić też po następnej. Jestem ciągle zbyt szybki, by iść na rentę.

Nie chciał, żeby jego wypowiedź była podobna w stylu do jej, ponieważ kurczowo trzymała się tematu porażki. Cierpkie marzenia.

— Problem w tym, że Yankees mają inne zdanie, co Jack? Lekarze też nie podzielają twojej opinii? A nie pomyślałeś, że Yankees chcieliby zatrzymać cię w drużynie, gdyby byli przekonani, że możesz znowu rzucać?

Chciał się już odwrócić, lecz wstrzymał się i skierował swoje spojrzenie ponownie na nią.

— Och, wspaniale! Ona dekoruje, gotuje, opiekuje się dziećmi. A do tego jest teraz ortopedą, właścicielem drużyny, a na-

wet psychoanalitykiem. I to wszystko tylko za dziesięć procent od ceny pary kanap. W jaki sposób stałem się aż takim szczęściarzem? Świetnie panno McBride, bardzo dziękuję i dobranoc.

— Jack, poczekaj! — wykrzyknęła Keely i pobiegła za nim korytarzem. Zapomniała, że ma gołe nogi. Zapomniała też, że oprócz jednego małego dziecka ona i Jack są praktycznie sami w tym dużym domu. Ponownie chwyciła go za ramię, ale od razu je puściła, gdyż przypomniało jej się, jak niedawno przykładał do niego lód. Zatrzymał się. Poczekał.

A ona nie mogła zebrać myśli, żeby wypowiedzieć chociaż jedno słowo.

— Och, Jack, naprawdę bardzo mi przykro — wykrztusiła w końcu, obejmując go. — Życie nie jest sprawiedliwe, prawda?

Przytuliła policzek do jego piersi próbując go pocieszyć, ponieważ wiedziała, jak to jest, gdy marzenia rozpadają się w pył. To boli. To bardzo boli.

Poczuła, jak objął ją i przytulił swą głowę do jej głowy.

— To nie było zabawne, Keely — powiedział po dłuższej chwili. — Myślę, że powinnaś już się położyć.

Przytaknęła, a on wypuścił ją z objęć. Spojrzała na jego twarz.

— Życzę ci powodzenia jutro, Jack. Naprawdę.

Potem odwróciła się i pobiegła korytarzem do siebie.

8

*Gdy udawało mi się rzucić podkręconą piłkę,
chciało mi się wrzeszczeć z radości.*

Candy Cummings, miotacz

Keely nie należała do skowronków, wstających o świcie. A już szczególnie nie wtedy, gdy spędziła prawie całą noc bezsennie w kółko rozpatrując scenę z Jackiem, kiedy to zachowała się jak pozbawiona mózgu blondynka. Gorzej, bo jak pozbawiona mózgu blondynka polująca na forszę.

Jednakże przeszkodą w dłuższym spaniu był pokój Mary Margaret, który mieścił się we wschodniej części domu. Problem tkwił w tym, że, gdy wschodziło słońce, budziła się również Mary Margaret. Od razu miała mokrą pieluchę i była głodna, o czym wrzaskiem informowała otoczenie, bo płucka były ciągle w znakomitej kondycji i od razu po przebudzeniu pracowały.

Trzeba było wstać, tym bardziej że widząc wlewające się przez okna słońce stwierdziła, że przyszedł najwyższy czas, by pomyśleć o zasłonach. Okna domu Jacka mogły być uznane za architektoniczne perełki. Usytuowanie domu pozwalało zachować prywatność i dostarczało jednocześnie pięknych widoków.

Keely usiadła przy kuchennym stole. Oczywiście po tym, jak już ubrała Mary Margaret, nakarmiła ją i posadziła w sprężynującym krzeselku, zawieszonym we framudze drzwi — taki specjalny zestaw mini bungee dla niemowlaków. Siedziała obłożona katalogami, które przytaszczyła z ciężarówki. Zawierały one

próbki tkanin na zasłony, draperie i story. Wchodząc do domu i niosąc stertę katalogów, nie mogła już zamknąć tylnych drzwi. Otwarte drzwi uznała więc za zaproszenie do środka Petra Polinski, która pojawiła się chwilę później. Keely akurat podjęła już decyzje odnośnie tego, jakie będą zasłony w pokojach na dole. Teraz obmyślała, co zastosować do zaciemnienia pokoju Mary Margaret.

— Hej, blondynka, dokąd zmierzasz wraz ze światem z samego rana? — spytała Petra, podchodząc ekspresu do kawy. — Wersja dla laików: jak leci?

— O, żyjesz i jesteś już tutaj, co jest bardzo zaskakujące. Myślałam, że nastolatki śpią w lecie do południa — powiedziała Keely, obserwując Petrę, która nalewała sobie kawy. Ta zaś upiła łyżeczek i przykucnęła przed zachwyconą Mary Margaret.

Dzieci muszą lubić kolory. To z pewnością jest dla nich interesujące. A dzisiaj Petra była cała w czerwieni. Szorty koloru ogniście czerwonego jak wóz strażacki. Do tego czerwone trampki i bluzeczka w odcieniu czerwieni odblaskowej, a wreszcie czerwone pasma na blond włosach. Przypominało to patrzenie na znak „stop” ludzkich wymiarów.

Petra podniosła grzechotkę i podała ją Mary Margaret. Następnie podeszła do stołu. Pociągnęła w swoją stronę róg jednego z grubych katalogów.

— Draperie, co? Może chcesz, abym ci pomogła?

Keely jeszcze raz omiotła spojrzeniem Petrę od stóp do głowy.

— Hmm... dziękuję, ale nie skorzystam.

— Oczywiście, że skorzystasz — powiedziała, siadając i otwierając jedną z ksiąg. Zaczęła przeglądać tkaniny zasłonowe, próbka po próbce. — Dobra mieszanka materiału i wzoru. Trochę ciężka, ale nieprzyłaczająca. Wzór z osiemnastego wieku, klasyczny. Pasowałyby pewnie świetnie w jadalni. Pasy w kolorze kości słoniowej, fałdy wlokące się po podłodze, no i lambrakin, obowiązkowo. Zamierzasz utrzymać styl uroczysty, prawda? Wiesz o czym mówię? Z tymi jońskimi kolumnami

i okazałym wykuszowym oknem. Musisz trzymać się panującego tam dramatycznego nastroju.

Keely odchyliła się na krzesło i bacznie przyjrzała się Petrze.

— Spójrzmy na to w ten sposób. Czy to jakiś twój następny okres?

Petra przytaknęła. Urwała kawałek papieru i zaznaczyła w katalogu wybrane miejsce. Potem ciągnęła dalej.

— Gdy miałam siedem lat, zaprojektowałam i udekorowałam dom dla lalek. Zbudował go mój dziadek, mistrzunio. Trzy piętra. Mam słabość do wzorów z epoki Jerzego IV i georgiańskiego. Lubię też wzory z epoki wiktoriańskiej, ale bez przesady. Jednak najbardziej cenię Franka Lloyd Wrighta. Chociaż więcej duchowości jest w stylu sheraton, chippendale, czy w pracach Inigo Jonesa, nie sądzisz? Bomba! Ty już zaznaczyłaś te strony. Zaplanowałaś to do bawialni, tak? Musimy mieć jakieś kosmiczne powiązania, nie? Założę się, że już spanikowałaś?

Keely wyprostowała się na krzesło, skierowała wzrok na stół i podrapała się w policzek.

— Ile ty masz lat? Powiedziałaś, że szesnaście czy siedemnaście, prawda?

— I nigdy się jeszcze nie całowałam — odpowiedziała Petra, szczerząc się. — To prawda. — Powróciła do przeglądania próbek, krytycznie lustrując każdą stronę. — Więc? Zamierzasz iść popatrzeć?

Keely ciągle jeszcze nie mogła pogodzić się z faktem, że reklama Petry była prawdziwa. To przecież pączkujący geniusz. No tak, zdecydowanie była pączkiem czegoś.

— Popatrzeć? Na co?

Petra zamknęła księgę, wstała i przewróciła oczami.

— Na Jacka, oczywiście. Sadie powiedziała Mitzi, a Mitzi powiedziała mnie. Tim Trehan, brat Jacka, a zarazem łapacz drużyny Phillies, przyjeżdża, by pomóc mu w treningu przed sprawdzianem. Mają spotkanie się o dziewiątej na uniwersytecie. Jezu, nic ci nie powiedzieli?

Keely przesunęła się z krzesłem.

— Wiem o tym — powiedziała i miała nadzieję, że nie brzmi to zbyt obronnie. — Oczywiście, że jestem zaproszona — skłamała. — Niestety nie mogę tam być, bo dziś o dziesiątej będzie dostawa największych mebli.

Mary Margaret znudziło się już siedzenie w skaczącym foteliku i zaczęła kwilić. Petra szybko wyjęła ją i posadziła sobie na biodrze tak sprawnie, jakby opiekowała się dziećmi od lat.

— Niefart. Chcesz, żebym to załatwiła?

Keely uśmiechnęła się. Taka słodka dziewczyna i taka naiwna.

— Dziękuję ci, ale nie. Będę musiała pokazać przewoźnikom, gdzie co mają postawić.

Petra okrążyła stół i stanęła naprzeciwko Keely.

— Ale czy ty chcesz iść? Sadie powiedziała Mitzi, że żywisz do Jacka gorące uczucia. Dla niego sama bym tam pojechała, ale on jest trochę za stary, sama wiesz. Więc pewnie chcesz tam być, *co?*

Keely wstała, odepchnęła krzesło i poszła nalać sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Ręce jej się trzęsły i trochę wylała na blat. Sięgając po papierowy ręcznik, powiedziała:

— Jestem pracownikiem Jacka, Petro. I nie żywię wobec niego gorących uczuć.

— Aha, pewnie, a Britney Spears śpiewa tylko na żywo. Wy-luzuj się Keely, widzę co jest grane. Ty i Jack mieszkacie tutaj sami. Z Candy jako przyzwoitką? Mówię ci, Sadie i Mitzi śledzą rozwój tego gorącego romansu. Nie mam im tego nawet za złe. One są stare i potrzebują czegoś, żeby im krew żwawiej krążyła.

— Czy przypadkiem nauczyciele nie dopisują na twoich świadectwach „niezdyscyplinowana” — spytała Keely, czując jak krew zaróżowiła jej policzki.

— Gdy skończyłam przedszkole, to przestali. Po tym jak w pierwszej klasie zbudowałam z wykałaczek i wacików replikę Lincoln Memoriał zaczęli nazywać mnie utalentowaną. Starali się również nie uważać mnie już za osobę, która przyczepiła do włosów Jenny Arburto gumę do żucia. Nauczycie-

le martwią się tylko, że nienawidzę matematyki, mimo że jestem całkiem niezła z tego przedmiotu. Zwykle cudowne dzieci są prawdziwymi talentami matematycznymi. A ja? Ja jestem bardziej eklektyczna. Spowodowane to może być jakimś opóźnieniem, niedorozwojem, którego mój organizm nie przezwyciężył. Nie jestem całkiem pewna, jak to działa. Z tego też powodu w przyszłym semestrze rezygnuję z kursów artystycznych na rzecz psychologicznych. Rozum i pieniądze tatusia pozwolą ci otrzymać wszystko, czego pragniesz.

Petra otworzyła notatnik Keely i zaczęła przeglądać zestawienia, które ta zrobiła dla każdego z pokoi.

— Kawał dobrej roboty — powiedziała — optymalne rozwiązania. Wszystko sympatyczne i gustowne. Szczegółowo rozpisane. Nie będzie trudności z rozszyfrowaniem tego. Te znaczki „x” postawiłaś przy meblach już kupionych, prawda? Zapisałaś, gdzie każdy będzie stał. Wszystko jest opisane, zaindeksowane i narysowane w skali. Poradzę sobie. Będę wiedziała, jak pokierować ludźmi, którzy przywieżą te meble, gdzie mają co postawić. Dlaczego nie pójdziesz zobaczyć, jak trenuje twój ukochany?

— Nie... nie mogę — powiedziała Keely, patrząc na zegar. Była już ósma trzydzieści. — A właściwie, to on mnie nie zaprosił...

— Cóż, wiedziałam o tym. Wielkie kłamstwo. Naprawdę bezczelne kłamstwo, Keel. Nie muszę być cudownym dzieckiem, żeby się w tym połapać.

— Wielkie dzięki. Jak to miło zdać sobie sprawę, że jest się łatwym do rozszyfrowania. — powiedziała Keely, kręcąc głową. — A oprócz tego, nie sądzę, żeby chciał mieć widownię...

Jednak Petra nie słuchała. Szturchnęła Mary Margaret i powiedziała do Keely:

— Myślę, że zrobiła siusiu. Przebierz ją, zanim pójdziesz. Byłyśmy wczoraj na spacerze w tej spacerówce o wielkich kółkach. Świetnie się nią jeździ po trawie.

— Ja... może wezmę Mary Margaret ze sobą.

Petra wzruszyła ramionami.

— Słusznie, ja bym wzięła. To logiczne: nie rzuci w ciebie piłką, gdy będziesz trzymać dziecko, prawda?

— Prawda. — powiedziała Keely, prostując ramiona. — A poza tym chciałabym, żeby Mary Margaret poznała swojego kuzyna Tima. Tak wypada, nieprawdaż?

Petra wyszczerzyła się, pokazując białe, lśniące zęby nad krwistoczerwonymi wargami. Czerwień ust była lepsza od wczorajszej zielonej szminki, ale nie była to zbyt duża poprawa.

— Wszystko może być dobrą wymówką — to moje motto.

Jack jeszcze przed wschodem słońca wstał, wziął prysznic i wyszedł z domu. Zapakował do kufra swego samochodu rękawicę i białą gumowaną taśmę do zaznaczenia pozycji miotacza. Taśmę zabrał na wypadek, gdyby uniwersytet usunął swoją. Zabrał też siatkę z piłkami. Rękawicę, korkowe buty i pojemnik z kalafonią włożył do skórzanej torby. Załadował do bagażnika wszystkie potrzebne rzeczy. Co za szkoda, że nie mógł tam zamknąć skurczu, który miał w żołądku, a który był wielkości Cleveland.

Śniadanie zjadł w pobliskim barze i prawie od razu tego pożałował. Tak samo, jak żałował wypicia trzech filiżanek kawy jeszcze przed świtem.

W głowie miał zamęt. Jak mógł obmyślić technikę rzutów, jeżeli po zamknięciu oczu natychmiast widział Keely stojącą w korytarzu z rozwichrzonymi blond włosami, zamęczającą go pytaniami i patrzącą mu w oczy z litością?

Litość. Usiadł w swoim sportowym samochodzie, odchylił głowę do tyłu i westchnął. Widział w swoim życiu mnóstwo przeróżnych uczuć w oczach naprawdę wielu kobiet, ale psia-krew, nigdy nie widział w nich litości.

Czy był godny pożałowania? Cholera, nie! Litość w jego przypadku?! On był Jackiem Trehanem, mistrzem wśród miotaczy nowojorskiej drużyny Yankees. Oto czym on był.

Był.

Sięgnął lewą ręką do prawego ramienia. W ramieniu czuł ból, ból, który odkąd zaczął ponownie trenować, nigdy całkowicie nie ustąpił. Wszak nie był jedynym miotaczem, który musiał rzucać, przezwyciężając ból. Ból od zawsze był częścią gry.

Bólem zdecydowanie nie było rzucanie podkręcanej piłki. Jakże lubił patrzeć, gdy szybowała wysoko i idealnie we właściwym kierunku. Wyglądała jak wielki soczysty grejpfrut, spadający nagle na talerz.

Och, to ci dopiero. Jaka ożywcza gadką sam się karmi! Powinien sam siebie zatrudnić jako specjalistę od motywacji. Dlaczego zwyczajnie nie wróci do domu i nie zapomni o wszystkim? Zaklął pod nosem, otworzył drzwi samochodu i wysiadł na zewnątrz. Słońce już wstało i przez parking wiał delikatny wiaterek. Prawie słyszał szum trawy, dobiegając' od strony boiska piłki nożnej. Był zupełnie sam. Boisko do baseballu było na obrzeżach miasteczka uniwersyteckiego, więc nikt od strony drogi nie mógł go rozpoznać.

Otworzył bagażnik samochodu i wyjął z niego korki. Opierając się o zderzak, zmienił buty. Następnie zabrał resztę rzeczy i ruszył w stronę murawy. Rzucił torbę na ławkę, stojącą niedaleko linii wytyczającej pierwszą bazę, i rozpoczął rozgrzewkę.

Dla niego i dla Tima wszystko zaczęło się tutaj. Tutaj grali przez te wszystkie lata. Było to pole ich marzeń. Miejsce, gdzie przychodzili wszyscy koledzy z uczelni, a nawet kilku facetów z pierwszej ligi, tylko po to, żeby zobaczyć jak grają bliźniacy Trehanowie. Idealny zestaw: brat rzucający do brata.

Od czasów studiów zawsze grali razem, z wyjątkiem wiosennych treningów i paru meczów wewnętrzzligowych, w których występowali jako przeciwnicy.

Ale tu wszystko się zaczęło. Jeśli tutaj miałoby się skończyć, może byłoby to najlepsze miejsce na pożegnanie.

Jack sprawdził pozycję. Zobaczył, że taśma leżała na swoim miejscu. Następnie nagarnął nogą trochę piachu na pozycję, że-

by była taka, jaka najbardziej mu odpowiada. Taka jego prywatna wersja robienia porządków przez rozgrywającego. Potem przykleknął, przeciągnął ręką po glinianej powierzchni pozycji i odrzucił kilka kamyczków poza pole. Grał na zwłokę. W końcu jednak był już gotowy. Wstał i spojrzął za siebie. Ujrzał brata w pełnym wyposażeniu, z rękawicą pod pachą i maską ochronną, zsuniętą na tył głowy.

Czy sam kiedyś nie wyglądał identycznie? Jakby żywcem z niego zdjęta skóra. Byli z Timem bardzo podobnej postury, chociaż Tim grając od tyłu lat w przykucniętej pozycji łapacza, miał bardziej umięśnione nogi. Tak czy inaczej patrzenie na Tima było dla niego patrzeniem w lustro.

— Hej, brachu. Świetny dziś dzień na małe „rzuc i łap” — powiedział Tim Trehan, podchodząc bliżej.

— Wcześniej przyjechałeś — powiedział Jack, otrzępując z kurzu ręce. Przywitał się z bratem. — Dziękuję, że przyszedłeś.

Tim wyszczerzył zęby. Miał opaloną twarz, a wokół oczu robiły mu się zmarszczki.

— Więcej nie mogę już zrobić. Co to za gra była wczoraj! Potem ten długi lot i jazda w tę i z powrotem do Philly. A dzisiaj od świtu do zmierzchu walka pomiędzy braćmi.

— Dobra, wypominaj mi to, ile chcesz. Będę twoim dłużnikiem — stwierdził Jack, gdy tak stali razem i robili wszystko, żeby ominąć temat chorego ramienia. — Hej — powiedział po chwili — czy pamiętasz tamtą grę z Northampton w naszym drugim roku? Ten wielki lewoskrzydłowy. Jak się nazywał? Próbowaliśmy mocno do niego rzucić, a on nagle zderzył się z tobą. Piłka uderzyła cię wtedy prosto w krtań, dokładnie w miejsce gdzie kończy się maska ochronna. Zwaliłeś się na ziemię jak głąz.

— Rany, masz świetną pamięć — powiedział Tim, uśmiechając się półgębkiem, nie do końca zachwycony. — Może lepiej porozmawiajmy o tym, jak on uderzył twoją następną piłkę dokładnie za Doyle'a na trzeciej bazie, powodując, że wygrana przyszła momentalnie?

— Nie pamiętam tej części gry — powiedział Jack, chociaż nie była to prawda. Był wtedy tak ciężko przerażony tym, że Tim zwał się na ziemię i że leżał bez ruchu. Na pewno nie myślał wtedy o następnym rzucie.

— Byliśmy świetni — powiedział Tim, wzdychając- Obrócił się wolno, rozglądając się po polu. — O rany, człowieku, to miejsce nasuwa tyle wspomnień. Żyliśmy tutaj prawie cały czas od przedszkola do dyplomu. Hej, a pamiętasz, jak w ferie wdrapałem się na to drzewo? Pani Liddy zaczęła na mnie krzyczeć i spadłem, gruchocząc sobie rzepkę w kolanie.

Jack schylił się i podniósł swoją rękawicę.

— Oczywiście, że pamiętam. Jakiś miesiąc później wpadłem na to drzewo jadąc na rowerze i pękła mi rzepka w prawym kolanie. Twoja była w lewej nodze. Mama myślała, żeśmy to ukartowali.

— Tak, jakbyśmy zawsze wszystko inne też planowali. Pamiętasz, jak rzucałeś na tym tam polu i pierwszy taz zdobyłeś punkty? A jak wieczorem tego samego dnia, też pierwszy raz, byłeś z dziewczyną? Jeśli dobrze pamiętam, nazywali ją Susie Williams „Gorące Usta”.

Jack uśmiechnął się do tych wspomnień.

— Skłamałem wtedy. Nigdy nie zbliżyłem się do Susie bliżej niż na dwadzieścia jardów.

— Ach, tak? Dobrze więc. W takim razie i ja muszę się przyznać, że wcale nie zaliczyłem Mindy Frett jakieś dwa tygodnie po tym, jak ty powiedziałaś, że to już zrobiłeś.

— Skłamałeś? — spytał Jack, patrząc na brata.

— Ojej, dlaczego tak się dziwisz? Wiesz przecież, jak to z nami było. Jak jeden coś zrobił, zaraz drugi musiał mu dorównać, robiąc dokładnie to samo. Powiedziałaś, że zaliczyłeś Susie. Co ja w takim razie miałem zrobić? Chociaż powinienem był już wtedy się połapać, prawda?

— No, tak. Bądź zadowolony, że tym razem nie poszedłeś w moje ślady — powiedział Jack, ucinając w ten sposób ewentualne dalsze wspomnienia. — Co byś powiedział na rozgrzewkę, zanim pojawi się łowca?

— Świetny pomysł — powiedział Tim. Odwracając się, włożył maskę. Nagle zatrzymał się. — Uhu, blondynka na godzinie dziewiątej. Ale nie przejmujemy się nią. Ma ze sobą dziecko. W porządku, tak czy inaczej ja powinienem ustawić się na stacionie na godzinie drugiej.

Jack obejrzał się na trzecią bazę i zobaczył stojącą tam Keely. Pchała przed sobą spacerówkę, w której siedziała Candy.

— Psiakrew — zaklął z wrażenia i odwrócił się, zanim zdążyła mu pomachać. — Co ona tu robi?

— Znasz ją? — Tim podniósł ponownie maskę.

Jack uderzył się rękawicą po udzie, zastanawiając się ile powinien powiedzieć Timowi, a jak dużo jego brat sam się dowie.

— To moja dekoratorka wnętrz. Nazywa się Keely McBride. Jeśli zamierzam trochę pomieszkać w tej swojej stodole, to muszę mieć tam trochę mebli.

— Interesujące. A to jest jej dziecko?

— Nie, Candy nie jest jej dzieckiem. To jest dziecko Cecyli i ja się nim opiekuję. Słuchaj, to trochę przydługa historia, a ten facet może się pojawić w każdej chwili. Muszę się rozgrzać.

— Opieka nad dzieckiem. Uh-hu.. — powiedział Tim, odwrócił się, by spojrzeć na Keely, a potem przyjrzał się Jackowi. — Oj, będę musiał usłyszeć tę całą historię, brachu. Obiecuj mi, że nie zapomnisz opowiedzieć.

Jack przytaknął, a Tim wrócił na stanowisko i przykucnął.

— Łatwo i przyjemnie, Jack! — zawołał do niego, wkładając wielką rękawicę. — Zwyczajnie rozluźnij się kilkoma podrzutami w górę, zanim spróbujesz czegoś innego.

Jack rozkołysał ramiona, udając, że nie czuje na sobie spojrzenia Keely. Stał na swojej pozycji. I wtedy z miejsca o niej zapomniał. Zapomniał o wszystkim z wyjątkiem piłki w swojej ręce i rękawicy na dłoni brata.

Tim zawsze lubił trajkotać. Temu facetowi usta nigdy się nie zamykały, a i dzisiaj też był w niezłej formie. W czasie gdy Jack rzucał piłkę, Tim nie przerywał strumienia idiotycznego monologu:

— Świetnie, mistrzu, dość lizania cukierka przez papierek. Odpalaj do mnie.

— No, dawaj. To go powinno powalić na miejscu. Hej, pałkarz, pałkarz, pałkarz. Wsłuchaj się w ten dźwięk

— Wysoko i mocno, Jack, wysoko i mocno. Cholera, ta chyba polecie aż na aleję. Spróbuj jeszcze raz.

— Ściemniaj, Jack, ściemniaj. Tak! Przeleciała obok bazy... drugiej nie odbił! Udało się!

Jack zdążył się spocić, ale czuł się wspaniale. Był znowu na pozycji, a jego brat na stanowisku. Obmyślał następny rzut. Ostatnia podkrecona piłka poleciała dokładnie tak, jak powinna, skręcając w prawo nad stanowiskiem. Boże, jak on kochał te podkreślane piłki.

Wspaniale. Naprawdę wspaniale było stać znowu na pozycji rozgrywającego.

Wspaniale nie czuło się tylko jego ramię. Po jakiś czterdzieści rzutach było zupełnie jak martwe. Zwyczajnie zwisało wzdłuż ciała. Jego rzuty też wykazywały teraz tendencje spadkowe. Wyimaginowany pałkarz musiałby długo czekać, by mógł je trafić.

Złapał piłkę odrzuconą przez Tima, zdjął z głowy czapkę i wytarł czoło z potu. Brat opuścił swoje stanowisko i podszedł do niego.

— Jak tam twoje ramię?

— Boli jak sukinsyn — przyznał Jack, powiedział to jednak cicho, gdyż dziesięć minut temu zauważył łowcę, który stał i przyglądał się ich grze. — Czy powiedział, z jaką prędkością leciała ta ostatnia piłka?

— Osiemdziesiąt siedem — powiedział Tim, przytakując. — Całkiem niezłe, Jack, lecz jeżeli to wszystko, na co cię stać, chyba masz kłopoty. I spróbuj trochę obniżyć loty. Rzucasz za wysoko.

Wiedząc, że w ostatnim sezonie rutynowo rzucał z prędkością dziewięćdziesięciu trzech mil na godzinę, Jack, zirytowany, założył czapkę na głowę i rzucił przez ramię:

— Chodźmy jeszcze trochę porzucać.

— Jesteś pewien? On widział wystarczająco dużo, a ty wyglądasz wystarczająco blado, brachu.

— Jestem pewien — odrzekł Jack, zaciskając usta. — Chodźmy.

Pół godziny później Jack i łowca stali przy linii pierwszej bazy. Łowca mówił, Jack słuchał. Potem Jack coś powiedział, podali sobie ręce i rozstali się.

— No i co? Co się stało? — zapytał Tim, niosąc nakolanniki i ochraniacz. Maskę miał zsuniętą na tył głowy.

— Powiedział, że w porządku, chce mnie — odparł Jack, patrząc jak Keely zrównuje się z nimi, pchając Candy przed sobą.

Zatrzymała się trochę z boku w odległości wystarczającej, by słyszeć, o czym mówią, ale niewystarczająco blisko, by była konieczność przedstawienia jej Timowi.

— Chce...? Cholera, to wspaniale, Jack! Bombowo — powiedział Tim i prawie udało mu się ukryć niedowierzanie w głosie. — To co mu odpowiedziałeś?

— Powiedziałem mu, że się zastanowię — powiedział Jack, przyglądając się Keely, gdy ta wpatrywała się pilnie w glinę pod nogami. — Wtedy on powiedział, żebym nie zastanawiał się zbyt długo, bo powinienem pamiętać, że oni kupują moje nazwisko i tylko nazwisko. — Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. — No, to mu powiedziałem, żeby poszedł do diabła. Podaliśmy sobie ręce. Udzieliłem mu jeszcze kilka wskazówek, jak trafić z powrotem na lotnisko i tyle.

Jack zauważył, jak głowa Keely nagle drgnęła, a łzy pojawiły się w jej oczach. Żeby to ukryć, pochyliła się szybko nad Candy, podała jej wyciągnięty z kieszeni smoczek i zaczęła poprawiać ją w wózeczku.

Jack szedł dalej, zabrał po drodze swoją torbę. Tim podążał za nim.

— Zabrałeś ze sobą lód? — zapytał Tim. — Powinieneś zmrozić ten ból, dopóki nie powiększy się jeszcze bardziej.

Jack sięgnął do torby i wyjął jednorazowy woreczek. Ścisnął go, i przyłożył na ramię.

— Byłem aż tak kiepski, Tim?

— Do diabła, nie — odpowiedział mu brat. Zarzucił sobie na ramię torbę Jacka i poniosł ją dalej. — Twoja podkręcana piłka ciągle jest dobra. Wciąż uderzasz dobrze, ale niestety utraciłeś szybkość. To zwyczajnie minęło, a do tego twoje podkręcane piłki zbyt często idą za wysoko.

— Tak, wiem to — powiedział Jack, jeszcze raz spoglądając na Keely. — Boże, jak ja kocham tę podkręcaną piłkę. Pamiętam, jak tata pierwszy raz powiedział, że jestem już wystarczająco duży, by jej spróbować. To było jak magia Tim. Magia...

— Dobrze się czujesz?

Jack powrócił do rzeczywistości, gdzie... wszystko się skończyło, wszystko.

— Oczywiście. Będzie dobrze. Ja to wiedziałem i ty to wiesz. Nie chciałem się po prostu do tego przyznać. Nie mogłem się z tym pogodzić. — Wzdychając, rozejrzał się po boisku. — Zaczynałem tu i tutaj skończę. — Przymusił się do uśmiechu. — Co za cholerny wstyd, że nie ma jakiegoś poety, który upamiętniłby ten podniosły moment w strofach wiersza, prawda?

— Daj spokój, a jakby tak zaczął od: „Tu leży Jack...” — Tim zrobił dwa kroki w tył i dał bratu kuksańca. — Chodźmy. Chcę poznać twoją dekoratorkę, a potem opowiesz mi, dlaczego masz u siebie dzieciaka Cecily. Psiakrew, wytłumaczysz mi, dlaczego w ogóle ona ma to dziecko.

— Podobał mi się twój brat — powiedziała Keely, gdy Mary Margaret spała w niemowlęcym siedzisku. Siedzieli w kuchni i kończyli gulasz wołowy. Robiła wspaniałe gulasze i wiedziała o tym. Problem był tylko taki, że nie potrafiła zapanować nad ilością tego gulaszu — ciągle wychodziło tego tyle, jakby chciała nakarmić małą armię.

— Uhummmph — odpowiedział Jack, biorąc kolejną kromkę chleba, posmarowanego masłem.

Keely próbowała się zorientować, czy to jest już jakaś po-

prawa po śmiertelnej ciszy, w którą zapadł się w momencie, gdy przedstawił ją Timowi. Wtedy po prostu zabrał swoją torbę od brata, odwrócił się i odszedł zostawiając ich samych.

Jack pojawił się dopiero po piątej. Keely rozważała, czy specjalnie tyle jadł, by ciągle mieć coś w ustach, bo wtedy nie musiał przecież rozmawiać. Było jasne, że nie był jeszcze gotowy.

No to dobrze. W takim razie ona może mówić za niego.

— Tak, naprawdę go lubię. Byliśmy razem na przekąsce, zanim się pożegnał i pojechał do Philly. Z tego też powodu zrobiłam dzisiaj wcześniejszy obiad. — Zastanowiła się chwilę, czy nie przestać paplać. — Tim opowiedział mi wszystko o Cecyli i jej bracie, Joeyu, i o was obu, gdy byliście dziećmi.

Jack nabrał kolejny kawałek wołowiny. Gdy trzymał głowę nisko spuszczoną nad talerzem, udawało mu się nie patrzeć jej w oczy. Mógł zwyczajnie pograżyć się w rozmyślaniach i zapomnieć nawet o widelcu.

— Później spytał mnie, czy lubię wariacki seks, no to odpowiedziałam, że pewnie, nawet bardzo... spytałam więc Petrę, czy nie mogłaby posiedzieć z dzieckiem, i wieczorem wybieram się do Philly. Spotkam się z nim po meczu.

Sprzątając ze stołu po obiedzie, Keely zastanawiała się nad tym, co się przed chwilą stało. Dlaczego Jack, spojrzawszy na nią ponurym wzrokiem, zakrztusił się, rzucił z impetem widelcem o stół i wybiegł jak oparzony z kuchni. Wytarła szklany blat stołu. Włożyła do zlewu talerze, na których centralnie był umieszczony motyw kwiatowy. Przyglądała się nieprzytomnym wzrokiem przerzutemu i wyplutemu przez Jacka kawałkowi gulaszu.

Świetnie, i co w takich chwilach powinna zrobić biedna dziewczyna? Chodzić na paluszkach, nic się nie odzywać? Stwarzać pozory, że to po prostu jeden z nędzniejszych dni w życiu Jacka Trehana. Może inna dziewczyna zrobiłaby taL Być może. Ale przecież nie ona.

Gdy wróciła do domu po spotkaniu z Timem, miała nadzieję, że zobaczy koło garaży samochód Jacka. Niestety, Jack nie wrócił jeszcze do domu.

Przeszła się z Petrą po domu, delektując się nowym umeblowaniem. Ustawiła lepiej oświetlenie z jednej czy dwóch lamp. Zaczęła zastanawiać się, w którym miejscu warto powiesić obrazy. Przemyślała też umiejscowienie lustra.

Poleciła Petrze ułożyć do drzemki Mar} Margaret. Sama natomiast zajęła się draperiami i zasłonami okiennymi. Potem podłączyła do sieci laptopa i za jego pomocą wysłała do dostawcy „pilne” zamówienie.

Potem wyjrzała przez okno. Dużo wyglądała przez okno. Niestety, Jack nie wrócił do domu.

Około godziny trzeciej trzydzieści usadowiła się w pieczarze na nowej kanapie i zaczęła przeglądać taśmy wideo, które stały w słupku obok krzesła Jacka. Krzesła, które w końcu udało się wyekspediować do garażu.

Wszystkie taśmy były starannie ręcznie opisane. Wybrała tę, na której był napis SERIA ŚWIATOWA. GRA SZÓSTA. Umieściła ją wewnątrz urządzenia.

Przepuściła na szybkim przewijaniu większość filmu, zatrzymując się w miejscach, gdy Jack ukazywał się na ekranie. Rozgrywając tego dnia na swojej pozycji, Jack uzyskał dla Yankees wynik pięć do dwóch. I jak powiedział komentator: „Tłum zgotował mu owację na stojąco, jednak pamiętać należy, że to być może jest już ostatnia okazja, aby ujrzeć wielkiego praworęcznego mistrza w koszulce zespołu Yankees. W przyszłym tygodniu Jack Trelian będzie miał powtórna operację mięśnia skręcającego”.

Keely przyglądała się Jackowi, który na ekranie machał czapką w stronę wiwatującego tłumu. Usłyszała, jak drugi komentator powiedział: „Tak, Bill, masz całkowitą rację. To przywołuje mi na myśl wypowiedz innego wielkiego mistrza, Don a Drysdalea. Mam ją tutaj. W zeszłym roku Don powiedział: „Rezerwanie mięśnia skręcającego jest dla miotacza jak rak. Gdy choć raz mu się to zdarzy, będzie musiał stawie czoło faktom pod tytułem: wszystko skończone .skarbie. W wypadku Jacka Trehana miejmy nadzieję, że nasz skarb jeszcze nie skończy grv”.

Obserwując Jacka rozgrywającego tę ostatnią piłkę, Keely rozpłakała się. Schodząc z boiska Jack raczej się nie uśmiechał. Pozostał poważny do momentu, aż zniknął z pola widzenia.

Wyjęła kasetę z filmem. Pomięła inną, na której był napis ESPN, POŻEGNALNA KONFERENCJA PRASOWA. Ułożyła wszystkie kasety wewnątrz nowej szafki.

Od czasu przejścia na sportową emeryturę Jack musiał spędzać dużo czasu na siedzeniu w tej pieczarze i oglądaniu w kółko tych samych taśm. Dlaczego zwyczajnie nie wydłubał sobie czymś ostrym oka? To przecież nie bolałoby go wiele więcej.

Keely wycisnęła ostatni raz ściereczkę i powiesiła ją na wieszaczku pod zlewem.

Czy nie powinna zostawić go samego? Zasługiwał na pozostawienie mu czasu na żałobę po utraconej karierze, nieprawdaż? Ona sama, gdy wróciła pod dach ciotki Mary, pierwszy tydzień siedziała na łóżku w wystrzępionej piżamie, nie robiąc zupełnie nic. Żywiła się lodami śmietankowymi z dużego pojemnika i jedyne, co czuła, to tłuszcz zbierający się jej na włosach. Każdy zasługuje na okres żałobny po utracie marzeń.

Cała rzecz w tym, że siedziałyby pewnie do dzisiaj na łóżku u ciotki Mary, gdyby pozostawiono ją samej sobie. Uratowała ją właśnie ciotka Mary, która kazała jej wybierać pomiędzy dostosowaniem się do nowej sytuacji a wyprowadzką. W przeciwnym razie siostrzenica miałaby od najbliższego poniedziałku płacić jej gotówką za wynajem pokoju.

Jackowi Trehanowi nikt nic nie mówił. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by siedzieć na tyłku przez resztę życia. Zmieniałyby tylko kasety i uważał się nad sobą. Nie o to chodzi, że to był jej problem. Ona miała do urządzenia dom oraz karierę na Manhattanie do wskrzeszenia. Ale Mary Margaret zasługiwała na więcej. Teraz Japonia mogła zniknąć z horyzontu, ale Jackowi ciągle pozostawał do zaakceptowania fakt, że to on jest odpowiedzialny za opiekę nad dzieckiem kuzynki.

Po tym wszystkim, co usłyszała o tej nieodpowiedzialnej kuzynce od Tima, w żadnym razie nie można było jej zostawić Candy. Do wychowania Mary Margaret nie nadawał się również Joey Morretti, zupełnie pozbawiony mózgu. Zasadniczo nie ma znaczenia, czy Cecily wróci do domu. Nie powinna już odzyskać prawa opieki nad Mary Margaret ani prawa decydowania o jej przyszłości.

Keely to wszystko rozumiała. Teraz musiała tylko sprawić, żeby również Jack to pojął... uważając cały czas na to, aby ponownie za bardzo się nie zaangażować. Ani w uczucie do Mary Margaret, ani tym bardziej w stosunku do Jacka.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, Jack miał już spakowany cały ekwipunek. Po obiedzie wyczyścił rękawicę i korki. Całość umieścił w torbie i postawił na półce w garażu.

Może któregoś dnia wyciągnie jeszcze tę rękawicę. Może zapakuje, czy też zakonserwuje ją w jakimś plastikowym pudle. Wtedy będzie już gotowy umieścić ją na półce w pieczarce pomiędzy innymi trofeami, plakatami, kostiumem i piškami. Może będzie mógł stanąć z puszką piwa w ręku i porozmawiać z kumplami o starych dobrych czasach. A potem obejrzą wspólnie jakiś mecz na kablówce.

Ale jeszcze nie teraz.

Mimo wszystko czuł się dobrze. Bardziej zdumiony niż zszokowany. Próbował trafić jak najlepiej mógł, i nie wyszło.

No to w porządku. No to skończone. Hej, i tak miał dobrą passę. Naprawdę świetną.

Wszystko będzie w porządku.

Zaraz po tym zatelefonował do Morta.

Wyciągnął telefon komórkowy zza siedzenia w samochodzie i nacisnął kod, wybierający numer komórki swego agenta.

— O co chodzi?! — wrzasnął do słuchawki chwilę później Mort. Dla Morta telefony komórkowe były małymi urządzeniami z niewidocznym przewodem. Uważał, że nikt go nie usłyszy, jak nie będzie wrzeszczał do słuchawki.

— Mort, to ja Jack

— Dzieciaku, nie do ciebie mówię — powiedział Mortimer Moore, a potem udawał, że okłamuje samego siebie. — Odrzucasz to? Chłopaku, nie odrzucasz tego. To ja odrzucę tę ofertę za ciebie i pozwolę im wahać się troszkę. A wtedy wrócą z jeszcze lepszą ofertą. I my się zgodzimy. Natomiast rozmawiam z tobą tylko dlatego, że oni już pojawili się znowu. Dali pięć milionów dolarów za dwa lata. Trywialnie proste. Gwarantuję ci, że było to znacznie łatwiejsze, niż się spodziewałem. Będzie też dodatkowo płatne za sygnowanie twoim podpisem. A jeżeli się zgodzisz na ich wersję, to zapłacą dodatkowo. Wrzeszczeli, krzyczeli, jęczeli i narzekali, ale ja cisnąłem ich aż do skutku. Od pierwszego lipca kończy się twój kontrakt z Yankees, więc nie ma żadnego problemu. Jedynie czego teraz nam trzeba, to przejrzeć kontrakty, a potem Sayonara, „wujku Samie”, witaj Tokio.

— Nie chcę już w to wchodzić — powiedział Jack do swego agenta. Zatrzasnął drzwi od samochodu i zaczął wspinać się po pochyłym zboczu na tył domu. Słońce oświetlało jego tylną ścianę i migotało w wodzie basenu. Prawdziwe zrządzenie losu sprawiło, że jego prawe ramię może mieszkać w takim domu. Psiakrew, przecież on to sprawił.

Niespodziewanie uspokoił się i nagle poczuł, że stoi na początku czegoś nowego. Ramię dalej bolało go jak jasna cholera, ale jutro ból będzie mniejszy. Pojutrze będzie jeszcze lepiej.

— Jack?! Jack?! — Jack odsunął słuchawkę od ucha, ponieważ Mort wrzeszczał teraz na całe gardło. — Jack?! Nie słyszysz cię! To znaczy nie powinienem być nic słyszeć, prawda? Jack? Nie możesz tego odrzucić. Nikt nie wyrzuca pięciu milionów dolarów! Cholera. Jack! Powiedz coś.

— Mort, widzimy się w przyszłym tygodniu w Arizonie. Przefaksuj mi szczegóły. Och, a ta corvette? Wiesz, wolałbym czerwoną.

Jack wyłączył telefon i szedł dalej.

9

*Doskonale wiedziałem, kiedy
kończyła się moja kariera.
W 1965 wyciągnąłem ślepą kartę
w baseballu.*

Bob Uecker

Ostatecznie instynkt samozachowawczy przewyciężył w Keely nieodpartą chęć odtrącenia Jacka Trehana — upokorzenia go, a jeśli okazałoby się to konieczne — powiedzenia mu wreszcie, co czuje. Zdawała sobie sprawę, że się nad nim użala, lecz nie potrafiła przestać myśleć o jego utraconej karierze i zastanowić się nad przyszłością. Nad sobą i Mary Margaret.

Poświęciła mu ten weekend. Jack nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Keely świetnie się czuła, sądząc, że uczyniła wspaniałomyślny gest. Nigdy nie wpadło jej do głowy, żeby mu cokolwiek ofiarować, nigdy też nie wtrącała się do jego życia prywatnego. Zdumiałaby się, gdyby ktokolwiek jej powiedział, iż zachowuje się władczo i wtyka nos w cudze sprawy. Należała do tego rodzaju osób, które uważały, że skoro im wszystko idzie gładko, to innym też powinno się udać. Albo, jak powiadała ciotka Mary, nie zawsze z uśmiechem na twarzy:

— Keely mogłaby zostać sławnym dyktatorem.

Tak więc teraz, okazując wspaniałomyślność według własnych kryteriów, Keely przygotowała wyśmienitą kolację, zajęła się Mary Margaret i całą niedzielę spędziła w suterenie, podczas gdy Jack przerzucał sobie w najlepsze kanały w telewizorze, prawdopodobnie podwyższając swój iloraz inteligencji, kiedy

patrzył na ligę baseballu, na sześć meczów, znowu na ligę, od świtu do nocy.

Wtedy już prawie traciła nerwy, rozum i pewnie chwilowo — zapominała nawet, jak ma na imię.

Jack właśnie wyskoczył z basenu, promienie słońca oświetlały jego mokre błyszczące ciało, delikatne złociste włoski na ramionach i nogach, płaską, muskularną klatkę piersiową. Szerokie barki, wąskie biodra, długie zgrabne nogi — stuprocentowy baseballista. Jego jasne włosy wydawały się ciemniejsze, kiedy zmoczone przylegały do kształtnej głowy, odsłaniały klasyczne rysy twarzy, zgrabny nos, idealny zarys czoła i brody. Cholera, nawet stopy miał wyjątkowo seksowne.

Nie zauważył jej, tylko podniósł ręce i przeczesał palcami włosy, zmierzwił je. Co mogłoby ją bardziej wytrącić z równowagi? Włosy gładko zaczesane do tyłu czy mokre kosmyki, opadające na twarz? Odwrócił się, by sięgnąć po ręcznik, i Keely *po* raz pierwszy zobaczyła pośladki Jacka Trehana w obcisłych kąpielówkach.

Prawo. Prawo powinno wystąpić przeciwko pupie Jacka Trehana w kąpielówkach.

A jednak musiała porozmawiać z tym mężczyzną i właśnie zamierzała to zrobić. Wypalić mu prawdę w oczy, zmusić, żeby stał się bardziej odpowiedzialny. Lecz może nazbyt się rozkrochmaliła, aby...

— Cześć — odezwała się. Czuła, że kurczy się wewnątrz siebie. Zbyt pogodnie, zbyt wesoło. Tak wysokim głosem, jakim zwołałaby psy. — Śliczny ranek, prawda, Jack? Jak tam... jaka woda?

Wytańł głowę ręcznikiem, potem okrył nim ramiona.

— Mokra. Masz do mnie jakąś sprawę? Jesteś taka zarumieniona.

— Co takiego? Ja? Ależ skąd! — zaprzeczyła Keely. Odstaąpiła o krok, kiedy Jack się do niej zbliżył. Na tyle że poczuła zapach chloru, bijący od jego ciała. Widziała gęsią skórkę na jego piersi.

— Chcesz ze mną porozmawiać, prawda? — spytał, podchodząc jeszcze bliżej, więc musiała się cofnąć o krok. — Przez cały weekend zachowywałaś się jak grzeczna dziewczynka, ale nie mogłaś się doczekać spotkania ze mną? Złożyć mi kondolencje, powiedzieć, jak mi współczujesz, że skończyła się moja sportowa kariera, że muszę nauczyć się żyć na nowo, życiem, którego nie będę miał czym zapełnić. W tej sytuacji ty zrobisz to dla mnie, tak, Keely? Mogę zapełnić je Candy, wychowując ją.

Patrzył na Keely i popukał się w głowę.

— Mam rację?

Keely oblizała wargi, odwróciła wzrok.

— Cóż... właściwie... to — Zamilkła, policzyła do trzech. — Hej — odezwała się ponownie, jeszcze raz spróbowała, tylko tym razem kierował nią gniew. — A cóż w tym złego? Masz czas, pieniądze... masz ten dom. Dlaczego nie mógłbyś zająć się Mary Mar... Candy?

Uniósł brwi, w kącikach jego ust czaił się uśmiech.

— Tłumaczyłem ci już, że Mary Margaret jest zbyt poważnym, „dorosłym” imieniem dla takiej małej dziewczynki. Powinnaś dać jej czas, aby przywykła do własnego. Ale to później omówimy. Teraz wyjaśnij mi, w jaki sposób mam się nią zająć, zgoda? To znaczy, czy rozglądasz się tutaj za nową pracą, Keely? Skoro tak, to o jakiej myślisz? Zostaniesz niańką? Niańką wraz z wiktem i opierunkiem?

— To nie ma ze mną nic wspólnego! — zaprotestowała Keely, choć sama nie wierzyła własnym słowom. — Pamiętasz, że wracam na Manhattan? — Skrzywiła się, gdyż nierozsądnie było wspominać, że ma nadzieję na powrót, kiedy on właśnie stracił ostatnią szansę. — Och, Jack — powiedziała, wyciągając rękę i dotykając jego mokrego, choć ciepłego ramienia. — Wybacz. Nie powinnam... chyba zadałam ci cios poniżej pasa.

Jack pokręcił głową, uśmiechnął się szeroko.

— Uważasz, że jesteś do tego zdolna? Uważasz, że naprawdę uda ci się powrót? Za pierwszym razem nie poradziłaś sobie. Sądzisz, że tym razem pójdzie ci łatwiej?

— Nie — przyznała pokornie Keely.

Rozmowa nie toczyła się w sposób, jaki sobie zaplanowała. Jednak lepiej się stanie, kiedy Jack uwierzy, że Keely pragnie tylko przeprowadzić się na Manhattan. Jej też będzie lepiej, gdy wbije sobie do głowy, że niczego bardziej nie pragnie, jeśli nawet wciąż pamiętała tego szczura Gregory'ego, „a przecież cię uprzedzałem”, Fontaine'a, połykającego słowa.

Wolała myśleć, że kieruje się szlachetniejszymi pobudkami. Że wciąż czuje potrzebę podbicia miasta — Wielkiego Jabłka, zrobienia kariery, udowodnienia ciotce Mary, że jest kobietą sukcesu. Wcale nie były to szlachetne pobudki, lecz w tej chwili tylko to pozostało Keely. Teraz zapragnęła odgarnąć z czoła Jacka mokre włosy. Już prawie to robiła, ale udało się jej zaplanować nad czułymi gestami.

— Spróbujesz, prawda? — spytał Jack, właśnie w chwili, gdy po raz pierwszy, odkąd wkroczyła w jego życie, nieomal straciła panowanie nad swoim rozsądkiem.

— Owszem — przyznała, rozpaczliwie chwytając się jego pomocnych słów, jakby były tratwą ratunkową. — Muszę spróbować, Jack. Ty najlepiej ze wszystkich ludzi pod słońcem wiesz, że muszę spróbować.

Jakiś cień przemknął po twarzy Jacka, która jakby... spochmurniała. Keely przyglądała się, jak zdejmuje ręcznik, rzuca go na brzeg basenu.

— Tak. Przypuszczam, że tylko to ci zostaje, skoro nie chcesz niczego innego. Nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. — Potem odwrócił się, skoczył do basenu, pozostawiając Keely rozmyślania, co się zdarzyło... albo nie zdarzyło.

Keely przytrzymała słuchawkę ramieniem, przeglądając pocztę i dzwoniąc do Aten, do hotelu swojej ciotki. Rachunek, rachunek, rachunek, ulotka, rachunek, rachunek, list od Gregory'ego, rachunek, rachunek — list od Gregory'ego?

Sięgnęła po stary miedziany nożyk do papieru, pozostawiony przez ciotkę na biurku, kiedy odezwała się Mary McBride Forrester.

— Halo? Halo? Kimkolwiek jesteś, czy mówisz po angielsku?

— Witaj, ciociu Mary — powiedziała Keely, odkładając nożyk. Wciąż jednak obracała kopertę, jakby chciała prześwietlić ją promieniami rentgenowskimi. — Odpowiadam na twój telefon.

— Na moje sześć telefonów, ściśle mówiąc — zgasiła ją ciotka mimo dzielących je kilometrów. — Gdzie się podziewałaś? Czy w butikiu wszystko w porządku? Czy bezpiecznie dotarł do ciebie stolik z biblioteki pani Morgan?

— Wszystko w jak najlepszym porządku, ciociu Mary. A stolik dostarczono już dwa tygodnie temu. Zapomniałaś? Jak tam w Grecji?

Keely usłyszała westchnienie zza morza, kiedy starsza pani wzięła głęboki oddech, potem odczekała dwie minuty, gdy ciotka rozpoczęła monolog, który przypuszczalnie będzie trwał pięć dalszych, nim znowu sięgnęła do koperty.

Ciotka tokowała, a Keely zaczęła czytać:

Najmilsza Keely.*

Nie odpowiadasz ani na moje telefony, ani na pozostawiane dla Ciebie wiadomości, ale nie mogę Cię za to winić Zachowałem się jak świnia, prawda? Cóż, kochanie, nadeszła pora, żebyśmy się pogodzili. Dotarły do mnie wieści o wspaniałym butikiu w Village. Miejsce idealne na siedzibę twojej małej firmy, a i czynsz taki, że Cię na to stać.

Właściciel powiedział mi, że poprzedni najemca rezygnuje od pierwszego sierpnia, do tego czasu dokonał drobnych zmian — ja w to nie inwestowałem, jego strata — trzeba dokonać dezynfekcji, ale tym się nie martw. Przecież to Nowy Jork, gdzie faceci są facetami, a karaluchy wszędzie się panoszą. Dołączam jego wizytówkę, żebyś się mogła z nim skontaktować. Powiedziałem, żeby spodziewał się telefonu od Ciebie.

Powodzenia, moja miła. Z Shavonną wybieramy się do Paryża na zakupy, więc nie będzie mnie przynajmniej przez miesiąc.

Keely, pamiętasz Paryż? Ach... Paryż na zawsze będzie należał do nas dwojga...

Gregory

— Keely, Keely?! Jesteś tam?! Piekielne telefony!

— Hm? Co takiego? Och! Jestem, ciociu Mary! — zawołała Keely, wciąż nie odrywając wzroku od listu. — To wydaje się takie... cudowne!

— „Podróżnicy” narzekają? Ten facet połknął tyle prochów, że boję się, czy będzie dalej zdolny do... hm, nieważne. Jutro wyjeżdżamy z Aten. To ostatni etap naszej wyprawy. Keely, koniec świata, więc jakiś czas mnie nie usłyszysz. Dziecko, na miłość boską, nie pal za sobą wszystkich mostów. Skończ to, co jeszcze masz tam do zrobienia, wywieś na drzwiach tabliczkę ZAMKNIĘTE, poczekaj do naszego powrotu.

— A kiedy wróciecie, ciociu Mary? Myślałam, że już w przyszłym tygodniu.

— Keely, należy przyzwoicie odbyć miodowy miesiąc. Jeździmy, zwiedzamy, może w drodze powrotnej zatrzymamy się na chwilę w Paryżu albo w Rzymie. Sama mi tłumaczyłaś, że po raz pierwszy żyję pełnią życia. Jakie to cudowne! No dobrze, muszę kończyć. Zachodzi słońce, a widok z tarasu zapiera dech.

Keely odłożyła buczącą słuchawkę i usiadła w fotelu za biurkiem. Paryż. Wszyscy jadą do Paryża. A ona sama gdzie się wybiera?

Nigdzie. Zostanie na miejscu albo przeprowadzi się znowu na Manhattan, lecz od chwili, w której po raz pierwszy przytuliła Candy, zasiadła z Jackiem do kolacji, wiedziała, że już nigdzie się stąd nie ruszy. Kurczę, jaka szkoda, ale teraz postanowiła już, co ma zrobić.

Wstała, zmieniła list, wyrzuciła go do kosza. Poszła na górę do sypialni i spakowała resztę ubrań, które chciała przewieźć do domu Jacka. Wyrzuciła stare gazety, nacisnęła w telefonie przycisk SKASOWAĆ, nie wysłuchując wiadomości od Grego-

ry'ego, zaciągnęła kotary, aby pod wpływem promieni słońca nie wyblakły ciemnoniebieskie dywany ciotki.

Wylała skisłe mleko do zlewu, wyrzuciła spleśniały chleb, jakieś śmieci, żeby następnego dnia zabrali je śmieciarze.

Zawiesiła na drzwiach sklepu tabliczkę ZAMKNIĘTE.

Idąc do samochodu, zastanowiła się jednak, wróciła, wyciągnęła ze śmietnika zmięty list i wizytówkę. Zmierzając do Whitehall, wepchnęła je do torebki.

Kiedy przybyła na miejsce, na stole w kuchni zastała kartkę. Wiadomość od Petry. Napisała ją po hiszpańsku, zatem jedyne, co Keely zdołała zrozumieć, to, że idzie do *dentista*, a Jack będzie *cuidaninos de bebe*.

Jack w charakterze opiekunki do dziecka?

Keely natychmiast wpadła w panikę. Gdzie? Gdzie jest Jack? Gdzie dziecko? Pobiegła na piętro. Ani śladu Jacka. Ani śladu Candy. Pospiesznie wróciła na dół. To samo.

Opanowała się, pokręciła głową, zdała sobie sprawę, że właśnie do tego dążyła. Pojednanie Jacka i Candy? Muszą się lepiej poznać. Zaakceptować siebie nawzajem.

Tylko ona została wykluczona.

— Dosyć! — nakazała sobie, obchodząc pokoje na parterze, nim poszła do garażu. — Przestań! Kochasz dziecko i już. A Jacka Trehana nawet nie lubisz... Wielkie nieba!

Keely puściła się biegiem, potknęła się, ale udało się jej zatrzymać przed ogrodzonym basenem.

— Jacku Trehan, postradałeś rozum? Natychmiast ją stamtąd wyciągnij!

Patrzyła, jak Jack mocno trzyma Candy w ramionach, przepływa z nią basen, spogląda na nią.

— Spójrz, Candy, ciocia Keely wróciła do domu, czerwona i spocona. Czy nie jest słodka? McBride, uśmiechnij się, bo wystraszysz dziecko.

— Jack, mówię poważnie. Wyciągnij dziecko z wody. Ona może się utopić.

— Na pewno nie utonie. Trzymam ją.

— Doprawdy? Już raz nie upilnowałeś jej i omal nie zadusiła się papierowymi ręcznikami. A jeśli dostaniesz skurczu i pójdziesz pod wodę? Co wtedy się stanie z Candy?

Jack westchnął, zaczął płynąć ku płytszemu krańcowi basenu, w stronę betonowych schodków.

— Keely, a co ty wyprawiasz? Siedzisz po nocach i wyobrazasz sobie, że zawsze w każdej sytuacji wszystko pójdzie źle? Nie popłynąłem na głęboką wodę, poza tym Candy uwielbia wodę. Prawda, kochanie? — dokończył, łaskocząc dziecko po szyi.

Dziewczynka zachichotała, chwyciła Jacka za ucho.

— Tata. Ta... ta... tata!

Ktoś naprawdę powinien pilnować coraz większej Candy, kiedy ona sama będzie musiała na przykład iść do sklepu. Mała z miejsca wyciągała rączki do Petry. A teraz gruchała słodko do Jacka, w ogóle nie bojąc się wody. To dziecko nie obawiało się niczego ani nikogo. Trzeba je koniecznie nauczyć większej rezerwy w stosunku do obcych.

— Chodź, skarbie — Keely ponagliła dziewczynkę, wyciągnęła do niej ramiona. — Niech cię wytrę.

Candy odwróciła głowę, ukryła buzię na piersi Jacka.

— Chyba nie chce jeszcze iść. Czy masz kostium kąpielowy? Może do nas dołączysz? Popływamy razem. A kiedy dostanę skurczu i pójde na dno, to uratujesz Candy.

Keely przygryzła dolną wargę. Oszołomiona, wiedziała, że postępuje niemądrze, mimo to Jack znowu zawrócił jej w głowie. Candy ją odtrąciła. To dobrze. Przecież nie zawsze będzie się nią opiekować, pewnie nie zabawi tutaj więcej niż kilka tygodni. Niech Candy przyzwyczai się do Jacka, a Jack do niej, tego właśnie pragnęła Keely.

Tylko dlaczego tak bardzo ją to bolało?

— Keely! Chodź do nas. Woda w basenie jest podgrzewana, wiesz doskonale, inaczej nigdy nie wziąłbym tutaj Candy.

Keely kiwnęła głową. Nie ufając własnemu głosowi, wróciła do domu i wniosła na górę walizkę. W ostatniej chwili wrzu-

ciła do niej kostium, przysięgając sobie, że popływa późnym wieczorem, kiedy w basenie nie będzie już Jacka.

Musi wziąć się w garść i zacząć okłamywać samą siebie.

Jack wyciągnął Candy z basenu. Roześmiał się, kiedy pieluszka pod jednoczęściowym kostiumikiem zaczęła ociekać wodą. Dziecko wierzgało, wymachiwało rączkami, Jack zanurzył znowu dziewczynkę, uniósł, zanurzył, aż wreszcie Candy zaniosła się śmiechem.

— W górę i w dół, w górę i w dół. Hopsa, Candy! W górę i w dół, w górę i w dół! Niemądra ciocia Keely. Przecież sobie poradzę, prawda, Candy? W górę i w dół, w górę i w dół... o, jasny gwint!

Jack chwycił Candy za kostiumik, wyciągnął ją z basenu, podniósł wysoko ku swojej klatce piersiowej. Po twarzy dziecka spływała woda, dziewczynka z trudem łapała oddech... krztusiła się, krztusiła, krztusiła... aż wreszcie jęknęła tak głośno, że prawdopodobnie słysząc ją było aż na końcu świata.

— Już wszystko w porządku, złotko, już dobrze — uspokajaj ją gorączkowo, ocierając buzię, odgarniając z czoła ociekające wodą loczki. Serce biło mu jak oszalałe, tak mocno, że słyszał jego łomot. — Po prostu na chwilę wypuściłem cię z objęć. Nie stało się nic złego. Candy, błagam, uspokój się. Za chwilę przyjdzie ciocia Zrzęda. Jack już słyszał jej słowa: „Nie zbliżysz się nawet do basenu, póki nie skończysz szesnastu lat”.

Candy jeszcze trochę popłakała, ale powoli uspokajała się gdy Jack połaskotał ją po brzuszku, pozwolił, żeby włożyła mu do ust paluszki. Zdawało się, że dziecko usiłuje mu wyrwać dolną szczękę.

— Co, słoneczko? Już lepiej — mówił Jack, aż dziecko puściło go wreszcie i znowu było wesołe. — Tak dobrze. Dziękuję, Candy, to tylko woda. — Zanurzył rękę w basenie, potem ochlapał nią twarz. — Widzisz? Zwykła woda. Twoja kolej.

Ujął rączkę Candy, także zanurzył ją w wodzie, następnie udał, że się boi, kiedy pomagał dziewczynce ochlapać sobie twarz.

— Widzisz? — powtórzył, kiedy roześmiana Candy wychyliła się z jego ramion i ponownie sięgnęła do basenu.

Boże, jak lubił trzymać to maleństwo w objęciach. Miała taką chłodną i gładką skórę, kiedy pluskała się w wodzie, wydawała się jeszcze lepsza.

I jest sprytna. Kurczę, ten dzieciak jest bystry. Dalej rozchlapywała wodę. Najwyraźniej nie była obarczona genami Morrettich, rozum odziedziczyła po rodzinie Trehanów.

Jack usłyszał, że otwierają się drzwi, i ujrzał Keely, zmierzającą w stronę basenu. Odsunął od siebie Candy. Do diabła, o czym myślał przez cały ubiegły tydzień? Czy...?

Doskonale wiedział, że Keely McBride jest ładna, podziwiał jej smukłe nogi, kręcone jasne włosy, nawet wtedy gdy zaczęła je gładko do tyłu, upinała, starając się przybrać poważniejszy wygląd. Zdawał sobie sprawę, że i on się jej podobał, pociągał ją.

Ale Keely McBride w kostiumie kąpielowym wyglądała po prostu olśniewająco. Szła wyprostowana jak struna, z wysoko uniesioną brodą, elegancko poruszając ramionami. A jej skóra! Taka jasna na tle granatowego kostiumu. Jack nie mógł pozbiierać myśli, hormony buzowały w nim jak oszalałe. Jej piersi kołysały się lekko, gdy szła. A jakie zgrabne miała nogi! Do tego jeszcze talia osy i kuszące biodra!. Skoczył do wody w nadziei, że to ostudzi jego zmysły.

— Wyglądasz... — odezwał się, gdy Keely zatrzymała się na schodkach, a woda sięgała jej ledwie do kostek.

— Wiem, jestem blada jak rybi brzuch — odpowiedziała, kiedy Jack nie potrafił wykrztusić słowa. Rany boskie, prawie tracił rozum. — Według znawców, najszcześniejsza będę w wieku dziewięćdziesięciu lat w jakimś domu opieki nad starcami, ale teraz chcę rozłożyć parawan, gdyż słońce może mnie spalić, jakbym dotychczasowe życie spędziła w mrocznej jaskini.

— Nim Petra poszła do dentysty, rozstawiła parawan dla Candy — powiedział Jack, który ku swojemu zdumieniu chciał się pogodzić z Keely. — Ja... ja ją o to poprosiłem.

Keely zeszła dwa schodki niżej, popatrzyła na niego uważnie.

— W porządku, Petra o tym pomyślała. Ja nie. Nie można mnie za to winić.

— Nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym trochę popływała, aby się ogrzać? — spytała Keely, potem skoczyła na głowę, nie czekając na zgodę.

— Candy, czy potrafisz zadać retoryczne pytanie? — zagadnął Jack kuzyneczkę, obserwując, jak Keely zwinnie porusza się pod wodą. — Ciozia Keely zadaje bowiem same retoryczne pytania... jak to ostatnie. I wcale nie oczekuje odpowiedzi. Na przykład takie: „Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, gdy wtargnę w twoje życie, zawładnę tobą i powiem ci, jak masz żyć?”. Właśnie takie pytania nazywamy retorycznymi, kochanie.

Candy roześmiała się, rączkami rozchłapywała wodę w basenie.

— Tak, wiem, że ją lubisz. Ja też. Ma klasę. I co mamy z tym począć?

Keely podpłynęła do Jacka i Candy, wyciągnęła ramiona, dziewczynka wyrwała się z objęć kuzyna i przytuliła do Keely.

— Och! Jest taka milutka — powiedziała Keely, w zdumieniu uniosła brwi, kiedy mała mokrymi łapkami objęła ją za szyję. — Dobrze się bawisz, złotko? — spytała, gdy Candy przytuliła głowę do jej policzka.

Jack stał obok po pas w wodzie, patrzył na nie. Obie blondynki. Mokre włosy zrobiły się ciemniejsze, ale już zaczynały się kręcić. Keely zanurzyła się w basenie, więc widać było tylko ich głowy, objęła ramionami Candy i niespiesznie zataczała koła, bawiąc się z dzieckiem w coś w rodzaju holownika. Jego ojciec nazywał to holownikiem, kiedy ciągnął ich z Timem w miejskim, publicznym basenie.

A matka stała na brzegu, krzycząc:

— Frank! Trzymaj ich! Frank, przecież ty utopisz naszych chłopców!

Jack uśmiechnął się, potrząsnął głową. Wspomnienia.

— Teraz ja się pobawię — powiedział, chwytając Candy mocno za rączki, podpierając ją ugiętym kolanem. Pociągnął ją

po powierzchni, nawet nie zdając sobie sprawy, że powtarza słowa ojca sprzed wielu lat:

— Puf, puf, tut, tut, oto nadciąga holownik Candy.

I nie zauważył, że policzki Keely nie ociekają jedynie wodą basenu...

— Puf, puf... — nucił Jack pod nosem, kiedy już zaszył się w swojej pieczarze. Szczęśliwy.

Miał dobry dzień. Bardo dobry. Cholernie dobry dzień.

Życie nie musi kręcić się wokół ciągłych przemian. Nie musiał się martwić, gdzie szukać szczęścia. Nie musiał spędzać długich godzin na treningu, z ramieniem tkwiącym w leczniczej kąpieli albo obłożonym lodem.

Nie musiał oglądać sprawozdań sportowych, siedzieć na ławce, patrząc na toczone walki, obmyślać, jaką powinien jutro po południu przyjąć strategię. Żadnych więcej lotów z drużyną, spotkań z kolegami, targania bagażu, spania w hotelach, jedania po restauracjach, w których nigdy nie słyszano o „steku z serem”, bo przecież ty sam wiesz najlepiej, jak go przyrządzić.

To już poza nim. Teraz może pozwolić sobie na siedzenie w domu, podziwianie łazienki, przekaszenie czegoś, a nawet zjedzenie całego worka ziemniaczanych chipsów. Filigranowa kobieta na górze kładzie dziecko spać, rachunki popłacone. Żadnego stresu, żadnego przymusu, pośpiechu. I tak mija dzień za dniem.

Wielkie nieba. Sam mógł zrezygnować.

No cóż, rozmyślał, zmieniając kanał. Przynajmniej wyszedł na prostą. Domowe ciepło. A dzisiaj taki przyjemny dzień. Ale czy to jest prawdziwe życie? Nie. Wcale nie.

Może.

Był odpowiedzialny za Candy. Z tego zdawał sobie sprawę. Każdy głupi by o tym wiedział. Cecily mogła wrócić na przykład jutro albo pozostawać gdzieś daleko stąd przez następne pięć lat. Ale przecież nie zaopiekuje się Candy. Cecily okazała się piekielnie nieodpowiedzialna.

W przeciwieństwie do niego. Prawda?

Pomyłka. Stracił pracę. Majętny, nagradzany, ale bez pracy... bezrobotny. Samotny. Zabawa w holownik była powrotem do lat dziecinnych, zabawianiem małej.

Lecz przecież miał Keely, czyż nie?

Keely polubiła Candy. Kurczę, dostała bzika na jej punkcie. Ale Keely zamierza wrócić do Nowego Jorku, gdy tylko skończy urządzać jego dom, kieszenie wypcha pieniędzmi, które jej zapłaci. Powiedziała to jasno. Keely okazała się przede wszystkim szczerą i uczciwą. On zaś postępował z nią paskudnie.

Jack wziął pilota i zaczął bezmyślnie zmieniać kanały telewizyjne.

Wiadomo, Keely odejdzie, kiedy urządzi już jego dom. Chyba, że zatrzyma się tu na dłużej, aby roztkliwiać się nad Candy, bo nie zechce się z nią rozstać. Jack potrzebował Keely lub kogoś do niej podobnego, aby przekonać sąd rodzinny, iż to właśnie jemu należy przyznać prawo do opieki nad małą kuzynką.

Keely już pojawiła się w jego życiu. Była kompetentna, więc sąd najprawdopodobniej nie ośmielił się jej odtrącić. Boże, sam Jack nie potrafił jej powiedzieć „nie”, nie wtedy, kiedy się przy czymś stanowczo upierała.

Poza tym, polubił ją. Władcza, pewna swoich racji, samodzielna, nienawidziła się mylić, chciała się wykazać... wrażliwa, o czułym sercu, uczciwa, mądra, kompetentna, świetnie gotuje. I piękna. Do diabła, co jej poszło nie tak z tym całym Gregorym? Co takiego zrobił ten dureń, że od niego odeszła?

— Prawdopodobnie okazał się jej niegodny — orzekł Jack, biorąc puszkę z wodą sodową. Upił wielki łyk i zachłysnął się. Woda poleciała mu „nie do tej dziurki”, zaczął się krztusić, kasłać. I akurat rozdzwonił się telefon.

— Jack? To ty?

— Tak... ja... Poczekaj chwilkę — wyjąkał, ocierając usta. Odchrząknął. — Witaj, Tim — powiedział po chwili, ocierając zażawione oczy. — Wspaniale wczoraj zagrałeś. Co się dzieje?

— Chodzi mi o pewne wyjaśnienie. Johnson z „The Daily News” po meczu zapędził mnie do narożnika. Chciał wiedzieć, czy nie zawarłeś kontraktu z Japończykami dlatego, że interesują się tobą „White Socks”.

— Z Chicago? Chicago ma mnie w nosie. A kto puścił plotkę o kontrakcie z Japończykami? Kto ci o tym powiedział?

— Szczerze mówiąc, nie miałem o tym pojęcia. Dopiero Johnson zdradził, że miał własnych informatorów. Rozumiesz chyba, kogo miał na myśli, prawda? Morta.

Jack wyłączył dźwięk w telewizorze i ciężko opadł na fotel.

— Skoro nie ja sam, to ktoś musiał węszyć w tym interes. Tak, wygląda mi to na Morta. Chyba będę musiał z nim poważnie porozmawiać. Wypadłem z gry. Nie tylko wypadłem, ale wreszcie czuję się świetnie. Zrozum, wróciłem do normalnego życia. Mam Candy, ładny dom, mnóstwo forsy... odechciało mi się objąć po boiskach, Tim. Naprawdę.

— I pragniesz być w domu, Jack? Niech zgadnę: Keely ma coś z tym wspólnego?

— Keely? — Jack pokręcił przecząco głową. — Ależ nie, skąd! Dlaczego miałyby na czymś zaważyć?

— Jack, poznałem ją — przypomniał mu Tim. — Ona jest nie tylko bardzo ładna, ale i miła. Upewnij się dobrze, że na pewno wiesz, co robisz. Wolałbym, żebyś nie został na spalonym.

Jack wstał, zaczął nerwowo chodzić.

— Na spalonym? Jakim spalonym? Czy to Sandra Bullock dała mi kosza, a ja się w porę nie zorientowałem? Cholera, przecież nie znam Sandry Bullock.

— Myślę o tym, że dostałeś kosza od swojej pierwszej miłości, baseballu, i skończyłeś karierę sportową — tłumaczył Tim. — Znalazłeś się na straconej pozycji, bracie, a to może zaowocować domem i domowym ciepełkiem, dzieciakiem i blondyneczką... zatem możesz mówić o szczęściu. Postępuj tylko rozważnie, zgoda? Posłuchaj wreszcie, co mam ci do powiedzenia. Lecę na Florydę, ale na dwa zaledwie mecze. Wracam w czwartek i chcę sobie odpocząć w domu. Może

się wtedy spotkamy? I przywieziesz swoją małą rodzinę, okay?

— To nie jest moja mała... no, dobra. Zadzwoń do mnie po powrocie.

Jack odłożył słuchawkę, osunął się na skórzaną kanapę. Musi to wszystko przemyśleć. Nie, wcale nie musi. Nie musi, gdyż nie ma takiej potrzeby. Odbicie się od dna? Tim chyba postradał rozum. A on, Jack Trehan, wcale nie jest taki głupi!

Czyżby? Dlaczego zatem oglądał z wyłączoną fonią przez ostatnie dziesięć minut kanał, na którym radzono, jak postępować w „domu i ogrodzie”?

Cisnął pilotem, zerwał się na równe nogi i pobiegł do kuchni.

— Keely! — zawołał, pędząc po schodach. Zdążył jednak chwycić z piekarnika świeżo upieczoną bułeczkę. — Keely? Gdzie jesteś?

Wysunęła głowę zza drzwi, popatrzyła na niego.

— O co chodzi? Coś się stało? Obudzisz Candy!

Chciał krzyknąć: „Owszem, coś się stało! Kurczę, masz rację, że coś się stało! Skąd wiedziałaś?!”

Ale tylko skrzywił się lekko i powiedział:

— Przepraszam. Nie wiedziałem, że śpi. Czy... czy mogłabyś zejść na parę chwil do mnie? Mu... chciałbym z tobą porozmawiać.

— Hm — odparła — jestem nieubrana...

— Przecież już wcześniej widziałem cię w piżamie. Przypominasz sobie?

— Jack, to nie to samo. Muszę się ubrać. Daj mi parę minut, zgoda?

Jack czekał pod zamkniętymi drzwiami. Przez ten czas zastanawiał się, co by się stało, gdyby bez pukania wtargnął po prostu do jej sypialni.

— Trehan, weź się w garść — mruknął do siebie. Zszedł na dół i wziął z lodówki butelkę wody mineralnej. Wrócił do swojej pieczary.

Opadł na kanapę, ale szybko poderwał się na nogi i usiadł na krześle. Lepiej siedzieć naprzeciwko, na krzesłach, niż; obok siebie na kanapie.

— Jestem. O co chodzi? — spytała bosonoga Keely. Ciekawe, co miała pod szlafrokiem. Chyba włożyła jakąś bieliznę?

— Keely, siadaj — powiedział, potem przechylił się, opierając łokcie o kolana. — Moim zdaniem powinniśmy się jakoś dogadać.

Usiadła. Popatrzyła na niego z ukosa.

— My dwoje powinniśmy się dogadać, Jack?

— Nie jestem pewien — przyznał, kręcąc głową. — Na razie musimy pamiętać, że ja cię zatrudniam, a ty u mnie pracujesz.

- Nie .

— Co takiego?

— Nie pracuje u ciebie. Owszem, jestem tu zatrudniona, ale przez twoją ciotkę Sadie. A ty czasowo korzystasz z moich usług.

— Nie życzę sobie, aby słu... do diabła! — Jack nie mógł spokojnie usiedzieć, gdyż wtedy nie potrafił oderwać wzroku od długich nóg Keely. Zerwał się, odwrócił do telewizora. — Keely, posłuchaj, wpakowaliśmy się w jakiś dziwny układ. Nie możesz tu dłużej zostać.

— Ale Candy...

— Tak, tak, wiem — przyznał, gasząc ją w pół zdania. — I nie dotyczy to także Candy. Nie wiem, jak to się stało, ale naprawdę narobiliśmy strasznego zamieszania. Powinienem był natychmiast wezwać Joeya. Albo kogokolwiek. Nie umiałem myśleć rozsądnie, Keely. Przyznaję. Tak pochłonięto mnie to, co działo się z moim własnym życiem, kiedy usiłowałam jakoś ze wszystkiego wybrnąć... Użalałam się nad samym sobą.

Kiwnęła głową.

— Cóż, Jack, pewnie masz rację.

— Nie potrafisz kłamać, zatem powiedz mi, czy mam rację, użalając się nad sobą?

— Masz do tego prawo.

— Dziękuję — urwał, zastanawiając się, do czego prowadziła ta rozmowa. Na razie donikąd.

Keely wstała, obeszła stół i stanęła przed Jackiem. Mógłby się cofnąć, ale wtedy wpadłby na telewizor i zrobiłoby się

równie niezręcznie, jak czuł się w tej chwili. Przeklęty Tim. Brat naprawdę potrafi zamącić w głowie!

— Jack, posłuchaj! Pozwolisz mi sobie pomóc? Znalazłeś się w dołku, to nie ulega wątpliwości. A potem, nim zdołałeś sobie z tym poradzić, w twoim domu pojawiła się Candy. Ja także! Ty potrzebowałeś pomocy, ja pieniędzy, zawarliśmy więc pewien układ. I jak sobie dotąd radzę? — Uniosła dłoń, musnęła kącik jego warg, wzdrygnął się. — Przepraszam — powiedziała, rumieniając się. — No i jak? Mogę mówić dalej?

Gwałtownie zamachał obiema rękami, dając znak, aby kontynuowała. Powinien się odezwać, ale poczuł miły zapach perfum, a może tylko mydła. Podobało mu się, jak się czesała, choć był to idiotyczny koński ogon, z którego wymykały się pojedyncze kosmyki, opadające na szyję. I dlaczego do tej pory nie zauważył w jej piwnych oczach złocistych cętek?

— Jack? Słuchasz mnie? — upewniła się Keely.

Co ona widzi, kiedy na niego patrzy? Miejmy nadzieję, że nie odgadła, o czym on myśli.

— Słucham — zapewnił. Minał ją, podszedł do stolika, wziął butelkę z wodą mineralną. Upił długi łyk. — Mów dalej.

— Nie mam już wiele do powiedzenia. Miałeś szansę, postanowiłeś jednak odrzucić propozycję Japończyków. Teraz musisz stawić czoło temu, że skończyła się twoja kariera. I obecnie, choć może nie zdajesz sobie z tego sprawy, powinieneś rozejrzeć się i zauważyć, że Candy jest wciąż przy tobie. I ja też jestem tutaj.

— Candy zostanie przy mnie — zapewnił twardo Jack, gdyż w to jedno wierzył. — Rano wynajmę adwokata. Cały zastęp prawników, gdyby zaszła taka potrzeba.

Uśmiech Keely prawie powalił go z nóg.

— Och, Jack... cudownie. Wspaniale! Wiedziałam, że ją wreszcie pokochasz, jeśli dostaniesz taką szansę.

W porządku, miał swoje otwarcie. Teraz, pamiętając wciąż o ostrzeżeniach Tima, ruszył, gotowy do ataku, do ostatniego rzutu.

— Cieszę się, że na to przystałaś. Poza tym, jestem odpowiedzialny za całą rodzinę. Weź pod uwagę, że Candy to moja rodzina. Ale wymaga to jakichś stałych układów. Candy od urodzenia stykała się z ludźmi, którzy pojawiali się w jej życiu i potem znikali. Na tyle znam moją kuzynkę. Toteż — do końca, biorąc głęboki oddech — chciałbym cię o coś prosić.

Keely ani drgnęła.

— Mów. Proś.

— W porządku. Zdaję sobie sprawę, że to nie umowa. Kurczę, prawie wszystko przekracza naszą początkową umowę. Coś, tak niespodziewanie, bez ostrzeżenia... zdarzyło się? Coś, co się zaczęło, musi być zakończone, prawda? Wiem, że nie przyjechałaś tutaj, aby zajmować się Candy, i przypuszczam, że nie mógłbym tego wymagać na zawsze. Lecz... hm, może trzeba pomyśleć o jakimś stałym układzie. Dlatego — wziął głęboki oddech — pomożesz mi znaleźć opiekunkę dla Candy?

— Znaleźć... żądasz ode mnie... ale powiedziałaś na stałe... to znaczy, że nie chcesz...? — Keely zagryzła wargi, skinęła głową. — Rozumiem — powiedziała pogodnie. Naprawdę pogodnie. — Zajmę się tym zaraz z rana. Ja... z radością ci pomogę. Coś jeszcze? Jestem trochę zmęczona.

— Nie, to wszystko. — Wziął pilota i skierował go w stronę telewizora.

— Candy jutro rano ma wizytę u pediatry — przypomniała Keely. — Wciąż chcesz z nią iść, prawda?

— Tak — zapewnił Jack, zmieniając kanały, chociaż nie widział niczego na ekranie. — I dzięki, że pomogłaś mi wybrnąć z tej matni. Naprawdę to doceniam.

— Oczywiście, to dla mnie nic wielkiego. Dobranoc — powiedziała Keely, spokojnie wychodząc z pokoju, choć za chwilę usłyszała, jak biegnie do kuchni.

Jack przeklął pod nosem, rzucił pilotem. Mieć piłkę w zasięgu ręki i stracić ją? Jak to się stało? Tim go ostrzegał, wszyscy go ostrzegali. Nigdy nie zdoła celnie trafić...

10

*Nienawidziłem gry z Drysdalem.
kiedy cię walnął, pojawiał się za chwilę i pytał:
Chcesz, żebym złożył pod tym autograf?*

Mickey Mande

Keely starannie złożyła dżinsową spódnice, potem dołożyła ją do walizki, w której piętrzył się już stos ubrań. Spódniczka prze-ważała wypchaną walizkę, tak więc cała jej zawartość spadła z łóżka na podłogę.

— Cholera! — zaklęła, patrząc na sprawiony przez siebie roz-gardiasz. Otarła wierzchem dłoni wilgotne policzki. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak idiotka. Ale cóż to ma za znaczenie? Dla niej żadne. Po prostu chciała się stąd wynieść — i to natychmiast.

Keely przycisnęła ręce do głowy, usiłowała opanować płytki oddech. W porządku. Teraz musi jedynie zejść na dół. I żeby Jack to widział.

Jak mogła być taką idiotką? Naprawdę myślała — miała nadzieję, wierzyła — że Jack Trehan złoży jej poważną propozycję. Więcej niż propozycję. Spodziewała się, że się jej oświadczy. Bez miłości, to nie wchodziło w rachubę, ale jakiś małżeński układ ze strony Jacka, który pragnął stabilizacji dla Candy, żeby nie musieli stanąć przed sądem rodzinnym.

Taka propozycja by ją zraniła. Przecież wiedział, że chce przenieść się na Manhattan... Często mu o tym mówiła. (Komu o tym przypomina? Jemu czy sobie samej?) Wiedział jednak doskonale, kurczę, że ma bzika na punkcie Candy i byłaby z niej dobra matka

Ale kim by się wtedy stała? Siekała wątróbkę? Małżeństwo z rozsądku to jedno, ale ten facet ma przecież oczy w głowie? Ona jeszcze nie dobiega setki, nie jest jakimś dziwolągiem. Gapi się na jej nogi, dziewczyna przecież natychmiast to spostrzeże, prawda?

Sądziła, że spodobało mu się w niej coś więcej niż tylko nogi. Sądziła do tamtego wieczoru, kiedy tak idiotycznie objęła go ramionami, a on popatrzył na nią tak wymownie, jakby nie chciał wypuścić jej ze swych ramion. Czyżby brakowało mu wiary w siebie? Poza tym, co w tym złego, że ma się w pobliżu życzliwą bratnią duszę?

Oczywiście spodobało się jej w nim znacznie więcej cech, a nie tylko ten chłopięcy uśmiech. Te wyjątkowo niebieskie oczy. I to, jak troszczył się o Candy, usiłując jednocześnie pokazać, że jest twardzielem, a jednak ukradkiem dotykał z czułością brudnych rączek dziecka.

Ale poślubić go? Skąd ten pomysł? Co sprawiło, że zaczęła myśleć, iż jego słowa: „Prosiłbym o przysługę...” I dlaczego okazała się na tyle głupia, że rozczarowała ją myśl, iż nigdy do tego nie dojdzie?

Głupota! Prawdziwa głupota!

Do tego wcale nie lubiła Jacka Trehana. Oczywiście pociągał ją, ale nie oznaczało to, że go lubi. No, może trochę. Dobra, ten facet zawrócił jej w głowie... na tyle, że powinna się stąd jak najprędzej wynieść.

Nad czym się zastanawia? Czeka ją przyszłość na Manhatanie. Nawet Gregory zdawał sobie z tego sprawę, inaczej nie oferowałby jej butiku w Village. O Gregorym można mówić różne rzeczy, ale nie to, że ma serce. Gregory i serce? Trudno uwierzyć.

No to czego chciała od dziecka albo od Jacka Trehana? Niczego, czego by rzeczywiście pragnęła. Chwilowo zboczyła z obranej drogi, to wszystko, może za sprawą nawdychanych pochlebstw. Odgrywała szczęśliwą gospodynię domową już od ponad tygodnia, urządziła mieszkanie. Gotowała, uśmie-

chała się, gawędziła, a nawet sprzeczała się przy obiedzie i oczywiście zajmowała się dzieckiem. Te pozory normalnego życia rodzinnego sprawiły, że przestała trzeźwo myśleć. Naprawdę zaczęło ją to bawić, poznawała rzeczy, o których do tej pory nie miała bladego pojęcia. W niczym nie przypominała ciotki Mary. Zachowywała się bowiem jak matka, jak żona. To coś więcej niż postępować poprawnie, nigdy się nie mylić, nigdy nie popełniać błędów.

— Hm, dziewczyno — powiedziała do siebie, z powrotem układając swoje rzeczy w walizce. — Było to głębokie doświadczenie, prawda? Teraz, kiedy zaczęłaś analizować swoje postępowanie, zastanów się nad tym przez chwilę. Pokpiłaś rodzinne życie, w innym przypadku nie wracałabyś na Manhattan, gdzie może też odniesiesz porażkę? A może, to byłoby najgorsze wytłumaczenie, zakochałaś się w Jacku Trehanie?

Czy sprawił to dobry, czy zły los, tego nie była pewna, ale akurat kiedy usiłowała odpowiedzieć sobie na te pytania, rozległo się pukanie do drzwi.

— O co chodzi? — spytała, nie podnosząc się z klęczek. — Już późno, Jack. Kładź się spać.

Ten człowiek nie zwykł nikogo słuchać, gdyż zaraz usłyszała, otwierając się za jej plecami drzwi, a potem kroki na drewnianej podłodze. Przysiadła na piętach, odwróciła głowę.

— Wynoś się.

— Co ty wyprawiasz? Przed chwilą słyszałem, jak coś łupnęło o podłogę.

— Owszem. Dywan jest następnym sprawunkiem na mojej liście. Wtedy, jeśli zamorduję cię za to, że wdzierasz się do mojego pokoju bez zaproszenia, to gdy twoje zwłoki łupną o podłogę, nie obudzisz Candy.

— Jak miło z twojej strony. Potrafisz przemówić do rozsądku, Keely. — Jack przykucnął obok, wziął bluzkę, którą natychmiast wyrwała mu z dłoni i rzuciła na czarny koronkowy staniczek, leżący na podłodze. — Gdzieś się wybierasz?

— Rozpakowuję się — skłamała. Wstała, chwyciła stos

ubrań i cisnęła je na łóżko. — Tłumaczyłam ci, że przyniosłam ze sklepu więcej ubrań. Walizka zsunęła się z łóżka.

Jack wziął piżamę, którą miała na sobie zaledwie kilka dni temu, a potem uprała ją i odłożyła do szuflady.

— To też zabrałaś z domu ciotki? Macie dwie identyczne? — spytał, również podnosząc się na nogi, stając na wprost Keely.

— W porządku, może zastanawiałam się, czyby się stąd nie wyprowadzić. Pozwij mnie za to do sądu!

Nie wypuszczał z dłoni satynowej piżamy, pomachał nią przed nosem dziewczynie.

— Na randkę czy do spania?

Keely odwróciła się do niego plecami.

— Okay, miałam chwilę słabości. Chciałam odejść. Ale już się pozbierałam. Nigdzie nie wyjeżdżam. Pamiętasz, że potrzebne mi są pieniądze?

— Jak mógłbym zapomnieć? — zdziwił się Jack, kładąc dłoń na jej ramionach i obracając ją ku sobie. — Keely, posłuchaj, siedziałem na dole, rozmyślałem o naszej rozmowie i coś mi przyszło do głowy. Wiem, że nie potrafię się dobrze wysławiać. Prawdę mówiąc — odchrząknął — ktoś może sobie wyobrazić, że mówię coś zupełnie innego, niż było to moim zamiarem. Pojmujesz, o co mi chodzi?

— Ani trochę — powiedziała Keely, wymykając się z jego objęć i chwytając wieszak na bluzkę. — Gdyż jeśli ktoś zrozumie opacznie twoje słowa, to uzna pewnie za prawdę, że to właśnie chciałeś powiedzieć. A tak wcale nie było.

Jack przechylił głowę, popatrzył na nią sowim wzrokiem.

— Czy to coś w stylu Abbota i Costello z filmu „Who's on first”? Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

— Owszem, masz — zgasiła go Keely. Chwyciła kolejny wieszak, przez sekundę zastanowiła się, co by się stało, gdyby zdzieliła nim Jacka w głowę. — Nie tylko to, ty przeważnie nie masz pojęcia, co wygadujesz. Teraz się powtarzasz, gdyż nie pamiętasz własnych słów. Wytłumacz mi, czy podczas meczu dwa razy popełniałeś ten sam faul?

— Tylko wtedy, kiedy nie przyłapano mnie na pierwszym — powiedział Jack. Jego uśmiezek bolał, tak jak duma Jacka i przypuszczalnie to, że zagrażał jej rozsądkowi.

— Cóż, dobrze, nie musisz dwa razy pukać do moich drzwi, Jacku Trehanie. Jasne. Doskonale cię zrozumiałam. Mieszkam tutaj, aby opiekować się Candy i urządzić ci dom. Ale o całej reszcie — gotowaniu, pływaniu w basenie, pogawędkach — będę wyłącznie ja decydować. Nigdy mnie o to nie prosiłeś, zatem nie powinnam robić sobie jakichś nadziei. Zgadza się? I dlatego idź już sobie. Połóż się, zejdź na dół, idź do diabła. Gdziekolwiek, Jack, bo nie chcę cię już dłużej tutaj widzieć.

Jeśli chodzi o postawienie kropki nad „i”, to Keely nieźle się wyćwiczyła. Ale nie dane jej było zapamiętanie ostatnich słów, gdyż Jack niespodziewanie znowu objął ją ramionami, przytulił usta do jej ust.

"Właściwie to jej nie przytulał, gdyby chciała, mogłaby odskoczyć, wymierzyć mu policzek, skłąć. Ale stała jak wryta, przymknęła oczy, zamachała rękami, oddała pocałunek, modląc się tylko, żeby nie opaść na niego całym ciężarem, gdyż zaczęły się pod nią uginać kolana.

— Widzisz — odezwał się po chwili, odsuwając odrobinę twarz. — Wcale nie było tak źle, prawda? Kiedy ze sobą nie rozmawiamy, o wiele lepiej możemy się porozumieć. Pewnie Tim miał rację tylko w połowie. Zdołamy zbudować na tym nasz związek.

Kiedy odszedł, Keely na trzęsących się nogach podeszła do łóżka i usiadła, starając się uspokoić bijące jak oszalałe serce.

Żującą gumę recepcjonistka podniosła głowę, kiedy Jack oparł się o biurko. Za plecami Jacka stała Keely. Trzymała na rękach Candy.

— Och, jaka słodka. Państwo jesteście jej rodzicami?

Keely już otworzyła usta, ale Jack ją ubiegł.

- Tak.

— Świetnie. Mała jest bardzo do pana podobna, prawda? Proszę usiąść, wypełnić formularze, lekarz wkrótce państwa przyjmie. Och, i potrzebna mi polisa ubezpieczeniowa.

— Nic takiego — powiedział Jack. — Zapłacę kartą kredytową.

— Tak, ale... ~ zaczęła, jednak Jack znowu się uśmiechnął i zapewnił:

— Proszę mi zaufać, zapewniam, że mnie na to stać.

— Panie Trehan, w obecnych czasach nie stać na to nikogo. — Wzruszyła ramionami, rozdzwonił się telefon, więc sięgnęła po słuchawkę.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała Keely, gdy usiadł przy niej i oglądał rozwieszony na ścianach plakat. — Przecież nie jesteśmy jej rodzicami.

— Zrozum, ty i ja o tym doskonale wiemy. Lekarz też się dowie w swoim czasie. Ale czy naprawdę chcesz poświęcić dziesięć minut, wyjaśniając tej paniencie sytuację, w jakiej znalazło się to dziecko? Bo ja nie mam takiego zamiaru.

— Trafiłeś w sedno — zgodziła się Keely, przytulając Candy w ten sposób, że dziewczynka mogła wypróbować swoją nową umiejętność. Stanęła, opierając się o uda Keely. — Czy masz pisemną zgodę Cecily?

— Owszem, a sądzisz, że zostawiłem formularz w samochodzie, skoro takie samo pytanie zadałaś mi, gdy wyjeżdżaliśmy z domu?

— Przepraszam. — Westchnęła. — Chyba jestem zdenerwowana. Nie mogę opędzić się od myśli, że lekarz kogoś wezwie i odbiorą nam Candy... odbiorą ją tobie.

Jack odłożył długopis i kciukiem pogłaskał Candy po brodzie.

— To się nigdy nie zdarzy. Jutro rano mam spotkać się ze starym kumplem ze szkoły, Jimmym Haggertym. Obiecał, że wszystkim się zajmie.

— Jak może być dobrym adwokatem, skoro klienci wciąż zwracają się do niego Jimmy?

Jack roześmiał się, pokręcił głową.

— Jesteś szurnięta, wiesz o tym? Odpręż się. Obiecuję, że wszystko będzie w porządku.

Cztery godziny później Keely gorąco pragnęła, żeby Jack podpisał tę obietnicę jak cyrograf — własną krwią, gdyż Candy dostała gorączki, płakała i nie dopuszczała do siebie nikogo prócz Keely.

— Podałaś jej lekarstwo? — spytała Petra, siedząc w kucki na podłodze. Robiła śmieszne miny, usiłując rozbawić Candy.

— Tak, jak tylko wróciliśmy do domu. Lekarz uprzedzał, że to może zdarzyć się w każdej chwili. Kilka godzin będzie źle się czuła. Będzie boleć ją nóżka, ale do wieczora wydobrzeje. — Candy szarpnęła się w jej ramionach, Keely skrzywiła się, kiedy dziecko lewą piąstką trafiło ją prosto w nos. — Jeśli tego doczekamy. — Chwyciła piąstkę Candy. — Malutka, proszę cię, nie płacz. Łamiesz mi serce.

— Tobie łamie serce, a mnie rani uszy — powiedziała Petra, wstając. — Wynoszę się stąd.

— Wracasz do domu, żeby zjeść owsiankę? A może obejrzeć powtórkę „Domku na prerii”? — zakpiła Keely, klepiąc Candy po pośladku, gdyż kilka minut temu dziecko było tym zachwycone. Ale nie teraz, zaczęła jeszcze rozpaczliwiej płakać, poczerwieniała jej buzia, spocone loczki przylepiły się do głowy.

— Ha, ha. Rozdokazywałaś się, Keely. I upewniłaś mnie w moich poglądach, za co ci serdecznie dziękuję. Nikt mnie nie lubi w grzecznych ubrankach. A na pewno nie Candy. Powiem to tatusiowi, dostanie szału. Więc pewnie zmienię ten straszny kostium i wrócę do mojej zwykłej ekstrawagancji.

— Poczekaj chwilę — poprosiła Keely, idąc za nią. — Przebrałaś się, gdyż uważałaś, że będziesz normalnie wyglądać?

Petra spojrzała na siebie, potem na Keely.

— Owszem. A o co ci chodzi?

— O nic. Zapomnij. — Keely patrzyła za Petrą, przemierzającą trawnik w drodze powrotnej do swojej krainy Oz, czy gdziekolwiek się udawała. Potem pokazała Candy kubeczek

w kształcie ludzika i zaczęła otwierać i zamykać wieczko. — Spójrz, Candy, kubeczek nie ma główki. I znowu ma. Fajne, co?

— Jakies dwadzieścia lat temu — stwierdził Jack.

Keely odwróciła się i zobaczyła go. Opierał się o futrynę drzwi.

— Jak sobie radzisz, Keely? Chyba niezbyt dobrze...

Keely prychnęła.

— Och, a ty uważasz, że potrafiłbyś sobie lepiej poradzić? — spytała, idąc ku niemu i trzymając w ramionach wciąż płaczącą Candy.

— Nie wiem. Ale spróbuję. Bo tobie należy się chwila wytchnienia.

Kiedy mu podawała Candy, w jej oczach zakręciły się łzy, szybko się odwróciła, żeby je ukryć. Była mu tak wdzięczna, że zbierało się jej na płacz. Jak sobie radzą samotni rodzice?

— Już spokojnie, Candy — przemawiał Jack kojącym tonem, poklepując dziecko po plecach. Mała się jeszcze chwilę krztusiła, kilka razy zachlipała i — chwalić Pana — przestała szlochać.

— Jak to zrobięś? — zdumiała się Keely, była trochę zazdrośna, że Jackowi udało się to, w czym ona sama zdecydowanie zawodła. — Czy Candy ma jakiś wyłącznik, który ja przeoczyłam?

— Nie mam pojęcia — odparł Jack. Candy przytuliła główkę do jego ramienia, jeszcze trochę pociągając noskiem. — Pewnie zadziałał słynny czar Trehana. Albo może ty byłaś zbyt napięta i zdenerwowana, a Candy to wyczuła.

Keely zmierzyła go spojrzeniem typu: „Powiedział, co wiedział”.

— O tak, wiele się o tym nacytałem. Co innego mógłbym zrobić, kiedy siedzi się w poczekalni z piętnaściorciem rozwrzeszczanych bachorów i kupą matek, zachwycających się, jaki to wspaniały facet zawitał do lekarza, gdyż chciał towarzyszyć żonie. Nie przyznałem się im, że kiedy lekarz stwierdził, iż Candy musi przejść okresowe badania i szczepienia, wetknąłem głowę w pierwsze pismo, jakie mi wpadło w rękę. Napięcie matek powoduje napięcie u dzieci. Tyle przeczytałem.

— Wcale nie jestem spięta — zaprzeczyła Keely, w pierwszym odruchu splatając ramiona, potem, kiedy uświadomiła sobie, w jakim napięciu żyła od kilku godzin, może dni... miesięcy... całe życie... opuściła je.

— Candy wyczuła, że tak — upierał się Jack. — Może nie tamtego dnia w basenie, ale czy sądzisz, że poszłaby z każdym, nie zawsze z osobą, która ją karmi, myje, ubiera? Boisz się jej, a ona o tym wie. Kompetentna, lecz przestraszona. Sprawna, lecz przestraszona. Wszystko wie, lecz jest przestraszona. Mógłbym tak ciągnąć bez końca — dodał swoim dźwięcznym głosem — ale nie zrobię tego.

— Bzdury, a teraz czas, żeby ją nakarmić. Podaj mi ją. Nie wiesz, że zasypia w porze, kiedy powinna jeść?

— Niech śpi, ten biedny dzieciak jest wyczerpany — stwierdził Jack, siadając na fotelu. — Nie mam nic do roboty, mogę więc pooglądać sobie telewizję, trzymając ją w ramionach. Poza tym w tamtym artykule napisano, żeby nie trzymać się ścisłych zasad wychowywania dzieci, gdyby dziecko nawet zasnęło nad butelką z mlekiem albo nie chciało zasnąć, chociaż już pora do łóżka.

Keely wykrzywiła wargi.

— Zabrałeś może do domu parę ulotek? Wiesz, takich, które wypełniasz, a potem zamawiasz prenumeratę jakiegoś pisma? Do pioruna, Trehan, może sam byś napisał artykuł do kolorowego magazynu. Zatytułowano by go: „Zadowolony z siebie kuzyn wie wszystko najlepiej”.

— Panuj nad sobą, McBride — uśmiechnął się Jack. — Choć muszę przyznać, że lubię się z tobą drażnić. Tak łatwo wyprowadzić cię z równowagi.

Keely dłuższą chwilę mierzyła go spojrzeniem, potem kopnęła go w nogę.

— Masz za swoje. Może na tym zdołamy coś zbudować! — zacytowała jego słowa. Wyszła, chwytając kluczyki od samochodu, gdyż chciała pojechać do sklepu i kupić dla Candy jej pierwsze słóiczki z prawdziwym jedzeniem i prawdopodobnie trucizną na szczury, którą nafaszeruje Jacka, kuzyna Candy.

Nie powinna jechać, nie powinna odchodzić. Candy może się obudzić, wciąż obolała po szczepieniu, a Jack sobie z nią nie poradzi. Keely wcale nie chciała, żeby Candy znowu zaczęła płakać. Jasne, że nie. Ale małżeństwo mogłoby zostawić dla kuzyna Jacka drobny prezent w pieluszkach, a tym samym zdobyłaby punkt dla cioci Keely.

Do czasu kiedy Keely załadowała do bagażnika trzy plastikowe torby z zakupami i wróciła do domu, wybaczyła Jackowi. Trudno mu było nie wybaczyć i dlatego wciąż była na niego wściekła, aż zjrzała do działu ze słodyczami, złamała się i kupiła mu cukierki M&M's.

Zastanawiała się, kiedy matki właściwie mają czas na myślenie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin miała nową szansę na otwarcie butiku na Manhattanie, oczarował ją Jack, Jack ją odtrącił, wystrychnął ją na dudka, pocałował, poradził sobie z reakcją Candy na jej pierwsze szczepienie. Dwa razy włączała pralkę — pierwsze pranie to ubranka Candy, drugie to ręczniki — ugotowała kolację i przyrządziła śniadanie, pokłóciła się z Jackiem (znowu) i popędziła do sklepu... a teraz pora na nowy obiad. Kto w takich okolicznościach miałby czas na zastanowienie się nad czymkolwiek? Syndrom znudzonych gospodyń domowych pewnie musiał wymyślić jakiś facet, z pewnością nie kobieta!

Gdyby miała czas na rozmyślanie, to zastanowiłaby się nad tamtym pocałunkiem. Z pewnością tak. Zastanowiłaby się nad swoją reakcją, następnie nad tym, jaką Jack miał minę. Pomyślałaby, że prawdopodobnie chciał jej wyznać to, czego się spodziewała.

I pomyślałaby, że odpowie, iż on wciela się w rolę Davida Hasselhoffa, a ona w rolę Valerie Bertinelli.

— Prawdopodobnie przyjęli role w takim kiepskim filmie, żeby nauczyć mnie życia — mruknęła Keely pod nosem, wychodząc z garażu ze spuszczoną głową. Dwie z plastikowych toreb przewiesiła przez jedno ramię, na drugim miała torebkę,

trzecią torbę i potężny bukiet goździków, który kupiła pod wpływem impulsu, stojąc w kolejce do kasy.

— Keely. Pst... Keely. Tutaj.

Podniosła głowę.

— Ciocia Sadie?

Sadie Trehan ukrywała się za żywopłotem z ostrokrzewu. Widać było ją tylko do pasa, miała na sobie coś w rodzaju namiotu o jaskrawopomarańczowych plamach. Gdyby nadszedł sezon polowania na ciocię Sadie, to z pewnością nie umknęłaby myśliwym, nie dopisałyby jej szczęście.

— Chodź tutaj, chodź — ponagliła ją Sadie, gorączkowo wymachując dłonią. — Wpadłyśmy w tarapaty.

— Tarapaty? — Keely natychmiast pomyślała o Candy. — Jakie?

— Tarapaty — powtórzyła ciotka Candy. — Przez duże „t” rymujące się z „p”, pociskiem. No dobrze. Joey Morretti. Chodzi o Joeya Morrettiego. Hej, ukryj mnie. Przygnała mnie tu najwyższa potrzeba.

Keely mimo woli zniżyła głos.

— Dwuoki Morretti? Mafia? Brat Cecily z Bayonne? — dopytywała się, kucając obok Sadie. — A co on ma tutaj za interes?

— Wiedz, że nie kroi się nic dobrego. Mówi, że przyjechał tutaj po Candy. Akurat w domu była Petra, szukała ciebie, i przypadkiem podsłuchiła, jak Jack kazał mu się wynosić do diabła. Jesteśmy w tarapatach, Keely. Przeczuję to. Duże „t” rymujące się z „p” i...

— Tak, oczywiście, wszystko rozumiem — powiedziała, Keely, wstając, gdyż nagłe uświadomiła sobie, że czai się za ostrokrzewem. Schyłona ruszyła w kierunku domu, jakby to był nieprzyjacielski bunkier, który musiała zaatakować, uzbrojona jedynie w goździki. — Idę tam. Dołączysz do mnie?

— Ja? — Sadie szeroko otworzyła oczy, odstaąpiła o krok, przycisnęła dłonie do piersi. — Czy mieszkałabym gdzie indziej, gdybym uważała, że to moje miejsce? Za nic!

— Boisz się go?

Sadie pogładziła ją po głowie.

— Joeya? Nie bądź niemądra. Po prostu nie chcę patrzeć, jak Jack wyrzuci tego „niebieskiego ptaka” przez okno.

— Boże — zachłysnęła się Keely i jak szalona pobiegła do domu, szybko omiotła wzrokiem basen, waliła w drzwi, dopóki nie nacisnęła klamki. Drzwi stały otworem.

Cisnęła torby na stół, nie bacząc na to, że roztopią się lody, i na palcach zeszła do sutereny. Nikogo. W domu panowała cisza. Zbyt „głośna” cisza. Coś było nie w porządku.

Gdzie jest Candy? Boże, gdzie się podziała Candy?!

Keely popędziła na górę tylnymi schodami, wstrzymując oddech otworzyła drzwi pokoju dzieciennego i ujrzała Candy, śpiącą w kołysce.

— Dzięki ci, Panie! — Westchnęła, opierając się ciężko o framugę.

— Słodki brzuszek, prawda?

Keely prawie podskoczyła.

— Co takiego? Kto to?

Pchnęła drzwi i ujrzała na zamówionym przed dwoma dniami bujanym fotelu potężną sylwetkę. Rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć, czy mebel wykonano z solidnej dębiny i czy wytrzyma taki, kołyszający się na nim, ciężar.

— Kim pan jest?

Człowiek-góra wstał, a ponieważ odgradzał ją od okna, niemal zasłonił cały widok, zupełnie jakby niespodziewanie nastąpiło zaćmienie słońca. Keely popatrzyła na niego i oceniła, że musi mieć co najmniej sześć stóp wzrostu i ważyć pewnie tyle co terenowy samochód.

Jego nogi przypominały pnie drzewa, bary miał szerokie jak kanapa, potężne jak bochny dłonie zwieńczały olbrzymie ramiona. Przy tym wcale nie był gruby. Po prostu wielki. Naprawdę wielki.

Łysy jak kolano. Młody, nie więcej niż dziesięćnaście, dwadzieścia lat. Uśmiechał się, demonstrując zęby, których nie powstydziliby się bóbr. W górnej szczęce między przednimi widniała szpara.

Wyciągnął rękę, a Keely, nie wiedząc, co robić, ujęła ją. Odniosła wrażenie, jakby jej dłoń zapadła się w dziurę.

— Proszę zapewnić mnie, że nie nazywa się pan Joey Morretti — pisała, czując, że miażdży jej kości.

— Nie, proszę pani — odparł gigant. Jego głos zupełnie nie pasował do postury, był wysoki i cichy. Niemal łagodny, uspokajający. — Nazywam się Bruno, szanowna pani. Bruno Armano. Ale *może* się pani do mnie *zwracać* Malutki. Wszyscy tak mówią, tak nawet mówiła moja babcia, niech spoczywa w pokoju.

— Do... dobrze... Malutki — powiedziała Keely ostrożnie, szczęśliwa, że odzyskała dłoń, chociaż nie mogła się powstrzymać, aby jej nie rozmasować, póki nie wróciło czucie w palcach. Jak mówi stare przysłowie? Zachowuj się uprzejmie, aż znajdziesz jakiś kamień? Tak, a do tego drabinę, żeby mogła się na nią wspiąć i zdzielić intruza kamieniem. — Zatem... Malutki... co cię *tutaj sprowadza*?

Malutki wskazał korytarz za jej plecami.

— Powinniśmy wyjść, proszę pani, bo inaczej obudzimy tę małą księżniczkę. Nakarmiłem ją, odbiło się małej, przewinałem ją, więc chyba teraz powinna trochę pospać, prawda?

Keely odstąpiła i przyglądała się, jak Malutki wychodzi z pokoju, pochyliwszy głowę, żeby zmieścić się w drzwiach. Ruszyła za nim. Ten olbrzym nakarmił Candy? Przewinał?

Wielkie nieba. To najpewniej Jack leży gdzieś tutaj rozplątany na kawałki. Gdyż jeśli pozostałby przy życiu, nie pozwoliłby Malutkiemu — cóż to za imię dla takiego wielkoluda? — nawet się zbliżyć do Candy.

— Hm... a gdzie się podziewa Jack? — spytała najspokojniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć, kiedy stanęli z Malutkim w hallu, kilka kroków ód pokoju Candy.

— Pan Trehan? — uśmiechnął się Malutki. — Zawsze chciałem poznać wielkiego baseballistę z pierwszej ligi. Mnie nigdy nie dane było grać w baseball, jedynie w piłkę nożną. Byłem napastnikiem. Tak zdecydował trener, że gram w ofensywie. Gdy Keely nie zareagowała, zmarszczył brwi. — Żartowałem,

proszę pani. A pan Trehan? jest gdzieś na dole z panem Morrettim.

Keely zahuczało w głowie.

— A ty przyszedłeś dzisiaj tutaj z panem Morrettim, gdyż...?

Malutki pokiwał swoją olbrzymią, wygoloną do skóry głową, kończąc za Keely pytanie:

— ... gdyż dla niego pracuję — powiedział z dumą. — Jestem jego ochroniarzem. Waga ciężka. Pan Morretti nazywa mnie Bestią z Bayonne. Kazał to wyszyć na ślicznym satynowym stroju sportowym, który mi sprawił, zresztą jak wszystko inne. Ale wciąż do mnie mówi Malutki.

— Panie i panowie, witajcie w „Strefie mroku” — mruknęła Keely pod nosem, potem uśmiechnęła się do Bestii z Bayonne. — Malutki... wyjaśnij mi coś. Jesteś tutaj, żeby opiekować się i chronić Candy, bo taki dostałeś rozkaz? A ja powinnam zejść na dół i przywitać się z Jackiem i Dwuokim... to znaczy z panem Morrettim. Mam rację?

— Jasne! — rozpromienił się Malutki, chociaż jego wersja była nieco inna. — Pan Trehan wyjaśnił mi, skąd pani się wzięła, i dlaczego muszę uprzejmie panią traktować, nie zrobić najmniejszej krzywdy. Proszę zejść na dół i nie martwić się o małą księżniczkę. Póki ja tu siedzę, nie stanie się jej krzywda.

Keely przełknęła ślinę.

— Będę ci wdzięczna, Malutki. Doceniam to. Posiedzisz przy dziecku, ja zaś nie zostanę tu uwięziona. Cóż, w takim razie... do zobaczenia!

Szła spokojnie, aż dotarła do głównych schodów i dopiero stamtąd zbiegła jak oszalała po schodach na dół, w stronę salonu.

11

Każda gra w piłkę zaczyna się od nowa.

Powiedzonko sportowców

Och, w porządku. Joey zmierzył go swoim „dwoukim” spojrzeniem, lekko zezując.

Jack wiedział, że powinien się bać, może nawet skulić ze strachu. Ale to na nic. Joey Morretti nie patrzyłby na tchórza.

Biedny Joey. Odziedziczył po ojcu mizerną posturę i wygląd, dlatego był niski, z wąską twarzą łasicy, w której dominował wąski sępi nos. Kruczoczarne włosy zaczęły się przerzedzać, kiedy skończył ledwie dziewiętnaście lat.

Jack wcześniej zauważył, że Joey ubierał się jak Sonny Corleone z pierwszej części „Ojca chrzestnego”, krótkie spodenki, podkoszulek bez rękawów, plecione, szmaciane pantofle. Brakowało mu tylko szerokich barów Jamesa Caana, no i spodenki mu opadały, toteż musiał nosić szelki, inaczej by je zgubił.

Dzisiaj, na szczęście, ubrał się w sposób bardziej oficjalny. W Lśniący czarny garnitur z białymi paskami, typowy dla gangsterów, czarną koszulę, do tego biały jedwabny krawat. W oczach Jacka przypominał jakiegoś podrzędnego Ala Capone. Niestety, ten wygląd nie zrobił na Jacku wrażenia.

— Przykro mi, Joey, nic z tego — powiedział, idąc śladem swoich myśli. Siedział wygodnie na nowej kanapie w pustym jeszcze salonie. Kanapa okazała się wygodna. Keely dokonała dobrego wyboru. — Hej, przypominasz sobie czasy, kiedy z Timem ściągnęliśmy ci portki? To było chyba na Wielkanoc? Myśmy mieli po dwanaście lat, a ty dziewięć? Sadie, zdaje się, wciąż przechowuje zdjęcia. Przypuszczam, że gdybyś chciał, zrobiłaby ci odbitki.

Joey zamrugał.

Hm, zajęło to tylko jakieś dziesięć sekund. Ten facet zdolnością do koncentracji przypominał chomika. Jack postanowił ruszyć do drugiej zagrywki.

— A potem ciocia Flo i wujek Guido wybrali się na Sycylię, a ty wraz z Cecylią zamieszkaliście u nas przez dwa tygodnie. Wspaniałe czasy, Joey. Tylko dwa razy zsikałeś się w łóżko. Przypuszczam, że już pora, żebym ci zdradził, iż to my z Timem polaliśmy ciebie i materac wodą, kiedy spałeś. Pojmujesz, Joey? A ty myślałeś...

Kuzyn poderwał się z kuchennego stołka, który Jack mu tutaj przyniósł. Wycelował w Jacka palcem.

— W ciągu pięciu minut mogę cię załatwić. Pięć minut!

— Jack!

Na głos Keely Jack się odwrócił, dostrzegł przerażenie na twarzy dziewczyny.

— Chwileczkę, Keely — poprosił, ponownie zwracając się do Joeya. — Zostań tutaj. Nie ruszaj się, niczego nie dotykaj i, na miłość boską, niczego nie ukradnij. Zaraz wracam.

Podszedł do Keely, ujął ją pod ramię i poprowadził korytarem do kuchni.

— Witaj — powiedział, wysuwając krzesło i sadzając ją na nim. Potem podszedł do szafki, zajrzał do toreb z zakupami. — A co to takiego? Co ty wyprawiasz? Przecież lody się roztopią, jeśli nie włożysz ich do lodówki.

Keely poderwała się z krzesła i wyrwała lody z ręki Jacka.

— Chrzanię lody, Trehan. W twoim salonie siedzi prawdziwy gangster! — Otworzyła zamrażarkę, wepchnęła tam lody, z trzaskiem zamknęła drzwiczki, potem jak fryga obróciła się ku niemu. — A na górze jest Bestia z Bayonne, dogląda Candy! Boże, Trehan, wyszłam z domu na jedną godzinę i co zastałam po powrocie?

Jack stłumił śmiech. Kurczę, to prawdziwy wulkan, prawie widział, jak para wydobywa się z jej uszu.

— Widziałaś się z Malutkim? Miły dzieciak.

Keely przycisnęła rękę do czoła, drugą oparła o udo i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

— Nie wierzę własnym uszom. Nie wierzę tobie. To wcale nie jest śmieszne, Jack. Ty... ty pozwoliłeś, żeby ten idiota ci groził, a potem go obraziłeś? Postradałeś zmysły?

Jack podszedł do niej, uniósł ramię, jakby chciał się zasłonić przed niespodziewanym ciosem, potem ujął ją za ramiona i siłą posadził z powrotem na krześle.

— Keely, to przecież Joey. Jego szansę na załatwienie mnie są równe temu, że zdobędzie tytuł „Mister Universe”. Jemu wydaje się, że ma kontakty, Keely. Między tym, że komuś zdaje się, iż jest cwany, a prawdziwym cwaniakiem jest duża różnica. Do diabła, Joey był pośmiewiskiem naszej ulicznej bandy, kiedy miał czternaście lat. Chyba wydawało mu się, że powinniśmy tańczyć i śpiewać podczas bójek jak w „West Side Story”.

Keely zagryzła wargi, ale wreszcie zadrżały jej ramiona, roześmiała się.

— Zabawne.

Jack skinął głową.

— Owszem. Ale mniej śmieszne jest to, że Joey postanowił wywieźć Candy z powrotem do Bayonne. Dlatego przywłókł ze sobą Malutkiego, aby ten użył siły, gdybym się nie zgodził.

Keely ciężko osunęła się na oparcie krzesła.

— Tak, tego się właśnie obawiałam, kiedy tylko zobaczyłam twojego kuzyna. Malutki mówi, że Joey jest jego właścicielem. To prawda?

— W jakiś sposób, owszem — poinformował ją Jack. — To nowość. Załatwił mu kontrakt. Joey uważa, że kiedy ma własnego gracza, to jest kimś. To gra, Keely. Joey może się w to bawić, głównie dzięki pieniądзом mojego wujostwa. Podobnie Cecily. Dzieciaki Morrettich były pośmiewiskiem Bayonne. I wierz mi, w Bayonne należy się o to postarać.

— Może pośmiewiskiem, ale to, co powiedziałaś, wcale nie jest zabawne. Uważasz, że Joey może zabrać Candy?

Jack wzruszył ramionami.

— Posiadanie czegoś to dziewięć dziesiątych prawa, przynajmniej tak słyszałem. Ale zgadza się, jestem zaniepokojony, dlatego dzwoniłem do Jimmy'ego, ten jednak jest w sądzie. Problem, Keely, polega na tym, że jestem tylko krewnym Candy. Natomiast Joey jest jej wujem i bratem Cecily. Możemy mieć problem, jeśli pierwsi szybko nie uderzymy.

— Ty i twój prawnik? — upewniała się Keely.

— Tak. On też. Ale teraz... Rób, co ci każę. Chcę wysiać Joeya z powrotem do Bayonne, zanim znajdzie powód, żeby tu zostać na noc.

— Mógłby to zrobić? — zdenerwowała się Keely. Trzymała za rękę Jacka, szli korytarzem z powrotem do dzieciennego pokoju. — Jak?

— Nie mam pojęcia. Zdaje sobie tylko sprawę, że należy do rodziny. Nienawidzi, kiedy ktoś go odtrąca. Kiedyś twierdził, że rozwali Tima... *gdy* ten stanął mu, albo i nie, na drodze. Ostatnim razem, bo ma kurzą ślepotę i nie potrafi prowadzić po zmroku. Tim dwa tygodnie ukrywał się potem u Sadie, przypuszczalnie dlatego ciotka chowa się pod łóżkiem. Mówię ci, Keely, zakładam się, że ma w wozie trzy spakowane walizki z krokodylej skóry i tylko czeka, abym go do siebie zaprosił.

— Wiesz, wydaje mi się, że gdybyście go lepiej traktowali, kiedy byliście dziećmi, Joey nie stałby się taki zły — stwierdziła Keely w drodze do salonu.

— Tak uważasz? — Jack odsunął się, aby mogła zobaczyć Joeya Morrettiego w akcji, a potem sama wyciągnęła wnioski. Joey wstał z krzesła, wpychał do kieszeni marynarki parę małych miedzianych słoników, którymi Keely ozdobiła stół.

— Och, zgoda... jest odrobinę... dziwny — zgodziła się Keely, gdy Jack uśmiechnął się do niej szeroko. — Ale nie krzycz na niego, dobrze? To bardzo ważne.

— Właśnie. — Jack wepchnął Keely do salonu. — Dlatego chciałem, abyś się o tym sama przekonała. Joey! — zawołał, przestraszając kuzyna, który akurat sięgał po następnego sło-

nika. — Wybacz, że ci przeszkodziłem. I pozwól, niech ci przedstawię Keely. — Wziął głęboki oddech, objął dziewczynę w talii. — Keely McBride, poznaj mojego kuzyna, Josepha Morrettiego. Joey, to ta cudowna dziewczyna, o której ci opowiadałem, Keely McBride, moja narzeczona.

Jack poczuł, że pod Keely uginają się kolana, więc mocniej ją przytrzymał.

— Spokojnie — szepnął, kiedy Joey ruszył w ich stronę z uniesionym podbródkiem, poprawiał krawat, najwyraźniej pragnął oczarować Keely, ukraść ją kuzynowi i uczynić z niej własną kobietę.

Keely uśmiechnęła się, przemówiła spokojnie, chociaż przez zaciśnięte zęby:

— Ty parszywy, podstępny sukin... hm, dzień dobry, panie Morretti — dokończyła pogodnie, kiedy Jack dał jej kuksańca w bok. — Tyle... o panu słyszałam. Same zdumiewające rzeczy. Jack twierdzi, że pan jest jego ulubionym kuzynem.

Jack nachylił się, udał, że całuje ją w ucho.

— Nie przeginaj, McBride. On jest tępy, ale nie kompletnie ograniczony. — Uśmiechnął się do kuzyna. — Przepraszam, ale nie potrafię się opanować i oderwać od niej rąk. Wczoraj powiedziała mi „tak”, prawda, najdroższa?

Keely uniosła twarz i zamrugała rzęsami. Jack zrozumiał, że będzie kłopot. Keely potwierdziła jego słowa:

— Kochanie, mogę o tym opowiedzieć? — Potem zwróciła się do Joeya. — On szłochał, panie Morretti. Klęcząc, prawil mi takie piękne rzeczy... i potem się rozsłochał.

Przytuliła się do Jacka, popatrzyła na niego z udawanym podziwem.

— Nigdy tego nie zapomnę, Jack. Nigdy.

Uszczypnął ją, ale Keely się nie poddawała. Powinien wiedzieć, że nigdy się nie poddaje. Twarda kobieta.

— Nie zdradzaj wszystkich naszych sekretów, skarbie — ostrzegł ją ciepłym, słodkim głosem. — Poza tym wszystko to jest... naszą prywatną sprawą. Choć — dokończył, spoglądając

na Joeya — muszę ci powiedzieć, że ta kobieta ma fantastyczny temperament.

Poczuł, jak Keely przydeptuje mu stopę, niezbyt mocno, potem opiera się o niego całym ciężarem, jakby udawała, że czule się przytula.

— Jutro musimy rozejrzeć się za obrączkami — mówiła, Jack usiłował nie skrzywić się, Joey natomiast stał jak wryty. — Przekonywałam Jacka, że niepotrzebny mi pierścionek zaręczynowy, i tak wiem, że mnie kocha, ale on się uparł. Twierdzi, że zabierze mnie do najświetniejszego jubilera w Allentown. Czyż to nie słodkie?

Joey Morretti wreszcie przemówił:

— Wiem, że zależy ci, Jack, żeby ten gość — Morretti wrócił już do Bayonne, tak? Zgódź się, a zaraz się wynoszę.

Keely przytuliła twarz do piersi Jacka, a on, obejmując ją, poczuł, że tłumi śmiech.

— Cóż, dziękuję ci, Joey. Ale i tak sobie poradzę.

Joey wzruszył ramionami, potem zmarszczył czoło, następnie sięgnął za pazuchę, do rękawa i strzelił szelką.

— Hej, nie mam nic przeciwko temu, jak wywalasz swoją forszę. Ale to niczego nie zmienia, Jack. Kurde, dzieciak ma tatusia i mamusię. I tyle. Cecily chciałaby, żeby dziecko było ze mną.

— Porzuciła je na moim progu — przypomniał Jack. Keely odsunęła się, ostrzegawczo ścisnęła jego dłoń.

— I co z tego? Przecież nie na zawsze — odpalił Joey. — Wiem, że ona wróci, prędzej czy później.

— Możliwe, całkiem możliwe — zgodził się Jack. — Ale do tej pory zatrzymam dziecko u siebie. I niech tak będzie. Nie ma możliwości, żeby sąd przyznał ci opiekę nad dzieckiem, skoro już znajduje się pod opieką Keely i moją. My zapewniamy jej dom, rodzinę. A ty, co możesz jej oferować? Bal Debiutantek Mafii z Bayonne wymiennie z czarną pętlą i karabinem maszynowym? Boże, Joey, zastanów się!

— Jack... — ostrzegła go cicho Keely.

— W porządku, w porządku. — Jack opanował się, aby nie

wybuchnąć. — Posłuchajcie, porozmawiamy o tym później. A teraz pomyślmy o kolacji. Zgłodniałeś, Joey? *Założę się, że Malutki jest głodny jak wilk.* Keely, czy mamy w zamrażarce połówkę cielaka?

Keely trzęsły się dłonie, kiedy w kuchni nakrywała do stołu dla czterech osób.

— Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje — powiedziała, biorąc od Jacka papierowe serwetki. Jack właśnie znowu pojawił się w kuchni. — Nie mogę uwierzyć, że będę dzieliła się chlebem z Bestią z Bayonne, Szaleńcem z Bayonne i moim niby narzeczonym. A gdzie się podział kot z Cheshire, Jack, bo odnoszę wrażenie, że znalazłam się po drugiej stronie lustra. Tylko pomyśleć, że jeszcze w ubiegłym tygodniu sądziłam, iż bankructwo jest najgorszą rzeczą, jaka może mi się przydarzyć. Och, nic takiego. Co ten prawnik, Jimmy, powiedział?

— Nic, co chciałbym powtórzyć w takim towarzystwie. — Jack wziął następne serwetki z kuchennego blatu. — Popatrz, kiedy Joey będzie u nas jadł, musimy zapewnić mu ich cały stos. Kiedyś widziałem, jak upstrzył całą kuchnię ciotki jedną miseczką makaronu.

— Nie zmieniaj tematu — rozżłościła się Keely, chwytając Jacka za ramię. — Co mówił adwokat?

— Powiedział — westchnął Jack — że okłamywanie Joeya Morrettiego jest idiotyczne, ale w porządku z prawnego punktu widzenia. Jednakże za złożenie przed sądem fałszywych zeznań można skończyć za kratkami.

— Och — westchnęła cichutko Keely. — O tym nie pomyślałam. — Zmierzyła Jacka rozognionym wzrokiem. — I ty najpewniej też nie. Co teraz? Uznajemy, że zaręczyny to zły pomysł, tak? Jack? Mówiłam, że zrezygnujemy z zaręczyn? Jack! Odezwij się wreszcie.

Pochylił głowę, wydawał się taki nieszczęśliwy, taki bezradny.

— Keely, nie pozwolę, żeby mi ją odebrano. Nie wyląduje ani u Cecily, ani u Joeya. Jimmy jednak twierdzi, że list od Cecily

nie jest wystarczającym argumentem. Albo będę walczył, jakimś cudem odszukam Cecily, zaciągnę ją przed sąd, żeby podpisała odpowiednie oświadczenie, albo Joey zabierze Candy.

Keely poczuła skurcz w żołądku.

— Ale... ale... jesteś gwiazdą baseballu. Masz sławne nazwisko, wielki dom... masę pieniędzy. Candy nie zabraknie nawet ptasiego mleka. U ciebie jej będzie najlepiej.

— Ale jestem samotny, nie ma między nami bliskiego pokrewieństwa, teraz nie mam stałej pracy i już okłamałem Joeya co do ciebie, co jego prawnik natychmiast wyciągnie przed sądem, wykazując, że nie jestem wiarygodny. A przede wszystkim pod moim dachem mieszka obca kobieta, wcale nie żona, co może okazać się fatalnym przykładem dla małej Candy. Poza tym Jimmy uważa, że sędziowie często starają się orzekać na niekorzyść sławnych ludzi, a to oznacza, że stoję na spalonej pozycji bez względu na to, jak się na tę sprawę zapatrujesz.

— Och! Kiedy przedstawiasz to w ten sposób... — Keely odsunęła krzesło, usiadła. — I co teraz?

— Hm, przedsięwzięliśmy już pewne kroki. Wyraziłem zgodę, żeby Jimmy wynajął kilku prywatnych detektywów, którzy odnajdą Cecily w Timbuktu czy gdziekolwiek się, u diabła, podziewa. Dobra ekipa, chyba spoza Philly, z firmy „D&S”, czy jakoś tak. Ale takie poszukiwania muszą zająć sporo czasu, zwłaszcza że Cecily może znajdować się w każdym zakątku świata. W Tybecie. Australii. Paryżu.

— Owszem, Paryż. Słyszałam, że to modne miejsce — stwierdziła Keely, przelotnie myśląc o Gregorym i o tym, że on i jego nowa „asystentka”, Shavonna, są już w drodze do stolicy Francji. Lecz to było nieistotne. Nic się nie liczyło prócz zatrzymania Candy przy Jacku. Przy niej samej?

— W tej sytuacji zamierzam zaprosić Joeya, aby zabawił u mnie przez kilka następnych dni.

— Wielkie nieba, dlaczego?

— Po pierwsze po to, żeby przytrzymać go z daleka od jego prawnika z Bayonne. Ugościmy go, zabawimy, a w tym czasie

Candy będzie bezpieczna. To niewiele, ale zyskamy trochę czasu.

— Czy jeszcze coś? Czy Jimmy zaproponował coś jeszcze?

— Zgadza się — potwierdził Jack, wskazując głową tylnie drzwi. — Sugerował, że powinniśmy się niezwłocznie pobrać. To przypuszczalnie będzie punkt dla mnie, kiedy stanę przed sądem. Ale słaba nadzieja, co? Wybacz, powinienem przede wszystkim powiedzieć ciocię Sadie, że Joey zatrzyma się u mnie przez jakiś czas. Dziesięć do jednego, że zacznie wykopywać fosę wokół swojego domu.

Keely z otwartymi ustami patrzyła za nim, jak odchodzi.

Nazajutrz Jack zszedł wcześniej na dół. Keely akurat zamykała drzwi biodrem, gdyż dźwigała wielkie naręczne kwiatów.

— Co to? Kto je przysłał?

— Nie mam pojęcia — odparła Keely, ostrożnie odstawiając tani szklany wazon na stolik w korytarzu. — Niech spojrzę na wizytówkę. Och! Czyż to nie sympatyczne? Od Curtisa.

— Od kogo? — zdziwił się Jack, wrywając jej wizytówkę z dłoni. — „Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy, Curtis”. — Popatrzył na wazon pełen róż, potem na Keely. — Ileż to wydałiśmy pieniędzy w sklepie z meblami? I czy on raczej nie powinien przysłać kwiatów mnie?

— Naprawdę chcesz, żeby Curtis obsypywał cię kwiatami? — Keely musnęła jeden z delikatnych pączków.

— Do pioruna, nie! — zawołał Jack, odwrócił się i ruszył do kuchni. — Tylko zniszcz tę wizytówkę, zanim wpadnie w ręce Joeya. Pomyśli, że mnie zdradzasz.

Keely podążyła za nim, nagle stanęła jak wryta, wskazując na walizki, piętrzące się pod tylnymi drzwiami.

— Skąd to się wzięło? Dałabym głowę, że wczoraj wieczorem widziałam, jak Malutki wnosił sześć walizek na piętro. Przecież nie przywiózł ich więcej.

Jack oparł się o kuchenny blat.

— Należą do mnie. Wylatuję dziś po południu, zaraz po spotkaniu z Jimmym. Lecę do Arizony nakręcić reklamę i zabić

mojego agenta. Wracam za dwa dni. Poradzisz sobie ze wszystkim podczas mojej nieobecności?

— Ja? — zdumiała się Keely, przyciskając rękę do piersi. — Zostawiasz mnie samą, bym sobie ze wszystkim poradziła? — Teatralnym gestem wyrzuciła w górę ramiona, zwróciła oczy ku niebu. — Typowy facet. Zostawiasz mi na głowie dziecko, psychodeliczną opiekunkę do dziecka i człowieka-górę, który dziś rano zjadł już tuzin placków, puścił wiatry, beknął i poprosił o dokładkę. Muszę kupić meble, dobrać kolory, umeblować następne trzy pokoje na wypadek, jakby się jeszcze ktoś zjawił, twoja ciotka chce, żebym przemeblowała jej salon na różowo, aby wszystko pasowało do tapet we flamingi, który znalazła w jednym z moich albumów z próbkami. A ty się wynosisz? Och, nie ma mowy. Nie, nie i jeszcze raz nie. Po moim trupie!

— Ach, jakież to urocze — zauważyła Petra, wchodząc do kuchni z Candy na biodrze. — Pierwsza sprzeczką zakochanych. Candy, nie słuchaj, to nie dla twoich maleńkich uszek.

— Zamknij się! — krzyknęli Keely i Jack jednym głosem.

Petra odgarnęła włosy — dzisiaj blond, spięte czarnymi klamkami — i powiedziała:

— Okay, zrozumiałam aluzję. Jeśli nie chcecie mojej pomocy, to się wynoszę. Mimo że mam dla was pewne rozwiązanie.

Już miała wyjść z kuchni, lecz Jack ją zatrzymał:

— Zostań!

Odwróciła się, uśmiechnęła szeroko do nich obojga... Keely pomyślała, że nie miała racji, kot z Cheshire naprawdę zamieszkał w krainie Czarów.

— Dobra — zgodziła się Petra, przekazując Candy w ramiona Keely. — Zawrzyjmy pewien układ. Ty zabierzesz mamusię Keely do Arizony, a my z Malutkim zajmiemy się Candy. Wypożyczymy dla Joeya kasety wideo z „Ojcem chrzestnym” i to go uszczęśliwi, a wy zyskacie chwilę wytchnienia. I nie wmawiającie mi, że nie musicie odpocząć, bo jeśli widziałam parę, która ma dojść do porozumienia i zaraz się sprzecza, to jesteście właśnie wy. Och, kiedy Candy poczuje się nieszczęśliwa, prze-

każę ją w ręce Joeya, aż wreszcie dojdzie do wniosku, że nie życzy już sobie mieć z Candy nic do czynienia. Terapia odrzucenia... przynajmniej coś w tym guście.

Nim Petra wyłożyła połowę planu, Keely zaczęła kręcić przecząco głową.

— Nie. Niemożliwe. Nie zostawię Candy pod opieką mężczyzny, który w każdej chwili może ją zabrać, wywieźć do Bayonne.

— Malutki na to nie pozwoli — uśmiechnęła się przebiegle Petra. — Malutki nie uczyni niczego, o co go nie poproszę. Ustaliliśmy to między sobą. Co znaczy...

— Wiem, co to znaczy, i mówię nie — upierała się Keely. — Poza tym, co miałabym robić w tej Arizonie? — Petra, błagam, myślała rozpaczliwie, nie odpowiadaj na to pytanie.

— Może zabrać Candy ze sobą — zaproponował Jack, zmarszczył czoło. — Jednak powinienem omówić to z Jimmym. Wczoraj powiadomił mnie, że stara się załatwić tymczasową opiekę nad Candy w Pensylwanii, póki nie zapadnie wyrok.

— Tak? Doskonale. — Petra spojrzała na Keely. — No to powiemy Dwuokiemu Morrettiemu, że zapadła decyzja, iż nie może stąd zabrać Candy, a wy polecieście do Arizony odprężyć się, przewietrzyć, może nawet... o, to jest pomysł... musicie ze sobą porozmawiać.

Petra odebrała Candy z rąk Keely, skierowała się w stronę drzwi kuchennych.

— Przysięgam na Boga, że nie rozumiem, jak psychiatrzy powstrzymują się, żeby nie stuknąć swoich pacjentów głowami — wymamrotała. — Chyba muszę przemyśleć od nowa kurację dla czubków...

Cisza, która zapadła w kuchni, była tak pełna napięcia, że Keely natychmiast zapełniła ją własnym głosem. Powiedziała:

— To dziecko. Nie rozumie, jak skomplikowana jest sytuacja. A my nie możemy zrobić nic poza tym, co nam doradziła. Wyjedziemy na kilka dni, oderwiemy się od Candy, będziemy mieli czas, by wszystko przemyśleć.

— Tak — zgodził się Jack, nie patrząc na nią. — Niezły po-

mysł. Petra i Malutki mogą się przez dwa dni zaopiekować Candy. Dziecko polubiło Petrę, a Malutki wyznał mi wczoraj wieczorem, że jest najstarszym z dwanaściorga rodzeństwa i całe życie opiekował się młodszymi braciszkami i siostrzyczkami. Mimo to nie zgadzam się. To nie ma sensu. Jeszcze nad Ohio skoczmy sobie do gardła w samolocie.

— Pewnie tak — zgodziła się Keely, zajęta wyjmowaniem naczyń ze zmywarki. Ustawiała je na blacie. — Nigdy nie byłam w Arizonie. O tej porze roku pewnie panują tam upały. Od czerwca.

— Owszem, tam jest naprawdę gorąco. A reklamę kręcimy koło stanowego parku narodowego, przypuszczam, że nieopodał pustyni.

— Gorąco — powtórzyła Keely, odkładając sztucce do szuflady. — Ty zaś będziesz pracował. Prawdopodobnie zobaczymy się dopiero wieczorem, może przy kolacji czy jakoś tak.

— Coś koło tego.

— Czyli to wszystko bez sensu.

— Owszem — potaknął Jack. — Idiotyczny pomysł.

— W tym punkcie jesteśmy zgodni. To niemożliwe.

— Absolutnie.

— Głupi pomysł.

— Bez wątpienia. Głupi. Dobra, muszę już iść, bo spóźnię się na spotkanie z Jimmym.

Jack ruszył w stronę kuchennych drzwi. Zatrzymał się, gdy chwycił za klamkę.

— Przysyłają po mnie prywatny samolot, więc mamy trochę czasu, ale chciałbym wylecieć koło południa. Czy zdążysz się spakować i będziesz gotowa, kiedy o wpół do dwunastej podjedzie po nas samolot?

Keely wciąż stała odwrócona do niego plecami.

— Owszem, dam radę.

— Popatrz, tutaj masz telefon do lekarza — mówiła Keely, notując numer na kartce. — Nazwę i numer najbliższej apteki.

Numer komórki Jacka na wypadek, gdybyś się chciała z nami skontaktować. Jakby co, dzwoń dziewięć-zero-dziewięć. — Wy-rwała kartkę z notatnika i podała ją Petrze, siedzącej naprzeciwko, przy kuchennym stole.

Petra wzięła ją, dołączyła do innych notatek, leżących już na blacie.

— Popatrzmy, co już tu mamy. Po pierwsze lista rzeczy, które je Candy. Sok jabłkowy, płatki ryżowe, przeciery.

— Tylko dwie łyżeczki soku — przypomniała Keely, chociaż to wszystko zapisała już czarno na białym. — Jedna łyżeczka wczoraj, dzisiaj dwie, jutro cała łyżka do zupy, upewnij się, czy nie ma na to uczulenia. Potem możesz podawać jej więcej, ale nie za dużo, ponieważ musi zjeść przecieraną zupkę. Dotyczy to również płatków. Dwie małe łyżeczki dzisiaj, jutro cała duża łyżka.

— Rany! To jak żywienie wariatów. Mam nadzieję, że sobie z tym poradzę. — Petra wyróciła oczy ku niebu. — W porządku, mam numery telefonów, poinstruowałam mnie, jak karmić małą. Wiem, kiedy ją kapać, poklepywać, bawić się z nią. Nie przyznawaj się nikomu, że jesteś upierdliwa, Keely, gdyż ja już to powiedziałam. Ale wyjaśnijmy jeszcze jedno. Czy to wszystko znaczy, że nie możemy wziąć Candy na pizzę i frytki?

Keely przycisnęła dłonie do skroni.

— Och, nie mogę. Nie mogę wyjechać. Jak mogłam w ogóle o tym myśleć?

— Keely, uspokój się. Żartowałam. Nic złego się nie stanie. Przecież wyjeżdżasz tylko na dwa dni. Pomyśl, dwa tygodnie temu nawet nie wiedziałas o istnieniu Candy.

W oczach Keely zakręciły się łzy, kiedy popatrzyła na Candy, siedzącą na krzesełku. Mała usiłowała wepchnąć piastkę w buzię.

— Wiem — westchnęła Keely. — Ale teraz myślę, że nie mogłabym bez niej żyć. — Spojrzała na Petrę, znowu westchnęła. — Świetnie się składa, że wyjeżdżam na trochę. Zacznę się oswajać z myślą o rozstaniu z nią. Nie powinna się za bardzo do mnie przyzwyczaić. Mam rację?

— Tak — zgodziła się Petra, kiwając głową. — Opuścisz ich oboje, Candy i Jacka. Nie należy się zbyt przywiązywać.

Keely otarła oczy.

— Znakomicie. Usłyszeć coś takiego od dziewczyny, przez którą na dwa dni wyląduję z Jackiem w Arizonie.

— Hej! — Petra wzruszyła ramionami. — Nie jestem dobrą wróżką. Ale mogę nią być. Mówiłam ci, że mamy działać razem z Malutkim? Ma mnie nauczyć, jak się bawić skakanką. A ja w zamian nauczę go boksować.

Keely straszliwie rozboleła głowa.

— Jak masz go uczyć boks? Przecież jest zawodowym bokserem?

— Jeśli ci chodzi o to, że płacą mu za to, by przegrywał, to masz rację. Joey tak ustawia go do walk, żeby przegrał. Swoją drogą, to powinno być karane.

— Ale Jack mówił mi, że Joey w zasadzie nie jest związany z przestępczym podziemiem — zapewniała Keely, w myślach już pakując bagaże. — Może wreszcie zajął się czymś poważnym.

— Wątpię. — Petra wyjęła Candy z krzeselka. Wzięła ją na ręce. — Malutki twierdzi, że chodzi o jeden klub w Bayonne. Ale ja uważam, że Malutki ma szansę. Kto wie, może zapewnię mu kontrakt i zostanę jego menedżerką.

— Zabezpieczasz sobie przyszłość, Petra? — spytała Keely, wstając od stołu i odsuwając się od Petry.

— Jeśli chcesz, to kpij ze mnie — powiedziała sztywno Petra. — Lecz ja widzę w tym przyszłość. Do tego tatuś się wścieknie.

— Tak jest zawsze — zgodziła się Keely. Podeszła do okna, aby popatrzeć na samochód Jacka. — Czy za wszelką cenę chcesz dopieć ojcu?

— Jak wszystkie nastolatki. A ja usiłuję być zwyczajną nastolatką.

Keely roześmiała się.

— Ile nastolatek ma własnego boksera?

Petra przerzuciła Candy na lewe biodro.

— Palę, biorę narkotyki? Nie. Włóczę się do późna z jakimiś typami? Wagaruję, mam parszywe stopnie, zawałam coś?

Keely spojrzała na nią, podeszła bliżej.

— O to chodzi. To właśnie mnie niepokoi. Nie ma żadnego haka. Niczego. Żadnych punktów zaczepienia. O tym mi opowiadałaś, kiedy się poznałyśmy?

— Zapewniam cię, choć czasem mogę się nieco mijać z prawdą. Rzeczywiście jeszcze się sama do tej pory nie zorientowałaś? Candy okręci cię wokół palca, kiedy będzie nastolatką.

— Tylko że wtedy ja już się stąd wyniosę — przypomniała jej Keely.

— "Wiem. Wybierasz się do Nowego Jorku, tam zaczniesz dekorować mieszkania, bywać na najświetniejszych bankietach, może nawet CNN ofiaruje ci własny program w porannym sobotnim wydaniu. Keely McBride, czyli kobieta sukcesu.

Keely milczała parę minut, potem spojrzała badawczo na Petrę.

— Ile podręczników z zakresu psychologii przeczytałaś od czasu, kiedy zaczęłaś nową fazę życia?

— Cztery. Szybko czytam — wyjaśniła Petra. — Szkoda, że to zarzuciłam, bo mogłabym napisać na twój temat pracę magisterską. Na temat Jacka również. Ale teraz rozwinę cudowną dziedzinę wiedzy, trzymając w ryzach Malutkiego. O, nadchodzi Jack. Zamierzasz mu powiedzieć, że nigdzie się z nim nie wybierasz?

Keely wyciągnęła dłonie, Candy zachichotała, wychyliła się, Keely podniosła ją i przytuliła policzek do buzi małej.

— Candy, czy ciocia Keely postępuje rozsądnie? — spytała dziecko, które radośnie wierciło się i sięgało do spinek w jej włosach.

Uwielbiała trzymać Candy w ramionach, czuła wtedy ciepło w sercu. Uwielbiała to uczucie, mała dziewczynka sprawiała, iż czuła się potrzebna, niezastąpiona. Ale czy to wystarczy? Wystarczy jej, wystarczy Jackowi? Czy miłość do Candy, troska o nią sprawi, że w końcu się zwiążą ze sobą, jeżeli nawet nie teraz, to jednak kiedyś będą we trójkę szczęśliwi.

Keely nie miała pojęcia. Jedyny pewnik to to, że Jack niespodziewanie zjawił się w kuchni, przypatrywał się, jak Keely tuli dziecko — a patrzył na nią takim wzrokiem! — i nagle poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

— Tata! Ta-ta-ta-ta! — zagruchała Keely, gdy Jack wszedł do domu. Wyślizgiwała się z objęć Keely, usiłując go dosięgnąć. Podszedł bliżej, wziął dziecko w ramiona, pocałował w czubek głowy.

— Gotowa? — zwrócił się do Keely, która próbowała ze wszystkich sił powstrzymać łzy, gdy widziała Jacka, jak znakomicie radzi sobie z Candy.

— Gotowa — zapewniła, odchrząkując.

— W porządku, ruszamy w drogę, samochód już stoi na podjeździe. Do zobaczenia, skarbie. Będę bardzo za tobą tęsknił — obiecał, jeszcze raz całując Candy i oddając ją w ręce Petry.

Keely ruszyła ku drzwiom, zatrzymała się, zawróciła do stołu, wzięła rozkład pór spania, kąpieli, jedzenia i rozdarła go na dwa schludne kawałki.

— No to powodzenia, Petra, i postaraj się jej nigdzie nie zgubić. Dobrze, Jack. Jestem gotowa. W drogę.

Nie usłyszała już, jak Petra mówi Candy:

— Dzisiaj, kochanie, ty uczynisz jeden mały kroczek, a ciocia Keely wielki skok. Chodźmy, poszukamy wujka Malutkiego, niech nas zawiezie do parku, tam nakarmimy kaczuszki.

12

*To nie jest namiętność,
To pokora.*

Lawrence Peter Berra (Yogi)

Ledwie zapięli pasy i mały odrzutowiec kołował do startu, kiedy Keely zaczęła przesłuchanie. Sądziła, że do tej pory wykazała się ogromnym opanowaniem, lecz teraz musiała się wszystkiego dowiedzieć.

— Co ci powiedział Jimmy? Czy dostał zgodę na zatrzymanie Candy w Pensylwanii? Jakie są możliwości powstrzymania nakazu na korzyść Joeya? Rozumiem, że działacie, dlatego zaprosiłeś tego faceta do siebie, ale czy Jimmy się nad tym zastanowił? I co z...

— Moim zdaniem lepiej pomilczeć, dopóki nie wystartujemy — stwierdził Jack, opierając ręce o poręcze, gdy samolot podrywał się do lotu. — Cholera. Nie cierpię małych samolotów. Przeklęty Mort. Świetnie o tym wie.

— Naprawdę? Moim zdaniem to wspaniałe. Latający trener. — Keely odwróciła wzrok od okna, kiedy odrywali się od ziemi. — Pobladłeś jak duch. Nie do wiary. Kiedy grałeś w Yankees, często latałeś samolotami na liniach krajowych.

— Tak, ale prawdziwymi samolotami, a nie takimi puszkami do konserw. Jim Croce, Richie Valens, wielcy napastnicy. Mógłbym długo ciągnąć tę listę. Świętowanie, mały samolot, mały samolot rozbija się. Do tej pory już wszyscy powinni o tym wiedzieć. — Ziewnął. — Ale mnie włos nie spadnie z głowy. Przed odlotem zdażyłem łyknać awiomarin. Uśpi mnie na tyle, że pewnie nie będę wrzeszczał i wierzgał, domagając się, aby samolot natychmiast wylądował.

— O Boże! — Keely usiłowała powstrzymać się od śmiechu. Zerknęła na niego. Szttywno wyprostowany, głowę mocno oparł o podgłówek, dłonie o pobielających knykciach zacisnął na poręczach. — Widzę, jak skutecznie działa do tej pory pigułka. Może byś złożył dłonie do modlitwy, a może porozmawialibyśmy o Candy?

Odwrócił ku niej głowę.

— Jakie zabawne. Każdy cierpi na jakąś fobię. Założę się, że ty się boisz myszy.

— Prawdę mówiąc, kiedy byłam dzieckiem, hodowałam w domu myszkę — wyjaśniła Keely, przyjmując od stewarda szklankę soku pomarańczowego. — Ciocia Mary wolała nie brać odpowiedzialności za kota albo psa. Myszka była biała i miała słodki różowy nosek. Nazwałam ją pan Piszczek. Uwielbiałam ją.

— Cieszę się — powiedział Jack poprzez zaciśnięte wargi. — No więc, czy chcesz usłyszeć, co powiedział Jimmy, czy mam się przesiaść na inny fotel, nim cię uduszę?

— Przykro mi — przeprosiła Keely, choć wcale nie było jej przykro. Przynajmniej Jack nie trzymał się już tak kurczowo poręczy, z myślą, że gdyby ją puścił, to samolot na pewno spadłby na ziemię. — Proszę, przekaż mi, co powiedział.

Jack poprawił się w fotelu.

— Adwokat twierdzi, że teraz nie mamy innego wyjścia, jak postępować według litery prawa. Trzeba skontaktować się z miejscowymi instytucjami opieki społecznej dla dzieci i tak dalej. Prawdopodobnie w najbliższy poniedziałek przydzieli nam kuratora.

— I nie jest to dobra wiadomość? — Keely wiedziała, jakiej odpowiedzi powinna się spodziewać, ale musiała zapytać.

— Nie do końca. Cała sprawa przestaje wyglądać tak, jakby Cecyli podrzuciła mi Candy na kilka dni pod opiekę. Kiedy rzeczy przybiorą oficjalny obrót, stanie się winna porzucenia córki. Poza tym gdyby Candy nie została porzucona, gdybym rzeczywiście miał się nią zająć tylko przez kilka dni, sprawa

nie trafiłaby do sądu. Niestety, może zdarzyć się i tak, że kurator postanowi oddać małą do jakiegoś domu dziecka na czas, kiedy będę o nią walczył z Joeyem przed sądem.

— Nie! — Keely wyprostowała się przerażona, jej serce biło jak oszalałe. — Nie mogą tego zrobić. Candy należy do nas... do ciebie. Jack?

Ujął jej dłoń w swoją.

— Nie denerwuj się. Jimmy uważa, że istnieje jeszcze jedno rozwiązanie. Jeśli przekonamy ludzi z opieki, że Candy przebywa w dobrym, bezpiecznym otoczeniu, że dobrze się nią zajmujemy, wtedy zyskamy świetny punkt do zachowania jej przynajmniej przez pewien czas. Cholera, chciałbym, żeby Joey był bankrutem, zamiast siedzieć w tym funduszu powierniczym jak w puchu, ponieważ teraz może odrzucić moją propozycję, że go spłące i żeby się odczepił. Bo jemu wcale nie zależy na Candy. On tylko nie życzy sobie, żeby mała mieszkała ze mną.

Keely zamrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy strachu i bezsilności, że w niczym nie może pomóc.

— Ale będziesz dalej walczył, prawda?

Jack kiwnął głową, nawet ziewnął.

— Nigdy nie poddam się bez walki, Keely.

Zrozumiała, o czym mówił.

— Baseball. Nie oddawałeś piłki bez walki.

Uśmiechnął się smutno, potarł czoło.

— Baseball. Boże, teraz sport wydaje mi się odległy o wieki. I zupełnie nieważny, jeśli chcesz znać prawdę. Lecz Candy? — Pokręcił głową. — To całkowicie inna sprawa. Gdyby ktoś przed dwoma tygodniami powiedział, że baseball przestanie być sednem mojego życia, a tak bardzo mi znacznie zależeć na maleńkiej, głupiutkiej dziewczynce...

— Kochasz ją, prawda? — spytała cicho Keely. — Robisz to wszystko nie dlatego, że Cecily cię poprosiła ani, że bałbyś się doprowadzić Joeya do białej gorączki, a nawet nie dlatego, że nie masz nic innego do roboty i skończywszy z baseballem,

musisz się czymś zająć. Pokochałeś ją całym sercem. Uczynisz wszystko, żeby zatrzymać ją przy sobie.

Powieki Jacka zrobiły się ciężkie, już prawie zapadał w sen.

— Tak, zgadza się. Wszystko. — Ziewnął szeroko. — Kurczę, może powinienem postąpić zgodnie z zaleceniami na ulotce i łyknąć tylko jeden proszek. Keely, nie pogniewasz się, jeśli na chwilę odłożymy naszą rozmowę? Jestem naprawdę zmęczony.

Wszystko? Uczyni wszystko? Czy ona właśnie okazała się dla niego tym wygodnym „wszystkim”? Dlatego siedziała u jego boku w samolocie? Jak daleko się Jack posunie? Czy zmusi się nawet, żeby pójść z nią do łóżka, udawać, że jej pragnie, a nawet kocha, aby stworzyć pozory, że prowadzi ustabilizowane życie, dzięki czemu zapewni sobie przychyłność sądu w sprawie Candy?

— Jasne, Jack. — Keely siłą powstrzymywała się od łez, patrzyła, jak steward wręcza Jackowi poduszkę i koc. — Śpij spokojnie — odwróciła się do okna — a ja postaram się zrozumieć, dlaczego nie wołam, żeby podano mi spadochron.

Jack obudził się dopiero, kiedy samolot lądował na maleńkim lotnisku gdzieś w Arizonie. Prawdopodobnie poinformowano go wcześniej, gdzie ma się udać, ale teraz nie było to już takie istotne. Zgodził się nakręcić reklamę, bo pomagała mu przedłużyć karierę, na której teraz przestało mu już zależeć.

— Gdzie jest Phoenix, Tucson, jakieś większe miasto? Znaleźliśmy się na pustkowiu — zauważył, gdy wysiedli z samolotu i rozejrzał się dokoła. Równina... równina... na horyzoncie góry. I upał. Arizona musiała przejść rynek upału.

— Och, jak cudownie! — zawołała Keely, mrużąc oczy przed słońcem. — Chcę zrobić mnóstwo zdjęć. Przepraszam na chwilę, wyciągnę aparat z walizki.

Podeszła do niewielkiego stosu bagażu, a Jack obrócił się akurat w porę, aby ujrzeć idącego ku nim agenta, niskiego, tęgiego, w obcisłej kolorowej hawajskiej koszuli i szortach koloru khaki, opinających jego tęgie kolana.

— Jack! W ostatniej chwili! I miło, że przywiozłeś nową laleczkę. A teraz pocałuj panią na pożegnanie i ruszamy. Brad... reżyser... uważa, że możemy zacząć już dzisiaj, ale i tak tracimy kilka godzin dobrego światła.

Jack chwycił agenta za ramię i odciągnął go dalej od samolotu, nim Keely mogła go usłyszeć.

— Gdzie my, do licha, jesteśmy? — spytał.

Agent wyciągnął wielką białą chusteczkę i otarł pot z czoła.

— Na wspaniałym środkowym zachodzie, jeśli ktoś się pyta. Pokochasz to miejsce, może nawet kupisz tutaj kawałek ziemi, postawisz hacjendę. Jest ciepło, oczywiście, ale sucho, więc wcale tego nie zauważysz. — Mort obejrzał się przez ramię. — Dlaczego przywlokłeś tutaj ze sobą tę dziewczynę? Wezwę kogoś, żeby ją odwiózł do motelu. Jack, masz świetny gust, jest rzeczywiście w dechę.

— Ona zostaje ze mną. I przestań dowcipkować, Mort, ostrzegam cię.

— Mówisz serio? — Mort spojrzał na Jacka. — Boże, to coś poważnego! Nigdy nie sądziłem, że doczekam tego dnia. Kim ona jest? To ktoś ze sfer? Czy mogę napomknąć o tym prasie, a może formalnie ogłosić?

— Mort, ostatnia rzecz, jakiej teraz chcę czy potrzebuję, to prasa. Nakręcę tę reklamę, wsiadam do samolotu i wracam do domu. Załatw mi to, Mort, a zyskasz moją dozgonną wdzięczność.

— Dzięki, ale zadowolę się swoimi dziesięcioma procentami. Gadaj, kto to?

Jack westchnął.

— Przedstawię cię, ale musisz się zachowywać.

— A kiedy się nie zachowuję?

— Nie wiem, Mort. Może to te liczne telefony, które miałem, o pogłoskach, jakoby zainteresowani moją osobą byli łowcy talentów z White Socks. Oczywiście ty nie miałeś o niczym pojęcia, prawda?

Mort skrzywił twarz, odwrócił wzrok od oślepiającego słońca.

— Jack, Jack, Jack. Musisz trzymać się od tego z daleka, przynajmniej do czasu aż uzyskam większe poparcie. Teraz pracuję nad prawdziwie wielkim kontraktem dla na razie nie znanego producenta rękawic. Wiesz, że wolę nie mówić o niczym za wcześnie, to mogłoby jedynie popsuć interes.

— Jack?

Odwrócił się i ujrzał Keely, stojącą o parę kroków dalej. Wskazywała limuzynę z otwartymi tylnymi drzwiami. Jack ponownie chwycił Morta za ramię, podprowadził, przedstawił ich sobie, następnie pomógł Keely wsiąść do samochodu, sam usiadł koło niej, jakby tworząc zaporę między nią a agentem.

— Keely, co? — zagaił Mort, przechylając się ponad Jackiem. — Jedyna inna Keely, o jakiej słyszałem, to piosenkarka Keely Smith. Pamiętasz, Jack — Louis Prima i Keely Smith?

— Nie, nie przypominam sobie. — Jack pchnął Morta z powrotem na jego miejsce. — Keely też nie, gdyż oboje urodziliśmy się już po epoce kamienia łupanego. A teraz wyjaśnij mi, dokąd jedziemy.

— Nie tak daleko — zapewnił go Mort. — Masz do wykonania tylko jedno zadanie. Podejść z modelką do samochodu, razem wsiądziecie do środka, a ty wolno odjedziesz ciągnąc się w dal drogą. I tyle.

— I tyle? Tylko tyle? Nie mam żadnej kwestii?

— Nie. Ktoś inny podłoży głos już w studio. Do ciebie należy wsadzenie dziewczyny do samochodu i...

— Dobra, dobra, pojąłem. — Jack uniósł dłonie. — Następnie nocleg w hotelu i rano z powrotem do Whitehall, zgoda? — Zerknął na Keely. — Jest nawet lepiej, niż zakładałem.

— Niekiedy tak się zdarza — odparła Keely bezbarwnym tonem. Jack natychmiast się zorientował, że coś uszło jego uwagi.

— Hej, wszystko w porządku? Przykro mi, że coś przespałem.

— Owszem. Dosłownie. Wszystko w porządku. Miejsmy to jak najprędzej za sobą. Uwierz mi, Jack, jeszcze bardziej niż ty pragnę wrócić do domu. Ta wyprawa okazała się nienajlepszym pomysłem. Fatalnym.

Tak, zdecydowanie coś przeoczył. W powietrzu zapanował taki lodowaty chłód, że prawdopodobnie można by wyłączyć klimatyzację. Co się stało od momentu, gdy wsiedli do samolotu, do chwili, w której wylądowali na pustkowiu Arizony?

Jack chciał się wytłumaczyć, ale zgasiła go, posyłając mu ostrzegawcze spojrzenie. Jechali w milczeniu... przynajmniej Jack i Keely. Mort gadał bez przerwy, omawiał wszystko, począwszy od ostatniego ubitego interesu po wspaniałe fajitas, które jadł na lunch. Wreszcie dojechali na plan, gdzie czekały dwie wielkie czerwone limuzyny marki Corvette, trzy furgonetki, około dwudziestu osób, mnóstwo reflektorów i innego filmowego sprzętu. A wszystko to na potrzeby zaledwie trzydziestosekundowego reklamowego filmiku.

Ledwie limuzyna się zatrzymała, jeden z mężczyzn odłączył się od niewielkiej towarzyszącej mu grupki współpracowników i podbiegł truchtem, żeby porozmawiać z Mortem. Jack jeszcze usiłował wysunąć swoje długie nogi, a Keely już wysiadła z drugiej strony samochodu.

— Mamy problem. Samolot Julie wylądował w Vegas. Jakaś awaria, więc nie dotrze do nas przed nocą. Musimy się zwinąć i rano wszystko rozpocząć na nowo. Cholera, to będzie kosztować majątek, ale nie widzę innego wyjścia... A to kto?

Jack patrzył, jak mężczyzna pokazuje Keely, a dbający o forszę mózg Morta zaczął pracować na najwyższych obrotach. Niemal słyszał brzęczenie wewnętrznej maszynki do robienia forsy.

— Kto? Och, chodzi ci o Keely Sm... McBride? Oczywiście jest pod moją opieką. Nowa twarz. Twarz nowego tysiąclecia, prawdę powiedziawszy. Przypuszczam, że moglibyśmy... sam nie wiem, Brad. Revlon długo o nią zabiegał...

Jack zwrócił oczy ku niebu. Mort zdecydowanie umiał wziąć byka za rogi.

Brad jednak wydawał się chętny do ubicia interesu.

— Rozumiem twoje wahanie, Mort. Poza tym i tak będę musiał zapłacić Julie, ona należy do związku. Ale gdybym zatrzy-

mał tutaj całą ekipę jeszcze przez dobę, przekroczyłbym wszelki dopuszczalny budżet. Nie nakręciłbym żadnych zbliżeń, wyłącznie twojego chłopaka, więc nie byłoby kłopotów z Revlonem. Naprawdę chciałbym się zmieścić w budżecie. Pogadajmy. — Reżyser ujął Morta pod ramię i poprowadził go w cień jednej z furgonetek.

— Jakież kłopoty? — spytała Keely Jacka, obchodząc limuzynę. — Jakież? Jack, może wyjaśnisz mi, co się dzieje? — dopytywała się, kiedy Jack sięgnął do wnętrza samochodu i wyjął z lodówki dwie butelki wody mineralnej. — Nie twierdzą, że mam prawo wiedzieć. Przecież zjawiłam się tutaj tylko jako turystka, prawda?

Podał jej jedną z butelek, ale odmówiła.

— Oboje wybraliśmy się na wycieczkę, Keely. To show Morta. Ja po prostu chcę, byśmy mogli pojechać do motelu, trochę popływać w basenie, a potem wspólnie zastanowić się nad losem Candy, bez Petry, Sadie albo Bestii czy mafiozo z Bayonne, płaczących się nam pod nogami.

Keely pokręciła przecząco głową.

— Nie pojmuję. Mort jest twoim agentem, twoim menedżerem. W porządku. Ale czy ciebie w ogóle nie interesuje to, co się wokół dzieje?

Jack spojrzął na nią, myślami wciąż bardziej krążył wokół motelu, nadchodzącej nocy. Pragnął znaleźć się z Keely sam na sam. Czy zbyt wiele żądał? Najwyraźniej tak.

— Za to Mortowi płacę. Ja gram w piłkę, on zarabia forszę. Co w tym złego?

— Hm. — Keely przewróciła oczami. — Jeżeli sam tego nie widzisz, to ja ci z pewnością niczego nie wyjaśnię. — A potem powiedziała: — Po pierwsze już nie grasz w baseball. Po drugie, zaufanie to jedno, lecz cholerną głupotą jest brak zainteresowania własnym życiem. Po trzecie...

— Dobrze, dobrze, pojmuję, do czego zmierzasz — przerwał jej szybko Jack. Nie przywiózł jej tu po to, by się ze sobą kłócili. Kłócić się mogą w domu. — Masz rację. Powiniennem na wszystko zwracać większą uwagę.

— Czy masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, jakim dysponujesz majątkiem? — drażyła Keely.

— Blade — przyznał Jack, wbijając wzrok w ziemię. — Bardzo mętne. To znaczy, wiem, że mój majątek jest wart jakieś dwa miliony dolarów. Biorę pewną określoną sumę, a resztą zarządza Mort.

— Wielkie nieba — westchnęła Keely. Właściwie mogłaby potraktować go jak najgłupsze stworzenie pod słońcem, ale zauważyła, że jest bardziej niekompetentny niż zwyczajnie głupi. Przy tym był uroczy.

— Nie rozumiem, Jack — naciskała Keely. — Przekonałeś mnie już, że nie jesteś rozrzutny, nigdy nie byłeś tak ekstrawagancki jak inni sportowcy. A teraz mówisz mi, że nie masz pojęcia, jakim dysponujesz majątkiem?

— Keely, posłuchaj — usiłował jej wytłumaczyć Jack. — Tim i ja podpisaliśmy z Mortem kontrakt zaraz po skończeniu college'u. Zrobiliśmy to z błogosławieństwem taty. Tata mu ufał, a po jego śmierci zaufaliśmy z Timem Mortowi. Nigdy nie dal nam powodu, byśmy utracili do niego zaufanie.

— Doprawdy? Wyjaśnij mi, Jack, skąd możesz o tym wiedzieć? — syknęła Keely. — Nie twierdzą, że twój agent jest złodziejem. Z pewnością nie. Ale czy nie nadeszła pora, żebyś naprawdę zainteresował się własnym życiem?

— Byłem bardzo zajęty.

— Tak, grą w piłkę. Wiem. Ale teraz masz dom, Candy, resztę życia przed sobą. Uczciwie mówię, Jack, potrzebujesz kogoś, kto by się tobą zajął.

Zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. Dobrze, zatem kłótnia. To przecież nic niezwykłego?

— Nie szukam ochotniczek.

— Świetnie, ponieważ ja się nie zgłaszam na ochotnika. — Wyrwała mu butelkę z wodą, obróciła na pięcie i odmaszerowała.

— Miło słyszeć, że to cię wcale nie obchodzi! — krzyknęła za nią, potem odwrócił się gniewnie, kiedy Mort popukał go w ramię. — Czego?

— Potrzebujemy Keely.

Jack pokręcił głową. Mort potrzebuje Keely? Do diabła, do tej pory sądził, że to on potrzebuje Keely, tyle że Keely, której pragnął, była o niebo lepsza od Keely, która przyleciała z nim do Dipstick w Arizonie.

— O czym ty mówisz, Mort? Powtórz.

— Powiedziałem, że potrzebujemy Keely. A właściwie to Brad jej potrzebuje. Wynajęta aktorka nie zdąży tutaj przed nocą, a może pojawi się dopiero rano. Więc albo przerwiemy dzisiaj zdjęcia i zaczniemy jutro, albo przynajmniej rozpoczniemy dzisiaj próby, a jutro będziemy kręcić. Kto wie? Jeżeli się powiedzie, a tej małej damy nie sparaliżuje trema, skończymy już dzisiaj robotę.

— Więc oni chcą, by Keely... Nigdy się na to nie zgodzi.

— Dziesięć tysięcy zielonych, oczywiście minus moje piętnaście procent. Jeżeli się spodoba, podpiszę z nią stały kontrakt, zorganizuję akcję reklamową i buch... nowa kariera stoi przed nią otworem.

Jack spod zmrużonych powiek zmierzył agenta spojrzeniem.

— Ja płacę ci tylko dziesięć procent.

Mort wzruszył ramionami.

— Czasy się zmieniają. Ty masz stary kontrakt. Teraz pobieram piętnaście procent. Wszyscy tak robią, prócz tych, którzy biorą dwadzieścia. Ale co tam, nie jestem chciwy. Chcesz dziesięć, zadowolę się dziesięcioma, ale tylko ten jeden raz. Pozwól, że z nią porozmawiam.

Jack spojrział na Keely, która pochyłona oglądała wnętrze jednej z corvett. Po długim locie, nawet w tym piekielnym upale wydawało się, że wcale jej nie jest gorąco, wyglądała na opanowaną, klasyczna piękność w miękkiej jedwabnej żółtej bluzce i wąskich bladeżółtych spodniach. Włosy, w dniu ich wyjazdu gładko upięte, musiały się rozwichrzyć w trakcie lotu, więc odgarnęła je na kark i spięła, a teraz ciężkimi lokami opadały na ramiona.

— Jest w typie Grace Kelly, nie uważasz? — zauważył Mort, także przyglądający się Keely. — Wyjaśnij mi, czy to amatorka

i czy ma własnego agenta. Chodzi mi o to, że do tej pory zajmowałem się jedynie sportowcami, ale to nie znaczy, że nie mogę spróbować i w innej branży, na przykład modelek.

— Jest dekoratorką wewnątrz — powiedział Jack, nie odrywając wzroku od Keely, obserwując, jak Mort na nią patrzy. Zastanawiał się, w jakiej roli bardziej mu odpowiada: w domu, bawiąca się z Candy, siedząca naprzeciwko niego przy stole, powoli podbijająca jego świat, czy taka jak teraz. — Nie sądzę, żeby się na to zgodziła, Mort.

— Dlaczego? Jest taka bogata? Nie potrzebuje takiego zastrzyku gotówki? Wyobraź sobie, ile straciłby świat, gdyby Marilyn Monroe odmówiła — zauważył Mort, ponownie wyciągając olbrzymią chustkę. — Daj spokój, Jack. Pozwól, że tylko zapytam. Bo się tutaj roztopimy.

Otóż to, uświadomił sobie Jack. Forsa. Keely potrzebne są pieniądze na powrót do Nowego Jorku. A niespodziewany przypływ gotówki bardzo jej pomoże w tym przedsięwzięciu. Czy ma prawo powstrzymywać ją przed zarobieniem pieniędzy? Nie. Nie ma prawa żądać od Keely, aby tego nie robiła.

— Do diabła. Działaj, Mort. Spytaj ją — powiedział Jack, potem podszedł do kiwającego na niego faceta, którego jego agent nazywał Brad.

Cztery godziny później, pod straszliwie palącymi promieniami słońca, stojącego wciąż wysoko nad górami, Jack życzył śmierci Bradowi, Mortowi, a nade wszystko Keely. A tak, i jeszcze charakteryzatorce, nieustannie upominającej go, żeby się przestał pocić. Tak, ją także dołączyłby do swojej listy.

Jack wolałby połamać wszystkie palce u dłoni, którą wykonywał rzuty, niż słyszeć jeszcze raz wrzask Brada: „Cięcie! Dubel!”.

A wydawało się to takie proste. Nie tak proste, jak zapewniał go Mort, ale z pewnością nie była to skomplikowana operacja mózgu. Stoi przy samochodzie z Keely, twarze mają zwrócone ku sobie, on ujmuje jej obie dłonie. Krok w tył, otwiera drzwiczki, pomaga jej wsiąść do środka. Obchodzi

z przodu limuzynę, od niechcenia przesuwa palcami po masce, kilka razy podrzuca w górę kluczyki, wsiada do samochodu, zapala silnik i odjeżdża.

Co w tym trudnego?

Cholernie trudne.

Pierwszy klaps: nie mógł znaleźć w kieszeni kluczyków.

Drugi klaps: kiedy je wreszcie wydobył, upadły mu na ziemię.

I wtedy się zaczęło. Opuściła go cała pewność siebie. Im bardziej starał się nie popełniać pomyłek, tym więcej ich robił.

Szósty klaps, przytrzasnął drzwiczkami długi zwiewny szal. Jakiś idiota wymyślił, że trzeba ozdobić nim szyję Keely, aby powiewał na wietrze, gdy będą odjeżdżać.

Czternasty klaps, teraz... Do diabła, już zapomniał, co spa-
prał tym razem.

Keely natomiast spisywała się znakomicie. Trzymała jego dłoń, patrzyła na niego z uwielbieniem, z wdziękiem wsuwała się do samochodu. Doskonała. Za każdym razem.

To on okazał się fajtłapą. Kiedy coś spaprał, wszystko sta-
wało. Jakiś facet polerował maskę samochodu. Inny musiał
przestawiać światła (po co te piekielne reflektory, kiedy wci-
aż świeci słońce?) albo proponował, żeby ustawić kamerę pod
innym kątem. Przybiegała charakteryzatorka, aby przyczesać
mu włosy, osuszyć twarz i powtórzyć, żeby przestał się pocić.

— Dobra, dzieciaki, posłuchajcie! — krzyknął Brad, kiedy po
dwudziestym czwartym nieudanym ujęciu charakteryzatorka
ocierała Jackowi twarz. On chwilę wcześniej wpadł na przedni
zderzak corvetty. — Jeszcze jeden klaps dzisiaj albo wracamy
tu jutro rano i zaczynamy wszystko od początku. Jack? Goto-
wy? Gramy o złoto, dalej!

— Tak, jasne. O złoto? W baseballu? O czym ten idiota ple-
cie? — mamrotał Jack pod nosem, podchodząc do Doskonałej
Keely. Ona się nawet nie spociła!

— Jack? Dobrze się czujesz? — spytała, kiedy odwracał
wzrok, by na nią nie patrzeć.

— Nie, do cholery, wcale nie. Nie mogę uwierzyć, że nie potrafię sobie z tym poradzić. Małpa by sobie poradziła.

— Zatem nie zdenerwował cię fakt, że zaproponowano mi udział w tej reklamówce? Bo Mort mówił, że nie byłeś tym uszczęśliwiony i...

— Uszczęśliwiony? Jestem szczęśliwy. Dlaczego miałoby być inaczej? Do cholery, aż szaleję, taki jestem szczęśliwy. To oznacza, że będę mógł wydać mniej forsy na twoją wielką przeprowadzkę na Manhattan, ty nie będziesz musiała się zamartwiać, że Mort może wystrychnąć mnie na dudka i że Candy będzie musiała chodzić w starych butach. Zarobisz pieniądze, wyniesiesz się do Nowego Jorku, a ja nie będę już musiał wysłuchiwać twoich pytań, czy dobrze się czuję, wmawianie, że wszystko robię źle, bo się wyniesiesz, znikniesz z mojego życia. Jak w tej sytuacji miałbym nie być szczęśliwy?

Keely przyłożyła dłoń do jego policzka.

— Jack, wypiełeś dostateczną ilość wody? W takim upale należy dużo pić, inaczej dostanie się ataku serca, straci orientację, można nawet wpaść w szal.

Jack popatrzył na nią wściekle. Czyżby sugerowała, że specjalnie popełnia tyle błędów, żeby musieli jutro tu wrócić, już z modelką, i że Keely nie zarobi okrągłych dziesięciu tysięcy? Miała rację? Boże, błagam, nie daj mi zwariować.

— Czuję się świetnie.

— Mnie nie oszukasz — mruknęła Keely. Potem, kiedy Brad zaczął wyrzaskiwać instrukcje, zajęła swoje miejsce na planie. — Posłuchaj, Jack — odezwała się, ujmując jego dłonie. — Po prostu się odpręż. Nie ma żadnych świateł ani kamer. Nie ma Morta, Brada, nikogo. Tylko ty i ja, wybieramy się na przejażdżkę.

Uścisnęła jego dłonie, Jack wziął głęboki oddech, popatrzył dziewczynie w oczy. Uśmiechnęła się do niego.

— Tylko ty i ja, Jack. Tylko ty i ja.

— Podoba mi się, jak to mówisz. — Odetchnął głęboko. — Keely? Zdaję sobie sprawę, że wiele musimy sobie wyjaśnić, mamy mnóstwo problemów, poważnych problemów. Wiem,

że wiele razy miałem ochotę powiedzieć ci, żebyś, do cholery, pilnowała swojego nosa, i chwile, kiedy ty chciałaś mnie zdzielić którąś z patelni, ale teraz, czy pragniesz równie mocno jak ja wydostać się stąd? Bo ja naprawdę pragnę być tylko z tobą. Zaraz, natychmiast.

Jej piwne oczy zwilgotniały.

— Och, Jack, doprowadzasz mnie do szału... potem mówisz coś takiego i...

— Nic na to nie poradzę, Keely. Urzekły mnie twoje słowa: „Tylko ty i ja” — powiedział cicho, przygarniając ją mocniej, nachylając głowę, by ucałować jej spragnione wargi. Stali tak ze splecionymi dłońmi, upajając się tą chwilą, potem Jack pomógł jej wsiąść do samochodu, obszedł go, pogładził maskę, zręcznie wyciągnął z kieszeni kluczyki, bez otwierania drzwiczek wskoczył za kierownicę. Spojrzał na Keely, nachylił się, pocałował ją po raz drugi, zapalił silnik, ruszyli drogą. Szal Keely powiewał na wietrze.

— No i gotowe! — krzyknął Brad, kiedy go mijali.

Jack nie zatrzymał się.

— Jack? — zdumiała się Keely, oglądając się przez ramię, gdy pozostawiali za sobą w obłoku kurzu ekipę i furgonetki. — Brad na nas macha. Chyba powinniśmy zawrócić.

— A chcesz tego? — spytał. — Mort twierdził, że motel znajduje się zaledwie pięć mil stąd. — Spojrzał na nią, ujął jej dłoń. — Czy wyrolowano mnie z bazy, bo źle odczytałem sygnały?

— Hm... co to znaczy, Jack? Prosisz mnie, żeby pojechała do... Och, wiem, co masz na myśli, do diabła ze wszystkim. — Keely oblizała wargi, spojrzała na stacyjkę. — Jaka to cudo osiąga prędkość?

Właściwie pognali korytarzem do motelowego pokoju. Trzymali się za ręce, dwoje uciekinierów. Bez tchu. Zaśmiewając się jak szaleni, że recepcjonista wybałuszył oczy na widok Jacka i poprosił go o autograf. Porzucili corvette na parking, tak im się spieszyło.

Jack kopniakiem otworzył drzwi, cisnął klucz, przymocowany do ciężkiego metalowego kółka, na królewskich rozmiarów łożu. Breloczek uderzył w radio z budzikiem, stojące na nocnym stoliku, i nagle odezwał się głos: „ ... tu wasza rozgłośnia numer jeden. A teraz piosenkarka w swoim oszałamiającym, seksownym przeboju „Każda noc, to noc rozkoszy”.

Jack podszedł do Keely, jego niebieskie oczy pociemniały.
Ach, kochanie, każda noc...

Keely usiłowała odzyskać oddech, nie udało się. Przestali chichotać, gdyż nagle przestali mieć powód do śmiechu. Zostali tylko Jack i ona. Chroniły ich cztery ściany, za plecami stało przepastne łożo. I narastało napięcie, pożądanie, które niemal pozbawiało tchu.

Położyła dłonie na ramionach Jacka, spojrzała mu w oczy. Wydawał się spragniony prawie tak jak ona.

Ona jego.

On jej.

Aaach... sprawia rozkoszy moc...

Keely westchnęła, kiedy dotknął jej warg, gwałtownie, szybko, oddała mu taki sam pocałunek.

Wtulił usta w zagłębienie jej szyi, przytuliła się mocniej. Płonęła.

Szaleństwo. Miłosny szał.

On brutalnie rozerwał jej bluzkę, ona przytuliła twarz do jego piersi. Pachniał słońcem, żarem, tak męsko.

... liczysz się tylko ty...

Keely wyciągnęła golf Jacka ze spodni. Nie było guzików.

— Zdejmij go.

... i wspólne nasze sny...

— Och — szepnęła ochryple, prawie bez tchu. — Zdejmij to.

Jack odsunął się, ściągnął golf przez głowę, cisnął go na łóżko, potem zdjął bluzkę z ramion Keely.

— Boże, jesteś taka cudowna.

Aaach... aaach... każda noc przynosi rozkoszy moc...

Znowu miażdżył jej wargi, pod Keely ugięły się kolana,

paliło ją całe ciało. Jęknęła, kiedy przygarnął ją tak, aby wyczuła prężącą się męskość.

... kochanie... sprawiasz mi rozkosz...

Razem osunęli się na łożo, rozbierali się nawzajem, aż zostali nadszy.

Jack nie przestawał jej całować, pieścił językiem, odpowiadała mu tym samym. Przytuliła się z całych sił, wbijała paznokcie w jego ciało, nie mogła się nim nasycić... nigdy.

... zrób to, kochanie, zrób to...

Sama była jednocześnie ogniem i lodem, roztapiała się i drżała, gwałtownie reagując na każdy jego dotyk.

Słodkie szaleństwo.

Och, och, kochanie, tak...

Agresywną namiętnością dorównywała Jackowi. On nie ustawał. Miażdżył jej usta, pieścił najbardziej intymne miejsca, szukał... odnajdywał je. Wszedł w nią, przyprowadził o dreszcze... aż... rozkwitła dla niego.

... tak, każda noc... rozkoszy moc... och, och, och!

Podniosła się, kiedy z niej wyszedł, na oślep przeszukując kieszenie spodni. Potem je rzucił, trafiły w radio, które spadło na podłogę, zamilkło.

I znowu opadł na nią, równie gwałtownie i szaleńczo, a Keely natychmiast pojęła, że jeszcze się nią nie nasycił.

— Chcesz jeszcze...?

— Nie... Boże, nie... — Otworzyła się dla niego.

— Ja też... ja też nie mogę... Boże — zajęczał, wypełniając ją sobą.

Objęła go nogami, przytuliła, kiedy powoli zaczął się w niej poruszać. Powoli, ale nie trwało to długo. Nic nie dzieje się powoli. Poruszał się coraz szybciej.

Och... och...

Okrzyk wyrwał się z ust Keely, naprężyła się, wydawało się jej, że za chwilę straci przytomność.

Cisza. Trochę zbyt spokojnie. Kilka zaledwie chwil temu jeszcze trzymał ją w objęciach, słysząc było jedynie ich odde-

chy, bicie serc. Potem Jack musnął wargami, jej włosy, wstał, chwycił spodnie i slipy, poszedł do łazienki, zostawiając Keely samotną w łóżku.

Keely niespodziewanie, wstydząc się sama siebie, uświadomiła sobie, że dobrze, iż odszedł, nie powiedział czegoś w rodzaju: „Wybacz, ale to nie powinno się zdarzyć. To był pierwszy i ostatni raz”.

Pospiesznie się ubrała. Z kosmetyczki wyjęła szczotkę do włosów, spięła je. Robiła wszystko, żeby zapomnieć o drzeniu ud, o spełnieniu, jakie czuła w sobie.

Słyszała prysznic, więc usiadła na jedynym w tym pokoju fotelu, przytuliła dłonie do brzucha, zastanawiała się, co dalej się stanie.

Zaśmiewali się z tych samych dowcipów, kłócili jak wariaci. W łóżku było świetnie.

Ale przecież nie rozmawiali ze sobą. Przynajmniej o niczym istotnym.

Ktoś zapukał do drzwi i Keely, sprawdzwszy w lustrze, jak wygląda, otworzyła je. Na progu stał Mort.

— Wszystko w porządku? — spytał. — Przytargałem wasze bagaże.

Keely wyszła na korytarz, miała przy sobie torebkę. Zamknęła za sobą drzwi. Bez żadnych wstępów spytała:

— Jak mogę wrócić do Pensylwanii? Może Allentown, Filadelfia, gdziekolwiek, byle bliżej Whitehall?

Mort skrzywił się, podrapał za uchem.

— Trudna sprawa. Z tego lotniska wylatują jedynie prywatne samoloty. Chyba musisz pojechać do Phoenix.

— Znakomicie. — Keely chwyciła go pod ramię i poprowadziła do limuzyny, zaparkowanej obok corvetty. — Każ mu mnie tam zawieźć. I muszę zaraz dostać zaliczkę. W gotówce. Muszę kupić bilet i pewnie opłacić nocleg w hotelu.

Mort obejrzał się przez ramię.

— Przecież...

— Masz wybór, Mort — oznajmiła Keely. Serce waliło jej

jak młotem. Musiała się stąd wydostać, natychmiast, nim Jack zacznie jej szukać. — Albo dasz mi forszę i załatwisz wóz, albo stanę przed sądem pod zarzutem morderstwa. Nie zamierzam tu zostać ani minuty dłużej. Mort, masz do czynienia z rozhisteryzowaną kobietą. Może stać się coś strasznego, naprawdę strasznego. Wybieraj.

Mort popatrzył na nią, zmierzyła go twardym wzrokiem.

— Cóż, wszystko jasne. Nie masz nic przeciwko banknotom o dużych nominałach?

13

*W lidze są tylko dwa miejsca -
pierwsze albo żadne.*

Tom Seaver, miotacz

Jack mógłby wykopać się do Whitehall, ale kiedy miotał się po motelowym pokoju, uznał, że szybciej będzie samolotem. Wyleciał o północy, jak tylko Mort znalazł, obudził i przekupił pilota.

Ponieważ zgubił gdzieś pudełeczko z awiomariną, musiał znieczulić się kilkoma flaszeczkami z samolotowego minibaru. Pierwszy łyk miał ukoić jego nerwy, gdy samolot kołował po pasie startowym. Drugi był na uspokojenie, gdyż przeraził się, odkrywszy, że Keely uciekła. Trzeci pomógł mu przetrwać turbulencję nad Oklahomą, a czwarty... cóż, po trzecim i tak wszystko zaczęło się zamazywać.

Jack, wraz z bagażem i kaczem, pojawił się w domu około ósmej piętnaście rano. Postanowił wziąć prysznic, zdrzemnąć się i zdecydować, co dalej robić. Może nie w tym porządku. Potem, nim pojawi się Keely, pomyśli, co powiedzieć, żeby chciała się z nim kochać, jak może mu przebaczyć i nie pozbawić go życia... znowu nie wiadomo, co pierwsze.

Taksówka, do której wsiadł na lotnisku, zajechała przed drzwiami, zatrzymała się przed szarym sedanem, którego Jack nie rozpoznał. Dał napiwek szoferowi, chwycił płócienną torbę, jedyny bagaż, jaki miał, i ruszył w kierunku schodów. Pokonał zaledwie dwa, gdy niespodziewanie potężne ramiona uniosły go w górę i przetransportowały na tyły domu. Torba Jacka wciąż kołysała się mu na ramieniu.

Za sprawą kaca stracił przytomność umysłu i refleks, więc nie walczył, aż wreszcie dość delikatnie postawiono go przed Petrą Polinski.

— Dzięki, Malutki, spisałeś się na medal — uśmiechnęła się Petra szeroko. Łysy olbrzym poklepał Jacka po koszuli, jakby chciał złagodzić obrażenia, a potem dołączył do Petry. Teraz oboje spoglądali na Jacka.

— Owszem, piękne dzięki, Malutki — odezwał się Jack, zastanawiając się, czy któreś z tej dwójki zauważyło, że pęka mu czaszka. Zerknął na Petrę, zamrugał powiekami, popatrzył drugi raz.

Dziewczyna miała na sobie obcisłe niebieskie spodnie, pantofelki i skarpety, wyprasowaną białą bluzkę. Włosy jednokolorowego koloru, spięte na karku, okulary w rogowych oprawkach, w rękę książkę... „Wiersze” Elizabeth Barrett Browning.

— Co jest, u diabła... — zaczął Jack, podchodząc do Petry. — I co, u diabła...? ciągnął, wskazując na Malutkiego.

— Ona jest tutaj — powiedziała Petra szeptem, niemal sycząc.

— Ona? Jaka ona? — Jackowi zamarło serce. — Cecily? Przyjechała Cecily?

— Chciałbyś — odparła Petra, wznosząc oczy ku niebu. — Zgodnie z opinią cioci Sadie, z nią uporalibyśmy się bez trudu. Nie, Jack, to nie twoja kuzynka. Oddaliła się jakieś dwadzieścia minut temu, ale Jimmy już nas przekupił, więc miałam okazję się przebrać, żeby wyrzucić dobre wrażenie.

Boże, zakłuło go w sercu. Żołądek skoczył do gardła.

— Dlaczego masz robić dobre wrażenie, Petro? Przecież nie stajesz przed sądem.

— Nie, ale jestem wynajętą przez ciebie opiekunką do dziecka i dlatego powinnam wywierać jak najlepsze wrażenie. Jack, świetnie wypadłam?

— Wepchnęła panią Peters do kuchni, do cioci Sadie — pomógł jej Malutki. — Ciotka Sadie dowiedziała się od twojego agenta, że niebawem zjawisz się w domu, więc się zaparła, lecz pani Peters chciała zobaczyć Candy, ciebie i Keely.

— Wielkie nieba — jęknął Jack, chwytając się za głowę. — Boże, dotrzymania towarzystwa cioci Sadie, a ja zaraz wezmę prysznic i przebiorę się.

— Jasne, umyj też zęby — poradziła Petra. — Cuchniesz jak mój ojciec po nasiadówkach z kolegami. Chwalić Pana, że nie wróciłeś do domu z jakąś panienką. Coś się musiało stać, skoro Keely przylatuje innym samolotem. A teraz zbieraj się... już. Sadie świetnie sobie radzi, ale nie przytrzyma tej baby na wieki.

Jack kiwnął głową, ale zaraz tego pożałował, bo miał wrażenie, że mu odpadnie. Zrobił dwa kroki, odwrócił się i spytał:

— Gdzie Dwuooki? Mam nadzieję, że zamknęliście go w piwnicy?

Petra, unosząc wzrok ku niebu, zaprzeczyła.

— Człowieku, czy ty niczego nie rozumiesz? Joey siedzi w kuchni razem z ciotką Sadie i panią Peters.

— W porządku. A co z Candy? Jest z nimi?

— Nie, to właśnie ją schowaliśmy w piwnicy! Jasne, że jest z nimi — tłumaczyła Petra. — Skoro nie ma jej przy nas.

— Cholera — zaklął Jack pod nosem. Tęsknił za Canay, chciał ją przytulić... odnaleźć Keely i wywieźć całą ich trójkę z zasięgu pracownicy opieki społecznej. Ale najpierw musi wziąć prysznic i włożyć świeże ubranie. — Malutki, daj mi dziesięć minut, a potem przynieś aspirynę i sok pomarańczowy. O, dziękuję. Wam obojgu.

Wziął najzimniejszy prysznic.

Jeszcze wycierał włosy, kiedy pojawił się Malutki z sokiem, proszkami i bezprzewodowym telefonem.

— Twój prawnik. — Wręczył Jackowi słuchawkę.

— Jimmy? — powiedział Jack bez żadnych wstępów. — Ona jest tutaj, ta z opieki społecznej. Co mam zrobić? Co mówić? — Zamilkł na chwilę. — Kurczę blade.

— Kłopoty, panie T.? — spytał Malutki, zaciskając wielkie jak bochny dłonie.

— Jeszcze nie, Malutki — zapewnił go Jack i westchnął. — Jeszcze nie, ale za chwilę na pewno nadejdą. Adwokat sądzi,

że wynajęci przez niego prywatni detektywi mogą odnaleźć Cecily, nie uważa jednak, aby był to dobry pomysł.

— Aha. — Malutki wysypał na dłoń trzy aspiryny, podał je wraz z sokiem pomarańczowym Jackowi. — Co nie jest dobrym pomysłem?

Jack popatrzył na Malutkiego z szacunkiem.

— Wiesz przecież, co się dzieje? Najgorsze to Cecily, pojawi się tutaj i zabierze Candy. Potem wszyscy troje staniemy przed sądem rodzinnym i to będzie okropne. Joey nie stanowi problemu, uważam, że sobie z nim poradzę, ale Cecily jest biologiczną matką Candy i jeśli zacznie płakać, krztusić się, udawać niewiniątko, sąd może uznać, że jej naprawdę zależy na dziecku. A nie jest tak. Nawet nie zadzwoniła, żeby dowiedzieć się, o małą. Cała nieodpowiedzialna Cecily. Dlatego Jimmy radził, żeby zachować spokój do czasu, aż on sam się skontaktuje z Cecily i zmusi ją, aby przekazała mnie opiekę nad dzieckiem..

Malutki pokiwał wielką głową.

— Zatem wciąż potrzebujesz Keely. Petra tak mówi. Petra twierdzi, że coś zawałiłeś, ale Keely się tu niebawem pojawi, gdyż chociaż doprowadziłeś ją do wściekłości, to nade wszystko kocha Candy. Och, i pani Peters chce z nią porozmawiać, ponieważ to Keely przejęła opiekę nad dzieckiem. Panie T.? Wciąż wygląda pan na zmęczonego. Może zrobić panu kanapkę z kiełbasą? Mnie w takich razach kanapka z kiełbasą bardzo pomaga.

Wzmianka o Keely na powrót uświadomiła Jackowi wszystkie kłopoty, a najważniejszy to ten, że nie miał pojęcia, gdzie się podziewa Keely, czy w ogóle tu wróci i jak jej wytłumaczy, że zazwyczaj nie zachowuje się tak bezceremonialnie po tym, gdy się z kimś kocha. Poszedł do łazienki.

— Panie T.? Kanapka z kiełbasą? — zaproponował raz jeszcze Malutki.

— Dzięki, ale nie, Czy Keely dzwoniła? — spytał, czesząc wilgotne włosy.

— Nie, ale telefonował pan Moore i powiedział, że jej samolot ląduje o dziewiątej rano. Mamy wyjechać po nią

z Petrą, wyjaśnić, co się dzieje. Już zamierzaliśmy to zrobić, ale pan się pojawił. Trzeba natychmiast wyjeżdżać, inaczej się spóźnimy.

Jack spojrzął na radiowy zegarek przy łóżku. Za dwadzieścia dziewięć.

— Trafiłeś w samo sedno, Malutki. Ruszaj. Nie chcemy przecież, aby Keely zamarzła.

— Tak — zgodził się Malutki, kierując się w stronę drzwi. — Kurczę. Zapomniałem o czymś. Ciocia Sadie twierdzi, że powinniście z Keely zabrać coś z tego pudełka i wtedy będzie wyglądało, że nie kłamiecie.

Jack odczekał, aż Malutki wyjdzie, potem wziął niewielkie aksamitne pudzeczko z szuflady i otworzył je. W środku zobaczył zaręczynowy pierścionek swojej matki.

Czy Keely go założy? Czy zgodzi się udawać, aby ocalić Candy przed Cecily i Joeyem? Wyjdzie za niego bez miłości, sama nawet nie usłyszawszy, że jest kochana?

Naprawdę musi z nią porozmawiać.

— Jasne, tak właśnie zrobię. Zanim zdoła cokolwiek uczynić. Wyjaśnię, że płacze się tutaj pracownica opieki społecznej, musimy ratować Candy, wsunę pierścionek z brylantem na jej palec i wyznam, tak, wyznam, że ją kocham z całego serca i żeby zapomniała o powrocie do Nowego Jorku. Ale czy mi uwierzy? — mamrotał do siebie Jack, biorąc pierścionek i wpychając go do kieszeni. — Boże, jestem wykończony.

Przysiadł na krawędzi łóżka, ujął głowę w dłonie, uznał, że jeśli nie pojawi się jeszcze przez dziesięć minut, to ciotce Sadie nie sprawi żadnej różnicy.

Keely postawiła walizkę na frontowych schodkach i skierowała się do kuchennych drzwi w nadziei, że jeśli się tamtędy przemknie, to nikt jej nie zauważy.

Ucieczka z Arizony okazała się zbyt pospieszna, wiatr sprawił, iż wylądowali w Filadelfii godzinę przed czasem, więc mogli złapać szybsze połączenie do Alłentown.

W samolocie nie spała, w hotelu wzięła prysznic i przebrała się. Miała nadzieję, że zdąży ze wszystkim, zanim Jack ją znajdzie.

Gdyby w ogóle pofatygował się, by jej szukać.

Może powinna wcześniej zadzwonić, poprosić Petrę lub Malutkiego, by po nią wyjechali na lotnisko. Nie zrobiła tego jednak. Wzięła taksówkę.

Wyszła na idiotkę. Spragnioną miłości idiotkę. Potem uciekła, gdyż wziął to, co mu ofiarowała.

Oczywiście mogła z nim porozmawiać. Spytać, co dla niego znaczą tamte minuty spędzone w motelowym pokoju, wyznać, co znaczyły dla niej. Jasne. Mogła to uczynić. Wtedy, gdy łyzy zakręciły się jej w oczach. Cóż byłoby gorsze od powiedzenia: „Kocham cię” i czekania na odpowiedź: „Dzięki, ale to tylko chwila przyjemności, prawda?”

Zamrugnęła powiekami, tłumiąc łyzy, przekręciła gałkę u drzwi i weszła do kuchni. Stała jak wryta. Przy stole siedziała ciotka Sadie w towarzystwie kobiety w średnim wieku, w granatowym kostiumie. Kobieta zaczała siwe włosy w ciasny koczek z tyłu głowy. Przypudrowała różem policzki, na zadartym nosie miała okulary w drucianych oprawkach.

Pracownica opieki społecznej. To musi być ona. Kim innym mogłaby być?

Tylko że Sadie — w różowej sukience i czerwonych kłapkach na wysokich obcasach — trzymała nieznajomą za rękę, z której czytała jej los.

— ... długa linia serca, Edith. To znaczy... Och, Keely, witaj — Puściła rękę gościa, potem usiadła wygodniej. — Może byś rozejrzała się po basenie? Mówiłam ci chyba, że trzeba zamówić kogoś, kto by go wysprzątał? I należy wymienić części w pompie. Zerknij tam. Jack zaniósł bagaże na górę. Mieliście dobry lot z Arizony po wizycie u twojej ciotki Mary?

Keely nigdy w życiu nie słyszała naraz tylu kłamstw wymyślonych naprędce. Przygryzła wargę, usiłując powstrzymać się przed pytaniem: „Co takiego?!”. Uśmiechnęła się do damy w granatowej garsonce.

— Gdzie... gdzie jest Candy? — spytała wreszcie, spoglądając na pusty bujany fotelik..

— Petra i Bruno zabrali ją na spacer. Chciała popatrzeć na samoloty — wyjaśniła Sadie. — Nie martw się, niebawem wróca. A zanim spytasz o Joeya, to powiem ci, że wyjechał do Bayonne, żeby porozmawiać z tym swoim adwokacina. Wypadł stąd jakieś pięć minut temu.

Jasne. Keely przetrawiła w myślach informacje, które właśnie przekazała jej Sadie.

Jack wrócił do domu i zaszył się na piętrze, z pewnością nie przywitał się z pracownicą opieki społecznej, gdyż owa pani sądziła, że razem wrócili z Arizony.

Petra, Malutki i Candy wyjechali po Keely na lotnisko, sprawdzili bowiem godzinę przylotu.

Joey wciąż chciał przejąć opiekę nad dzieckiem, toteż wynajął adwokata, co oznaczało wypowiedzenie wojny.

Ona sama zaś dostała uczulenia, stąd zaczerwienione oczy, wybrali się do Arizony, żeby zobaczyć się z cicią Mary, a nie uwić tam sobie gniazdko.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Sadie okazała się w pełni zrozumiałą i bystrą konspiratorką.

— Ach tak, zatem wszystko w porządku — zauważyła Keely, rozpaczliwie próbując pozbierać myśli. — A pani...? — spojrzała na kobietę, która bacznie się jej przyglądała.

— A tak, tak — wsparła ją Sadie. — Powinam was chyba sobie przedstawić? Wybacz, Keely. To Edith Peters z opieki społecznej, przyszła zobaczyć Candy. A to Keely McBride, narzeczona mojego siostrzeńca.

Edith Peters wstała, poprawiła na sobie zakiet i wyciągnęła do Keely rękę na powitanie.

— Proszę wybaczyć, że zjawiłam się niezapowiedziana, ale przeważnie tak postępujemy.

Keely nie przestawała się uśmiechać, chociaż przez zaciśnięte zęby. Sadie skłamała, że są z Jackiem zaręczeni?

— Cieszę się, iż mogłam panią poznać — powiedziała, prag-

nać, by tamta przestała oglądać ją niczym robaka pod mikroskopem. — Leczn... czy mogę panie na chwilę przeprosić? Sprawdzę, co zatrzymało Jacka.

— Oczywiście, kochanie, tylko nie zapomnij włożyć pierścionka. Zostawiłaś go wczoraj na umywalce. Położyłam go w sypialni Jacka — Sadie mówiła jak nakręcona. — Proszę jednak tego nie zrozumieć opacznie, ona nie śpi z Jackiem — dodała pospiesznie, zwracając się do pani Peters. — Wcale nie. Mówię o tym tylko dlatego, że mógłby panią zmylić ten ślad na jej szyi.

— Ach, po prostu rozdrapałam krostkę, powstała po ukąszeniu komara — zapewniła Keely.

— Jasne — poparła ją uspokajająco Sadie. — Może pójdziesz poszukać Jacka?

— Ukąszenie komara? Czy tak to teraz nazywamy? — upewniła się Edith, kiedy Keely pobiegła na górę. — Mam tylko parę lat mniej od ciebie, Sadie, ale użyłam życia.

Keely jakimś cudem udało się wejść na piętro. Skierowała się do sypialni Jacka. „Niech on tam będzie... niech go tam zastanę... ”

— Jack? — zawołała, otwierając drzwi. Kiedy weszła do środka, zastała go siedzącego na brzegu łóżka. Wyglądał na człowieka, któremu cały świat zawałił się na głowę. Chciała go zabić, przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. A potem znowu zabić.

Podniósł głowę, zerknął na tarczę zegara.

— Keely? Przecież twój samolot nie mógł wylądować przed dziewczątą. Co tutaj robisz?

— Nie przejmuj się mną. — Podeszła do biurka i małego puzderka na biżuterię. Musiała coś robić, żeby nie patrzeć na Jacka. Żeby nie rzucić mu się w ramiona. — Twoja ciotka traci głowę, musimy jej pomóc, a najgorsze, że Joey ze swoim prawnikiem wylecieli do Bayonne. Przypuszczam, że przy dobrym sprawowaniu wyjdziemy z pudła po pięciu latach. Gdzie pierścionek? — spytała, otwierając pustą szkatułkę, świadoma, że drży jej ręka. — Jack, ten pierścionek jest niezbędny.

— Wybacz. Mam kaca i wszystko, o czym mówisz, dociera do mnie z opóźnieniem. — Jack wstał, przeszukał kieszenie, wreszcie znalazł pierścionek. Złoty, z szeroką obrączką i perskim oczkiem. — Należał do mojej matki. Tata kupił go na dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Nie chciała go przyjąć, gdyż pierścionek był trochę dziwny. Ale potem nigdy go nie zdejmowała. Sadie powinna go zatrzymać, podarować go na ślub pierwszego z bliźniąt.

Keely wzięła pierścionek, wsunęła go na serdeczny palec lewej ręki.

— Oddam go jej, gdy będzie już po wszystkim — przyrzekła cicho.

— Tak, uczyn to — powiedział bezlitośnie Jack. — Miałaś dobry lot?

Keely skinęła głową, tak zdenerwowana, że z trudem mogła uwierzyć, iż zaledwie wczoraj oni... oni... prawdopodobnie lepiej o tym zapomnieć.

- A ty?

— Nie pamiętam. Piłem całą drogę — wyjaśnił Jack, ruszając do hallu. Zarówno jego słowa, jak ton głosu przekonały Keely, że przyczyna ich osobnego powrotu z Arizony to zamknięty rozdział, którego teraz, a może już nigdy nie można ponownie otworzyć. Jack przystanął na progu, odwrócił się.

— Jesteś pewna, że chcesz przez to wszystko przejść? Wiesz, że jeśli się rzeczywiście pobierzemy, to obejdzie się bez sądu rodzinnego, ale gdybyśmy tego nie zrobili, wsadzą nas do pudła.

— Czy mam jakiś inny wybór?

Jack zaklął pod nosem.

— Tak, Keely, masz wybór. I zdaję sobie sprawę, że ciężko ci przyjdzie udawać zakochaną narzeczoną, skoro mnie nienawidzisz.

— Mam „malinkę” na szyi, Jack. — Keely poprawiła szal na dekolcie, jeden z tych, które pozostały jej po nakręceniu filmu reklamowego. — Zauważyły to ciocia Sadie i pani Peters, zare-

agowały na to romantycznie. Zatem chyba nie muszę udawać zakochanej narzeczonej?

Jack poblądł pod opalenizną, sięgnął po szal. Keely cofnęła się.

— Nie... nie pamiętam, jak to zrobiłem — wyznał cicho.

— Nie sędzę, aby którekolwiek z nas coś zapamiętało. I tak jest pewnie lepiej.

Spojrzał na dziewczynę, potem kiwnął potakująco głową.

— Prawdopodobnie masz rację. Może to wpływ słońca i upału.

— Owszem — zgodziła się Keely, unikając jego wzroku. — Przypuszczalnie tak. No i bliskość. Taka bliskość to wyzwanie.

— Bliskość. Zgadza się.

Keely zapragnęła umrzeć. Chciała położyć się, tutaj, w korytarzu, i umrzeć.

— Poradzimy sobie? — spytała. Łzy zakręciły się w jej oczach, *zadrżał głos*.

Jack podszedł bliżej, objął ją, ściągnął szal.

— Nie powinienem zadawać ci bólu, Keely. Bardzo... bardzo mi na tobie zależy. I nie chodzi wyłącznie o Candy.

Keely otarła spływającą po policzku łzę.

— Dziękuję, Jack. Mnie także na tobie zależy. Ale... — Umilkła, przesyłała ją dreszcz.

— Bliskość — powtórzył Jack. — Wiem. Ty i ja, ty, ja i Candy, ty, Candy i ja przeciwko całemu światu. Trudno zrozumieć, co każde z nas czuje. Sprawy tak szybko się toczą.

— Zbyt szybko — zgodziła się Keely, okręcając pierścionek. — Nie możemy jednak zostawiać dłużej na dole cioci Sadie sam na sam z panią Peters. Kiedy wróciłam, zastałam ją, jak wróżyła tej kobiecie z dłoni, a pani Peters najwyraźniej się to podobało.

Jack uśmiechnął się smętnie.

— Cała moja ciotka. Prawdopodobnie tłumaczy jej, że za dobry uczynek zostanie sownie wynagrodzona. Mam nadzieję, że nie zechce jej przekupywać, aby przestała się zajmować naszą sprawą. Chodź, lepiej będzie, jak się zjawimy na dole.

Och, jak bardzo go kochała.

— Dobrze — powiedziała, ponieważ nie mogła wyznać: „Tak strasznie cię kocham”.

— Kiedy będzie po wszystkim — mówił dalej — jedź do Nowego Jorku i wybierz dom, który będzie najlepszy dla twojego butiku. Jest już twój. Bez obaw, Keely, należy do ciebie. Przyrzekam.

Och, jak nienawidziła tego człowieka.

— Dziękuję. — Nie mogła przecież powiedzieć: „Ty ślepy kretynie, chciałabym cię zepchnąć ze schodów!”

— ... A potem *Joey* zwrócił się do Edith: „Zamierzam natychmiast wracać do Bayonne, wiesz, skontaktuję się z moim prawnikiem, a potem, ba-da-bing-ba-da-bum, i dzieciak jest mój”. Chyba wtedy postanowiłyśmy się zaprzyjaźnić z Edith. To znaczy, że kiedy wspólnie prześmiejesz z kimś pięć minut, to trudno się nie zaprzyjaźnić.

Jack stał przed szerokoekranowym telewizorem, trzymał szklankę wody mineralnej z lodem (zdecydował, że przez co najmniej następne dwadzieścia lat będzie pił tylko to) i patrzył na ciotkę. Rozparta na kanapie, czerwone klapki na wysokich obcasach oparła o stolik.

— Naprawdę to powiedział, Sadie? Ba-da-bing-ba-da-bum?

— Owszem, właśnie. Ba-da-bing-ba-da-bum! I wybijał rytm jedną pięścią o drugą. Wywarło to na mnie kolosalne wrażenie. Do tego to chłopak, który nie potrafił nauczyć się słów tej piosenki, odkąd przyjeżdżał tu jako dzieciak.

— Jak możemy się z tym uporać? — spytała Keely, również siedząca na sofie. Zebrały się tam wszystkie: Sadie, Keely, Petra. Brakowało tylko Malutkiego, który panoszył się fotelu od kompletu, testując jego wytrzymałość.

— Nie ma już wiele do opowiedzenia, Keely — odezwała się Sadie życzliwym tonem. — Prawnik *Joeya* będzie próbował nas przekupić, ale my jesteśmy na to przygotowani, dlatego ze wszystkim sobie poradzimy. Edith to cudowna kobieta, na dodatek bystra. Błyskawicznie przejrzała *Joeya*.

— Jest miła, prawda? — upewniła się Keely, spoglądając na Jacka. — Chodzi mi o to, że początkowo wydawało mi się, iż trafiliśmy na typową panią z opieki społecznej. A tu — zaskoczenie: żadnych humorów, ludzkie podejście do sprawy, no i nie trzyma się sztywno idiotycznych przepisów. Ona nawet nie robiła notatek ani nie zmuszała nas do wypełniania jakichś formularzy.

— I rzecz jasna, ja stanęłam na wysokości zadania — dodała Petra, demonstrując jak zwykle brak jakiegokolwiek skromności. — Chociaż następnym razem może powinnam mieć przy sobie Biblię zamiast tomiku poezji. To zrobiłoby na niej większe wrażenie.

Jack wbił wzrok w sufit.

— Nic z tego. Żadnych tego typu akcji, Petro. Zdumiewające, Keely, gdybym był tobą to nie siadałbym tak blisko niej.

Keely nie *uśmiechnęła się*, patrzyła *jedynie na niego*, przechylając głowę na ramię.

— Moim zdaniem naszym słabym ogniwem jest sam Jack — zwróciła się do Sadie. — Nie ma pojęcia, kiedy się zamknąć, prawda? Kiedy Edith spojrzała gdzie indziej, musiałam wymierzyć mu kopniaka.

— Co takiego? A tak, właściwie dlaczego mnie kopnęłaś? Pokazywałem jej tylko wszystko to, co kupiliśmy dla Candy. Zabezpieczenia kontaktów, obite drzwi, rogi stołów. I nakolanniki. Myślę, że te ostatnie najbardziej przemówiły jej do wyobraźni.

— Wzruszające — stwierdziła Petra, przewracając oczami.

— W jaki sposób wzruszające? — zdziwił się Jack, który niczego nie rozumiał. Uważał, że wykonał znakomitą robotę, demonstrując pani Peters, jak świetnie dba o Candy.

Keely podniosła się z kanapy i podeszła do niego.

— Jack, Petra usiłuje ci wytłumaczyć, że pani Peters z zadowoleniem przyjęła informacje o zabezpieczonych kontaktach i nakolannikach, ale przyszła do nas po to, by stwierdzić, co my czujemy do Candy, czy zapewnimy jej szczęśliwy kocha-

jacy dom, a nie wyłącznie rzeczy. Takie gadzety Joey również może sprawić małej.

Jack potarł czoło, wciąż nie mogąc pozbyć się resztek kaca.

— Więc wyszedłem na głupka?

— Nie do końca, Jack — zapewniła go Keely. — Ona prawdopodobnie *chciała sprawdzić, gdzie sypia Candy, jak dobrze się nią opiekujesz*. Ale wróci niezapowiedziana, aby zobaczyć, jaki mamy z Candy kontakt. Zatem nie powinieneś być taki sztywny, taki oficjalny. Kazałeś mi się odprężyć w obecności Candy, a sam zachowujesz się sztywno. Bądź sobą, zapomnij o obecności pani Peters.

— Tak? No, może rzeczywiście byłem trochę spięty — przyznał. — Detektywi Jimmy'ego nie mogą odnaleźć Cecily, kłamałiśmy tej niezwykle miłej kobiecie, która może nas wszystkich wsadzić do ciupy, a ja usiłuję zatrzymać Candy, podczas gdy Joey robi ba-da-bing, ba-da-bum po całym Bayonne, szukając swojego adwokata. I to zaledwie początek tego, czego się spodziewam. Ludzie, tutaj napięta atmosfera wisi w powietrzu.

Keely położyła mu dłoń na ramieniu i, kurczę, prawie ją cofnęła. Współczucie? Znowu chciała okazać mu współczucie? Nie, już nigdy w życiu.

— Jack — odezwała się cicho. — Chyba musimy porozmawiać. Na osobności.

— Wszystko jasne — wtrąciła Petra, zeskakując z kanapy. Wyciągnęła ręce, żeby pomóc wstać ciotce Sadie. — Chodźmy, ciotciu Sadie. *Malutki. Pewnie zamierzają porozmawiać o rozstaniu*. Może powinniśmy na piętrze przyłożyć uszy do podłogi i podsłuchiwać. Bo chcę robić notatki do mojej pracy dyplomowej.

— Petra! — zawołali jednym głosem Jack i Keely. Dziewczyna uśmiechnęła się do nich promiennie, następnie wyprowadziła swoich towarzyszy z salonu.

Jack przez parę chwil stał nieruchomo, potem gestem skłonił Keely, by znowu usiadła. Wróciła na kanapę, on usiadł w fotelu, w jakimś zakamarku głowy przemknęła mu myśl, że

Keely dokonała znakomitego wyboru, skoro fotel wytrzymał ciężar Malutkiego.

— I co? — spytała Keely, przerywając niezręczną ciszę. — Mów.

Nachylił się, popukał w piersi.

— Ja? To ty upierałaś się, żeby porozmawiać. Na osobności.

— Ach, zatem nie masz mi nic do powiedzenia? W porządku, Jack, jestem z tego nawet zadowolona. — Keely zaczęła wstawać, chcąc wyjść.

— Siadaj — westchnął Jack. — Porozmawiajmy.

— Znakomicie — zawołała z kuchni ciocia Sadie, trzymając w ręku garnek. — Sądziłam, że przyda się coś ciężkiego. — Kiedy Jack i Keely zmierzyli ją wściekłym spojrzeniem, uniosła obie ręce i zaczęła się wycofywać. — Idę już, idę...

Jack zaczekał, aż zamknęły się drzwi kuchni, a potem popatrzył na Keely. Wyglądała cudownie. Zawsze tak wyglądała.

— Schrzaniłem wszystko — przyznał wreszcie. — Tam, w Arizonie, schrzaniłem.

— Doprawdy? A to w jaki sposób?

Uśmiechnął się ponuro.

— Nie ułatwiasz mi zadania, co?

— Nie, wcale do tego nie dążyłam. Jak to „schrzaniłeś”?

Jack był asem, człowiekiem czynu. Niespecjalnie wygadany, ale przecież potrafił się wystowić. Chyba że patrzył na Keely, a ona siedziała tu taka opanowana, kompetentna, spoglądająca na niego tak, jakby łączyły ich wyłącznie relacje służbowe. A przecież zaledwie wczoraj oplatała go nogami, szalała w jego ramionach. Doprawdy, ta kobieta miała gdzieś w środku przełącznik na „tak” i „nie”. To chyba jakiś cud natury!

Odchrząknął, nakazał sobie przestać wspominać Keely namiętą, Keely w jego objęciach.

— Potrafię... potrafię wykorzystać tę sytuację na naszą korzyść.

— Czyżby?

Prawie czuł bijący od niej mróz.

Naciskał dalej, zdając sobie sprawę, że popełnia samobójstwo. Nie mógł jednak milczeć.

— Tak. Zaprosiłem cię, byś ze mną pojechała i wtedy... dostałem szansę.

— Wielkie nieba, jestem pod wrażeniem. Dlaczego robiłeś to przeciw sobie? Potrzebna ci jakaś pomoc?

Jack ugryzł się w policzek, zmrużył oczy. Chciała dać mu kosza?

— Hm, zdaje się, że mi nie odmówiłaś?

Błąd. Wpędziła go w pułapkę, a teraz zatrząskuje za sobą drzwi.

— Więc to moja wina? Tak? Jesteś słaby, a ja to wykorzystałam? O Boże, znaczy, że muszę zmienić imię na Debora albo Jezabel. Lub Madonna.

Jack chwycił się za głowę, usiłując wymyślić sposób wydobycia *się z tej* pułapki, w którą *go* wciągnęła, a *on jeszcze* to jej ułatwił.

— Doskonale wiesz, że nie o to mi chodziło, więc nie przekraczaj moich słów, Keely. I tak mamy dosyć problemów. Musimy udawać, że jesteśmy zaręczeni, gdyż nieopatrznie, w rozpaczy, powiedziałem coś głupiego. Oboje kochamy Candy i pragniemy dla niej wszystkiego, co najlepsze. Utknęliśmy razem w tym domu... byliśmy tak blisko... potem zaprosiłem cię do Arizony. Cokolwiek się zdarzyło, przecież działaliśmy pod wpływem stresu, z nadzieją zatrzymania Candy. Oboje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

Nic nie odpowiedziała. Nie wiedział, co gorsze: krótkie suche odpowiedzi czy milczenie.

— Keely? Nie rozumiesz, co usiłuję ci wytłumaczyć? Nie chcę, żebyś coś podejrzewała tylko dlatego, że my... że może w tych okolicznościach trochę nas poniosło. Masz swoją pracę, prawda? Kiedy się poznaliśmy, jasno mi to powiedziałaś. Niczego tak nie pragniesz, jak tylko wrócić na Manhattan do życia, które kochasz, do swojego ulubionego zajęcia. A ja potrafię to zrozumieć. Cholera, wyszedłem na osła, próbując wrócić do tego, co lubię.

Wreszcie przemówiła.

— Jeżeli... ale tylko hipotetycznie, Jack... gdyby nie było Candy... mnie... wciąż starałbyś się o powrót na boisko? Tam, w Japonii?

Teraz nie wiedział, co gorsze, wolałby, aby zachowała milczenie.

— Nie mam pojęcia — odparł szczerze. — Na Boga, nie mam pojęcia.

Na chwilę przymknęła oczy, wstała. On razem z nią.

— Poczekaj. Daj mi się wytłumaczyć. Keely, nie miałem wyboru. Oboje o tym wiemy. Koniec, kropka. Ale w twoim przypadku to co innego. Ty możesz spróbować po raz drugi spełnić swoje marzenia. Wiem, że kochasz Candy. Ale czy usiłujesz wmówić sobie, że i mnie kochasz, by pomóc Candy? I, co ważniejsze, czy znienawidzisz i Candy, i mnie, kiedy postanowisz zostać tutaj, kiedy serce nakazuje ci wyjazd na Manhattan? Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

Popatrzyła na niego spokojnie. Długo, bardzo długo.

— Wiesz, jakie masz problemy, Jacku Trehanie? Masz wiele spraw do przemyślenia.

I odeszła. Skierowała się do drzwi kuchennych, a stamtąd do mieszkania Sadie. Zostawiła go, żeby przemyślał to, co właśnie powiedział.

Zajął mu to ze dwie minuty.

Powiedział... a przynajmniej sugerował... że powinni wziąć ślub, żeby wspólnie wychowywać Candy.

Ale nigdy nie wyznał jej, że się w niej zakochał.

W drodze powrotnej z Arizony powinien stuknąć się w głowę. A w domu zamknąć tę swoją niewyparzoną gębę na kłódkę.

14

*Jeśliby ktoś mnie potrzebował,
powiedz mu, że jestem uziemiony.*

Casey Stengel

— Zaraz... cię połaskoczę — powiedziała Keely, delikatnie przesuając palcami po nagim brzuszku Candy. Mała zaśmiała się z radości. Leżała na stoliku.

Keely szybko i umiejętnie zmieniła jej pieluszkę, koszulkę bez rękawów, nałożyła jasnorożową bawełnianą sukieneczkę z białym kołnierzykiem i wyhaftowanymi żółtymi kaczuszkami.

Z początku, kiedy Jack powiedział jej, że powinna zachowywać się mniej sztywno w obecności Candy, starała się. Ale Candy okazała się takim miłym szczęśliwym dzieckiem, że Keely robiła to bez wysiłku, zajmowanie się małą sprawiało jej prawdziwą radość.

Keely wtarła w dłonie kilka kropel dziecięcej oliwki, potem wtarła ją w kręcące się delikatne jasne włoski.

— No i widzisz — powiedziała Keely, odsuwając się nieco. — Każde dziecko znienawidziłoby mamusię, że pragnie dla niego takich loczków. I musisz przyznać, skarbie, że dobrze się tobą opiekuję. Mogłabym zrobić ci zdjęcie, leżącej nago na stoliku, a potem przez lata cię nim szantażować. Kiedy pójdziesz na pierwszą randkę... pokazać chłopakowi, jakim słodkim byłeś dzieckiem.

Candy popatrzyła na Keely, jakby zrozumiała, co do niej mówi. Chwyciła rąbek sukienki i wepchnęła go do ust.

— Och nie, kochanie, nie wolno — skarciła ją Keely. — Musimy zrobić zdjęcia i musisz pięknie wyglądać. Nie możemy

pójść tam w wygniecionym ubranku tylko dlatego, że chcesz sobie coś pożyć.

Candy wydeła usteczka i zamrugała powiekami o długich ciemnych rzęsach, nie wiedząc, czego chce... zapłakać albo... uśmiechnąć się od ucha do ucha. Wyciągnęła rączki i trafiła w nos Keely.

— Nie, nie w nos — sprzeciwiła się Keely, sięgając po pluszaka, leżącego na stoliku. — Masz. Ubijemy interes. Mój nos za pluszaka, zgoda?

Po tej wymianie Keely szybko znalazła skarpetki Candy — takie słodkie i malutkie, białe, z różową koronką. Jeszcze nie kupiła małej bucików, ale na razie to wystarczy. Tylko że niebawem zacznie już raczkować.

Czy będzie przy tym, jak Candy zacznie stawiać pierwsze kroki? Kto wyciągnie do niej pomocną dłoń, gdy się przewróci, a gdy nabije sobie guza, kto ją ucałuje?

— Uspokój się — zganiła samą siebie Keely, podnosząc Candy i sadzając ją na bujane krzeselko. — Teraz nie musimy się tym jeszcze martwić, prawda, złotko? Teraz zrobimy zdjęcia mojej małej ślicznej dziewczynce.

Posadziła Candy w miękkim fotelu, obok niej misia, odstąpiła o krok, wyjęła z kieszeni jednorazowy aparat akurat w porę, gdy Candy usiłowała chwycić buzią wielki czarny nos misia.

Zrobiła zdjęcie spoglądającej prosto w obiektyw, potem uśmiechającej się Candy.

Wreszcie trzecie, gdy Candy oparła główkę o wielkiego misia.

Dziecko było cudowne, najmądrzejsze na całym świecie. To nie ulegało wątpliwości. Dzisiaj ta-ta, ja-ja, jutro fizyka jądrowa!

— Oj — powiedziała Keely, przemyślawszy to raz jeszcze i biorąc Candy w ramiona. — Nie jestem pewna, czy świat jest przygotowany na następną Petrę Polinski. Chodźmy, odszukamy ciocię Sadie i jej też zrobimy zdjęcia, zgoda? I tacie. Sfotografujemy tatę. Mnóstwo zdjęć, Candy. Bardzo, bardzo dużo.

„W ten sposób będę miała co zabrać ze sobą, kiedy będzie po wszystkim i resztę życia spędzę bez tego głupka”.

Keely zniosła dziewczynkę na parter, potem ruszyła przez pokoje, które jeszcze nie zostały umeblowane. Rozglądała się za kimkolwiek. Ale chyba w domu nikogo nie było. Cóż, świetnie. Piękny dzień, więc może wyszli na dwór. Zdjęcia w plenerze też są niezłe, prawda?

Poza tym przypuszczalnie już pora, żeby Keely stawiła czoło całej rodzinie, gdyż w ciągu ostatnich dwóch mokrych i deszczowych dni nie wychodziła z Candy z domu, a z Jackiem starali się unikać siebie nawzajem. Spotykali się przy posiłkach, ale wtedy siadywali z nimi Malutki i Joey, toteż była chroniona, nie musiała z nim rozmawiać, on też nie musiał się do niej odzywać.

Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że będzie za coś wdzięczna Dwuokiemu Joeyowi, ale ten człowiek okazał się zdolny do jedzenia i gadania jednocześnie, mimo że nie było to nic godnego uwagi ani zapamiętania. Poza jedną istotną uwagę, kiedy Joey oznajmił im, wieczorem po powrocie, że doradzono mu, aby znowu wybrał się do Whitehall, zadomowił się tam i nie ruszał z miejsca, póki jego adwokat się z nim nie skontaktuje.

Keely spojrzała wtedy ponad stołem na Jacka, bez słów zadając mu pytanie, czy jego zdaniem są jakieś szanse, aby sąd przyznał im opiekę nad dzieckiem. On tylko przewrócił oczami, potrząsnął głową, porwał kolejną ciepłą bułeczkę z koszyka, Joey zaś podjął inny temat — że ktoś byłby zainteresowany autografami Jacka na piłkach baseballowych.

Dziwne, ale Jack się zgodził i teraz w suterenie stały trzy pudła pełne piłek, czekające na autografy. Keely uznała, że Jack stara się okazać kuzynowi jak największą uprzejmość, a potem wyrzuci go na zbity pysk, jak tylko prawnik Jimmy mu na to pozwoli.

Nie patrząc na pudła i pustą suterene, skierowała się do kuchni i zatrzymała się. Stały tam kartony i wielkie pudła.

Skąd się wzięło dziesięć ogromnych kartonów?

Keely wróciła do nich, zobaczyła, iż zawierają sprzęt stereofoniczny. Na jednym leżał kwit przesyłkowy. Wzięła go, przeczytała, szeroko otworzyła oczy, kiedy uświadomiła sobie, jak cenny sprzęt wylądował w suterenie Jacka. Wzmacniacze, mikrofony... Kto, u diabła, ma się tu dzisiaj zjawić? Grupa „Aeromsmith”? Po co jednemu człowiekowi tyle aparatury?

Co gorsze, gdzie ona ma to ustawić? I jak? Czy ten ogromny telewizor to nie dosyć? Czy ktokolwiek prócz kobiet zastanowił się kiedyś, jak ustawić te paskudne czarne pudła?

— Aha, widziałas więc mój sprzęt — powiedział Jack. Przestraszył Keely tak, że odwróciła się i potrząsnęła dokumentami, zapominając, że przecież nie chce z nim rozmawiać.

— Dlaczego nie zasięgnąłeś mojej rady, Jack? — spytała, wygodniej sadowiac Candy, przytuloną do jej biodra. — To... koszmar ze snu dekoratora wnętrz!

Urwała, widząc jego uśmiech. Jack wydawał się wielce z siebie zadowolony.

— Naprawdę? Trochę czasu zabierze ci wymyślenie, jak to ustawić, żeby się dobrze prezentowało i głośniki znalazły się na właściwych miejscach. W porządku. Daję ci tyle czasu, ile potrzebujesz.

— Ta! Tata! — zawołała Candy, wyciągając do niego rączki. On szybko ją wziął, ucałował w policzek i powiedział, że wygląda tak, jakby na jej głowie wylądował blond hot dog.

— To loczek, Jack. Ja mam takie same zdjęcia z loczkiem. Tradycja rodzinna.

— Skoro tak mówisz — odparł, ponownie całując Candy. — Ja sam spaliłbym swoje zdjęcie, gdyby ktoś mi je zrobił z parówką na głowie.

— To nie... do diabła z tym. Co mam począć z tym... tym sprzętem?

Uśmiechnął się znowu, przypominał jej teraz Jima Carreya.

— To nie mój problem. Ale skoro pytasz, myślałem o jakimś regale. Mogę ci pokazać, jak to sobie wyobrażam, i wtedy razem obmyślimy, co nam potrzeba.

— Razem — powtórzyła Keely głucho.

— Tak, razem — ciągnął Jack, chwytając Candy za rączkę, kiedy dziecko próbowało ją wsadzić sobie do buzi. — Sama wiesz, że niczego takiego nie robiliśmy od dwóch dni. Niczego razem.

Keely zmrużyła oczy, uniosła dłoń i machnęła nią.

— Coś jakby rozejm? Chcesz załagodzić panujące napięcie, tak? I to właśnie wymyśliłeś? Niektórzy faceci przysyłają kwiaty, Jack. Inni nawet rozmawiają. A ty kupiłeś sprzęt stereo?

Wzruszył ramionami.

— Przecież znowu rozmawiamy? Zobaczmy, czy coś z tego wyniknie.

Keely już otworzyła usta, ale uświadomiła sobie, że nie ma mu absolutnie nic do powiedzenia. Ten człowiek to czubek. A ona go uwielbiała.

— Hej — mówił dalej Jack, gdy Keely pojęła, że musi minąć wiele dni... tygodni... nim zdoła umeblować suterенę. — Przy-szedłem, żeby ci to pokazać. Petra daje Malutkiemu wycisk.

Keely odezwała się na wpół przerażona, na wpół z podziwem:

— Daje mu... chyba żartujesz.

— Dlaczego miałbym żartować? — zdziwił się Jack, wracając do kuchni. Keely podążyła za nim. — Zrobili sobie coś w rodzaju ringu na tyłach domu, tam gdzie jest płasko. Joey udaje sędziego, a Sadie rozpowiada, że powinna mieć kostium kąpielowy, a potem paradować przy ringu, prezentując numery zwycięzcy. Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego.

— Ja mam — przyznała się Keely, pędząc za nim. Robiłam Candy zdjęcia tym jednorazowym aparatem, który kupiliśmy. Przypominasz sobie? Jednak każda fotografia ma ograniczoną powierzchnię. Wiesz, klocki, zabawki dziecka i tak dalej?

— Doskonale rozumiem — uśmiechnął się szeroko Jack. — Malutki otoczony różowo-niebieskimi misiami. Proszę, zrób zdjęcia również Joeyemu. Poślę je naszym wspólnym krewnym na Boże Narodzenie.

Keely zaśmiała się, pokręciła głową. Jack najwyraźniej był dzisiaj w świetnym nastroju.

— Z czego się tak cieszysz? Przecież nic się nie zmieniło? Albo dowiedziałeś się o czymś, do czego nie byłeś mi się uprzejmy przyznać?

Stanął, spojrzął na nią.

— Nic wielkiego. Jimmy dostał oficjalny odpis metryki Candy, a ta jest identyczna z tą, jaką Cecily dołączyła do swojego listu. Matka — Cecily Morretti, ojciec — nieznany. Dostał również list od pediatry, piszącego, że Candy cieszy się doskonałym zdrowiem, ale nie miała wielu szczepień, co źle świadczy o „naturalnej matce”. I... — Wzjął głęboki oddech. — Pięć minut temu Jimmy zadzwonił. Powiedział, że rozmawiał z Cecily, a ona uważa, że pradziadkiem małej jest Wyatt Earp.

Słuchając Jacka, Keely także się uśmiechała, lecz teraz zmarszczyła brwi.

— Wyatt Earp? Przecież Wyatt Earp od wielu lat nie żyje.

— Mylisz się. Wyatt Earp cieszy się dobrym zdrowiem i mieszka w Whitehall. Właśnie na niego patrzysz. Ale nie martw się, Jimmy również tego nie zrozumiał. On tylko uważa, że Cecily postradała zmysły.

— No to jest nas dwoje — przyznała Keely. — Ale poczekaj chwilę. Ona uważa, że ty jesteś wcieleniem Wyatta Earpa?

— Trafiłaś! Jeśli sąd dojdzie do wniosku, że Cecily na tyle straciła głowę, iż nie potrafi podjąć rozsądnej decyzji, Candy zostanie przy mnie.

— Och... Jack... — Keely rozpostarła ramiona, podeszła do niego, przytuliła i Jacka, i małą. — Nie podejrzewaliśmy, że tak dobrze wszystko się skończy.

Wolnym ramieniem objął ją i pogłaskał po plecach.

— Nic jeszcze nie jest przesądzone. Joey zaklina się, że dalej będzie zasięgał rady swojego prawnika, a Cecily zmieni zdanie, tak jak często zmieniała kochanków. Nic na to nie mogę poradzić, Keely. Jestem optymistą. Lecz...

Wciąż ją przytulał i Keely nagle zorientowała się, gdzie stoi. Jak blisko niego stoi. Powinna się od niego odsunąć co najmniej trzy kroki.

— Lecz co, Jack?

— Lecz nawet Jimmy twierdzi, że nie możemy odwołać zaręczyn, gdyż mogłoby się wydać, że wszystko było udawaniem. — Wolną ręką objął Candy, przygarnął ją, a gdy dziecko powiedziało: „Ja... ja... ”, wsparł jej główkę o swoje ramię. — Nie masz mi tego za złe?

— Nie, oczywiście, że nie — wyciągnęła z kieszeni aparat fotograficzny, i, żeby ukryć za nim napływające do oczu łzy, szybko zrobiła trzy zdjęcia. — W porządku. A to małe diabłatko. Założę się, że wie, iż pozuje do fotografii. Dobrze, teraz chciałabym obejrzeć ten ring.

Ruszyła, lecz Jack przytrzymał ją za łokieć.

— Keely, ja...

— Słucham, Jack? — Nie patrzyła na niego, nie mogła pozwolić, by spostrzegł łzy, kręcące się w jej oczach.

— Nic takiego. Później porozmawiamy. Chodźmy zobaczyć Malutkiego w akcji.

Parę chwil potem, zapomniawszy o płaczu, Keely dziękowała swojej szczęśliwej gwiazdzie, że Sadie Trehan, Petra Polinski, Bruno Armano, a nawet Dwuoki Joey Morretti pojawili się w jej życiu — inaczej mogłaby umrzeć i nigdy nie rozweseliłby jej widok, jaki ujrziała, kiedy skręciła za róg domu.

Jack nie żartował, na trawniku urządzono coś na kształt ringu. Ogrodzono go czterema ogrodowymi parasolami i dwiema siatkami do gry w badminton. Pomysłowe.

W jednym rogu siedział Joey, trzymający stoper i ceramiczną figurkę miss Piggy, pod której spódniczką ukryto dzwonek. Nim dawał znak do zakończenia rundy.

Ciotka Sadie, w opiętych szortach i dziwacznej jasnoróżowej bluzce, jaskraworóżowej opasce na głowie, stała przed jedną z tyczek, u jej stóp był metalowy kubełek, w dłoni trzymała ociekającą wodą gąbkę.

— Sadie jest sekundantem — wyjaśnił Jack, gdy Keely wybałuszyła oczy. — Ochładza Malutkiego między rundami.

— Jasne — powiedziała Keely, z trudem powstrzymując

chichot. — Ale skąd Petra wystrasnęła trampolinę? To chyba jej własność?

— A nie pomyślałaś, że moja?

Razem podeszli bliżej ringu.

Petra stała na małej trampolinie. A raczej skakała na niej w obszernych, niebieskich nylonowych spodenkach i podkoszulku z napisem NA ZAWSZE. Włożyła paskudnie czerwone rękawice bokserskie, a wargi miała wydęte za sprawą ochraniacza szczęki.

Trampolina umożliwiała tej drobnej nastolatce zrównać się z Malutkim, który też w rękawicach, z napiętymi mięśniami, w satynowych czarnych spodenkach z napisem BESTIA Z BAYONNE, czaił się naprzeciwko.

Keely błyskawicznie zrobiła kilka zdjęć.

Petra uniosła rękawicę do ust, z trudem próbując pozbyć się ochraniacza, potem uśmiechnięta popatrzyła na Candy.

— Witaj, złotko. Przyszłaś obejrzeć, jak Petra daje Malutkiemu twardą szkołę?

— Wiem, jak się komuś daje wycisk — zaproponował Malutki. — Po prostu chcę być dla ciebie miły.

— Oczywiście, że jesteś — odparowała Petra, puszczając do Keely oko. — Dlatego przegrywasz, co?

— Ale Joey twierdzi...

— Wiem, wiem. Joey radzi ci, byś całował ring. Cóż, teraz z tym koniec, Malutki. Póki ja jestem przy tobie.

Joey wstał i wściekle potrząsnął dzwoneczkiem, trzymając miss Piggy za głowę.

— Koniec przerwy, gaduło. Runda trzecia.

Keely skrzywiła się do Jacka.

— Czyżbym coś przeoczyła?

— Tylko to, że pocziwy Dwuoki.. będzie miał lepsze zyski, kiedy Malutki padnie na deski.

— Och — westchnęła Keely, patrząc, jak Petra wymierza Malutkiemu cios w szczękę, a potem zaczyna tańczyć na trampolinie, machając pięściami i uniemożliwiając mu jaki-

kolwiek kontakt. — Chyba sobie coś przypominam. W Bayonne to jest nielegalne.

Jack prychnął.

— Zgadza się. A może chciałabyś, aby Dwuoki sprzedał ci most z Bayonne?

Keely zmierzyła go złym spojrzeniem, otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale tylko warknęła:

— Aha, teraz mniej więcej wiem, o co chodzi.

Petra ponownie wyjęła ochraniacz, ale tym razem splunęła na trawę.

— No dalej, Malutki. Uderz mnie. Skaczesz od chwili, w której zaczęliśmy, a nie zadałeś żadnego ciosu.

— Nie potrafię cię uderzyć, Petro — odpowiedział Malutki, który umiał mówić przez ochraniacz. — Zostałyby z ciebie strzępy.

— Naprawdę? — odparowała Petra, skacząc na trampolinie, *prawą ręką* osłaniając twarz, z wysuniętym *lewym* ramieniem, gotowym do ciosu. — Co z tobą, siłaczku? Dalej! Ruszaj się!

Malutki zerknął na Jacka.

— Panie T.? — spytał załośnie. — Co mam zrobić?

— Walnąć ją z całej siły, ot, co! Głupie opory! Zasługuje na to — zawołał Joey z drugiej strony ringu, ocierając gąbką własne czoło. Usiadł, chwycił stoper i miss Piggy. Wydał wargi, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

— Panie T.? — nalegał Malutki. Wydawał się zagubiony.

— Niech ona go walnie — zaproponowała cichutko Keely, ledwie kącikiem ust.

— Co takiego? — zdumiał się Jack.

— Powiedziałam... żebyś pozwolił jej uderzyć Malutkiego — powtórzyła swoją radę Keely. — Ona tego naprawdę chce. Petra wcale nie myśli o zostaniu bokserem, nic z tych rzeczy. Ale jest też kobietą, a która z nas nie chciałaby legalnie czasem znokautować jakiegoś faceta. Poza tym twierdzi, że boks to sztuka. Niech się sama przekona.

Jack przez chwilę patrzył na nią lekko ogłupiały, potem westchnął i skinął na Malutkiego, żeby podszedł do liny.

— Daj się uderzyć — podszeptał, gdy Petra wciąż skakała na trampolinie, młóćąc rękami powietrze.

Malutki odwrócił głowę, zerknął na Petrę.

— Tak myślisz? — odezwał się do Jacka, który nie spuszczał wzroku z Keely. Skinęła głową, więc i on kiwnął Malutkiem.

— Chyba cię nie zrani? — upewnił się Jack.

Malutkiemu oczy zaszyły mgłą.

— Hm... chyba nie.

— Co znaczy: „chyba”? — dopytywał się Jack, ale Joey zaczął znowu dzwonić, potrząsając miss Piggy, więc Malutki odwrócił się i ponownie zbliżył do Petry.

— Gotowy? — zawołała, pocierając nos czubkiem rękawicy. — No to uważaj, Malutki, bo cios będzie naprawdę piękny. Ręce do góry, klincz, bo znokautuję cię, dzieciaku.

— Wielkie nieba — westchnęła Keely. — Ona pewnie złamie na nim rękę.

— Walnij go, Petra! — krzyknęła ciotka Sadie, potem zmarszczyła brwi. — Walnij ją, Malutki! — dodała i uśmiechnęła się, zadowolona ze swojego kompromisu.

Joey sprawdził stoper, jeszcze raz potrząsnął miss Piggy, sygnalizując początek nowej rundy.

Malutki uniosł pięści, zakołysał się na piętach.

Petra uniosła pięści, przestępując z nogi na nogę na trampolinie, nachyliła się i wysunęła głowę, szykując się do ataku.

Zadała cios lewą ręką.

— Jest dobra — powiedział Jack do Keely, która patrzyła, zamknawszy jedno oko. — Naprawdę. Większość kobiet po prostu biłaby na odlew.

— Przypomnij mi, żebym poprosiła ją o kilka lekcji — mruknęła Keely. — Co to znaczy „większość kobiet”? To samo, co kobiety za kierownicą? Jeśli tak, obrażę się.

Jack obrzucił ją błyskawicznym spojrzeniem.

— Przepraszam. Ale ona musiała się tego uczyć, jeśli nie jest fanką boksu, a w to wątpię. Widzisz, jak ustawia nogi? Dosko-

nale. I unosi prawicę, zasłaniając się lewą ręką. Trochę zanadto opuściła ramię, ale to grzech wszystkich początkujących.

Keely zerknęła na niego, widziała, że obserwuje Petrę.

— Nie rozumiem. Uprawiałeś boks?

Jack uśmiechnął się.

— Nie, biłem się. Tim i ja. Biliśmy się ze sobą bez przerwy. Więc tata sprawił nam rękawice i nauczył podstaw walki. Stwierdziliśmy, że świetnie, póki nie przekonaliśmy się, że rękawice są tak wielkie, i miękkie, iż nie możemy wyrzucić sobie krzywdy. Zadawaliśmy sobie po pięćdziesiąt ciosów, potem padaliśmy na podłogę tak zmęczeni, że nawet nie mogliśmy zdjąć tych rękawic. Ojciec miał głowę nie od parady. Popatrz... jej się wydaje, że wykołuje Malutkiego. Ale Malutki jest na to za bystry. Uważasz, że nie może zadać jednego ciosu i zbić jej z nóg?

Keely patrzyła na ring, na którym Petra zadawała ciosy... prawy sierpowy, sparowany przez Malutkiego..

— Czy to unik?.. — spytała szeptem.

Chwilę potem Malutki leżał na deskach.

— Sama nie wierzę, że tego dokonałam. Nie zdawałam sobie sprawy, ale chyba jestem pacyfistką. Rozumiesz, brak przemocy.

— Jako człowiek, który pozwala ci opiekować się swoją małą kuzynką, jestem ci niewymownie wdzięczny. — Jack zakołysał się na piętach, popatrzył na dziewczynę. — Hej, zdaje się, że jesteś naprawdę zmartwiona?

— A ty byś nie był? — zdziwiła się, chwytając Candy w ramiona i pozwalając jej, aby na jej kolanach ćwiczyła pierwsze kroki. — Uderzyłam faceta i znokautowałam go. Wcale nie jestem z tego dumna.

— Sam nie wiem, Petro. Wydaje mi się, że jednak jesteś dumna z tego, co zrobiłaś Joeyowi.

— Nie! — pokręciła przecząco głową. — Wcale nie. Z Malutkim boksowaliśmy się, a Joeya zdzieliłam właściwie przypad-

kiem, bo mnie zdenerwował. Pewnie walnęłabym go powtórnie, kwicząc jak zarzynany prosiak.

— Kwicząc jak miss Piggy — poprawił ją Jack z uśmiechem, a Petra wreszcie odprężyła się i odwzajemniła uśmiech.

— Widziałeś jego oko? — spytała. — Jak wytłumaczy się pani Peters?

— Hm, o tym nie pomyślałem — przyznał Jack, wyjmując z pudła monstrualnych rozmiarów głośnik. — Założę się, że Joey też nie. Chyba mu o tym wspomnę jutro rano, zasugeruję, żeby lepiej wrócił do Bayonne i trzymał się z dala od pani Peters, aż siniak zniknie.

Petra jeszcze bardziej się rozjaśniła.

— W takim razie, czy pozwolisz, że podbiję mu drugie oko? Uważasz, że może sobie sprawić nowe?

— Pewnie tak. Zwłaszcza kiedy pani Peters spyta go, gdzie zainkasował tego guza, a ja powiem, że pobiła go moja opiekunka do dziecka. Joey udaje takiego twardziela, na pewno nie chciałby, aby ktokolwiek poznał prawdę. Do czasu gdy powróci do Bayonne, z zemsty podbije oczy trzem głupkom z rywalizującej z nim rodziny... rzecz jasna, mafijnej... Stłucze ich na kwaśne jabłko.

— Żałosne — stwierdziła Petra. — Nie sądzisz, że on ma nierówno pod sufitem? Ze może przydałaby mu się pomoc psychiatrii? Nie lubię go, nawet mu nie współczuję. Lecz... cóż, sam musisz przyznać, masz tak małą rodzinę... tutaj.

Jack wyjął drugi głośnik i ustawił go na podłodze.

— Przekonaj mnie. Mama zawsze utrzymywała, że w rodzinie Trehanów jedyny normalny to tata. Nie, żeby ciocia Sadie była stuknięta. Wolałabym być szczęśliwą starą panną jak ciocia Sadie, niż jakimś zaschniętym patykiem, nieustannie uskarżającym się na artretyzm. Ona jest po prostu... jedyna w swoim rodzaju. Jest kobietą, która pragnie poznać samą siebie.

— Czy jej siostra Florence była podobna?

— Ciocia Flo? Też całkiem normalna, tyle że związała się z wujem Guido. To nie było normalne, przynajmniej więk-

szość znajomych tak uważała. Wuj Guido był... — zastanowił się nad doborem właściwego słowa. — Wuj Guido potrafił przez godzinę zagadać cię na śmierć, bez chwili wytchnienia. Pojawiałaś się w nowym ubraniu, a on tłumaczył ci, jak należy je prać. Kiedyś nawet zmusił tatę, by zdjął z siebie świeżą koszulę i wyprasował mu kołnierzyk, gdyż, jego zdaniem, był pomięty. Ale nie było to takie złe, prócz bożonarodzeniowych kolacji u mojej babci. Przypuszczalnie nawet wtedy szeptał do ucha cioci Flo, jak co należy prać... — Jack uśmiechnął się. — To nic takiego.

Petra przytrzymała za rączki skaczącą na jej kolanach Candy.

— To skąd matka Candy i Joey są takimi świrami? I Nie wmawiaj mi, że i oni są normalni, bo wiele słyszałam o Ceciły, a Joeya poznałam osobiście.

Jack wzruszył ramionami.

— Z powodu forszy? — zastanowił się. Kiedy Petra spojrzała na niego pytająco, ciągnął: — Nie wiem. Mieli osiemnaście i siedemnaście lat, gdy ciocia Flo i wuj Guido umarli, zostawiając im w spadku kupę forszy. Ustanowiono fundusze powiernicze, ale i tak mieli dosyć pieniędzy, żeby pójść na całość. A kiedy skończyli dwadzieścia jeden lat, każde z nich dostało po trzy miliony zielonych. Nie mówimy o studentkach z ekskluzywnej uczelni, Petro. Oboje potracili głowy. Ceciły oszalała na punkcie mężczyzn, jakiś czas się szprycowała, a teraz bezskutecznie próbuje się odnaleźć. A Joey? On chciał, żeby ludzie się go bali, więc zwrócił się w stronę mafii. Pragnął nad wszystkimi górować.

— A co z twoim bratem, Timem? To następny zwariowany Trehan, a może wam obojgu udało się uniknąć wariactwa? Przecież i wy zebraliście niezły majątek?

Jack przysiadł na brzegu kanapy, zastanawiając się nad pytaniem Petry.

— Owszem. Ale my mieliśmy mamę i tatę, przynajmniej na początku, opiekowali się nami tak, abyśmy zachowali rozsą-

dek. A Cecily i Joey zostali od wczesnej młodości puszczeni samopas. Dlatego — powiedział, wstając i uderzając dłońmi o kolana — Candy zostanie przy mnie.

— Ta. Ta-ta-ta.

Jack uśmiechnął się, spojrzął z góry na Candy, ale mała wcale na niego nie patrzyła. Wołała do Petry, do niej mówiła „ta-ta”.

— Bez wątpienia — zgodziła się Petra, całując nosk dziewczynki. — Do ciebie wola „ta-ta”, do mnie też. Do misia, i butelki z kaszką, i do przytulanki. — Zerknęła na Jacka, który jakby zapadł się w sobie. — „Ta-ta” to najłatwiejsze słowo dla dziecka. Musi tylko oprzeć język o dziąsła. O, tak... ta. Ta-ta-ta.

— Ta-ta-ta — powtórzyła Candy, tuląc się do piersi Petry.

— Ma-ma jest trudniejsze — ciągnęła mądrze Petra. — Przy „ma-ma” musi ściągnąć wargi. Ma. Widzisz. Ma. Ma. Ma. To bardzo skomplikowane. Dlatego dzieci najpierw mówią „ta-ta”. Ale mamusia nie powinna się tym martwić, gdyż kiedy maluch nauczy się wymawiać słowo „ma-ma”, to już nigdy nie przestanie... kiedy będzie głodny, zmęczony, znudzony lub w jakiegokolwiek innej sytuacji. — Petra pocałowała paluszki Candy. — Przynajmniej tak twierdzą autorzy poradników.

Jack słuchał, choć tylko jednym uchem.

— Więc ona tak naprawdę nie woła na mnie „ta-ta”? — spytał cicho.

— Nie — odparła Petra bez wahania, potem, zrozumiałwszy swój błąd, dodała: — Człowieku, chyba cię to nie załamało?

— Nie, wcale nie — zapewnił szybko Jack, zabierając się za nie rozpakowane pudła. — Wcale. Petro, skoro jesteś taka genialna, to może wiesz, jak to podłączyć? Bo ja nie mam zielonego pojęcia.

— Aha, elektronika — powiedziała Petra, wstając. Podała dziecko Jackowi. — Masz szczęście. Kolejna umiejętność Petry Polinsky, fachowca w każdej dziedzinie. Może zajrzę do instrukcji obsługi? Oczywiście poradzę sobie i bez niej, choć wywarłabym na tobie wrażenie, czytając francuską lub japoń-

ską. Poza tym... dzięki. Uspokoiłam się, że znokautowałam Joeya, skoro już wiem, że to świr i zasłużył na to.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Jack trzymał Candy, a Petra zabrała się do pracy.

Rozczulił się, kiedy dziewczynka objęła go i położyła głowę na jego ramieniu.

— Ja., ja... Candy — szepnął, odwracając się od Petry. — Ja-ja. Tatuś kocha Candy.

— Ta. Ta-ta-ta — zawołało dziecko.

Ona wie, pomyślał wzruszony Jack. Co tam te głupie poradniki. Ona wie, że jestem jej ojcem.

15

Popęłniamy zbyt wiele pomyłek.

Lawrence Peter Berra (Yogi).

— Kurczę blade! — Keely popatrzyła na talerz, rozbity na trzy kawałki, leżący na kuchennej podłodze. Wczoraj szklanka, rano pokrywka od cukiernicy, a teraz jeden z obiadowych talerzy. Stawała się groźna dla otoczenia. Nie powinna się zbliżać do łatwo tłukących się przedmiotów.

— Do trzech razy sztuka, kochanie — stwierdziła współczująco ciocia Sadie, siedząc przy stole i maczając suchą pszenną grzankę w herbacie. Keely zebrała resztki talerza i wyrzuciła do kubła na śmieci pod zlewem. — Niestety zawsze przydarzy się trzy razy, a więc już koniec. Chyba że przydarzy się czterokrotnie, czasem pięciokrotnie, a nawet sześciokrotnie. — Zmarszczyła czoło. — Może więc lepiej usiądziesz i już niczego nie będziesz dotykać?

— Może powinnam tak zrobić — zgodziła się Keely, kopnięciem zamykając drzwiczki zmywarki. Chwyciła z lodówki butelkę wody mineralnej, nie ryzykując wzięcia szklaneczki, i usiadła naprzeciwko Sadie. — Mam zszargane nerwy, ciociu Sadie. Czy ona się dzisiaj zjawi? Sprawdzi, czy Candy nie ma przemoczonej pieluszki, każe mi podać rozkład dnia dziecka... albo zwyczajnie zabierze małą, gdyż wie — nachyliła się, resztę dopowiadając szeptem, jakby się bała, że ktoś podsłucha — że ją okłamaliśmy?

— Mówimy o Edith Peters? — upewniła się ciocia Sadie, kiwając głową. — Edith i twoich udawanych zaręczynach z tym idiotą, moim siostrzeńcem?

Keely oparła się, zerknęła ponuro na Sadie.

— Idiota? To Dwuoki jest idiotą, przypominasz sobie, ciociu Sadie?

Starsza pani wzruszyła ramionami.

— Tak, to oczywiste. Zawsze spodziewaliśmy się tego po Joeyu. Ale muszę przyznać, że nie spodziewałam się, iż dożyję dnia, w którym i Jack zacznie okazywać oznaki zidiocenia.

— Biorąc Candy?

— Nie, kochanie — ciotka Sadie pogładziła Keely po dłoni. — Wtedy, gdy nie wyznał ci miłości i zatrzymał się w Las Vegas, łub gdziekolwiek, abyście wzięli szybki ślub i już jako małżeństwo wrócili do Arizony. Ale kiedy przylecieliście tu dwoma osobnymi samolotami, to wyobraziłam sobie, że mogą być trudności. Nie powiedziałaś mi, co się naprawdę wydarzyło w Arizonie. Och, zdaję sobie sprawę, że to wszystko wina Jacka, facet zawsze ponosi winę, ale właściwie, co się stało?

— Zbyt wiele — odparła Keely, unikając wzroku Sadie. Ta kobieta miała szósty zmysł. Pewnie wyciągnęła własne wnioski. — A co do reszty, to się mylisz. Jack mnie nie kocha. On ubóstwia Candy i uważam, że to dobrze. Przeze mnie omal nie zwariował. Spytaj sama, chętnie ci opowie. Jestem zanadto władczą, zanadto porządną i rozrzucam na lewo i prawo jego pieniądze.

Sadie przytrzymała kawałek grzanki nad filiżanką.

— Kochanie, nie dałabyś rady wydać całej jego forsy. Zaraz po skończeniu college'u otrzymał wyprawkę w postaci sześciu milionów dolarów, a kontrakt, który podpisał przed sześcioma laty, sprawił, że ta pierwsza kwota może wydawać się zaledwie kieszonkowym. Ma apartament w Nowym Jorku, ten dom, świetny samochód, i tyle. Żyje wyłącznie z odsetek. Mort i ja zarządzamy resztą.

Keely szeroko otworzyła oczy. Ta kobieta, która uwielbiała różowy kolor — różowe słoniki, tapety — ona miała sprawować pieczę nad funduszami Jacka? Kobieta, nosząca dziwaczne stroje, mniej więcej takie jak Petra Polinski, odgrywająca rolę pocziwej starej ciotki? Ona zawiadywała majątkiem Jacka?

— Co takiego?! Ty?! Ty z Mortem?! Chyba żartujesz. Powiedz, że to żart.

Sadie pogładziła się po siwych loczkach i uniosła brodę — a raczej podwójny podbródek.

— Jack ci się do niczego nie przyznał? Tak, jestem powiernikiem, a Mort, niech Bóg ma go w swojej opiece, robi wszystko, co mu każe. Pilnuję pieniędzy Jacka, również Timothy'ego. Od zawsze. Jack nie mówił ci, że od trzydziestu lat jestem powiernikiem w jednym z miejscowych banków? Nie, wiele ich tutaj mamy. Wielkie nieba, w ciągu dziesięciu lat mojej działalności chyba trzykrotnie nas wykupywano. Ja tylko odbieram telefon, podaję nazwisko i oddział, gdyż nie chce mi się zapamiętywać, dla kogo aktualnie pracuję. W każdym razie, nie zawsze byłam takim swobodnym duchem, jak teraz. Boże, nie. Nosiłam maiynarki, białe bluzki i eleganckie pantofle, awansowałam na stanowisko wiceprezesa, zanim spostrzegłam, że ucieka mi życie, wtedy odeszłam i kupiłam mój samochódzik. Zabrało mi to nieco lat, dokładnie sześćdziesiąt pięć. — Uśmiechnęła się od ucha do ucha. — Lecz wreszcie wariatwo Trehanów wzięło we mnie górę, ale wyznam ci, że nigdy nie byłam szczęśliwsza. Prawdopodobnie nie uświadamiasz sobie tego, ale życie bez cugli jest cudowne.

W połowie monologu Sadie zaczęła powoli kręcić głową, wreszcie powiedziała:

— Nie mogę w to uwierzyć. Och, wcale nie uważam, ciciu Sadie, że nie jesteś kompetentna — poprawiła się szybko, choć naprawdę uważała, że nie jest. — Jednak Jack zdradził mi, że jego funduszem zarządza Mort.

— Mort zarządza odsetkami i całkiem nieźle sobie z tym radzi — wytłumaczyła ciotka Sadie. — A ja majątkiem. Giełda, papiery wartościowe, lokaty w nieruchomościach. Ta ziemia, ten dom? Kupiłam go dla Jacka przed czterema laty, działkę i kolejne pięćset akrów. Działka stała się jego własnością praktycznie za grosze, dopiero potem to miejsce stało się modne.

Uśmiechnęła się, pokiwała głową.

— Nie dasz wiary, ile jego sąsiedzi wyłożyli forsę, żeby nabyć w ciągu paru ostatnich lat trzyakrową działkę w okolicy. Cukiernia za rogiem, na końcu podjazdu leży na gruntach Jacka. Pasaż handlowy również. A teraz Timothy zaangażował się w coś, czym mógłby się bawić, kort do gry w kule, pole golfowe... rozumiesz, złotko? Teraz chcę pchnąć ich w branżę handlu używanymi samochodami.

Keely przełknęła ślinę, próbowała się pozbierać.

— Zarządzasz ich majątkiem — powtórzyła. — Dlaczego mi się do tego nie przyznał? Pozwolił, żebym myślała, sądziła... och! Czasami mam go ochotę zamordować!

— Jasne — zgodziła się ciotka Sadie, maczając kolejny kawałek grzanki. — Dlatego ja nigdy nie wyszłam za męża. Zabiłabym takiego nieszczęśnika już po tygodniu, choćby był przystojny jak Tom Cruise. Nie jestem głupia.

Keely uśmiechnęła się blado.

— Ale ja jestem. Czuję się jak idiotka. — Obróciła w dłoniach butelkę z wodą mineralną. Spojrzała na ciotkę Sadie. — Dlaczego Jack zachowuje się, jakby mu brakowało szarych komórek? Utwierdzał mnie w przekonaniu, że nawet nie ma pojęcia, jakim dysponuje majątkiem.

Ciotka Sadie otarła kroplę herbaty, która pociekła jej po brodzie.

— Skarbie, bo najpewniej tak jest. Nie co do centa, może nie co do pół miliona, skoro ma tak liczne inwestycje, a ode mnie dostaje raporty tylko dwa razy w roku. Nie ma się czym denerwować. Jack świetnie orientuje się w swoich sprawach finansowych. Jest w tym mistrzem. *Magna cum laude*. On tylko chce, aby jego stara ciotka czuła się pożyteczna.

Keely oparła łokieć o blat stołu i podparła brodę dłonią.

— Z chęcią bym go udusiła. *Magna cum laude*? Jack dżoker... *magna cum laude*}

— *A summa cum laude* w przypadku Timothy'ego — dodała ciocia Sadie, najwyraźniej żartując. — On potrafi milczeć jak głaz, kiedy tego chce. Jesteśmy dziwną rodziną.

Zaintrygowało to Keely. Zezłościło, ale zaintrygowało.

— Co z Joeyem i Cecily? Oni też udają głuchych i niemych?

Ciotka Sadie upiła łyk herbaty i zakrztusiła się, musiała odkaszlnąć w serwetkę.

— Joey i Cecily? Niech Bóg ma ich w swojej opiece, nie. Tutaj były pewne nadzieje, spodziewaliśmy się czegoś po Cecily, póki jako piętnastolatka nie uciekła z domu z jakimś facetem na motocyklu, naukę rzuciła w wieku szesnastu lat i musiała iść na detoksykację. W wieku siedemnastu lat brała udział w kradzieży samochodów. I podrabianiu recept na narkotyki. Chyba biedactwu pomieszało się w głowie. A Joey? Cóż, sama go poznałaś. Gdy był dzieckiem, wyobrażał sobie, że jest jakimś supermanem z komiksów. Całymi dniami kręcił talerzem, udając, że to kierownica. Potem przeistoczył się w Luke'a Skywalkera... Trwało to jakiś czas i wcale nie było łatwe do zniesienia. Teraz jest gangsterem, a przynajmniej takiego udaje. Obwiniam za to Flo, niech spoczywa w spokoju. Wszystko podsuwała mu jak na tacy... modne ciuchy, samochody, pieniądze... i niczego nie żądała w zamian. Ciężko o tym mówić, ale sama dostała to, na co zasłużyła.

— Jack upiera się, że Cecily nie może zajmować się Candy — powiedziała Keely. — Wyobrażam sobie, że Jimmy... ten prawnik... wyciągnie na światło dzienne fakt, że łamała prawo?

— Nie mam pojęcia, Keely. Wtedy Cecily była niepełnoletnia, więc pewnie te sprawy zostały przedawnione. Oczyszczyła swoją kartotekę na tyle, na ile potrafiła — zdrowa żywność, guru, wegetarianizm. Mam tylko nadzieję, że pojęła, iż nie zdoła być dobrą matką. Szkoda, że moja siostra tego nie potrafiła. Chyba z tego powodu nie urodziłam dzieci. Bałam się, że będąc bliźniaczką Flo popełnię te same błędy. Żadnych słubów, żadnych dzieci. Pewnie też okazałabym się koszmarną matką. Flo poza Guido nie widziała świata, a ja widziałam tylko bank. No, ale żyję na tyle długo, że potrafię cieszyć się resztą życia, jaka mi pozostała.

Keely uściśnęła dłoń ciotki Sadie.

— Wiesz przecież, że Jack cię uwielbia. — Zamrugała powiekami, aby odpędzić łzy. — Ja też.

Sadie ujęła jej dłoń.

— Dziękuję ci, kochanie. Mam nadzieję, że wyjaśniłam ci pewne sprawy.

Keely popatrzyła na nią zdumiona.

— Chwytaj życie, jakim jest. Pełnymi garściami. Nie ograniczaj się do jednego marzenia, jedynej możliwości. Jack teraz myśli o czymś innym. Ale co z tobą? Dzielisz z nim te marzenia? Uważasz, że byłabyś szczęśliwa?

Keely odsunęła się.

— Gdybym wróciła na Manhattan i otworzyła następny butik — westchnęła. — Do tego zmierzasz, ciociu Sadie?

— Jack sądzi, że tego najgoręcej pragniesz. Poza doprowadzaniem go do szału — ciotka Sadie uśmiechnęła się.

— Zaproponował, że sfinansuje to przedsięwzięcie, jeśli będę udawać do czasu rozprawy, że jesteśmy zaręczeni — wyznała cicho Keely.

— Tak, mogę to sobie wyobrazić, jak również to, z jakim trudem przyszło mu to powiedzieć. Ale teraz ma inne marzenia, teraz, kiedy wreszcie pojął, że poza baseballlem istnieje inne życie. Dlatego odrzucił ofertę Japończyków. Jesteś jego drugą szansą, a Jack — twoją. Rozumiesz to chyba, więc co zamierzasz z tym zrobić, Keely?

— Nie wiem — odparła szczerze Keely. — Nie mam pojęcia.

— Przecież to oczywiste. — Ciotka Sadie wzięła talerzyk i filiżankę i odniosła je do zlewu. — Tymczasem chyba powinnyśmy włączyć zmywarę? A ty poszukasz Jacka, może nawet z nim porozmawiasz.

— Ale zdjęłam pościel i nie mam czystych prześcieradeł — opierała się Keely, ogarnięta jak zwykle paniką. — Dopiero pojutrze przywiozą je z pralni, Candy już prawie nie ma czystych pieluszek. Joey wylał sok z pomarańczy na podłogę, klei się, trzeba ją zmyć. Jak pokażemy się pani Peters?

— Dam jej ścierkę — powiedziała ciocia Sadie bez wahania. —

Edith chce widzieć w was rodzinę, więc nie będzie przesuwając białą rękawiczką po meblach. Jack pływa w basenie, Keely. Włóż kostium kąpielowy i dołącz do niego. Porozmawiaj z nim w cztery oczy. Dogadajcie się. Rozwiążcie przynajmniej ten problem.

Keely zerknęła na tył domu i basen, potem na kilka brudnych talerzy na kuchennym blacie. Uśmiechnęła się, poczuła w sobie ciepło. Podeszła do starszej pani, pocałowała ją w policzek.

— Ciociu Sadie — powiedziała. — Nie masz racji. Byłabyś wspaniałą matką.

Jack zastanawiał się, ile długości basenu musi pokonać, nim się opamięta i przestanie myśleć o Keely. Nie widzieć jej za każdym razem, kiedy przymknie oczy, nie tęsknić za nią, nie pragnąć trzymać jej w ramionach.

Odepchnął się od krawędzi basenu, płynął dalej, ale w jego głowie wrzało.

To, co zdarzyło się w Arizonie w motelu. To, co miało miejsce wcześniej, na planie zdjęciowym oraz wydarzenia następujących paru godzin — przywoływało najlepsze w życiu, a zarazem najgorsze wspomnienia. Gdyby tylko zdołał wszystko zapamiętać.

W ciągu tych długich godzin, kiedy reżyser kazał mu patrzeć na Keely, na wymyśloną romantyczną mgiełkę w jej oczach, ujmować jej dłoń, następnie odjechać z nią w siną dal. W ciągu długich godzin, gdy Keely posłusznie słuchała wskazówek Brada, ona także patrzyła na Jacka z uwielbieniem, czekając, aż pomoże jej wsiąść do samochodu i dokądś razem odjadą.

Im bardziej Jack myślał o podróży z Keely w siną dal, tym bardziej niezdarnie się zachowywał. Upuścił kluczyki, zahaczył o zderzak, nie potrafił otworzyć drzwiczek.

Przepłynął całą długość basenu, odbił się i ruszył z powrotem.

Uciec... odjechać... uciekać jak najdalej. Zabrać ją ze sobą. W takie miejsce, gdzie byliby tylko we dwoje i nikt nie mógłby ich odnaleźć. Bez Sadie, Joeya, Petry. Nikogo. Bez baseballu, żadnych butików na Manhattanie, żadnych spraw sądowych.

Po prostu Keely, wyłącznie Keely.

Kiedy znaleźli się sam na sam, prawie oszalał z żądzy. Nie mógł oderwać od niej rąk. Chciał ją uspokoić, pieścić, zczarować. Wziąć ją w ramiona jak napalony młokos. Jak facet, który od wielu samotnych lat nie miał kobiety.

Jak facet, który nie potrafił uwierzyć, że ona przy nim zostanie, a jedyne, co może jej zaproponować to to, żeby odeszła.

Był spięty. Oboje to wyczuwali. Czuli się jak na celowniku. Rozprawa sądowa, udawane zaręczyny, dziewczynka, którą oboje uwielbiają.

Na dodatek ta bliskość.

Tak nazwała to Keely. Bliskość.

Cholera jasna! — powiedział.

Przyprawiała go o szaleństwo. Była warta zachodu, doskonała. Wścibska. Władcza. Niby wiedziała wszystko, a jednak bała się popełnić błąd. Dunina. Dążąca do sukcesu. I te jej usta...

Jeszcze jedna długość basenu. Może to go ochłodzi.

Wariował na jej punkcie. Szalał.

Jak patrzyła na Candy, jak troskliwie się nią opiekowała. Jak z pustego budynku uczyniła dom, który znowu opustoszeje, gdy się wyprowadzi, mimo mebli, zasłon i wszystkiego, czym go urządziła. Jak wtargnęła w jego życie, wtykała nos w jego sprawy, ale to dlatego, że jej zależało. Nie była tylko wścibska czy władcza. Także opiekuńcza.

I wiedziała. Rozumiała, co znaczy ponieść porażkę, stratę. Tyle mieli wspólnego. Ale on wreszcie pogodził się z tym, że jego kariera zawodnika jest skończona. Ona zaś wciąż miała nadzieję na karierę na Manhattanie. Chciała spróbować po raz drugi.

Tak jak on.

Wobec tego gdy zakończy się sprawa w sądzie rodzinnym, pożegnają się. Przełknie to, będzie trzymał język za zębami i pozwoli jej odejść. Kupi jej drogę powrotną na Manhattan, jeśli będzie musiał, a ona utrzyma wtedy nosa temu całemu Gregor'emu. Czy to uczyni ją szczęśliwą?

Nie miał pojęcia. Oferta ze strony japońskiej drużyny wcale go nie uszczęśliwiła. Sądził, że wie, czego pragnie, póki nie złożono mu propozycji. A teraz daje Keely drugą szansę. Czy ją przyjmie?

I co on pocznie, jeśli dziewczyna się zgodzi?

Już prawie bez tchu dopłynął do brzegu basenu i poczuł, że pochyła się nad nim czyjś cień. Keely? Czy to może być Keely? Uniósł głowę, przysłonił oczy dłonią, na jego twarzy już pojawiał się uśmiech. I wtedy zobaczył:

— Joey? Kiedy wróciłeś?

— O co chodzi? — zdziwił się Joey, odstępując o krok. — Nasłałeś na mnie gliny? Założyłeś w moim pokoju pluskwy? Coś w tym guście?

— Aha, dzisiaj masz manię prześladowczą. Nigdy nie wiadomo, czego się można po tobie spodziewać, Joey. — Jack wyskoczył nad brzeg basenu, nie spuszczał wzroku z kuzyna. — Świetnie wyglądasz. Dobrze ci w tym.

Joey miał na sobie czarne gatki, bez wątpienia najwyższej jakości, gdyż nigdzie się nie wybrzuszały. Do tego słoneczne okulary w czarnych oprawkach, kryjące podbite oko. Chude nogi w czarnych, sięgających prawie połowy łydek skarpetach. Szyk rodem z Bayonne.

Joey chwycił krańce ręcznika, zsuwającego się z jego wątpłych ramion, i spiorunował Jacka wzrokiem.

— Inaczej zaśpiewasz, kiedy pokażę tej paniusi, Peters, papiery, które przywiozłem. Papiery, Jack... tak, mam papiery. Całą tę doku... pieprzoną... mentację!

Jack zerknął na krocze gatek.

— Pokazujesz wszystkim, co masz najlepszego, Joey. Nie chcę cię martwić, ale nie jest to zbyt imponujące.

-Ty...

Lecz Jack go nie słuchoł, gdyż zobaczył, jak Keely idzie do furtki w siatce, okalającej basen. Ubrana w ten sam oszałamiający kostium i nic poza tym. Wyobraźnia przypomniła mu chwilę, gdy widział ją w tym stroju po raz pierwszy. Dosko-

nała pod każdym względem, a on dotykał, smakował, wielbił tę doskonałość.

Nie ulega wątpliwości, postradał zmysły.

— Porozmawiamy później, Joey. — Minął kuzyna i wyszedł naprzeciw Keely. — Cześć. Chcesz popływać?

— Nie, czekam na autobus — powiedziała bez uśmiechu. — Możemy porozmawiać?

— W tym miejscu? — Jack wskazał wzrokiem Joeya, który zbliżał się do nich, trzymając w dłoni magnetofon nie większy od jego dłoni. — Joey? Co jest, u diabła?

— Mój adwokat twierdzi, że wszystko — powiadomił go Joey. — Opowiedziałem mu, jak bardzo jesteś zepsuty, on mówi, że każdy powinien o tym wiedzieć. No dobra, Jack, gadaj. Przyznaj się tej damulce, jak usiłujesz skraść mi moją siostrzenicę.

— Jack?

Mocno objął Keely ramieniem.

— W porządku, Keely. Joey zwyczajnie dostał zaplanowanego świra. Zmiataj stąd, Joey, albo zwinę cię w precla i utopię.

Joey zaczął podskakiwać niczym dziecko, wymachiwał magnetofonem.

— Ha! Mam! Na taśmie! Groźby. Jesteś ugotowany, Jack. Pograżony!

Jack podszedł, pchnął pierś kuzyna, wepchnął go do basenu. Przypatrywał się, jak wpada z pluskiem do wody, odczekał, aż wypłynie na powierzchnię i uczepli się krawędzi, tyle że zgubił magnetofon, a okulary zsunęły się mu na czubek głowy.

— Ba-da-bing, ba-da-bum, Dwuoki. — Ujął Keely pod ramię i odprowadził do furtki.

— Nie bardzo grzecznie się zachowałeś — zganiła go Keely ze śmiechem. — Myślisz, że woda zniszczy ten jego mini-magnetofon?

— A także buty, jeśli będziemy mieć szczęście — dodał Jack, chwytając ręcznik. — Zgadza się, jeśli chcesz popływać, ale moim zdaniem teraz powinienem osuszyć basen, wyczyścić i ponownie napełnić, nim ktokolwiek z niego skorzysta.

— Teraz też nie zachowałeś się zbyt uprzejmie — powiedziała Keely. — Kiedy on wrócił?

— Przed chwilą. Z dokumentami, cokolwiek to znaczy. — Szedł dalej, nagle stanął jak wryty. — Jak myślisz, może jakimś cudem skontaktował się z Cecily, zmusił ją, aby przesłała mu faksem list, upoważniający do opieki nad małą?

— Boże! — zawołała Keely, ściskając ramię Jacka. — Nie mam pojęcia. A co ty sądzisz?

Jack przytknął kciuk i palec wskazujący do nosa. Próbował opanować panikę.

— Też nie wiem. Odszukali ją ludzie Jimmy'ego. Może i ludzie Joeya. Przeklęta Cecily! Pewnie obu powiedziała, że się zgadza. Nienawidzi gwałtownych scen.

— Jack, opanuj się. Zbyt nerwowo reagujesz. To tylko Joey. Ciocia Sadie uważa, że on nie udaje głupiego... on jest rzeczywiście ograniczony. Czy kretyn zdołałby wynająć przebiegłego prawnika?

Jack obejrzał się na basen, Joey siedział na jego brzegu, wycierając się.

— Trafne spostrzeżenie. — Próbował zachować spokój ducha.

— Trafne spostrzeżenie — z trudem uspokoił zdenerwowanie. — Bądź przy mnie. Nie dam się do końca zwariować.

Chwytał jej rękę i razem poszli z powrotem nad basen.

— Joey? Jakie to masz doku... pieprzone... menty?

— Ha! — Roześmiał się, bez powodzenia usiłując ściągnąć skarpety. — Ja o tym wiem, a ty niebawem się dowiesz.

Jack przykucnął przy kuzynie, spojrzał mu prosto w oczy.

— Chcesz jeszcze raz popływać? Mogę ci to załatwić. Tylko tym razem przywiążę ci do szyi kamień. A najpierw zmuszę cię do zjedzenia tego magnetofoniku.

— Papiery! — krzyknął Joey, wycofując się na czworakach, jak jakiś krab w czarnych skarpetach. — Mam papiery!

— Jakie? — dopytywał się Jack, przypatrując mu się intensywnie.

— Papiery! Ogłuchłeś? Papier)!

— Przepraszani — wtrąciła się Keely. Popukała Jacka w ramię, by wstał. — Nie zachowujesz się ładnie.

Jack zjeżył się. Kochał Keely. Naprawdę. Ale, do diabła, okazywała się czasami taka apodyktyczna, pewna swoich racji.

— O? Przypuszczam, że ty byś lepiej sobie poradziła?

Joey spojrzął na Jacka, wzdrygnął się. Spojrzął na Keely, westchnął.

— Owszem — powiedziała, zadowolona z siebie. — I bez grożenia mu. Obaj nie jesteście już dziećmi, chociaż zachowujecie się, jakbyście nimi byli. — Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na trawniku przy cementowym brzegu basenu i pomogła Joeyowi zdjąć skarpetki. — No, już lepiej. Co to za papiery, Joey? Możesz mi wyjaśnić? Dokumenty od Cecily?

Joey spojrzął znowu na Jacka, potrząsnął głową.

— Od Cecily? Skąd! Przecież nikt nie wie, gdzie ona się podziewa, prawda? Papiery potwierdzające, jakim jestem szanowanym obywatelem.

Jack ni to parsknął śmiechem, ni to zakaszłał, Keely kopnęła go w goleń.

— Ciekawe, Joey — naciskała. — Mówisz o papierach na temat twojej osoby? Listy od przyjaciół, może nawet od burmistrza Bayonne? Waszego proboszcza? Ludzi, którzy chcą za ciebie ręczyć?

— Nie — zaprzeczył. — Próbowałem zmusić jego wielebność Rafelliego, aby coś takiego napisał, ale on się uparł, że najpierw mam znowu przychodzić do kościoła.

— Wielebny Rafelli? — przerwał Jack, znowu tłumiąc śmiech. — Przypominam sobie pewne zdarzenie, prawdziwy wyczyn Joeya. Kiedy byłeś ministrantem, co? Czy to nie wielebny Rafelli gonił cię przez całą drogę do domu, gdy wypieś / wodę święconą?

— Był lipiec, gorąco, chciało mi się pić — bronił się Joey. — Każdy by tak postąpił. Poza tym nie wiedziałem, że on już ją poświęcił.

— Ciocia Flo zadzwoniła do mojej mamy, świetnie to pamiętam, wypłakiwała sobie oczy, przekonana, że wylądu-

jesz w piekle — powiedział Jack, wciąż z nostalgią wspominając dawne czasy. Minione dobre dni, kiedy Joey był tylko zabawny, a nie żałosny.

— Czy... możemy zająć się tymi papierami? — zagadnęła Keely stłumionym głosem. — Joey?

— Nie widzę potrzeby, aby od razu je wam pokazywać — sprzeciwił się Joey. Nadał się wyżywał skarpetki.

— Proszę — nalegała Keely, kładąc dłoń na ramieniu Joeya, dając mu szansę, choć Jack wyglądał tak, jakby zamierzał uśmiercić kuzyna. Chyba że ona zmusi go do mówienia.

W porządku — zgodził się Joey, wzruszając białymi chudymi ramionami. — Oczywiście moja metryka. Udowadniająca, że jestem prawowitym obywatelem tego kraju. Większość ludzi uważa, że jestem Sycylijczykiem, sama rozumiesz...

— Jasne — przytaknęła Keely, a Jack spostrzegł, że starała się opanować śmiech i zachować kamienną twarz. — Co jeszcze?

— Hm, ten adwokat stwierdził, że muszę zdobyć papiery, które pokazywałyby mnie w dobrym świetle. Zdobyłem więc list od wuja Sala. Napisał w nim, że jestem jego najlepszym siostrzeńcem. To jeden z najbogatszych mieszkańców Bayonne. Mam też list od Marco, sklepikarza, bo nigdy u niego nic nie zwędziłem, od czasu gdy mnie przyłapał wiele lat temu. Kolejny od kumpla, z którym grywam w kręgle. Fajny gość.

Jack, już w połowie monologu Joeya, chwycił się za głowę, hamując się przed wybuchnięciem. Keely wytrzymała dłużej.

Jack oparł się o nią, ulga sprawiła, że zrobiło mu się słabo. Zniknął strach, że Cecily przekazała opiekę nad dzieckiem Joeyowi. Keely przytuliła go, zaśmiewając się, z trudem łapiąc oddech, on ją chwycił i oboje przeturlali się po trawniku, nie zważając na obecność Joeya, grożącego im cementowymi butami lub przejażdżką w nieznane.

I wtedy Joey dodał coś jeszcze:

— Cholera! Idzie ta pani Peters, a wy się obściskujecie. Powiem jej, że chciałeś mnie utopić.

— Dobry Boże! — Keely odskoczyła od Jacka gwałtownie, jed-

nocześnie usiłując poprawić na sobie kostium. — Pani Peters! — zawołała, ruszając w stronę domu, podczas gdy Jack, który także się zerwał, przyblokował Joeya. — Miło panią znowu widzieć.

Jack tuż przy domu dołączył do obu kobiet, w pasie owinał się ręcznikiem, wydawało mu się, że tak będzie się godniej prezentował.

— Tak — mówiła Keely spokojnie, usiłując przygładzić niesforne włosy, spinki zapodziały się gdzieś na trawniku... Jack z trudem powstrzymał się, by nie zdjąć z jej loków kilku żdźbeł trawy. — Zainstalowaliśmy kilka kamer, dzięki którym przez cały czas możemy pilnować dziecka. Na parterze jest monitor, widzimy Candy, gdy śpi. Ale pójdę jeszcze do sklepu... to znaczy oboje udamy się sklepu i nabędziemy ich więcej. Do sypialni Candy.

— Czy monitorowany jest także basen? — spytała pani Peters Jacka, stukając długopisem w gruby plik papierów. Nie ulegało wątpliwości, że jej dzisiejsza niespodziewana wizyta będzie trudniejsza od poprzedniej.

— Hmm... Keely?

— Hmm? Chyba nie — odparła Keely, udając, że kostium to kimono, zakrywające ją od stóp do głów. — Nie... dotąd nie było takiej potrzeby, gdyż Petra się nią znakomicie zajmowała. Ona i Malut... ona i Bruno, pracownik kuzyna pana Trehana. Teraz bawią się z małą w jej pokoju. Sprawdziłam... zanim nie przebrałam się w kostium, aby popływać.

— Po kąpieli mogą panią pokąsać komary — powiedziała pani Peters, zapisując coś w swoim notatniku. — Niekiedy, pani McBride, mam wrażenie, że urodziłam się na całkiem innej planecie. Chodźmy na górę zobaczyć się z Candy.

— Nie jest taka miła jak przy pierwszym spotkaniu — szepnęła Keely, gdy pani Peters zaczęła pokonywać schodki na tyłach domu. Głośniej dodała: — Zaraz do pani dołączymy, pani Peters. Muszę tylko zapytać o coś pana Trehana, to znaczy: Jacka — skrzywiła się.

— Tak, wiem, mam się zachowywać naturalnie przy pani

Peters. Niczym się nie martw — odszepnął, dodając jej otuchy Jack.

Znajdowali się kilka kroków od schodów. — Teraz, gdy wiemy, że Joey strzela na oślep, potrzebne nam są dokumenty od Cecily, i wreszcie odzyskamy spokój.

— A jeśli ona pomyśli, że jesteśmy spragnionymi seksu maniakami, którzy ledwie zwracają uwagę na Candy — odparła Keely. — Jak wyglądam w jej oczach?

— Że nie potrafisz się trzymać z dala ode mnie? — spytał Jack, potem schylił głowę, jakby Keely chciała wymierzyć mu cios.

Ale miała głowę zaprzątniętą czym innym, rozejrzała się po kuchni, potem po parterze.

— Gdzie się podziała ciocia Sadie? Naczynia czyste, musiała je umyć. Ale nie widziałam, żeby wchodziła na górę do swojego pokoju. Myślisz, że jednak tam jest i zmienia bieliznę pościelową? Chciałabym być przy niej w obecności pani Peters. Lubią się.

Keely mówiła szybko, słowa zlewały się w jedno. Jack chwycił ją za ramiona i delikatnie nią potrząsnął.

— Może się uspokoisz? — poprosił. — Odpręż się. Uspokój.

— Nie potrafię. Dzieje się coś bardzo ważnego.

Jack ucałował ją w czoło.

— Dziękuję ci, Keely. Dziękuję, że myślisz, iż to takie ważne. Że jesteś taka troskliwa.

Miała rozpalone od słońca ciało, była prawie naga.

— Keely? Do diabła, Keely! — przytulił ją mocniej, zaczął całować.

— Jack! Jack... Keely! Chodźcie szybko — dobiegł ich krzyk ciotki Sadie. — Edith zemdlała!

16

*Zwycięstwo niewiele cię może nauczyć.
Natomiast porażka wszystkiego.*

Christy Mathewson, miotacz

Keely zdawała sobie sprawę, że przypominają z Jackiem komediantów, kiedy tak przepychali się nawzajem, byle się szybciej dostać do schodów.

W chwili, w której znaleźli się w hallu, biegnąc do sypialni Candy, byli już niezmiernie zdyszani. Keely musiała się przytrzymać framugi, inaczej by się pośliznęła na śliskiej posadzce.

Spojrzała na Jacka.

On na nią.

— Ty pierwszy.

— Ty pierwsza — powiedzieli jednocześnie.

Ciotka Sadie podjęła za nich decyzję, wychyliwszy głowę z pokoju, nieco oszołomiona.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się zdenerwowała. Przecież to tylko przejściowe.

— Co jest „tylko przejściowe”? — zdziwił się Jack, kiedy Keely przepchnęła się obok starszej pani i wkroczyła do środka.

Najpierw jej wzrok padł na bujany fotel... i Edith Peters, siedzącą na nim bez czucia, nogi w samonośnych pończochach rozrzucone nieelegancko, oczy zamknięte, rozchyłone usta.

A potem zobaczyła Candy.

I prawie poszła w ślady Edith. Ale była zbyt wściekła, żeby stracić przytomność.

— już wiem, o co chodzi — powiedziała, podchodząc do Petry i Malutkiego, siedzących wraz z Candy na prześcieradle, rozestłanym na podłodze.

— Odbyliście to pudełko, tak?

— Pudełko? — spytała pogodnie Petra, biorąc pudełko z pamiętkami, które Keeły kupiła dla Jacka, a potem wepchnęła je do szafy i zapomniała o nim.

— Tak, to — potwierdziła Keely. Dołączył do niej Jack.

— Co to...?

— Robią odciski stopek Candy — wyjaśniła Keely, mała zaś, najwyraźniej niezbyt przejęta tym doświadczeniem, zaśmiewała się i gruchała. Wyciągnęła rączki do Jacka.

— Dlatego są takie groszkowozielone? Czy to da się zmyć?

— Jeżeli nie, to znam dwoje ludzi o mózgach wielkości groszku, którzy będą mieli zielone głowy — zapewniła Keely przez zaciśnięte zęby. Nie spuszczała wzroku z Candy. Stopki i kolanka dziecka pokrywała paskudna, zielona papka, szybko zamieniająca się w twardą skorupę.

— Och, może oboje się uspokoicie? — zaproponowała Petra, wznosząc oczy ku niebu. — Masa plastyczna za kilka chwil zamieni się w coś rodzaju gumy. I wtedy to zdejmujemy, wsadzimy w gips i już... słodkie nóżki Candy zostaną utrwalone na wieki. Malutki, pokaż im swoje ręce.

Olbrzym pochylił głowę.

— Nie, wszystko w porządku.

— Dalej — ponagliła go Petra. — Trochę się martwił, że coś robimy nie tak, kiedy na nim próbowaliśmy tę papkę. Mam wrażenie, że warstwa jest nieco za cienka i za szybko chcieliśmy ją zdjąć.

Jego potężne dłonie zdawały się roztopiać. A co najmniej kilka palców, upapranych w jasnozielonej papce. Nawet na twarzy, co zauważyła z obrzydzeniem Keely, widniało parę groszkowatych smug. W każdym razie, nie prezentował się najlepiej.

— To właśnie ujrzała pani Peters, kiedy tutaj weszła — informowała Petra. — Malutki latał jak opętany, mamrocząc

i jęcząc, a ciocia Sadie usiłowała obedrzeć go z reszty tego paskudztwa. Malutki trochę się zdenerwował, ciocia wrzeszczała na niego, by przestał się miotać i wymachiwać rękami, i tyle, choć pani Peters prawdopodobnie sądziła, że chce ciocię pobić. Moim zdaniem, pewnie za bardzo naoglądała się „Młodego Frankensteina”, rozumiecie? Spojrzała na ciocię Sadie, wrzasnęła: „Uciekaj, jeśli ci życie miłe!” i zemdlała. Malutki pochwycił ją i posadził w fotelu. Nic jej nie będzie.

Keely spojrzała na panią Peters, która zaczęła zdradzać oznaki życia. Pojawiła się znowu ciocia Sadie i otarła jej czoło zimnym wilgotnym kompresem. A usłyszawszy za plecami jakieś stłumione parsknięcie, odwróciła się do Jacka.

— Zabawne, co? Uważasz, że to śmieszne?

-- Nie — zapewnił Jack, starając się opanować. — Oczywiście, że to nie jest zabawne. — I uśmiechnął się od ucha do ucha. — Owszem, jest. Keely, spójrz na niego, to przecież potępieniec. Wielki, łysy, zielony. Jęczący, potrząsający dłońmi. Brakuje mu tylko kilku strzał w szyi i byłby jak z filmu grozy.

Keely zamrużyła powiekami, nie chciała się rozpłakać. Odwróciła się do Petry, zmierzyła ją wściekłym wzrokiem, Candy się przestraszyła, zaczęła łkać.

— Daj mi to biedne dziecko — zażądała lodowatym tonem. Wzięła małą na ręce i wyszła z sypialni, a Petra za nią.

— Hej! Poczekaj! Już czas, byśmy zdjęli z niej tę papkę! — wołała Petra, kiedy Keely, przytulając dziewczynkę, zaniósła ją do swojej sypialni i usiadła z nią na łóżku. — Zaraz to zrobię. Prześtań płakać.

— Ona nie płacze.

— Nie, ale ty tak. — Petra pokręciła głową. — Idź się przebrać albo czymś zajmij. Sama zdejmę tę papkę. Wystraszysz dziecko na śmierć.

Keely zastępyła, patrząc, jak Petra siada przy Candy na łóżeczku, łaskocze ją, obierając z lepkiej gumy. Petra umiała poradzić sobie z Candy, umiała poradzić sobie w trudnych sytuacjach.

Ale dlaczego ona nie potrafiła?

Dlaczego płakała... naprawdę płakała. Dlaczego dostrzegła w tym fatalnym zdarzeniu jedynie złe strony — kiedy wszyscy, może prócz pani Peters — uznali je za zabawne. Musi wziąć się w garść, przestać wpadać w panikę, skoro buduje domek z kart.

-- Pójdę... się ubrać — powiedziała cicho.

— Zrób to — zgodziła się Petra. Uśmiechnęła się, ściągając dwie zastygłe w masie stopki, przypominające dwa zielone śniegowce z odciśniętymi paluszkami. — Czy nie są słodkie?

— Boże. — Keely wzięła je do ręki. — Są. — I szybko pobiegła do łazienki, gdzie powiesiła ubranie, odkręciła prysznic, żeby Petra jej nie słyszała, i znów zaniosła się płaczem.

Pani Peters rozgościła się przy kuchennym stole, popijając mrożoną herbatę. Keely zdobyła się na odwagę i pół godziny później zeszła na dół.

Edith zasiadła na jednym krześle, Sadie na drugim, a na przeciwko usiedli Jack i Joey. Pani Peters wypełniała jakieś formularze.

— Zatem, panie Morretti, twierdzi pan, że jako najbliższy krewny chce podjąć się opieki nad kuzynką?

— Aha, tak — potwierdził Joey. — Czy nie jest to jasne?

~ Pani Morretti, nauczyłam się już, że nic nie jest jasne, zwłaszcza w pańskim domu. Ale, gdyby pan był łaskaw, potrzebuję jeszcze kilka wyjaśnień, bo pani Morretti jest pańską siostrą.

— Dobra... niech pani gada — sapnął Joey. Potarł nos wskaźującym palcem, poprawił przeciwsłoneczne okulary. — Co chce pani wiedzieć?

Keely obeszła bufet, wyjęła szklankę, napełniła ją mrożoną wodą z automatu. Pokręciła głową w stronę Jacka, który już wstawał, i usiadła na jednym z wysokich stołków przy barku.

— Pani Morretti — ciągnęła pani Peters — na początek chciałabym uzyskać informację, czy wie pan, kto jest ojcem Candy.

Joey uśmiechał się złośliwie, nachylił, wsparł łokciami o stół.

— Po pierwsze, to moja siostrzyczka sama tego nie wiedziała — wyjaśnił zjadliwie. — Siostrzyczka puszczała się na lewo i prawo.

— Uspokój się — zgasił go ostro Jack, wyraźnie zdegustowany. — Pani Peters, z tego, co mi wiadomo, był to po prostu dawca spermy.

— A tak — pociągnął nosem Joey. — Jakiś facet, nazywający się Deszczowy Taniec czy coś w tym rodzaju. Jeśli któreś z was sądzi, że tatuś się pojawi, to się grubo mylicie. Pani szuka osoby odpowiedzialnej za dzieciaka, więc ją pani znalazła. Mam papiery.

— Tak, w zasadzie to prawda, ma jakieś papiery. — Jack popatrzył na panią Peters. — I przy odrobinie szczęścia w parę tygodni nieźle go wyszkolimy.

Keely przytknęła dłoń do ust, wcześniejsze obawy zaczęły przeradzać się w histerię, gdyż słowa Jacka i wspomnienie tego, jak Joeya dotknęło skaranie boskie wydały się jej niewiarygodnie zabawne. Pomyślała, że pewnie zaczyna tracić rozum.

Pani Peters odpięła gruby plik dokumentów i uderzyła nimi o kant stołu.

— Widzę, że popełniłam błąd. — Zerknęła na ciotkę Sadie. — Chyba powinnam wysłuchać każdego z osobna. Potrzebuję spokoju. Panie Trehan? Czy pan, panna McBride i panna Trehan moglibyście wyjść? Chcę dokończyć rozmowę z panem Morrettim. Jutro wrócę, by porozmawiać z resztą z was, a potem przekażę swoje wnioski sądowi. Wolałabym, żeby ta akurat sprawa nie przeciągała się zbyt długo.

Keely poczuła skurcz w gardle, Jack pobladł. Podniósł się powoli, wyraźnie nie chciał zostawiać kuzyna sam na sam z panią Peters.

— Zgoda, w takim razie do jutra. Ale my... my jesteśmy do dyspozycji w każdej chwili, gdyby jeszcze dzisiaj chciała się pani z nami zobaczyć. — Zapewnił, wyciągając rękę do Keely. Przyjęła ją. — Ciociu Sadie? Zechcesz do nas dołączyć?

— Za chwilę, kochanie. Muszę sprawdzić, co dzieje się z Malutkim. Ten chłopak wystraszył się nie na żarty.

— Moja wina, Sadie — wtrąciła Edith Peters. — Bez wątpienia zareagowałam zbyt gwałtownie. Kiedy po raz ostatni widziałam coś dużego w jaskrawozielonym kolorze, to była paczka mrożonego groszku.

— Rozumiem, moja droga — uspokoiła ją ciocia Sadie, klepiąc po ramieniu. — Jesteś dzielna, Edith, naprawdę dzielna.

— Taka to praca, Sadie, trzeba być odpornym. Albo to, albo zwariujesz.

Zdumiona Keely uśmiechnęła się jak najmilej do Edith Peters, ale Jack wypchnął ją przez kuchenne drzwi.

Ciągnął ją aż do garażu, wyciągnął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwi jaskrawoczerwonej corvetty.

— Chodź, przejedziemy się. Nie mogę tutaj zostać, gdy wiem, że jest tu Joey i rozmawia z panią Peters.

— Czy to...? — spytała Keely, kiedy pomagał jej wsiąść do limuzyny.

— Owszem, podstawiono ją dziś rano. Część zapłaty za reklamę. Nasuwa ci jakieś wspomnienia?

— Sama nie wiem. — Keely popatrzyła na niego. — Przekonajmy się, czy zdołasz zająć swoje miejsce i czegoś przy okazji nie uszkodzić.

— Bardzo śmieszne — prychnął Jack, obchodząc samochód. Nie ośmielił się nawet poklepać maski lub podrzucić kluczyków. Przedtem tego próbował z mizernym skutkiem. Wołał nie ryzykować. — Dokąd się wybierzemy? — spytał, kiedy już wsiadł i ujął kierownicę w dłoń.

— Jak to? Czy musimy się dokądś wybierać? Przecież ty wepchnąłeś mnie do tego auta, przypominasz sobie?

— Oczywiście. Masz klucze do mieszkania ciotki Mary? Tam moglibyśmy pojechać. To lepsze niż włóczenie się po okolicy. Już i tak wydaje mi się, że to, co robię jest bez sensu.

— Hm, odebrałabym pocztę, sprawdziła, kto nagrał się na automatycznej sekretarce. Poza tym, mam wrażenie, że zwariowałabym, gdybym musiała tu zostać, wiedząc, że pani

Peters rozmawia z Joeyem. Candy śpi, Petra przy niej czuwa. Klucz jest przy kluczykach do furgonetki, pewnie tkwią wciąż w stacyjce. — Jack natychmiast tam ruszył, zanim dokończyła mówić.

Chciał stąd wyjechać, natychmiast. Też nie potrafił znieść myśli, że będzie w pobliżu, gdy Joey wygaduje tam, nie wiadomo co tej Edith Peters. Poza tym wieki temu, kiedy Keely pojawiła się na basenie, twierdziła, że muszą porozmawiać. To miejsce zaś było równie zaciszne jak stadion w dniu otwarcia sezonu. Jeśli chcą porozmawiać, to gdzie indziej.

— Mam je — oznajmił, zamykając drzwiczki i zapalając silnik. — Ciesz się przejażdżką, poczekaj, aż dotrzemy do sklepiku. Wtedy porozmawiamy. Przecież tego chciałaś, prawda?

— Jak sobie życzysz. — Keely wzruszyła ramionami, usiadła, założyła je na piersi i milczała jak grób, póki nie znaleźli się na zapleczu sklepu i nie wspięli po schodach do mieszkania.

W środku Jack podszedł do kanapy i usiadł, kryjąc twarz w dłoniach.

— Boże. Wszystko dzieje się tak szybko. Już dłużej tego nie zniosę, Keely. Naprawdę nie dam rady. Edith Peters przyglądająca się nam przez lupę, zielone nóżki, debilne odzywki Joeya, czekanie na faks od Cecily...

Keely przysiadła się do niego, objęła go. Wielkie nieba, jak dobrze się poczuł, mając ją przy sobie.

— Rozumiem, Jack. Żyjemy od pewnego czasu w ciągłym stresie. Dzisiaj coś się we mnie załamało. Przepraszam. Nie powinnam cię opuszczać... ale kiedy ujrzałam zielone nóżki Candy... Miałam ochotę zamordować Petrę. Zachowałam się jak idiotka, bo ona przecież świetnie opiekuje się Candy.

Jack uniósł głowę.

— To ty jesteś cudowna dla Candy, Keely. Petra tylko się nią bawi. Ty pilnujesz, żeby miała co jeść, w co się ubrać, wykapać. To ty jej śpiewasz, układasz małą do snu, pilnujesz wizyt lekarza. Poza tym gotujesz, zajmujesz się domem, urządzasz go, i wydaje mi się, że wszystko to przychodzi ci bez

najmniejszego trudu. Nie mam pojęcia, jakim cudem dajesz sobie radę.

— Złudzenie — powiedziała Keely, uśmiechając się z trudem. — Codziennie przez pół dnia mam wrażenie, że jestem przerażona, w trakcie drugiej połowy naprawdę jestem.

— Robisz wiele dla Candy. — Ujął dłoń dziewczyny. — Zobacz, jak podnosi główkę, słysząc twój głos. Ona cię kocha nad życie.

Keely popatrzyła na niego, zamruwała i odwróciła głowę.

— Hej, co ja takiego powiedziałem? — Chwycił ją za ramiona, aby spojrzeć w jej twarz, zobaczyć czy, cisnące się do oczu. — Keely, co się dzieje?

— Tak bardzo ją kocham — wyznała. Przycisnęła dłoń do ust, próbowała się opanować. — Jak mogę... co zrobię, gdy... do diabła! — Poderwała się z kanapy i wybiegła do drugiego pokoju. Jack usłyszał trzaśnięcie drzwi, domyślił się, że prawdopodobnie od łazienki. Takich, które można zamknąć.

Powinien za nią pobiec, stanąć przed łazienką. Posłuchać, jak płacze. Zawołać, że ją kocha, że chce na resztę dni połączyć z nią swoje życie, chce, by razem wychowywali Candy i jeszcze gromadkę dzieci.

To szaleństwo. Nie.

Zatem musi czekać. Dać jej czas, żeby się pozbierała, przemyślała sobie wszystko, co się do tej pory zdarzyło od chwili, w której Keely pojawiła się na progu jego domu. Wybawienie, o jakie się modlił, gdyż nie miał pojęcia, jak sobie poradzić z Candy.

Chciała z nim rozmawiać. Tak twierdziła. Czy zachował się jak tchórz, bo chciał poczekać, aż sama mu powie, co myśli, nim on otworzy swoją niewyparzoną gębę, żeby znowu zrobić z siebie głupca?

A cóż w tym złego? To, że naprawdę poprosi ją o rękę? Żeby porzuciła karierę w Nowym Jorku, została z nim i zastąpiła Candy matkę? Żeby wyszła za niego za męża? Pokochała go?

Dlaczego był taki niepewny własnych uczuć? Niepewny,

czy Keely sama wie, co czuje, czy potrafi oddzielić miłość do Candy od miłości... do niego?

Tak. Był o tym przekonany, gdyż musiał się przyznać, że też miał trudności w rozdzieleniu miłości do Candy od miłości do Keely. Obie jednocześnie pojawiły się w jego życiu, zawładnęły jego domem i sercem. Jak mógłby rozdzielić te uczucia? Wymagać od siebie decyzji, którą z nich bardziej kocha.

Zmagając się z myślami, Jack chodził po niewielkim urządzonym ze smakiem saloniku, na nic nie patrząc. Po prostu nie mógł usiedzieć w miejscu.

Dostrzegł wreszcie migające światełko automatycznej sekretarki.

Spojrzał przez drzwi, prowadzące na korytarz. Ujrzał mrugające czerwone światełko. Spojrzał po raz drugi.

Gregory?

Jack dotknął krawędzi biurka, potem jego dłoń powoli powędrowała w kierunku automatycznej sekretarki, zawahał się, zanim nacisnął guzik ODTWÓRZ... jeszcze raz zerknął w głąb korytarza.

Nacisnął.

— *Witaj, kochanie — zaczął damski głos. Jack ściszył dźwięk. — Chciałabym, żebyś odebrała. Nie cierpię gadać do tej maszynki. Ale może później. Lepiej usiądź, Keely, gdyż mam dla ciebie niespodziankę. Przechodzę na emeryturę. — Tak — paplała kobieta z dziewczęcym chichotem w głosie — to prawda. Postanowiliśmy przeprowadzić się na Florydę, kiedy tylko znajdziemy tam dom. Piasek, słońce, ocean. To nie Grecja, nawet nie Paryż, ale, Keely, zmaganie się z następną gospodynią przerasta moje siły. Na koniec największa niespodzianka. Zamierzam zostawić ci butik. Wszystko jest twoje, bez zobowiązań. Och, wiem, że nie będziesz tego chciała. Na pewno zechcesz to sprzedać i wrócić na Manhattan. W porządku. Masz moje błogosławieństwo. Nie cieszyłaś się, kiedy rodziłam ci, abys gdzieś osiadła na stałe. Keely, jestem taka szczęśliwa. I tobie życzę tego samego. Do zobaczenia, ko-*

chanie — znowu kobiecy śmiech — ktoś chce się ze mną zobaczyć. Kochanie, przestań natychmiast! Rozmawiam z...

Klik. Koniec wiadomości.

Oszołomiony Jack przewinął taśmę. Czy ma zachować tę wiadomość? Skasować ją? Popełnić samobójstwo?

Taśma przewinięta, czerwone światełko ponownie zamrugało, Keely bez przeszkód mogła odsłuchać wiadomość.

— Jack?

Odwrocił się, zasłaniając mrugające światełko.

— Nic ci nie jest? — spytał, kiedy zmęczonym krokiem weszła do pokoju i usiadła na krzeselku, które wydawało się zbyt kruche, nawet żeby unieść ciężar Candy.

— Nic. Przepraszam. — Położyła dłonie na kolanach. — Tylko tego było za wiele... za wiele... rozumiesz? Rozpadła się moja firma, przyjechałam tutaj, tak bardzo chciałam urządzić ci dom. Candy, tobie... no i to, co się stało w Arizonie.

Jack skrzywił się.

— Tak. W Arizonie. O tym chciałaś mówić? Tak mi się wydawało.

— Nie, nie do końca o tym...

— Owszem, Keely — przerwał, podchodząc do niej i chwytając ją za rękę. — Nie mogłaś się doczekać, kiedy o tym ze mną porozmawiasz. Wyznam ci, iż cholernie mnie rozczarowałaś.

Dotąd nie podnosiła głowy, unikała jego wzroku, ale teraz podniosła oczy, na jej ślicznej twarzy odmalowało się zdumienie.

— O czym ty mówisz?

— Nie bądź taka grzeczna, Keely — nie puszczał jej dłoni. — Niedźwiedzie atakują z większym wdziękiem. Potrafię cię przeprosić, i chcę tego, ale nigdy nie zrozumieć, jakim cudem zdarzyło się tutaj takie piekło.

— Trochę przesadziliśmy — powiedziała Keely tak cicho, że musiał nachylić głowę, aby zrozumieć jej słowa. — Oboje. Nie uczyniłeś niczego... czego się po tobie nie spodziewałam.

— Mówiłaś o bliskości — przypomniał jej.

-Tak?

— Byliśmy ze sobą... blisko, prawda? — Zbliżył się, puścił jej rękę, uniósł podbródek.

Uśmiechnęła się niepewnie.

— To chyba niewłaściwe słowo.

— Może nie, ale bliskie prawdy. My jesteśmy sobie bliscy. Spróbujemy raz jeszcze? Naprawdę tego chcę, Keely.

Koniuszkiem języka zwilżyła wargi.

Ale Jack nie ustępował.

— Keely?

— Nie powinniśmy... nie powinniśmy porozmawiać o pani Peters, Joeyu i... jaką mamy przyjąć strategię?

— Tak? — Delikatnie masował jej nagie ramiona, patrząc, jak bawełniana niebieska bluzeczka unosi się na jej piersiach. Doprowadzało go to do szaleństwa.

— Przypuszczam... że mamy wiele do omówienia — powiedziała, obejmując go ramionami.

— W ten sposób tylko pakujemy się w tarapaty, Keely. — Przypomniał jej. — Na razie może tak będzie lepiej.

Przymknęła oczy, skinęła potakująco głową.

Nachylił się, pocałował ją. Czułe. Delikatnie. Jeden pocałunek. Dwa.

— Jack, nie jestem z lodu — powiedziała, mocniej się przytulając.

— Wiem — szepnął jej do ucha, pieszcząc plecy. — Jesteś taka miękka... i ciepła.

— Bezbronna — westchnęła Keely, gdy całował jej szyję. Roztapiała się w jego ramionach.

— Cudownie. — Uniósł ją. — Mogę zapytać, dokąd pójdziemy? Przytuliła głowę do jego piersi.

— Korytarzem na prawo. — Zdejmowała sandały, spadły jeden po drugim na podłogę.

Zaniósł Keely do jej sypialni, ledwie zwracając uwagę na ciemne meble, póki jego wzrok nie spoczął na ogromnym łożu, przykrytym niebiesko-zieloną narzutą w kwiatki.

— Kraina z baśni — mruknął. Poczekał, aż Keely na chwilę

uwolniona z jego objęć, ściągnęła kapę. W ślad za nią zrzuciła kilka ozdobnych poduszek.

Łóżko było wysokie, co ułatwiało mu przeniesienie dziewczyny, jeszcze łatwiej do niej dołączył, zostawiając trampki na podłodze.

Promienie słoneczne oświetlały łóżko, w ich świetle włosy Keely pobłyskiwały złociście. Kiedy tak leżała w delikatnej pościeli w niebiesko-zielone kwiatki, przypominała idealną Śpiącą Królewnę. Pragnął obudzić ją pocałunkiem.

— Boże, Keely, jaka jesteś piękna.

Ujrzał, że się delikatnie zarumieniła.

— Myślałam... sądziłam, że mamy porozmawiać. Peszę się, gdy patrzysz na mnie w ten sposób.

— Jak patrzę? — spytał, wsuwając dłoń pod jej sweter, przyciskając rękę do jej płaskiego brzucha. — Jak patrzę na ciebie, Keely?

— Sama... nie wiem — odparła, w jej oczach pojawiły się łzy. — Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył.

— Bo nikt dotąd tak ciebie nie pragnął — szepnął, nachylając się nad nią, przytulając, zasypując pocałunkami jej policzki, szyję. — Nikt nigdy nie pragnął ciebie goręcej ode mnie.

— Och, Jack...

„Och, Jack”. Rozkoszował się tym, jak wymawiała jego imię. To, jak na niego patrzyła. Jak reagowała na dotyk jego dłoni, przesuwał się coraz wyżej, aż wreszcie sięgnął jej lewej piersi. Rozkoszował się tym, jak Keely przytknęła oczy, westchnęła.

Tak bardzo mu tego brakowało, brakowało im tego obojgu, do szaleństwa pragnęli ugasić ogień, który rozpałił się tak gwałtownie w Arizonie.

I wciąż płonął, ale teraz było to coś więcej. Nie pojmował, czym było owo „więcej”, lecz coś... się w nim rodziło. Przetaczało się po nim niczym fale, coraz wyższe, każda następna silniejsza od poprzedniej. To było coś więcej niż pożądanie, głód, pragnienie, nawet więcej niż chęć spełnienia.

Poza Keely zniknął cały świat. Całował jej piersi.

Uwielbiał ją.

Dotykał. Pieścił. Uczył się jej na pamięć.

Jęknęła cichutko, gdy wsunął dłoń między jej uda, odkrył, że jest wilgotna, że czeka na niego.

Powoli. Nie może się spieszyć. Dać jej rozkosz, doprowadzić ją na szczyt, patrzeć, jak ciemnieją jej oczy, jak roztopia się w jego ramionach.

Ale teraz to ona pieściła go w najsekretniejszych miejscach. Drażniła. Delikatnie, ale pewnie całowała po szyi, muskała koniuszki uszu, przesywały go dreszcze, wzrastała namiętność.

Pieści! ją. Keely zastygła w jego objęciach, uniosła się, ofiarowała całą siebie.

Kochał ją.. kochał bez końca.

Keely stała pod prysznicem, odchyliła głowę, woda strumieniem spływała po jej twarzy, piersiach, brzuchu. Jej skóra była nadzwyczaj wrażliwa na wspomnienie pieścizot Jacka..

Tym razem jej nie zostawił. To ona go opuściła, ale nie wtedy, kiedy leżeli razem, już spokojni, przytuleni. Cudowne uczucie. Bardziej niż cudowne. Zapamięta to na zawsze, bez względu na to, co się później zdarzy.

Wciąż nie porozmawiali. Może już nigdy nie będą ze sobą rozmawiać. Do diabła. Przecież mogą się pobrać, mieć szóstkę dzieci, przeżyć ze sobą kolejne pięćdziesiąt lat i wcale nie porozmawiać.

Pewnie dlatego, że o niektórych sprawach nie trzeba w ogóle mówić. O nich po prostu trzeba wiedzieć. A czasami lepiej przymknąć oczy, nie drażzyć, nie zagłębiać się.

Co najważniejsze? Miłość do Candy czy do Jacka? I jakie to ma znaczenie? Nie potrafiła myśleć o Candy, wyrzucając z głowy Jacka. I na odwrót. Pokochała ich oboje. Czy to zbrodnia?

Keely wzdrygnęła się, gdy plecy jej musnął podmuch chłodniejszego powietrza. Odwróciwszy się, ujrzała Jacka, wchodzącego do przeszklonej kabiny prysznicowej.

— Chyba będzie szybciej, jeśli zrobimy to razem. Potem możemy wracać do domu. Poza tym zaoszczędzimy wodę — dodał, kładąc ręce na jej ramionach.

Keely chciała zasłonić swoją nagość, ale zdała sobie sprawę, jak byłoby to śmieszne. Przecież Jack ją widział całą, pieścił i całował.

— Wariat — stwierdziła, obejmując go i patrząc, jak bardzo jest spragniony. — Naprawdę uważasz, że tak będzie szybciej?

— Chyba nie. — Sięgnął po mydło, zaczął namydlać jej piersi. — Myliłem się.

Jack pogwizdywał, kiedy szczęśliwy wkraczał do saloniku, najszcześniejszy od tamtego fatalnego sierpnia. Wiedział wtedy, zdawał sobie sprawę, że na bolące ramię nie poradzi żaden chirurg.

— ...jestem taka szczęśliwa. *I* tobie życzę tego samego. Do zobaczenia, kochanie. — Dziewczęcy chichot. — Najdroższy, rozmawiam z... — Klik. Koniec nagrania.

Keely stała przy biurku, odwrócona do Jacka plecami.

— Keely? Czy to twoja ciotka? — spytał. Pomyślał, czy tym razem mu zaufa na tyle, by wyznać prawdę. Powie, jaką wiadomość jej przekazała?

— Hm? — odwróciła się, ale nie na tyle szybko, żeby nie dostrzegł, iż przyciska guzik SKASOWAĆ. — Och... to ciocia Mary. Bez wątpienia rozkoszuje się swoim miesiącem miodowym, bo nawet nie powiedziała, kiedy wraca do domu.

— Nie? — uniósł pytająco brwi. — To co ci chciała powiedzieć?

Keely wzruszyła ramionami.

— Nic ważnego. Jest szczęśliwa. — Rozejrzała się po saloniku, rozłożyła ramiona. — Nie potrzebuję niczego więcej. Sprawdziłam już wiadomości zostawione w butiku, to nic pilnego. Tak więc... uważam, że *powinniśmy wracaĆ do domu...* Na kolację wymyśliłam sałatkę z tuńczykiem, dlatego muszę jeszcze ugotować jajka na twardo.

Jack przechylił głowę, spojrzął na nią.

— Tylko tyle? Wracamy do domu, by ugotować jajka?

Skrzywiła się, nerwowo roześmiała.

— Oczywiście. A cóżby innego? Nie rozumiem cię.

— Głupstwo. — Jack, zmierzając ku drzwiom, chwycił ją za rękę. — Jak mówiłaś, czas wracać do domu. I tak powinienem skontaktować się z Jimmym, sprawdzić, czy nie przyszedł faks od Cecily.

Keely przystanęła.

— Poczekaj. Coś jest nie tak?

— Nic — zapewnił Jack. Jego twarz stężała. — Cholera, nic.

17

*Wszystko się może zdarzyć,
dopóki gra się nie skończy.*

Lawrence Peter Berra (Yogi)

Byli już w połowie drogi do domu, kiedy Keely wszystko zrozumiała, z pytaniem jednak poczekała do chwili, gdy corvetta wjeżdżała już na podjazd.

— Odsłuchałeś wiadomość od cioci Mary, prawda?

— W garażu stoi samochód mojego brata — zgasił ją Jack. — Może więc ogłosimy zawieszenie trzeciej wojny światowej, póki on nie odjedzie. Zgoda?

— Więc to zrobiłeś! — zawołała, biegnąc za Jackiem. Starała się opanować i rozważyć odpowiedź Jacka. — Nie możesz zaprzeczyć, Jack, że to zrobiłeś. Odsłuchałeś wiadomość przeznaczoną dla mnie! Kiedy, Jack? Przedtem... czy potem?

— A jakie to ma znaczenie? — Okrążył ogrodzenie basenu i skierował się w stronę tylnych drzwi.

— Czy ma... och, powiedz to na głos, Jack! Oczywiście, że ma znaczenie. To wszystko zmienia. Czy kochałeś się ze mną dlatego, iż tego chciałeś, czy uznałeś, że to najlepszy sposób na zatrzymanie mnie i zapewnienie opieki dla Candy?

Odwrocił się i położył palec na jej ustach.

— Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił — powiedział powoli, cedząc słowa.

— Jasne, że tak. To właśnie się stało — kontynuowała Keely, podążając za nim krok w krok.

Złapała rozchybotane drzwi, które on puścił, i wpadła z impetem do kuchni.

— Cześć, Jack... Keely.

Keely spojrzała na Tima Trehana, który rozparł się w fotelu i z wielkiej niebieskiej miski jadł prażoną kukurydzą. Towarzyszyli mu Petra i Malutki, oglądali z kasety wideo „Ojca chrzestnego”.

— Dzień dobry — wykrztusiła Keely, obracając się do niego plecami.

— Co tu robisz? — spytał niepewnie Jack.

— Sam nie wiem. Gdybym wiedział, jakie czeka mnie powitanie, to prawdopodobnie w ogóle bym się tutaj nie zjawił. Ale że jestem bratem o wielkim sercu, pomyślałem, iż osobiście przywiozę bilety na jutrzejszy mecz. Jak to miło z mojej strony. Do tego łąda chwila pojawi się Mort i będzie chciał się ze mną zobaczyć. Spodziewają się po mnie, że przekonam cię, abyś postąpił słusznie. Tylko że sam jeszcze nie wiem, co to znaczy: „słusznie”.

Keely stała wciąż odwrócona do Tima plecami, złożyła ramiona, stukała nogą o kuchenną posadzkę.

— Wyrzuć go — powiedziała przez zaciśnięte zęby, nie zważając na swój apodyktyczny ton, co często zarzucała jej ciotka. — Muszę cię zabić.

— Hej, oni się kłóca — stwierdziła Petra. Keely odwróciła się, zmierzyła nastolatkę wściekłym spojrzeniem. — Och, tak. — Nie spuszczała z nich wzroku. — Kłóca się. To dobrze. Tim, podaj prażoną kukurydzą.

— Jack... — warknęła Keely.

— Nie — odpowiedział stanowczo. — Nie zamierzam wyrzucać brata, ponieważ ty sobie coś ubzdurałaś... — Urwał nagle, otworzył drzwi lodówki, rozejrzał się i wyjął butelkę wody mineralnej. Woda przelała się z sykiem, skapywała na podłogę.

— Spójrz tylko, co narobiłeś! — zawołała Keely oskarżycielskim tonem. Podeszła do zlewu, oderwała spory kawał papierowego ręcznika, zwilżyła go pod kranem. — Dopiero co umyłam podłogę.

— Idealny dzień na grę w baseball. Mówi Tim Trehan, który wyjaśni wam tajniki gry — ciągnął, trzymając pilota od telewi-

zora, jakby to był mikrofon. Wraz z Petrą i Malutkim przenieśli się z kanapy do niskiego barku, który oddzielał dwa pokoje, postawili między sobą wielką miskę z prażoną kukurydzą i usadowili się na jasnych fotelach.

— To wcale nie jest zabawne, Tim — powiedział Jack, przecząc samemu sobie. — Keely i ja musimy coś omówić.

— Nie, wcale nie musimy — zaprzeczyła Keely znad podłogi, gdzie wycierała kałużę. — Zmieniłam zamiar. Nie mam niczego do powiedzenia. Niczego.

— Niczego?

— Zgadza się.

— Szanowni widzowie, gracze teraz siebie testują — gadał Tim do pilota.

Keely straciła panowanie nad sobą. Po prostu. Guzik ją obchodziło, czy znajduje się tutaj cały zwariowany gang Trehanów, komentując i robiąc notatki.

— Zrobiłeś to, Jack. Wysłuchałeś przesłaną do mnie prywatną wiadomość. Dowiedziałeś się, że ciocia Mary oddaje mi butik. Przyznaj się.

— W porządku, może rzeczywiście ją odsłuchałem — warknął Jack. — I co takiego się stało? Nic wielkiego. Chciałem się przyznać... kiedyś.

— Drodzy widzowie, zawodnik „A” stara się wyjść z kotła — ciągnął Tim, a Petra się zaśmiewała.

— Nic wielkiego? Ciocia Mary ofiarowała mi butik, mogę go sprzedać i wrócić do Nowego Jorku. Słyszałeś to, a potem zaciągnąłeś mnie do łóżka. Dalej uważasz, że to nic wielkiego?

— Nie powinienem tego słuchać — stwierdził Malutki, ujmując Petrę za łokieć. — Ty też nie. Chodź, pójdziemy na spacer albo dokądkolwiek.

— Zabierzcie go ze sobą — polecił Jack, wskazując na brata.

— Miło z twojej strony, Jack, ale ja zostaję. Ale proszę, nie przerywajcie sobie.

Jack warknął głośno, Keely chwyciła go za ramię.

— Nie zwracaj na niego uwagi — rozkazała. — Poza tym,

guzik mnie obchodzi, czy cały świat się o tym dowie. Jesteś szczurem, Jack! Wielkim szczurem!

Jack spojrział raz jeszcze na brata, potem odwrócił się do Keely, uderzając się dłonią w piersi.

— Ja? Ja jestem szczurem? Hej, dałem ci szansę. Spytałem, co to za wiadomość, a ty twierdziłaś, że nic ważnego. Rzeczywiście, drobnostka, Keely. To przepustka dla ciebie, byś mogła się stąd wydostać, wracać do wielkiego świata.

— Ktoś powinien sprawdzić kamerę — komentował Tim z fotela. — Robi się gorąco.

— Ja już mam bilet powrotny do wielkiego świata, Jack! — krzyknęła Keely. — Nie pamiętasz, przecież sam mi go oferowałeś! Mówiłeś, że mogę dostać wszystko, czego chcę. Wszystko, żebyś tylko mógł się mnie pozbyć, kiedy zostanie ci przyznana opieka nad dzieckiem. Prawda, Jack? Zaciągnięcie mnie do łóżka było tylko dodatkowym zabezpieczeniem.

— Jest coraz goręcej — stwierdził Tim, przerywając ciszę, która nagle zapadła. — A teraz rzut...

Jack wbił palce we włosy.

— O czym ty pleciesz, do diabła? Ja wcale nie chcę się ciebie pozbywać. Sądziłem, że ty sama postanowiłaś odejść. Sądziłem... że jest ci to potrzebne. Kolejna szansa.

Keely przysunęła jedno z wysokich krzeseł od śniadaniowego stolika i usiadła, żeby nie zemdleć, bo nogi się pod nią ugięły.

— Tak, owszem. Tak mi się wydawało.

Jack podszedł do stolika, wsparł się obiema dłońmi o blat.

— Chcesz rozmawiać, Keely, to porozmawiamy. Tim — obejmując się przez ramię — wnoś się stąd.

— Hm — Tim odłożył pilota. — Zabraknie więc kibiców.

- Tim!

— W porządku, już wychodzę.

Keely nie podnosiła głowy, czekała, aż Tim przejdzie obok i zamknie za sobą drzwi kuchenne.

— Keely — odezwał się Jack, ujmując dłonie dziewczyny. — Nigdy nie ukrywałaś swoich pragnień. Chciałaś wrócić na

Manhattan, ponownie zając się dekorowaniem wnętrza. Nawet jeśli sama nie pamiętasz, jak gorąco tego pragnęłaś, to ja nie zapomniałem.

— A ty chciałaś dostać drugą szansę w baseballu — powiedziała Keely. Żeby tylko przestał pieścić kciukiem jej dłoń. Kiedy jej dotykał, nie potrafiła zebrać myśli. W ogóle przestawała myśleć.

— Zrozum, zdałem sobie sprawę, że się myliłem. Więcej nie chcę. Przestało mi zależeć na baseballu. Ale ty nie miałaś jeszcze takiej szansy, Keely. Czy zamierzasz spędzić resztę życia na zastanawianiu się, co by się stało, gdybyś się zdecydowała? Chodziła na bale, błyszczała w eleganckim towarzystwie?

— W zamian pozostałabym tutaj przy tobie i Candy — odparła szczerze, gdyż teraz wreszcie naprawdę ze sobą rozmawiali.

— Może na próżno, ryzykując kolejną porażkę.

Uniosła głowę, spojrzała na niego.

— "W ten sposób to widzisz, Jack? Candy i mnie? jako wymówkę, żeby nie zaryzykować ponownie ze strachu przed kolejną porażką?"

Uśmiechną się z głębi serca, a ona poczuła, jak łyzy zakreśliły się jej w oczach.

— Niepokoi mnie to, ale przyznaję, że tak jest — powiedział, całując ją w rękę. — Zobowiązania, bliskość i to peszące poczucie wdzięczności za pomoc w czymś większym, głębszym. Jestem szurnięty. Może nie na tyle, by nie pojąć jednego, Keely. Kocham cię. A ponieważ cię kocham, muszę zyskać pewność, że i tobie na mnie zależy.

— Och, Jack — westchnęła Keely, wyciągając rękę ponad barkiem, obejmując Jacka za głowę. — Ja jestem pewna. Nigdy w życiu nie byłam bardziej pewna moich uczuć.

— I kochasz mnie? — dopytywał się, uwalniając się z jej objęć na tyle, by obejść barki i wtedy przytulić ją.

— Kocham — zapewniła Keely. — Ty wariacie, jak można cię nie pokochać?

Pocałował ją, a Keely przysięgłaby, że słyszała bicie dzwońców, tak jak za pierwszym razem w Arizonie słyszała muzykę.

Aie teraz dotarł do niej jeszcze inny dźwięk. Pukanie do drzwi.

Jack także je usłyszał, przestał ją całować i spojrzał w stronę korytarza.

— O co chodzi, Malutki?

— Ma pan towarzystwo, panie T.

— Mort? — spytał. Keely niechętnie odsunęła się, choć wciąż trzymała go za rękę. Mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia, ale to mogło poczekać. Prawdopodobnie spędzi połowę życia, czekając na okazje rozmowy z Jackiem, na spokojne i ciche chwile. Lecz właśnie jego temperament podobał się jej w nim najbardziej.

— Nie, proszę pana — odparł Malutki, kręcąc głową. To ja-kaś pani z przyjacielem. Mówi, że nazywa się Księżycowy Kwiat.

Keely skrzywiła się, gdy Jack tak mocno ścisnął jej dłoń, że prawie zmiażdżył kości.

— Cecily? — upewnił się.

— Tak zwracał się do niej pan Morretti, ale ona powiedziała mu, że nazywa się Księżycowy Kwiat. Fakt. Pojawił się jeszcze ktoś, ale nie dosłyszałem imienia.

— Boże, Jack, pojawiła się twoja kuzynka? — przeraziła się Keely. Gdzie Candy? Zerknęła na zegarek, pora drzemki. Candy była na górze, spała. Musi zaraz do niej iść.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Jack spytał Malutkiego:

— Gdzie Candy? Czy jest przy niej Petra?

Malutki energicznie pokiwał głową.

— Obudziła się wcześniej, więc poszliśmy z wizytą do ciotki Sadie. Kiedy wy dwoje zaczęliście się kłócić uznaliśmy, że trzeba się wynieść. Pani Peters także tam jest, pije herbatkę z ciotką Sadie i bawi się z Candy. No i jeszcze pański brat z jakimś gościem o imieniu Mort. Całkiem nas sporo. Wróciłem po pluszaka Candy i usłyszałem dzwonek do drzwi. Czy mam tu wszystkich zawołać?

— Nie! — zawołali jednocześnie Keely i Jack.

— Ale myślałam... zapytam Petrę, ona powinna wiedzieć.

— Nie myśl, Malutki — przestrzegł go Jack. — Po prostu dopilnuj, żeby wszyscy trzymali się z daleka, póki nie rozmówię się z kuzynką. Czy towarzyszy jej Joey?

— Tak — powiedział Malutki, ruszając do kuchennych drzwi, bystry facet, który wiedział, kiedy należy się wycofać. — Wszystko w porządku? Jeśli pan chce, to mogę go stąd wyrzucić.

— Bez wątpienia, Malutki, ale dziękuję — powiedział Jack. Malutki wzruszył ramionami i wyszedł z kuchni. — Spokojnie, Keely. — Ucisnął rękę dziewczyny. — Trzeba stawić temu czoło, cóż w tym nowego? Porozmawiajmy z Cecily.

Keely cofnęła się, bardziej przerażona, niż chciała się do tego przyznać.

— Nie powinniśmy zadzwonić do twojego prawnika, Jimmy'ego?

— Jeszcze nie. Najpierw przekonajmy się, co dzisiaj knuje Cecily, i od tego zaczniemy.

Cecily niewiele zmieniła się od ich ostatniego spotkania, a było to chyba dwa lata temu w święta Bożego Narodzenia. Wciąż była blondynką, chociaż teraz miała rude pasemka we włosach. Nadal drobna, szczupła, ubierała się w długie zwiewne sukienki.

Dostrzegła, jak Jack i Keely weszli do przestronnego, niemal pustego salonu i podbiegła drobnymi kroczkami, stukając prostymi brązowymi drewniakami po posadzcę.

— Jack! Och, Jack, cudownie wyglądasz! I jaki śliczny dom, tylko że powinieneś kupić do niego trochę mebli! — zawołała i rzuciła się w jego ramiona.

— Witaj, Cecily. — Jack ominął ją wzrokiem i spojrzał na wysokiego, chudego, mniej więcej trzydziestopięcioletniego mężczyznę o włosach związanych w kucyk, ubranego w coś, co przypominało worek na kartofle i sandały. — Kim jest twój przyjaciel?

— A, tak, tak. — Zaćwierkała Cecily i ujęła Jacka za rękę, całkowicie ignorując obecność Keely. — To Niebieska Tęcza, mój guru i mentor.

— A naprawdę Hadley Hecuba — odezwał się Niebieska Tęcza, kiedy Cecily pobiegła uściskać Joeya.

Ten ją odtrącił:

— Daj mi spokój, już się witaliśmy!

Hecuba wyciągnął rękę, tak że Jack musiał ją uściskać. Cóż, właściwie nie musiał, ale wtedy Cecily by to zauważyła, zrobiła scenę, a teraz nie mogłoby się zdarzyć nic gorszego od kłótni.

— Nie — odezwał się Jack, przypominając sobie z trudem, jak kilka dni temu detektywi Jimmy'ego odnaleźli przyjaciela Cecily. Mocniej ścisnął dłoń mężczyzny. — Lester James Schmidt, lat trzydzieści siedem, urodzony w Milwaukee, dwukrotnie aresztowany za malwersacje, raz za posługiwanie się cudzą kartą kredytową, wciąż żonaty z Olivią Beatrice Schmidt, która chętnie dowiedziałyby się o miejscu twojego pobytu, gdyż trochę zalegasz z alimentami. Trochę to znaczy: pięć lat. Jak mi idzie, Lester, stary draniu?

Jack poczuł, jak Keely nachyla się ku niemu i ścisną mu dłoń. Popatrzył na nią, uśmiechnął się.

— Ci ludzie z agencji detektywistycznej warci są każdego centa, którego na nich wydałeś, prawda? Nie miałam pojęcia, że tyle się dowiedziałeś — przyznała z podziwem Keely. — Ale powiedz mi, co z tego wynika.

— Niewiele, proszę pani — odezwał się Niebieska Tęcza, uśmiechając się nieszczerze. — Widziałem ten faks od twojego prawnika, Trehan, i uznaliśmy, że można go wywalić do śmieci. To matka dzieciaka, więc go zatrzymamy. Chyba że udowodnisz nam, że u ciebie jest mu lepiej? — Mówiąc to, podniósł lewą rękę i potarł kciukiem palce.

— Pieniądze — stwierdziła Keely, kiedy Jack odciągał ją od guru Cecily. — Jack, on żąda forsy. To takie proste. Zapłać im, to się wyniosą. Boże, tak się denerwowałam.

— Są powody do niepokoju — ostrzegł ją Jack, kiedy stanęli w hallu. Jack obserwował Cecily i Joeya, jak zaczęli się szeptem sprzeczać. — Po pierwsze, jeśli dam im forszę, to wrócą po więcej. Cecily jej nie potrzebuje, ale Lester tak. On zdaje sobie spr-

wę, że romans z Cecily to tylko chwilowa sprawa, bo ona nie słynie ze stałych uczuć. Po drugie, już zaangażowaliśmy panią Peters i cały ten komitet do spraw dziecka. Może udałoby mi się przekupić Cecily i Lestera, ale wciąż pozostaje Joey.

Keely westchnęła.

— Chciałabym porwać Candy i uciec z nią gdzieś daleko.

— Mogę się z wami zabrać? — spytał Jack.

Uśmiechnęła się, znowu przytuliła głowę do jego piersi.

— Tak, możesz, nie zrobiłabym bez ciebie ani kroku.

— Ależ owszem. Mogłabyś podjąć pewne kroki. Konkretnie — do mieszkania cioci Sadie, po panią Peters, sprowadź ją tutaj. Wpuść ją tylnymi drzwiami, a potem przyjdź do mnie. Dopilnuję, aby drzwi od patio były otwarte, żeby wszystko słyszała.

- Co ?

— Tego jeszcze nie wiem — przyznał Jack. Starał się nie okazać zdenerwowania. — Bądź tylko gotowa jechać wszędzie, gdy Cecily, Joey i Lester nas zabiorą.

— Dobrze. — Keely wyjrzała do hallu, zatrzymała się, odwróciła. — Kocham cię.

— Ja też cię kocham. Powiedz Petrze i Malutkiemu, by wzięli Candy na spacer, gdziekolwiek. Cecily jeszcze nie pytała o małą, ale gdyby tak się stało, chcę jej powiedzieć, że dziecka akurat nie ma w domu.

Keely kiwnęła głową i wyszła z pokoju, a Jack za nią. Chwytał jeszcze butelkę z wodą mineralną z lodówki. Odczekał pięć minut, aby dać Keely trochę czasu na rozmowę z panią Peters, potem wrócił do salonu i na patio, do kuchni.

— Jak tam było w Tybecie, Cecily?

— W Tybecie? Jack, głuptasie, wcale nie pojechaliśmy do Tybetu. Mogliśmy, ale Niebieska Tęcza chciał obejrzeć wschód słońca w Monako. Przekonał mnie, że to mistyczne doznanie, i rzeczywiście. Zyskałam tam mnóstwo energii. Wiesz, mieszkała tam księżna Grace. Widziałam ją. Och, ona nie żyje, ale ją widziałam. Wiesz, co teraz mogę robić? Przywoływać duchy! Mo-

że napiszę o tym książkę, już wymyśliłam tytuł... „Spotkanie z Grace”. Czy to nie brzmi wspaniale?

Cecily wcale się nie zmieniła — była tutaj, ale jej umysł szybował gdzieś w przestworzach. Jak zawsze.

— Monako?

Cecily westchnęła, zachichotała i wreszcie zamilkła.

— Tam, gdzie kasyna? Nie wiedziałem, Cecily. Kiedy mój prawnik cię odnalazł, mówił, że jesteś gdzieś w Europie.

— Zgadza się. Kasyno. Niebieska Tęcza opracował system. Ja byłam jego bankierem. — Speszona Cecily zmarszczyła czoło. — O co chodzi, Jack? Jesteś taki spięty. Czy coś nie tak? Niebieska Tęcza twierdził, że ucieszysz się na mój widok, ale wcale na to nie wygląda. A Joey był dla mnie taki podły... — Głos jej się załamał, zakrzuszyła się, podeszła do kanapy, wzięła wielką płócienną torbę i grzebała w niej, póki nie znalazła niebieskiej plastikowej buteleczki z gazowanym napojem. Do butelki przyklepiono plastikową słomkę.

— Joey, coś ty jej powiedział? — spytał Jack kuzyna, który akurat wpychał do ust prostokącik gumy do żucia.

— Nic takiego. — Prychnął. — Tylko szczerą prawdę, że jest szajbnięta. Że jest zerem. A to znaczy, że ja wezmę dzieciaka i całą forszę wuja Sala z pralni, kiedy wuj wyciągnie nogi. Mówił mi, żebym się ustatkował, wziął małą, a dostanę forszę.

Podsłuchująca Cecily podbiegła do Joeya, jej anielska buzia już wcale nie wydawała się taka ładna.

— Czyżby? Cóż... tylko ty tak sądzisz, Joey. Wuj Sal mówił, że pierwsze, które weźmie ślub, ustatkuje się, weźmie małą, dostanie... jego forszę, ty głupcze. A z tobą nikt nie weźmie ślubu, kretynie. To ja odziedziczę pieniądze wuja Sala.

Boże, żeby tylko pani Peters tego nie usłyszała, pomyślał Jack, ale odprężył się, gdy do pokoju weszła znowu Keely i głową wskazała drzwi prowadzące na patio.

Problem polegał wyłącznie na tym, że Keely nie była sama. Towarzyszyli jej Tim, ciocia Sadie i Mort.

Wtedy Cecily błyskawicznie zmieniła łkanie w śmiech

i rzuciła się w ramiona Tima na powitanie, a przygnębiony Joey usiadł na kanapie, Jack zaś szepnął do Keely:

— Co, żadnej orkiestry powitalnej? Mort prawdopodobnie świetnie gra na każdym instrumencie dętym.

— Nie mogłam ich powstrzymać, Jack — wyjaśniła. — A Mort ma pewien pomysł.

— Och, nie — Jack pokręcił głową. — Niech Bóg nas broni przed Mortem i jego pomysłami. — Potem uświadomił sobie, że on sam nie ma żadnych pomysłów. — A jaki to pomysł?

— Przekonasz się — powiedziała Keely, patrząc na Lestera, Huddleya, Niebieską Tęczę, więźnia numer 55589, czy jakiegokolwiek inne imię, na które reagował, gdy tylko zwietrzył w tym interes. — Może przedstawiś ich sobie, ja tymczasem ocalę ciocię Sadie przed Cecily, a potem sprawdzimy, czy uda ci się wyprosić ich za drzwi.

— Nie chcesz być przedstawiona Cecily?

Twarz Keely stężała.

— Nie, raczej nie. Daruj mi tę nieprzyjemność.

— To matka Candy, Keely — przypomniał Jack.

— Ona tylko ją urodziła. Jestem jej za to wdzięczna, ale na tym koniec. Spójrz na nią, jak trajkocze, zalewa się łzami. Co za przedstawienie! Czy chociaż zapytała o Candy?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie.

Keely wysoko uniosła głowę i wysunęła brodę.

— W takim razie z całą pewnością nie chcę z nią rozmawiać.

— Twarda jesteś — docenił ją Jack.

— Jestem przerażona, ale nie mów o tym nikomu — poprosiła, potem zawołała do cioci Sadie, żeby pomogła jej w kuchni przygotować napoje i przekąski dla „towarzystwa”.

Pojawił się Tim, okręcał jakieś paciorki wokół dłoni,

— Co to? — zdziwił się Jack, zadowolony z obecności brata. Wiedział, że może na niego liczyć, bez względu na to, co się stanie.

— Paciorki na szczęście — wyjaśnił Tim. — Od Cecily. Zawsze ta sama pocziwa Cecily, co? Co ona wyprawia? Och, czy Keely opowiedziała ci, co wymyślił Mort?

— Powiedziała, że sam się przekonam.

— To jakiś plan. Więc macie zamiar się pobrać? Mogę być drużbą albo rozjemcą?

— Nie zawsze się kłócimy — zapewnił Jack brata. — Po prostu zobaczyłeś nas w niedobrych okolicznościach.

— Wiem. Ale chyba mnie nie winisz? Że podsunąłem plan pojednania?

Jack uśmiechnął się.

— Nie, byłem całkiem ogłupiały. Jak to powiedział Dizzy Dean: „Lekarze prześwietlili mi głowę promieniami rentgenowskimi i nic nie znaleźli”.

— Mam coś lepszego. Tug McGraw powiedział: „Nie mam żadnych kłopotów na przestrzeni dwunastu cali między łokciem a dłonią, natomiast te siedem cali między uszami sprawia mi problem”.

— Problem, zawirowanie, nazwij to, jak chcesz. Teraz jestem mądrzejszy i mam cholerne szczęście. Polubiłeś ją, prawda?

— Hej, bracie, to ty ją polubiłeś, a mnie to wystarcza. Nie sądzę, że zamierzam się z tobą ścigać w tej konkurencji. Miłość bliźniaków nie sięga tak daleko. Oho, nadciąga Mort. Chodź, to może być dobry znak.

Jack i Tim poszli za Mortem, który przestał rozmawiać z Niebieską Tęczą... Bóg jeden wie, o czym oni mogli rozmawiać... i skierował się do Cecily. Wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

— Pani mnie nie zna, ale reprezentuję pani kuzynów, Jacka i Tima. Przede wszystkim jestem agentem sportowym, ale prowadzę też szerszą działalność, mam także klientów z innych branży. Właśnie skompletowałem obsadę dużego filmu reklamowego w Arizonie. I muszę się pani przyznać, ma pani najbardziej oryginalną urodę i osobowość, z jakimi się spotkałem. Wykreuję z pani gwiazdę nowego milenium. Może pani swobodnie podróżować, prawda? Gdyż tym razem będziemy kręcić w Europie...

Cecily nachyliła się, zerknęła na wizytówkę, potem spojrzała na agenta.

— Mortimer Moore? — upewniła się, wyraźnie poruszona. — Zabawne imię.

— Tak twierdzi Księżycowy Kwiat Morretti — szepnął Jack do brata, szybko domyślając się, do czego zmierzał Mort.

Podsuwał Cecily forszę, aby się przekonać, jak szybko połknie ten haczyk. Pieniądze i pewność, że nie będzie się upominać o dziecko. Miał nadzieję, że Cecily odpowiednio się zachowa, a pani Peters wszystkiego wysłucha. — Oho, nadchodzi guru. Kręci nosem? Może on będzie w stanie wytłumaczyć Cecily całą sprawę.

— Tak, nadchodzi z zadartym ogonem, niczym pies gończy wietrzący zdobycz — parsknął śmiechem Tim. — Keely powiedziała nam, kiedy pobiegła do cioci Sadie, że jest przekonana, iż Cecily wraz z guru chcą forsy, a nie rozprawy przed sądem. Wtedy to Mort wpadł na ten pomysł. Na razie nieźle idzie, prawda?

Mort ujął Cecily pod ramię, prowadząc ją do otwartych drzwi na patio. Lester zakręcił na pięcie i ruszył za nimi.

— A zatem, pani Morretti — ciągnął Mort aksamitnym głosem. — Proponuję pani wyłączność na kontrakt ze mną, razem zwojujemy świat. Już widzę pani prześliczną twarz na ogromnych billboardach w Nowym Jorku. Tak, w Nowym Jorku, nie tylko w Europie. Revlon rozgląda się za nową twarzą. Myślałem o kimś innym, ale tamta osoba przy pani po prostu blednie.

— No to Keely przepada szansa na zrobienie kariery — zauważył cicho Jack. Cecily wyglądała na oszołomioną, potem uszczęśliwioną i znów oszołomioną.

— Och! — zawołała. — ale ja nie mogę. Przykro mi, ale ja zwyczajnie nie mogę.

Jackowi zamarło serce. Cecily odrzuci propozycję Morta, gdyż pragnie odzyskać Candy. Rozpocznie się długa wstrętna wojna przed sądem — ostatnia rzecz, jakiej pragnął dla Candy i dla Keely.

— Wychodzę za mąż, panie Moore — ciągnęła Cecily, spoglądając na Lestera. — Dziś wieczór lecimy do Vegas. Zamierzamy stworzyć rodzinę. Wszystko już ustalone.

Jack, nagle nabrawszy otuchy, zerknął na Lestera Schmidta. Mortowi może się nie udało, ale teraz znowu pojawiła się nadzieja.

— Moje gratulacje, Niebieska Tęczo — odezwał się szybko i głośno. — Ale nie uważasz, że najpierw przydałby ci się rozwód?

Cecily szeroko otworzyła błękitne oczy.

— Roz... jaki roz... wód?

— No tak — stwierdził Tim, przystępując o krok, — Otworzyła się tama.

— Cecily, posłuchaj — przemówił szybko Lester, kiedy twarz kobiety pomarszczyła się niczym papierowa torba. — Miałem ci powiedzieć...

— Wynoś się — pisnęła Cecily, wskazując drzwi. — Wynoś się, wynoś, wynoś! Najpierw żądałeś ode mnie, żeby Jack zapłacił... za ślub... a potem mnie okłamałeś? Jesteś żonaty? Mówiłeś, że mnie kochasz. Precz! Nie chcę... chlip... cię więcej widzieć. Nigdy!

— Oho, Tim. Myślałem, że się w końcu uwolnimy, ale nie sądziłem, że stanie się to tak błyskawicznie. Czy ona naprawdę da mu kopa, próbując zatrzymać Candy? — pytał Jack brata, kiedy Keely wróciła do salonu, niosąc tacę z ciasteczkami, filiżankami i dzbankiem mrożonej herbaty.

— Och, odwal się, Cecily — odwarknął Lester, który najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że stoi na przegranej pozycji, ale nie chciał, by nim pomiatano. — Przestań pleść bzdury, bo niedobrze mi się robi. Wiedziałaś, że jestem żonaty, więc nie próbuj wyrzucić mnie z układu. Wiesz o wiele więcej, niż się innym wydaje, dlatego nie wciskaj mi tu kitu. Te kretyńskie stroje, idiotyczne imiona. Sądzisz, że wszyscy tutaj są naprawdę tacy głupi i dadzą się wodzić za nos?

— Zamknij się, Lester, ty szakalu! — prychnęła Cecily, a Jack i Keely spojrzeli zdumieni. To naprawdę jego kuzynka? Żadnych szlochów? Czkawki? Histerii? Kto podmienił jego kuzynkę na inną kobietę, o stalowym wzroku i twardym obcym głosie? I o czym, u diabła, mówi Lester? Cecily nie grała. Chyba że udawała od zawsze.

— Niech mnie diabli! — zaklął po cichu Jack.

— Okay, to sprawy rodzinne, więc jest mi trochę niezręcznie — odezwał się Mort. Zobaczymy się później. Będę w kuchni z Sadie, póki atmosfera się nie uspokoi. — Mort, wykonawszy swoje zadanie... a raczej wykonawszy je w połowie, gdyż Lester i Cecily przestali zwracać na niego uwagę... wyszedł, porywając po drodze ciasteczko.

— Nienawidzi scen — zauważył Tim, wskazując kciukiem plecy oddalającego się Morta. — Dlatego mnie tu zaprosił. Żebym mu zabezpieczał tyły, w razie gdybyście nie przystali na jego najnowszy pomysł.

— Zamknij się, Tim. — Jack prawie go nie słuchał, zdumiony zachowaniem Cecily, wciąż starając się rozgryźć tajemnicę jej przemiany. Na twarzy Cecily pojawił się inny wyraz. Przebiegły. Twardy. Nadal była drobna, jasnowłosa i piękna, ale teraz bardziej przypominała Joeya, *który zawsze miał* jakiś pian, chociaż zazwyczaj nieskuteczny.

— To wszystko jej pomysł — odezwał się Lester cienko, zwracając się do Jacka. — Podrzuciła ci dzieciaka, bo go nie chciała, nigdy nie chciała. Twierdziła, że jesteś takim naiwniakiem, więc weźmiesz małą, a tym samym zdejmiesz jej kłopot z głowy. Dzieciak jej przeszkadzał. Ale ty o tym nie miałeś pojęcia. Kiedy jednak prawnik zwrócił się do niej o zrzeczenie się praw rodzicielskich do małej, ujrzała swoją szansę. Najpierw mieliśmy zmusić cię do zapłacenia nam, żeby nie pozwalać cię do sądu, ale potem uznała, że prawdopodobnie zyska więcej forsy od wuja Sala, gdy pojawi się u niego z dzieckiem i mężem u boku. Mówiłem, bierzmy forsy i w nogi, ten cały Sal może żyć jeszcze ze dwadzieścia lat, ale, mnie nie słuchała. Nie chce dzieciaka. Chce forsy. Przepuściła milion zielonych w Monako.

-- Powiedziałam, stul pysk! — krzyknęła Cecily, wpadając na Lestera i waląc go po piersi małymi piąstkami.

Keely siedziała na podłodze w pokoju Candy. Obserwowała dziecko, które leżało na brzuszku, ale usiłowało podnieść pupę i przysunąć się do ukochanej grzechotki.

Candy próbowała, naprawdę próbowała, ale kiedy przewróciła się noskiem na dywan kolejny raz, zaczęła płakać. Keely podniosła ją.

— Wszystko w porządku, kochanie. — Podała jej grzechotkę. — Szybko urośniesz, będziesz raczkować, chodzić, wreszcie biegać...

— I prowadzić samochód — dodał Jack, opierając się o framugę — Jeśli to nie dosyć, byśmy osiwieli, to nie wiem, co jeszcze może się wydarzyć. Może byśmy ją zatrzymali na zawsze taką maleńką?

Keely uśmiechnęła się do niego, przyglądając się, czy nie mu nie jest, czy przetrwał bez szwanku to popołudnie.

— Poszli już? Wszyscy? Przykro mi, że cię zostawiłam, ale kiedy Lester wybiegł, Cecily zaczęła krzyczeć na Joeya, a on na nią... musiałam się stamtąd wynieść.

— Nie przywykłaś do rodzinnych kłótni, prawda? — spytał Jack i usiadł obok. — • Odwykliśmy od tego przez te lata. Trochę zapomniałem, jakim charakterem odznaczał się wuj Guido, ale wróciła mi pamięć, kiedy Joey i Cecily zaczęli się kłócić. Przykro mi, że musiałaś być tego świadkiem.

— To przerosło wszelkie moje wyobrażenia.

— Moje również. Głupiutka, zwariowana, chodząca z głową w chmurach Cecily. Taką ją chyba wolałem. Ale to wszystko było tylko przedstawieniem. Przez wszystkie lata. Prawdopodobnie dlatego ciocia Flo ją usprawiedliwiała. Cecily, biedna mała dziewczynka bez krzty rozumu. Ustępowaliśmy jej, dawali, czegokolwiek zapragnęła. Mydliła nam oczy, co?

— Bardziej teraz polubiłam Joeya. Przypuszczam, że szalał tak, aby przyciągnąć uwagę twojej ciotki. — Keely wzruszyła ramionami. — Czy już sobie poszli?

Jack skinął głową.

— Ale dopiero wtedy, gdy zrzekli się swoich roszczeń. Joey

wobec kontraktu z Malutkim, a Cecily wobec Candy. Pani Peters podsunęła Cecily wszystkie dokumenty do podpisu, a potem sporządziła jeszcze jeden dla Malutkiego. Wspaniała kobieta z tej pani Peters. Petra powiedziała, że mu go oprawi w ramki, ale Malutki wrócił do Bayonne z Joeyem. Petra uważa, że namówi go do powrotu do college'u. Malutki chyba chce zostać mistrzem kucharskim.

— Świetnie — powiedziała Keely, ocierając wilgotne oczy. Jack z nią rozmawiał, ale nie odrywał wzroku od Candy. — Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim. Rozmawiałeś z Jimmym?

— Tak. Musimy wystąpić o stałą opiekę, pokonać jeszcze kilka przeszkód, ale zarówno Jimmy, jak i pani Peters uważają, że wszystko jest na dobrej drodze. Przy odrobinie szczęścia za pół roku możemy oficjalnie adoptować Candy. I zmienić jej imię i nazwisko na Mary Margaret Trehan.

Położył się na podłodze, podkulił kolana i objął głowę rękami.

— Boże. Nareszcie koniec. Co za dzień. Pamiętasz jakikolwiek dzień podobny do tego? Doświadczyliśmy wszystkiego — dobra, zła, a nawet prawdziwego piekła. Trudno uwierzyć, że to już koniec.

— Ta! Ta-ta-ta! — zaczęła Candy. Keely posadziła ją na brzuchu Jacka. Mała mogła się przechylić i przycisnąć główkę do jego piersi.

— O, Boże — westchnął Jack, otulając ramionami pulchne ciało dziecka. Przymknął oczy, usta mu zadrżały, podniósł się gwałtownie i wtulił głowę w loczki Candy.

Keely objęła ich oboje, zaczęła kołysać, płakała wraz z Jackiem, potem razem z nim się śmiała, kiedy Candy się wierciła, chcąc uwolnić się od tej dwójki łkających głuptionsów, którzy za mocno ją przytulali.

Jack nachylił się, pocałował Keely, pomógł jej wstać.

— Wiesz, płakałem w życiu tylko trzy razy. Kiedy umarli moi rodzice, w dniu, w którym ogłosiłem odejście z drużyny, no i dzisiaj. Tylko że dzisiaj czuję się cudownie. Mam ciebie,

razem mamy Candy i długie cudowne życie przed sobą. Dwa miesiące temu wydawało mi się, że moje życie jest już skończone.

Jack przytulił Candy do piersi, zeszli do kuchni, gdzie przy stole siedzieli ciocia Sadie, Petra i Tim, zając pizzę.

— Pozwólcie, że powtórzę to, co powiedziałem Keely na górze — odezwał się Jack, kręcąc głową. — Mam ciebie, Candy, Sadie, Tima i jedną wyszczekaną nastolatkę. Czyli cały świat.

— Prócz Morta — wtrącił Tim z pełnymi ustami. — Wyjechał natychmiast, gdy zgodziłeś się podpisać kontrakt. Chyba pofrunie do Nowego Jorku bez samolotu, taki jest nakręcony.

— Kontrakt? — zdziwiła się Keely. — jaki kontrakt? Dlaczego Mort jest nakręcony? Porozmawiaj ze mną, Jack. Ty naprawdę musisz nauczyć się ze mną rozmawiać.

— Słyszycie, muszę natychmiast porozmawiać z tą kobietą. Drugi raz nie popełnię tak fatalnej omyłki. — Jack oddał Candy Petrze, potem ujął dłoń Keely i poprowadził ją do drzwi kuchennych. — Nie dałbym ostatecznej odpowiedzi Mortowi bez porozumienia z tobą, ale, jak mówiłem, kochanie, tyle się tu dzisiaj wydarzyło...

Epilog

Musicie w to uwierzyć.

Tug McGraw

Keely stała przy oknie w salonie, patrząc, jak Corvette Jacka zajeżdża na podjazd przed domem.

Towarzyszyła mu zawsze do Nowego Jorku, jak zresztą od pierwszej chwili ich małżeństwa, ale tego popołudnia Candy miała drugie szczepienie i Keely chciała zostać przy mężu. Dziecko trochę grymasiło, ale teraz już spało od kilku godzin, więc Keely obejrzała cały mecz w telewizji.

Zaciągnęła białe sięgające podłogi kotary, kiedy światła samochodu zabłyśły w ciemnościach. Oodetchnęła z ulgą, gdyż wciąż zachowywała się nadopiekuńczo, jak twierdził Jack, potem wyszła do hallu powitać go, gdy stanie w progu.

— Byłeś cudowny — powiedziała, obejmując go ramionami za szyję, unosząc wargi do pocałunku.

Jack uśmiechnął się szeroko, otoczył ramieniem jej talię. Razem weszli do kuchni.

— Byłem dobry, prawda? Spodobało ci się baseballowe powiedzonko, którego użyłem dziś wieczór? Słyszałaś? To była powtórka z Drysdale'a. Proszono mnie, bym cytował go jak najczęściej. Tim i ja zbieraliśmy jego powiedzenia całymi latami.

— O tym, co robi zawodnik w ataku? — upewniła się Keely, wyjmując dwie butelki wody mineralnej z lodówki i stawiając je na stole.

Jack uśmiechnął się.

— Sam tak właśnie robiłem — zgodził się. Zaczepił stołek nogą, odsunął go, żeby mogła usiąść przy nim, — Trzy miesiące, a ja wciąż nie mogę uwierzyć. Ja, Jack Trehan, telewizyjny

sprawozdawca drużyny Yankees. Rozumiesz — wsparł brodę o dłoń, rękę o stół — Mort chyba miał rację, urodziłem się do tej pracy. Naprawdę. Po odejściu z zawodowego sportu dręczyło mnie to, że nie wiem, co począć z resztą życia. Poza tym w przyszłym tygodniu jedziemy na wybrzeże. Będę tęsknił za tobą i za Candy. Na pewno nie możesz mi towarzyszyć? Wiem, że jesteś zajęta w butik, ale może Jean poradzi sobie bez ciebie? Sama twierdzisz, że jest bardzo kompetentna.

— Cóż... — odezwała się Keely, rysując palcem na jego ramieniu jakiś wzorek. — Spytałam dzisiaj pediatrę, czy można zabrać Candy w taką długą podróż, zapewnił, że nie ma przeciwwskazań. Tylko nie mogłybyśmy lecieć z całą drużyną.

Jack wstał, ujął jej dłonie, postawił ją na nogi.

— Polecimy samolotem rejsowym. Do diabła, nawet którymś z tych małych, jeśli będzie potrzeba, gdy przyrzekniesz, że będziesz trzymać mnie za rękę i powtarzać, że lot małym samolotem jest całkiem bezpieczny.

— Jack, nie mów „do diabła”. Wiesz, jak szybko Candy podchwytuje nowe słowa.

— Uważasz, że „piekło” zabrzmiałoby lepiej? Moja żona, nowa władczyni „piekła” i „nieba”, ta, która wie wszystko najlepiej. Macierzyństwo odmieniło cię, Keely. I to mi się podoba.

— Ty to uwielbiasz — mruknęła słodko Keely, wstając na palce i całując go w policzek. — Chodź spać. Miałeś naprawdę długi pracowity dzień i męczącą podróż w tę i z powrotem z Nowego Jorku.

— Jeśli starasz się dowiedzieć, jak bardzo jestem zmęczony, skarbie, to tylko spytaj.

Zatrzymała się na górnym podejściu schodów, położyła mu ręce na ramionach. Tak bardzo go kochała.

— W porządku. Jak bardzo jesteś zmęczony, panie sprawozdawco?

Gdy Jack zanosił żonę do sypialni, przytuliła się do jego piersi, mając nadzieję, że jej szczęśliwe westchnienia nie obudzą ich córki.